# Migotania

Gazeta literacka

Nr 1 (78) 2023 kwartalnik



POLECAMY:
- Leszek Szaruga, Gdańszczanka, esej
- Elżbieta Juszczak, Czarownice w natarciu. W poszukiwaniu inspiracji, esej
- Maria Jentys-Borelowska, Zapiski z „szarego domu”, fragment nowej powieści o Elizie Orzeszkowej
- Krzysztof Szymoniak, Ryszard Milczewski-Bruno czytany po latach, esej
- Mateusz Wabik, Poetki z Gdańska - Czekanowicz, Lars i Ptak, Omówienie
- Andrzej C. Leszczyński, Zagubione korzenie, esej
- Cezary Sikorski, wiersze, z tomu Hotel Mariański,


Fundacja Światło Literatury

*Pojęcia „bieda” i „bogactwo” nie istniały w pewnych językach, co samo w sobie było wielkim bogactwem.*

Zbigniew Ikona-Kresowaty

## Cyprian Kamil Norwid

**Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala...**

Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala
Czy ten , co mówić o tym nie pozwala?

Czy ten żył za mnie, co nie zna mej winy,
Czy ów, co nawet zna owej przyczyny?

Jaka roznieca miedzy oskarżeniem,
Zniesieniem, klątwa, albo przewinieniem? -
I jak te rzeczy do siebie się maja,
I czy sądzący, ucząc się jej, zna ja?
I czy sumienie może jąć się za nic,
Bezorganicznym będąc, bo bez granic,
Czymś, co jak magnes odpycha lub styka?...
A cnoty treść - co? - galwanoplastyka?...
A jaw co wtedy będzie - a praktyka
Czym?..
tu - odpowiedz - w pukaniu stolika!!

**- W numerze prezentujemy prace: Zbigniewa Ikony-Kresowatego**
**- Plakat artystyczny: Zbigniew Joachimiak, „Portret Hani, 23”**
**- Plakat poetycki: Henryk Liszkiewicz**


*Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2023*

FELIETON

Wit Romanowski

# ERICH FROMM REVISITED

Jakże warto powracać do tekstów Mistrzów i odczytywać je na nowo, w nowym kontekście i świetle.

Jednym z tych Wielkich jest Erich Fromm – psycholog i filozof wyrosły z gruntu zrewidowanej psychoanalizy, guru lat 60–tych i 70–tych, autor choćby takich dzieł , jak „Mieć i być", „Zapomniany język", „O sztuce miłości", czy „Anatomia ludzkiej destrukcyjności".

Sięgam po ten ostatni tytuł, w którym destrukcyjność jest szczególnie istotnym terminem. Tam, w typologii różnych ludzkich charakterów Fromm wyróżnia m.in. charakter nekrofilityczny.

Termin ten po raz pierwszy został użyty przez hiszpańskiego filozofa Miguela de Unamuno w roku 1936 przy okazji przemowy nacjonalistycznego (to inne ważne słowo!) generała Millana Astraya na uniwersytecie w Salamance, gdzie Unamuno był rektorem na początku hiszpańskiej wojny domowej. Ulubioną dewizą owego wojskowego było wezwanie „Viva la muerte!" – „Niech żyje śmierć". W czasie jego wystąpień falangiści często skandowali je z tłumu.

Będąc raz świadkiem czegoś takiego, Unamuno podniósł się z miejsca i powiedział:

– Oto przed chwilą słyszeliśmy nekrofilityczny i bezsensowny okrzyk „Niech żyje śmierć!". A ja, który spędziłem swe życie formułując paradoksy (…) mogę wam, drodzy państwo, powiedzieć jako autorytet w tej sprawie, że akurat ten paradoks jest dla mnie odrażający!

W odpowiedzi usłyszał: „Abajo inteligencia!" – „Precz z intelektualistami! – niech żyje śmierć!"

„Przyjąłem użytek jaki z kategorii charakteru nekrofilitycznego uczynił Unamuno – pisze Fromm w „Anatomii ludzkiej destrukcyjności" – i badałem zakorzenione w charakterze nekrofilii (..) od roku 1961."

Według Fromma charakter nekrofilityczny może być opisany jako namiętne upodobanie do wszystkiego, co martwe, rozkładające się, zgniłe, chore; co stanowi namiętność przekształcenia żywego w martwe; co jest niszczeniem dla samego niszczenia; co stanowi namiętność rozszarpywania na części żywych organizmów.

Wnioski narzucają sie same. Posługując się terminologią Fromma i Unamuno, polityka, która obecnie dominuje w Polsce, ma bardzo wyraźny charakter nekrofilityczny.

Dominujący obóz polityczny do władzy doszedł budując mit „poległych" w Smoleńsku. Eksploatował go bez końca, lata całe, wychodzą poza ramy zwyczajowo przyjętej żałoby.

Epatował ekshumacjami, które nie dawały żadnego rezultatu poznawczego, a jedynie stanowiły torturę dla bliskich osób, których ciała wydobywano z grobów.

Całkowicie zaniedbał służbę zdrowia i obojętnie przechodził na zjawiskiem nadumieralności Polaków w czasie pandemii.

Z lubością serwował lockdowny, przez co na całe tygodnie zamierał wszelki ruch i życie.

Z satysfakcją ciął lasy.

Zmuszał kobiety do rodzenia dzieci, które nie były zdolne do samodzielnego życia.

Systematycznie niszczył system oświaty, który jest źródłem dalszego rozwoju i życia.

Był obojętny wobec śmierci ludzi na wschodniej granicy.

Z uporem maniak opierał rozwój kraju na kopalnych źródłach energii, które są przecież pozostałościami po martwych zwierzętach i roślinach, co w zauważalnej perspektywie prowadzi do zagłady.

Co najgorsze, dzieje się tak dalej, a niezwykłe groźne jest to, że ta sama nekrofilityczna tendencja z łatwością może pchnąć nas w objęcia wojny, zgodnie z dewizą „Viva la muerte!".

***Wit Romanowski***

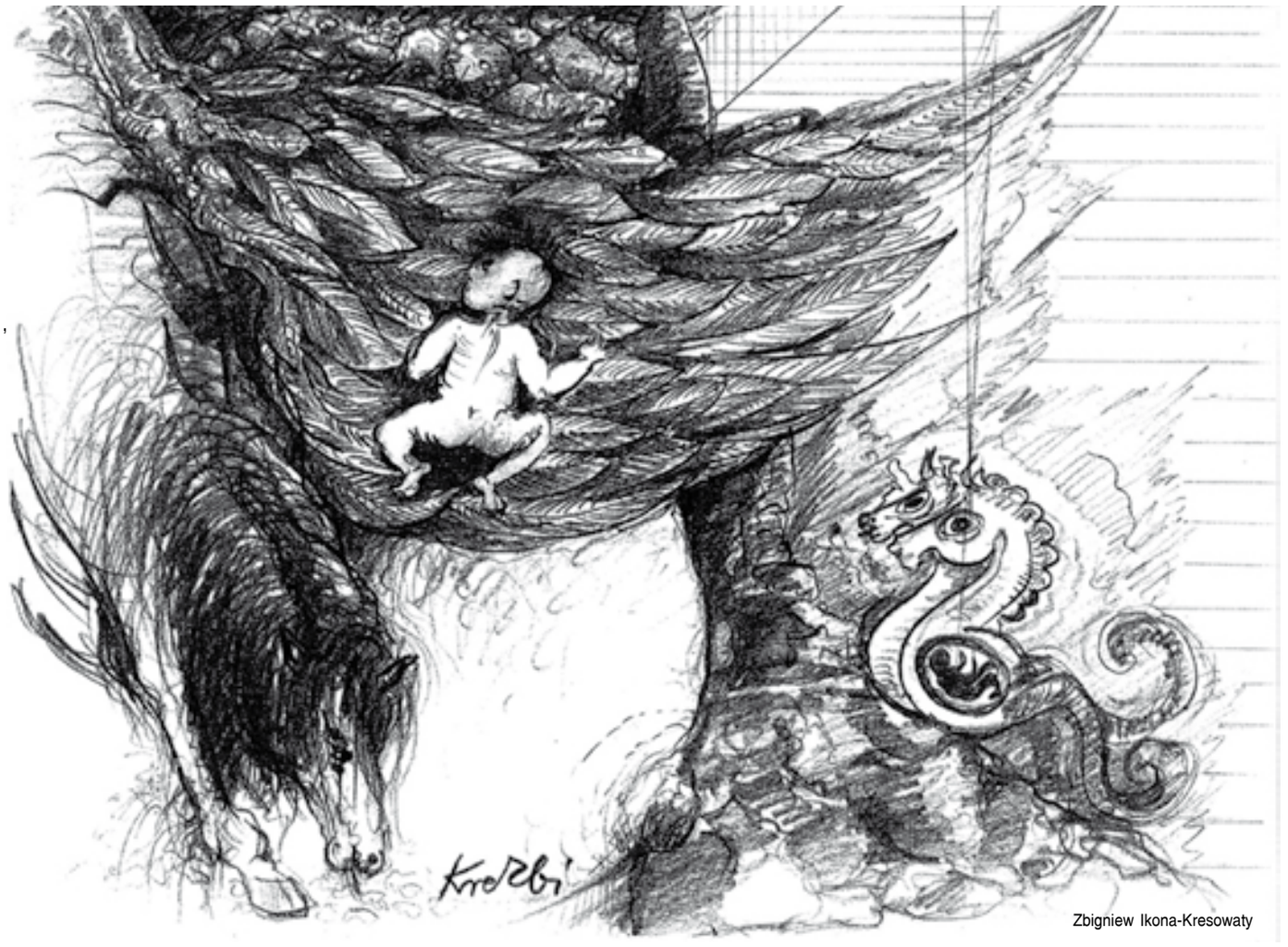

Zbigniew Ikona-Kresowaty

**spis treści 1/2023**


Wit Romanowski, Erich Fromm revisited, felieton.....str.2
Leszek Szaruga, Gdańszczanka, esej.....str.3
Cezary Sikorski, wiersze z tomu Hotel Mariański.....str.6
Elżbieta Juszczak, Czarownice w natarciu.
W poszukiwaniu inspiracji, esej.....str.8
Piotr Wojciechowski, Jemioła, wiersz.....str.11
Maria Jentys-Borelowska, Zapiski z „szarego domu",
fragment nowej powieści o Elizie Orzeszkowej.....str.12
Kalina Izabela Zioła, wiersze.....str.16
Czesław Sobkowiak, Zapiski niecodzienne, Dziennik.....str.17
Dorota Czerwińska, wiersze .....str.19
Dariusz Pawlicki, Pod niebem nocy, esej .....str.20
Grzegorz Borowiec, wiersze .....str.23
Aleksiej Batałow, Dwa dzieciństwa. Bajki i legendy,
Sztuka i kino.....str.24
Elżbieta Juszczak, wiersze.....str.27
Andrzej C. Leszczyński, Zagubione korzenie, esej.....str.28
Rudy Alfonso Gomez Rivas.....str.31
Dariusz Tomasz Lebioda, Wyprawa na dach świata,
proza.....str.32
Michał Kaczmarek, wiersze.....str.42
Zbigniew Zbikowski, Strażnik, proza.....str.44
Lilla Latus, wiersze .....str.51
Adam Raczyński, wiersze.....str.51
Mariusz Kresowaty, wiersze.....str.52
Krzysztof Szymoniak, Ryszard Milczewski-Bruno
czytany po latach, esej.....str.53
Marian Bednarek, PE i E, wiersze.....str.56

SZTUKA
Zbigniew Kresowaty, „Każda ikona zawsze spada z nieba",
Rok 2023 rokiem Jerzego Nowosielskiego.....str.57

Roman Warszewski, Karol Myśliwiec – polski następca
Howarda Cartera.....str.60

OMÓWIENIA
Urszula Małgorzata Benka, Pasterze dolin.....str.62
Mateusz Wabik, Poetki z Gdańska i Czekanowicz,
Lars i Ptak.....str.64
Andrzej Wołosewicz, O poezji Zbigniewa Jerzyny.....str.70
Mateusz Wabik, Rzeki, morza, upadek Rzymu
przy akompaniamencie płyt jazzowych.
O czym pisał Bohdan Wrocławski.....str.75

KSIĄŻKA KWARTAŁU
Jerzy Lengauer, „Historyczno-antropologiczne
peregrynacje człowieka orła", O książce Romana
Warszewskiego, Pierwsza wojna polsko-indiańska.....str.77

RECENZJE.....str.79
Ryszard Biberstajn, Dialog z cieniem
Andrzej Wołosewicz, Wujek Maks – czyja to rodzina?,
o powieści Cezarego Sikorskiego
Elżbieta Musiał - Nieco o prowokacjach artystycznych
Szczęsnego Wrońskiego
Mateusz Wabik, Trup poety spotyka Szarika,
o książce Grzegorza Bazylaka
Jerzy Lengauer, Zaśniecie Darii,.
Mateusz Wabik, Sprawy najprostsze,
o poezji Czesława Sobkowiaka
Andrzej Walter, Pogodzić życie z podarowanym czasem..str.86

Mirosław Majewski, Książka, której nie było, proza.....str.87

Leszek Szaruga, Wyprasowanie (42).....str.92

MIGOTANIA, JESZCZE WIĘCEJ
Andrzej Wołosewicz, Modlitwa do klamki,
kłamliwa, poezja .....str.93
Roman Warszewski, Im wyżej tym lepiej, reportaż.....str.94
Jan Stanisław Smalewski, To działo się w listopadzie.
Z Dziennika.....str.95
Przemysław Znojek, wiersze.....str.98
Rafał Hille, wiersze .....str.98
Zbigniew Wilczyński, Reguła skrętu, część 2.....str.99
Renata Paliga, Pytania badawcze.....str.100
Marek Wawrzkiewicz, Okruchy (7).....str.102


ESEJ

Leszek Szaruga

# GDAŃSZCZANKA

W1934 roku Aleksander Kurecki, właściciel Warta Speditions GmbH w Gdańsku stał się jednym z akcjonariuszy Baltische Komissions Bank GmbH& Co, Kommanditgesellschaft (Bałtyckiego Banku Komisowego Sp. z o.o., Towarzystwo Komandytowe) założonego pod koniec XIX stulecia. Był zatem człowiekiem dość zamożnym, wdowcem, lecz wcześniej raczej niezbyt majętnym przedsiębiorcą, którego żona, skromna nauczycielka, zmarła na gruźlicę w roku 1926 pozostawiając go z sześcioletnią córką, wychowywaną dotąd w języku polskim. Dziewczynka, bawiąc się z dziećmi sąsiadów, skarżyła się ojcu narzekając, że jej rówieśnicy dziwnie mówią, a piłkę nazywają „Ball", na co, zajęty swą pracą rodzic odparł, żeby też tak mówiła i nie przejmowała się odmiennością języków. Jak to dziecko zatem dość szybko, w niemieckojęzycznym głównie mieście, opanowała obcą mowę tak dalece, że gdy spytano ją, już jako dorosłą kobietę o to, który język jest dla niej ojczystym, bez zastanowienia odparła, że obydwa. I rzeczywiście tak było – po niemiecku mówiła z charakterystycznym, wschodniopruskim akcentem. Być może jest w tym jakieś poplątanie – w końcu w polszczyźnie ów pierwszy język, swoista *materia prima* ludzkiej egzystencji, jest mową ojca (*język ojczysty)*, gdy w niemczyźnie przeciwnie, jest mową matki (*die Muttersprache*), a w dodatku zarówno matka, która przed przedwczesną swą śmiercią zdołała wpoić córce patriotyczne wartości, jak ojciec dziewczynki identyfikowali się jako Polacy.

Ważny był Gdańsk, którego *genius loci* stanowić miał w życiu dziewczynki najistotniejszy punkt odniesienia. Jak trafnie zauważa Tatiana Czerska omawiająca pośmiertnie wydaną książkę Kureckiej *Niedokończona gawęda* pisarka: „Używa w swojej narracji wartościujących określeń podkreślających jego wyjątkowość i niezależność: „dumne Miasto", „chrobre, harde i hanzeatyckie", „samo swoje". Autorka stara się wyeksponować zarówno wielokulturowość Miasta (tak właśnie pisze o Gdańsku), jak i jego przez wieki pielęgnowaną suwerenność. Jest ono przestrzenią wspólną o ponadnarodowej wartości, przedstawioną w książce przede wszystkim przez pryzmat codziennej egzystencji". Można bez przesady powiedzieć, że owa suwerenność Wolnego Miasta Gdańska przesądziła o ostatecznym ukształtowaniu tych wartości, które dziewczynce przekazała matka – jej patriotyzm miał wymiar wolny od politycznego nacechowania, był kwestią osobistego, wolnego, swobodnego wyboru w wielokulturowym świecie, nie domagał się, poza momentami szczególnymi, nieustannego demonstrowania, nie nakazywał bezkrytycznego utożsamiania kraju ojczystego z państwem.

Niemiecki nie był jedynym językiem, który zdołała perfekcyjnie opanować. Ojciec, pragnący dać dziecku możliwie porządną edukację, wysłał je do istniejącej do dziś szkoły z internatem prowadzonej w Szymanowie przez siostry niepokalanki, gdzie językiem, który dziewczynki musiały poznać i który był też językiem wykładowym, okazał się francuski. W końcu dziewczę, w czerwcu 1939 roku, zdało maturę i wraz z ojcem pojechało na wakacje do Czechosłowacji, gdzie już we wrześniu okazało się, że do Gdańska, w którym majątkiem i rodzinnym domem obojga zajęła się nowa władza, nie mają po co wracać, w związku z czym przedsięwzięli podróż do rodziny w Berlinie, w którym Aleksander Kurecki został aresztowany przez Gestapo i zesłany do Dachau, gdzie – jak się o tym miała dowiedzieć córka lata po zakończeniu wojny – został zatłuczony łopatą, co oczywiście nie znalazło świadectwa w oficjalnym dokumencie powiadamiającym dziewczynę o śmierci ojca: *Konzentrationslager Dachau/ Kommandantur Abt. II/ Dachau 3 K, den 17. Januar 1941./ (...) Die Kommandantur des Konzentrationslagers Dachau, teilt Jhnen auf Jhr Schreiben vom 31.1.1941 mit, dass Jhr Vater am 15.12.40 gegen 9.40 Uhr an Versagen von Herz-u.Kreislau bei Ascies, Odmen in Gesicht u. beiden Beinen verstorben ist. Die hinterlassenen Effekten werden Jhnen in den nächsten Tagen durch die hiesige Effekten-Verwaltung zugesand. Anliegend erhalten Sie eine Sterbeurkunde, weitere sind beim Standesamt Dachau gegen Entrichtung einer Gebühr von 60 Pfennig pro Urkunde zu erholen./ SS-Sturmbannführer u. Lagerkommendant*. Po latach zapisze: „Załączony, oficjalny spis powiadamiał mnie, że mogą mi przesłać koszulę i ubranie Zmarłego, jego złote koronki na zębach (co zostało starannie – czerwonym atramentem! - przekreślone), tudzież puszkę z prochami. (…) Po pewnym czasie odebrałam tylko przesnute niemal do osnowy szare ubranie. Oddałam je do najlepszej cerowni i w latach późniejszych nosiłam jako kostium, łącznie z piękną, jasnozieloną popelinową bluzką (z koszuli) z wyraźnym na kieszeni monogramem: „A.K."".

W tym czasie dziewczyna, po przenosinach z Berlina do Warszawy, pracująca w szwedzkiej fabryce zapałek w Błoniach, uczęszczać zaczęła na tajne komplety polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego – studiów nie ukończyła za sprawą wybuchu powstania, które w swym *Pamiętniku z Powstania Warszawskiego* Miron Białoszewski określił mianem „sierpniowego". W powstaniu wzięła udział wraz ze starszą przyjaciółką, także absolwentką szkoły w Niepokalanowie, lekarką Wandą Zawadzińską, jako pielęgniarka. Wcześniej wszakże, spotkawszy w mieście w roku 1942 przyjaciela ojca, przedsiębiorcę z Gdyni Stanisława Wirpszę, nawiązała korespondencję z jego synem, Witoldem, osadzonym, po walkach w obronie Oksywia, w obozie jenieckim w dzisiejszym Borne Sulinowo. Chłopak starszy od niej dwa lata wyjechał na studia do Warszawy w roku 1936, znali się zatem, lecz dość powierzchownie, skoro korespondencja początkowo prowadzona była w niemal oficjalnym tonie i przyszły mąż dziewczyny – zaręczyli się korespondencyjnie – zwracał się do niej per „Droga Panno Marylko!". Już po powstaniu, gdy zezwolono jeńcom na pisanie do Generalnej Guberni, pisał Wirpsza: „Maryl-→

ko, moja, moja – nie wiesz jak bardzo mi tu wstyd i żal, gdy Ty potrzebujesz mojej pomocy. To takie poniżające – być bezsilnym!". Słowa o powstaniu, ze względu na cenzurę, być w tym liście nie mogło. Spotkali się po wojnie w Krakowie, choć nie było to proste, jako że panna Marylka po powstaniu i wydobyciu się z obozu warszawskich uciekinierów w Pruszkowie, zniknęła w chaosie ówczesnych przemieszczeń ludzi, którzy do swej niszczonej z żelazną konsekwencją stolicy powrócić nie mogli. Świadectwem poszukiwań, jakie przedsięwziął ojciec Witolda, zmierzającego w tym czasie, po wyzwoleniu z oflagu, wraz z polskimi i sowieckimi wojskami na Berlin, jest przypadkiem odnaleziona w roku 2020 na strychu budynku należącego w czasie wojny do szwedzkiej fabryki zapałek kartka, która nigdy do rąk adresatki nie trafiła:

W końcu jednak Witold z Marylką się odnaleźli, w Krakowie. Tam też wzięli ślub i spłodzili piszącego te słowa. I pewnie byłaby to historia, jakich wiele w okresie powojennym, gdyby nie fakt, że oboje potrafili niemal od początku stworzyć doskonale się uzupełniającą parę tłumaczy, przede wszystkim z języka niemieckiego, który Wirpsza znał głównie ze szkoły w Gdyni, a także za sprawą gdańskiego sąsiedztwa, zaś wyszlifował ową znajomość w oflagu. Swe przekłady sygnowali bądź indywidualnie, bądź wspólnie – w zależności od warunków umów, jakie zawierali – w zasadzie jednak wszystkie, poza poetyckimi, którymi Witold sam się zajmował, tworzyli razem, przy czym z zasady Maria dokonywała pierwszego, „surowego" spolszczenia, zaś Witold, nie bez przedyskutowania bardziej skomplikowanych kwestii, tekst „wygładzał". Pierwszym z najważniejszych dzieł przeniesionych przez nich w obszar literatury polskiej był *Doktor Faustus* Thomasa Manna, wśród innych warto przypomnieć *Śmierć Wergilego* Hermanna Brocha, *Młyn Lewina* Johannesa Bobrowskiego czy *Damiana* oraz *Grę szklanych paciorków* Hermanna Hesse.

Ja wszakże języka uparcie poznać nie chciałem. Mieszkaliśmy wówczas w Szczecinie, gdzie w początkach lat 50. niemiecki można było jeszcze usłyszeć na ulicy, lecz w większości ludzie reagowali na dźwięki tej mowy raczej nieprzyjaźnie. W domu co innego – kolejne zatrudniane przez rodziców do prac dorywczych osoby to byli Niemcy – pamiętam doskonale Ewalda, który potrafił „wszystko", od prac ogrodowych poczynając, po robienie skarpetek na drutach, o kuchni nie zapominając. Mieszkał niedaleko, był u nas niemal co dnia. Miał problemy z kręgosłupem – jakimś cudem ocalał w czasie wojny z zatopionej łodzi podwodnej. Ale, oczywiście, pogadać z nim nie mogłem. Wyjechał z Polski po przemianach roku 1956, wcześniej zapewne wierzył, że miasto wróci do Niemiec.

Któregoś dnia matka bez uprzedzenia zaczęła do mnie mówić po niemiecku. Zareagowałem histerycznie. To zrozumiałe – namiętnie bawiliśmy się w tym czasie z kolegami w wojnę, nikt z nas, oczywiście, nie chciał grać roli Niemca bądź Ruskiego. Bycie Niemcem oznaczało degradację i z zasady Niemcami i Ruskimi zostawały najgorsze ofermy, chłopcy najmniej lubiani, w istocie na swój sposób – choć nikt tak o tym przecież wówczas nie mówił – wykluczeni. Mówienie po niemiecku, w języku wroga, było czymś z gruntu nieprzyzwoitym. Jedna z dziewczynek, z niemieckiego domu, wyzywana była nieustannie jako „Niemra" bądź „hitlerówa". Nie rozumieliśmy, co czynimy. Pojąłem to po latach, gdy w tomie *Tyle nieznanych ryb* Anny Matysiak, dużo młodszej koleżanki tamtej dziewczynki, urodzonej

na „poniemieckich" Mazurach w roku 1967 i pochodzącej z rodziny „autochtonów" przeczytałem wiersz *Ania i Ania*:

Mówiłam – nie,
w małej wiosce na końcu
na początku świata wcale
nie było wojny i nie ma
potrzeby krzyczeć do mnie:
ty szwabie ty hitlerowcu.

Była kuchnia i były
boże narodzenia,
a ja byłam Ania i
moja córka jest Ania.

Kiedy się urodziła,
babcia Lisa powiedziała:
O! Tego samego dnia
co nasz führer

Podobnie mówiła moja matka: nie ma potrzeby mówić o kimś ty hitlerowcu. I przekonywała, że wojna, że polityka to jedno, a język i kultura to coś zupełnie innego. By mnie o tym przekonać, nie tylko czytała mi (po polsku) bajki braci Grimm, ale też podsuwała książki Karola Maya, wówczas dopiero co, po okresie nawały socrealistycznej czystki, znów dopuszczone do bibliotek publicznych. Ale chyba tylko ja pośród zafascynowanych Winnetou kolegów wiedziałem, że Karol May naprawdę na imię miał Karl i był Niemcem. To, że nie znam i nie umiem poznać języka oryginału, uznała za wrodzoną ułomność – zapisywała mnie sumiennie na kolejne kursy niemieckiego, ale po kilku lekcjach regularnie z nich rezygnowałem, co nie było przeszkodą w zaliczeniu na studiach lektoratu: prowadzącemu zajęcia nie mieściło się w głowie, że syn „takich rodziców" języka nie zna.

Aż nadszedł rok 1968, przełomowy. Oboje rodzice – matka być może nawet z większym przekonaniem – zdecydowali się na opuszczenie Polski: nie byli w stanie znieść narastającej fali nacjonalistycznego wzmożenia, oboje wstydzili się eksplozji oficjalnego antysemityzmu ubranego w kostium „antysyjonizmu" ochoczo podchwytywany nie tylko przez tłuszczę, lecz także przez część środowisk inteligenckich, oboje też nie potrafili wytrzymać ciśnienia obsku-

rantyzmu schyłkowej gomułkowszczyzny. Ostateczna decyzja, jak sądzę, zapadła po nadzwyczajnym zebraniu warszawskiego oddziału Związku Literatów Polskich z 29 lutego, podczas którego Stefan Kisielewski mówił o „dyktaturze ciemniaków". Właśnie rok 1968 – choć i wcześniej przecież ta kwestia dawała znać o sobie – przesądził o tym, że państwo polskie okazało się dla ceniącej swą suwerenność Gdańszczanki zbyt ciasne. Do Gdańska wrócić nie mogła, lecz, jak to czasami w historii się zdarza, odnalazła jego odpowiednik w Berlinie Zachodnim, osobliwym politycznym konstrukcie powojennym, swoistej wyspie wolności na oceanie sowieckiego panowania. Właśnie Gdańsk bowiem sprawił, że nie musiała – a tym samym i jej mąż – przechodzić skomplikowanego i często poniżającego procesu osadzania się na Zachodzie jako emigrantka: wraz z wybuchem wojny, 1 września 1939 roku, o czym pisze w swej autobiografii, wszyscy obywatele Wolnego Miasta „uznani zostali – automatycznie! - za obywateli Tysiącletniej Rzeszy", a tym samym też i po wojnie przysługiwało im, automatycznie, a jakże, obywatelstwo niemieckie, bez względu na ich narodową identyfikację.

Berlin… „Znałam to miasto od wczesnego dzieciństwa i – choć oczywiście z MIASTEM ani się równać mogło – polubiłam je serdecznie", zapisywała. Lecz też miasto, do którego trafiła w początkowym okresie wojny, zmieniło się zasadniczo: „Berlin – resztka, odblask tak wspominanych rzewnie złotych lat dwudziestych". Po trzydziestu latach znów to samo i nie to samo miasto-wyspa podzielone na trzy sektory – amerykański, brytyjski i francuski (czwarty, sowiecki, to już, wbrew ustaleniom, stolica NRD) - tym razem już, jak się miało okazać, przystań do końca życia, *Endstation*. Lecz ta wyspa, stanowiąca luksusowe okno wystawowe Zachodu, miała jedną zaletę podstawową: podobna była, za sprawą swego administracyjnego statusu, do Wolnego Miasta Gdańska, którego nostalgiczne wspomnienie dzieliła pisarka z zaprzyjaźnionym „krajanem", mieszkającym w Berlinie Günterem Grassem, któremu przekazała pierwsze egzemplarze wydanego w polskim „drugim obiegu" *Blaszanego bębenka*. Stanowiła ta wyspa wielokulturowy tygiel, ściągała artystów z całego świata i dość szybko Kurecka ze swym mężem odnaleźli się w międzynarodowym towarzystwie, w wielojęzycznym środowisku pisarzy, malarzy, muzyków. Miał też Berlin tamtego czasu dodatkową zaletę – niemal z reguły zatrzymywali się tu jadący na Zachód lub z Zachodu do kraju wracający przyjaciele i znajomi, zaś w latach osiemdziesiątych dodatkowo, po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, stał się trzecim w Europie, po Paryżu i Londynie, skupiskiem polskiego wychodźstwa, w którego inicjatywy literackie – przede wszystkim w redagowanie kwartalnika „Archipelag" – oboje z mężem się włączyli.

Gdy dziś mówimy o ludziach pogranicza, często myślę właśnie o Kureckiej, po części może i o Grassie jako o przedstawicielach pogranicza dość osobliwego – zarazem gdańsko-polskiego i gdańsko-niemieckiego. Dla obojga Gdańsk bowiem był rdzeniem ich tożsamości, miejscem, które w niemczyźnie znalazło precyzyjne określenie (*Heimat*), a które polszczyzna nieudolnie czy nieporęcznie nazywa „małą ojczyzną". Gdańska tożsamość, jak się zdaje – co potwierdzają chyba także i czasy współczesne – zasadza się na trudnym do zdefiniowania *genius loci*. Jedną z zasadniczych wartości owego geniuszu jest, jak sądzę, poczucie ponadnarodowej suwerenności, otwarcie na innych, dialogowość życia.

I jeszcze jeden walor istotny: pracowitość. Wśród zajęć, które wykonywała – a było ich multum – największą wagę przywiązywała do dwóch: do przekładu i biografistyki. W swym dorobku posiada biografie Jana Sebastiana Bacha, Jana Chrystiana Andersena – przy tej pracy nauczyła się języka duńskiego – oraz Tomasza Manna, rzeczy wydanej już pośmiertnie, choć gotowy tom latami leżał w polskim wydawnictwie państwowym zablokowany przez objęcie nazwiska autorki zapisem cenzorskim, zebrała też sporo materiałów do planowanej książki o Kierkegaardzie. Tłumaczyła natomiast sporo, często doraźnie, nie uchylając się od takich zatrudnień jak tłumaczenia kabinowe czy przekłady filmowych ścieżek dialogowych. Swobodnie poruszała się w przestrzeni sześciu – poza polskim – języków. Przy czym niejednokrotnie dawała wyraz swemu zafascynowaniu przestrzenią międzyjęzykowych „niedomówień", jak choćby w książce *Diabelne tarapaty*, w której relacjonowała pracę nad przekładem *Doktora Faustusa*: „Dość wspomnieć, że różne te „higienizacje naturalnych stosunków życia" („Hygienisierung der naturalen Lebensbezüge") czy „ontyczna naturalność" („ontische Naturahftigkeit") lub „więź teonomiczna" („Theonome Bindung") i wiele im podobnych w rozdziale XIV przy zapalczywych debatach studenckich lub trzyczęściowym rozdziale XXXIV w dysputach monachijskich przysparzały tłumaczom tyle kłopotów, że niekiedy ogarniało ich najszczersze zwątpienie czy w ogóle wybrnąć zdołają z tych łamigłówek. Wywody te są ponadto przeciążone ogromną ilością tak przez Tomasza Manna lubianych, tak bardzo przecież z duchem i zasadami języka polskiego niezgodnych słów sprzężonych, charakterystycznych zwłaszcza dla późnej twórczości tego autora. Bez rozmaitych modulacji, transpozycji, wreszcie i adaptacji obyć się tu nie było można. *Dynamisch-geschichtssöpferische Fiktion* w żaden iny sposób przetłumaczyć się nie dawała niż tylko jako *dynamicznie i historycznie twórcza fikcja*" – już w tym fragmencie widać, że praca ta ją po prostu… bawiła.

Gdy po śmierci Witolda postanowiłem – bez względu na możliwe trudności z przedłużaniem paszportu – pozostać w Berlinie (Zachodnim), by towarzyszyć jej w walce z rakiem, umiałem po niemiecko powiedzieć niewiele więcej niż każdy wychowany po wojnie Polak czyli „Hände hoch!". Z czasem jednak, zmuszony okolicznościami, zacząłem się w tym „języku wroga" porozumiewać, a nawet czytać, co zaowocowało nieśmiałą próbą przełożenia wiersza jednego z rówieśników, z którym się zaprzyjaźniłem.. Wtedy mi powiedziała: „Wiesz, może i wreszcie będziesz umiał żyć jak człowiek , a to znaczy – wielokrotnie. Naprawdę warto". Miała rację, ale też po latach zrozumiałem ile racji było w jej ostrzeżeniu, bym zbytnio nie wierzył słownikom i dodawała: „I jeszcze jedno – nie przeżyłeś dzieciństwa w obcym języku, a bez tego musisz uważać, zwłaszcza przy tłumaczeniu poezji". I znów miała rację.

Zmarła w styczniu 1989 roku i choć się zastrzegała, że do Polski i do Gdańska nigdy już nie powróci, to jednak wróciła. Jedna z gdańskich uliczek nosi dziś miano Marii Kureckiej.

***Leszek Szaruga***

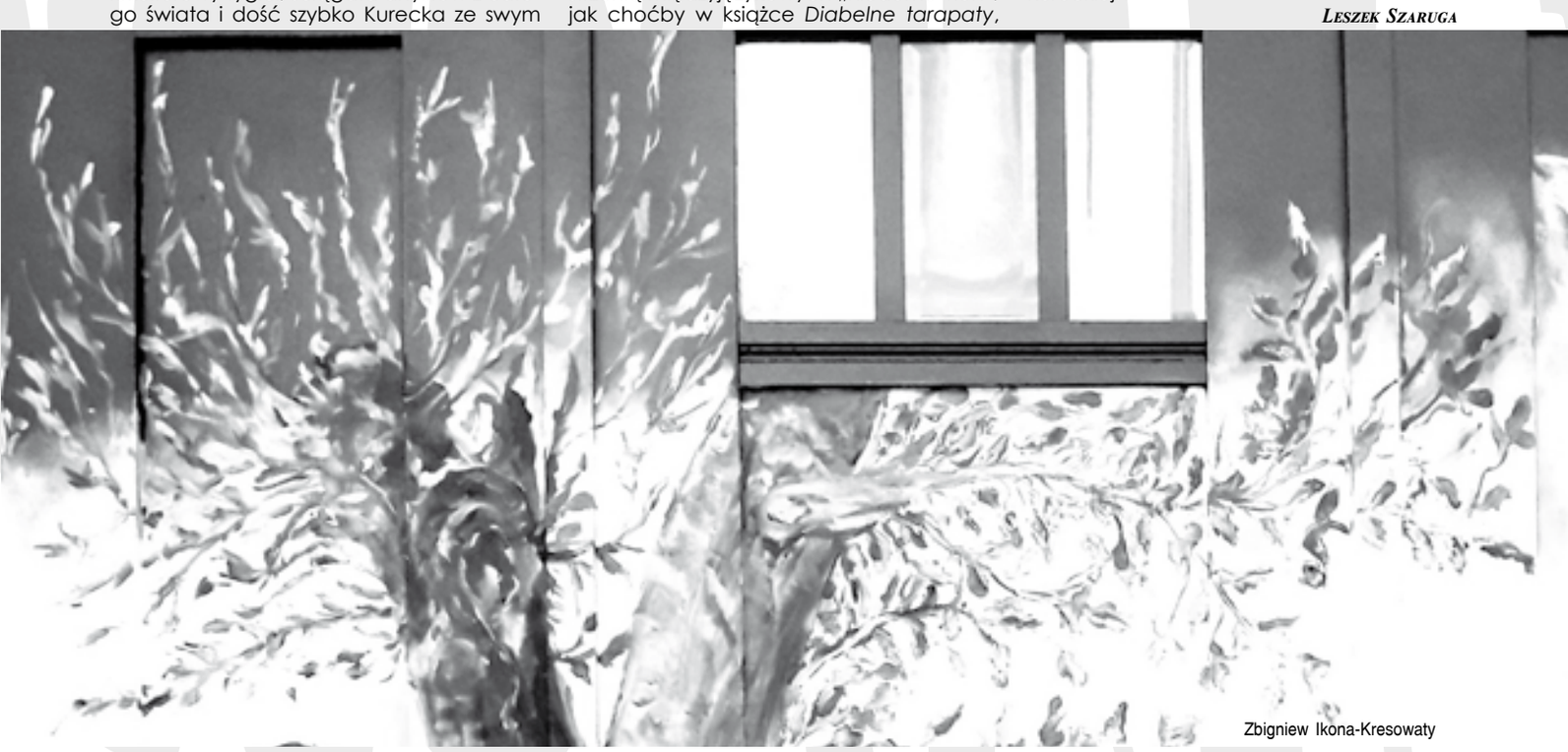

Zbigniew Ikona-Kresowaty

## Cezary Sikorski

**wiersze pochodzą z tomu Hotel Mariański**

### x x x

jestem tu po raz pierwszy
choć przecież już tu byłem

stałem przy oknie i
nie wiem co widziałem

być może tak jak dziś
pion przechodził przez drzewa
a horyzont leżał przy ziemi

nic więcej nie pamiętam
trudno było mnie dostrzec

z powodu braku szczegółów
całkiem przypadkiem
mogłem już wtedy
się nie wydarzyć

### 3.

nie wszystko jest jak kiedyś
chociaż porządek pozostał

przez okno widać jak drzewo
rozwija koronę szczegółów

znów jest tak dużo do obejrzenia
że nie nadążam oglądać

nie wiem czy liście
barwią skórę i czy konary
wznoszą dłonie ku górze
nie widać też jak rośnie pejzaż
i jak się kurczy horyzont

nawet jeśli tu byłem
trudno mi to potwierdzić

### 5.

byłem tu wiele razy
miałem różne imiona
przez chwilę z ramion
wyrastały mi pióra
niczym czerwone liście

było wiele wydarzeń
lecz na szczęście
większości nie pamiętam

no - może tylko
że przez chwilę
trudno mi było
odróżnić się od ciebie
i że przez okno wiele razy
nie ja lecz ty
patrzyłeś w moim imieniu

do dzisiaj nie wiem po cóż
wybrałem wtedy siebie

### 7.

patrzę przez okno z pokoju
w którym kiedyś umarłem

chodziłem kiedyś długo
pomiędzy stołem a łóżkiem
na ścianach rysowałem
kontury ważnych rzeczy

by nie widzieć jak
wymieniają się twarze
stałem wciąż tyłem do okna

zanim umarłem
spisałem wszystko

z dala od sąsiedniego pokoju

## 11.

wszystkiego nie da się zobaczyć
można jednak policzyć
na palcach rąk i nóg
moich i wszystkich
nieznajomych bez
twarzy

może poznam ich jutro
gdy niespodzianie przyjadą

## 13.

poprzednim razem byłem
w bardzo ładnym pokoju

miał numer trzy lub siedem
i okna dużo wyżej
więc widać było z niego

daleko więcej

lecz nagle przyjechali
ci których brakowało
aby policzyć wszystko

by spełnić zamiar
dałem się przenieść
do parzystego pokoju

## 17.

w niektórych pokojach
nie ma wyraźnych kątów
i wszystko jest nieco
zaokrąglone

może dlatego
idąc od stołu do łóżka
trudno się zatrzymać

nie ma punktu podparcia
wszystko się kręci wokół i w głowie
nawet linie poziomu
łączą się z pionem
gdzie tylko zechcą

w tym świecie łatwo zbłądzić
trudno więc wrócić
do siebie

## 19.

dom w którym mieszkam
jest starszy niż myślałem
ma więcej wad niż zalet
i wciąż wymaga remontu

są w nim miejsca nie
nadające się do zamieszkania
i dziury w których
zaginąć można bez reszty

może ktoś jeszcze wejdzie
na porzucone rusztowania
i naprawi to wszystko?

tysiąc lat temu sąsiad mówił
że jedzie do nas autobus
pełen chęci naprawy

ESEJ

Elżbieta Juszczak

# CZAROWNICE W NATARCIU. W POSZUKIWANIU INSPIRACJI

Sienkiewicza czyta się wcześnie, gdzieś piąta – szósta klasa, jeśli mówić o człowieku czytającym w ogóle. Później się go nie czyta. Może ogląda się ekranizacje, które niegdyś rozpalały wyobraźnię. Przylgnęła do Sienkiewicza łatka Stanisława Brzozowskiego i jemu współczesnych krytyków uczestniczących w kampanii anty--Sienkiewiczowskiej. Obiegowa opinia o umiłowaniu anachronicznej szlachetczyzny i tego, co się streszcza w haśle „Bóg - honor-ojczyzna", wpłynęła nawet na rzesze polonistów, czy polskich inteligentów (jeśli ta warstwa ciągle istnieje). Tak, że w pewnych kręgach Sienkiewicz był wyklęty, w innych zaś uwielbiany.

Po lekturze w latach dziecięctwa przeczytałam go w 2022 roku, z taką oto wiedzą, że *Trylogia* to powieść gatunkowa, przygodowa, płaszcza i szpady, itd. Świadoma tego, co Miłosz pisał w swojej *Historii literatury polskiej*, a pisał bez większej admiracji:

"Może najlepszą charakterystykę braków Sienkiewicza sformułowała Orzeszkowa w jednym ze swoich listów: Co do mnie na koniec, to organizacja moja i Sienkiewicza są diametralnie różne. Jeżeli ze zdolnością twórczą przyszłam na świat, to z bardzo średnią, a tę iskierkę rozdmuchiwały nieco zdolności umysłowe znaczne i uczuciowe duże. Całkiem na odwrót niż tam. Toteż zawsze myślałam sobie, że gdyby dwie nasze indywidualności zlać w jedną, byłby – szyk pisarz".

Ważkie to słowa. Uprawnione. Z drugiej strony jednak, to jakby Christianowi Andersenowi zarzucać, że brakuje mu wiedzy, bo jest dziecinny i naiwny. Ale przecież Andersen jest nieśmiertelny!

Czytając *Ogniem i mieczem* może i myślę o losie niewolnika – chłopa pańszczyźnianego, którego Skrzetuski nie dostrzega, o tym że gładkość białogłowy to jej najwyższa powinność itd.. Rzecz jednak, mówię *o Ogniem i mieczem,* jest tak doskonała, napisana z taką oto brawurą i szczególną wiedzą, że ów homerycki obraz porywa jak nurt wspaniałej rzeki. I unosi – otóż unosi - gdzie? Niektórzy twierdzą, że przez Sienkiewicza wybuchło powstanie warszawskie.

Pragnę jednak podkreślić, że ten homerycki rozmach, żywość obrazu, zarówno w konstruowaniu postaci jak i krajobrazu, bitew, dramaturgia przenikająca wątki wraz z wymyślonym fantastycznym językiem i doskonałą kompozycją, tworzą również dzisiaj dla późnego wnuka wspaniałą lekturę. Tu przytoczę opowieść współczesnej polonistki, którą uczeń zapytał: Czemu mi pani nie powiedziała, że to taka fantastyczna lektura? Uczeń na lekcjach spał z głową na ławce, bo w nocy czytał *Trylogię*!

Moje uwagi na temat *Trylogii* nie są niczym nowym, chyba że potraktujemy je jako zapis recepcji po latach. Warto jednak przypomnieć, jakże trafny pogląd Juliana Krzyżanowskiego, iż pisarstwo Sienkiewicza to sztuka wielkiej syntezy, w której jego naturalne upodobania do sztuki antycznej, zwłaszcza starogreckiej, a także kult klasycznego piękna, przejawiający się m.in. w dążeniu do harmonijnego połączenia wszystkich elementów, unikaniu drastyczności i dysonansów oraz uzyskania jednolitego tonu, zespoliły się z ideałami kultury rodzimej zarówno klasycznej, jak i romantycznej[1].„Orientacja zaś w naturze dzieła literackiego - pisał - świadczy, że dzieło to stanowi całość artystyczną składników różnego pochodzenia i że oceniając jego oryginalność musi się brać pod uwagę tę całość, wynik pracy jej twórcy, a więc nie samą tylko tematykę, czy nawet te, czy inne jej części składowe, motywy czy wątki, lecz ich wzajemny, nowy stosunek, a więc jedność elementów tematycznych i formalnych, przy czym sprawy formy wewnętrznej okażą się tu równie co najmniej ważne jak tematyka"[2].

*Trylogia* Sienkiewicza jest polską epopeją, w której autor sięgnął mitu, jak stworzyła go najlepsza literatura świata od Homera po Szekspira. Toteż Sienkiewicz zawładnął umysłami Polaków. Dowód jeden z wielu - 20 grudnia 2018 r. w parku gminnym w Starych Babicach(koło Warszawy) odsłonięto pomnik pod nazwą „Pojedynek Bohuna z Wołodyjowskim"[3]. Że mity bywają zgubne – zgoda – szczególnie, gdy tworzą Historię. Że politycy wykorzystują mity – to oczywiste.

Tożsamość Sienkiewicza ukształtowała literatura antyczna, choć oczywiście nie tylko. Sienkiewicz wyrasta z niej w jakiś naturalny sposób. Korzysta z jej zasad, czyli literatury starogreckiej i łacińskiej, czuje się to na każdej kartce, a zdaje się w każdym słowie. Kulturę starożytnej Grecji i Rzymu Sienkiewicz poznawał w żmudnym procesie edukacji w gimnazjum klasycznym. Nie tylko on. Taki był kanon myślenia, odczuwania, jeśli studiowało się łacinę i grekę. Toteż polska kultura wyrosła z pnia antyku, widać tu pokrewieństwo pierwszej linii i niezaprzeczalną miłość w wielkiej mierze wzajemną.

Pytanie jest takie, skoro w drugiej połowie XX wieku wygnaliśmy łacinę ze szkół, to czy wśród dużo młodszych od Herberta pisarzy i poetów, można liczyć na inspiracje kulturą antyczną? Czy odeszła do lamusa? Lecz czy także wcześniej, choćby w dwudziestoleciu międzywojennym pisarze po prostu z niej zrezygnowali jak z eksponatu? Nie mówię tu o poetach Awangardy, bo oni gardzili starożytnością. A Skamandryci? Ale przecież, jakaż to była inspiracja i jakież rezultaty? Stanowiła ornament, i nic tu nie zmienia „Herostrates", a nawet *Oktostychy*.

Przejdźmy więc do kultury ludowej, jako inspiracji najwyższych dokonań literackich. Ludowość „zawsze była w cenie", szczególnie w średniowieczu, romantyzmie i Młodej Polsce, ale to Leśmianowi (oprócz wielkich romantyków) należy się pierwszeństwo w podniesieniu do najwyższej rangi artystycznej ludowej inspiracji. Patrząc zaś na dokonania twórcze współczesnych autorów rodzi się pytanie, czy kultura ludowa, polska czy inna, najstarsze mity ludzkości nie okazały się bardziej płodne, bardziej frapujące i bardziej adekwatne do opisywania współczesności, niż zanurzenie w antyku.

Tak więc problem- polska literatura pomiędzy Scyllą kultury antycznej a Charybdą kultury ludowej wydaje się istotny. Warto jednak, przy okazji, zauważyć konstatację Anatola Ulmana, uważanego za prekursora postmodernizmu w polskiej prozie, a dotyczącą zmierzchu nauczania łaciny. Pisze Ulman w opowiadaniu *Śmierć łaciny*, że po utopieniu w bagnie kapsuły z materiałami do jej nauczania:" Czyn mój przyniósł jednak skutki. Nauka języka łacińskiego w szkołach zamierała aż zniknęła z programów, lekarze przestali prawidłowo odmieniać łacińskie nazwy anatomiczne, a także chorób i leków, poprzestając na formach Infinitivu oraz Nominativu (co daje efekty hotentockie w rodzaju: złamać kość udo lewy noga). W końcu także i kościół wycofał się z będącego dlań opoką świętego języka. Przede wszystkim zaś, kiedy odpadła łacińska emalia kultury, praw i pozorów, wyjrzała zza odrzuceń łuski prawdziwa do kości Europa zasrańców"[4].

Wróćmy do Leśmiana. Recepcja jego poezji wśród szerokiego społeczeństwa powinna być wzmocniona, proporcjonalnie do jego zasługi artystycznej. Za mało się o nim mówi, myślę tu o tomach *Łąka i Napoju cienistym*. Pisali o nim Jacek Trznadel i Jarosław Rymkiewicz, ale przecież w panteonie polskich wielkości literackich, jakby go było mało. Leśmian jest po prostu współczesny, i odnajdujemy w nim to, czym dzisiaj żyje świat. Kosmos Leśmiana to: Człowiek, Natura, Bóg, a w tym Byt, Nicość, Śmierć. Pozycja Boga jest słaba, Natura równouprawniona z Człowiekiem. Toteż pomiędzy Człowiekiem a Naturą dokonują się rozmaite transgresje, podobnie jak pomiędzy Bytem, a Nie –Bytem. Do tego zainteresowanie człowiekiem wykluczonym. I niezwykły narrator – jakiś byle kto- bezdomny. Obraz garbusa, kadłubka na wózku, czy samobójczej Jadwigi jest tak poruszający, że bardziej przemawia do czytelnika (pod warunkiem, że taki się znajdzie) niż współczesna publicystyka.

Natura jest u Leśmiana traktowana podmiotowo i stąd wynikają podstawowe konsekwencje. Przede wszystkim ogromny szacunek i szczegółowa obserwacja.

Po prawdzie Leśmian udziela głosu Łące i żyjącym w niej bytom w relacji z Człowiekiem i Nieskończonością. Stąd miłość, która wyzwala, ale i niebezpieczeństwo grożącej atrofii.

Artyzm Leśmiana. Sądzę, że był geniuszem. Niewielu poetów w dziejach w jedenastu zwrotkach ballady, wymagającego przecież gatunku fabularnego, udało się zawrzeć całą tematykę metafizyczną, eschatologiczną, i to jeszcze w sposób zrozumiały dla każdego! Tak, to nasz poczciwy „Dusiołek": Rzekł Bajdała do Boga:/O rety - olaboga! /Nie dość ci, żeś potworzył mnie, szkapę i wołka,/ Jeszcześ musiał takiego zmajstrować Dusiołka? Tak więc pretensja do Boga o stworzenie świata z czynnym złem, pretensja o istnienie Śmierci, której Bajdała cudem się wywinął i niemal wyczuwalna obecność świata nadprzyrodzonego. Obraz jak u Breughla.

Socjologicznie rzecz ujmując, odniesień do współczesności jest wiele: a to polityczna dziś ranga relacji Człowieka z Naturą (globalne ruchy ekologiczne), rewolucja w postrzeganiu praw zwierząt, uwaga skierowana na ludzi niepełnosprawnych i wykluczonych, miłość osób dojrzałych(filmy, seriale). Leśmian nie stroni od tego ostatniego opisu, co świetnie zauważył Jacek Trznadel[5].

Inspiracje ludowe u współczesnych nam polskich autorek i autorów? Zajmę się tylko dwiema autorkami – poetką Edą Ostrowską i prozaiczką Olgą Tokarczuk i jej *Empuzjonem* - obiema w dość skromnym wymiarze. Z pewnych względów pomijam cały obszar inspiracji ludowych w twórczości Tadeusza Nowaka, Jerzego Harasymowicza i Wiesława Myśliwskiego, a prawdę mówiąc wielu innych autorek i autorów.

Tak więc Eda Ostrowska. Zjawisko w polskiej poezji osobne i do pewnego stopnia opisane, choć nie tak jak na to zasługuje. Jej twórczość od debiutu w 1981 po dzień dzisiejszy, a wydała kilkanaście zbiorów poezji i tom prozy, przeszła znaczącą ewolucję. Propozycję poetycką i światopoglądową w z tomu *Dojrzałość piersi i pieśni* ( 2011) od pierwszego tomu *Ludzie, symbole i chore kwiaty* (1981) różni wiele, choć nie wszystko. Można by powiedzieć – „od wrzenia po stan łaski"- chodzi oczywiście o „stan ducha", czy głównie, ale nie tylko- „pejzaże wewnętrzne". Dramat wewnętrzny i konsolacja rozgrywają się tu w wysokich rejestrach. Z Ostrowską w jej wyborach egzystencjalnych można się zgadzać lub nie, ale siła wyrazu, czy nazwijmy to, poziom artystyczny, zawsze jest wysoki. Ostrowska to poetka „urodzona", natchniona i bezwzględna w swej wewnętrznej prawości, trochę jak Maryna Cwietajewa. U Ostrowskiej dramat rozgrywa się w pomiędzy Człowiekiem (bohater wiersza /ona), Światem (pojmowanym często z perspektywy przydrożnej, wsi, domu, traktu) a Bogiem (pretensje do Boga, wdzięczność, stan łaski, konsolacja). Już ta zaznaczona przestrzeń metafizyczna może wskazywać na inspiracje ludowe. I tak jest w istocie. Spójrzmy na pierwszy młodzieńczy tomik. Mamy w nim rozczulającą emocjonalną świeżość i coś w rodzaju kwintesencji polskiej ludowości. Oto pierwsze z brzegu desygnaty: brzezina, deszcze, leszcze, diabeł, kamień, sosny, dąbczak, puchacz, ojciec, matka - topika ukształtowana polską tradycją ludową, z której autorka wyrasta. Jest to „wyrastanie mimo woli", jakby ta ludowa tradycja literacka stanowiła jej naturę. A przecież wątki ludowe, które przywołuje, ledwo dotykając ich, są zaledwie tłem, w którym rozgrywa się dramat. Zaznacza to rwący się rytm - jego synkopiczność, nieoczywistość i nerwowość. Dramat rozgrywa się na poziomie metafizycznym, społecznym i erotycznym. Zauważmy, dramat pisany własnym przekonywującym językiem, pełno w nim neologizmów (choćby: śmierć żołdacza, kaletniczka Boska, wliściasto, nahos, prawusić, pokwit pawi, itd.), metafor i okrzyków. Jej zawołania, (podaję z rożnych tomików: ech płanetnica, gitawajta Bałamuta, Psia trawka, karramba, taka bania, cie choroba), są zabawne, więc trochę go oswajają, i przecież ludowe.

Dramatyzm wypowiedzi wypływa z kontrastu dwóch żywiołów- lirycznego, sielskiego, dziecięcego oraz niesłychanie brutalnego - w wymiarze fizycznym i psychicznym. Oto przykłady z różnych okresów twórczości :

przemyśleli kawał chłopa
kawał sznura
kawał chama

schowali w kolanach
wyskoczył
nocy łamanej przez pień
przez siekierę
w cholerę

synek
wyrósł na drwala
zapierdala przy Kaśce
przy Mećce
przy floksach

synek
wyrósł na apostoła
głosi fiolet kościoła
przetaczanie łez
rozbieranie snu

urwali psu łeb

a
u synka skrzep
jak ta róża pięciu palców

*(Gesty, ludzie, symbole i chore kwiaty,1981)*

I znowu tematyka społeczna , jak u Anny Świrszczyńskiej :

W okresie świątecznym każdy
dom bierze udział w konkursie
czystości także ten gdzie
małżonkowie sobie kości rachują
Ja twój ból widzę

*Krew proroków(na twoich rękach),1994*

A oto Czechowiczowskie tony:

Wisi kołyska dla Wicka
nad porębą lasu podejdę zapytam

*(Światłem być, 2010)*

Albo

maleńka moja
już świta paproci się dnieje
……
koń pije wodę trąca słonko
dziewczyny płaczą w cebuli

maleńka moja
już dzień się pochylił jak ulica
ech płanetnica

*(Gesty, ludzie, symbole i chore kwiaty)*

W zasadzie sposób obrazowania wzięty z kultury ludowej towarzyszy poetce do końca. Bo nawet w *Dojrzałości piersi i pieśni* czytamy: A w tej skryni/matka z synem/zaplątani /w dzikie wino, albo Wstał/czerwony kur/dnia i tak woła.

Należy się jeszcze uwaga do sposobu obrazowania, czy też inaczej mówiąc, narracji w wierszu. Nie mówię o metaforze, bo jest ona wpisana w działalność poetycką. Mimo nieraz karkołomnych metafor, ta narracja u Harasymowicza, Czechowicza i Nowaka mieści się w logicznym ciągu, natomiast u Ostrowskiej, szczególnie w pierwszym tomiku, jest zerwana, asocjacyjna, czy ledwo zaznaczona, autorka pisała tak już w latach 70. Tak, Ostrowska, to poetka pytań ostatecznych, nie chowa głowy w piasek.

*Empuzjon*[6] Olgi Tokarczuk można uznać za rodzaj literackiego labiryntu, a to z powodu wielości tropów, odwołań, cytatów i tajemnic - nie tylko kryminalnych. Otrzymujemy powieść, w której w szczęśliwy sposób łączy się dar narracji z rozpoznaniem współczesnych problemów. Akcja powieści rozgrywa się w 1913 roku, ale mamy tu katalog spraw wyjętych z publicystyki współczesnej, i mam wrażenie często ocierającej się o publicystykę. Tak więc problem władzy autorytarnej (Longin Lukas), patriarchat i mizoginizm (większość występujących tam mężczyzn), wykluczenie społeczne i cierpienie osób niebinarnych (główny bohater Mieczysław Wojnicz) i homoseksualnych (Thilo von Hahn), niezbywalne prawa zwierząt oraz barbarzyństwo i krzywdy wyrządzone niegdyś, i wyrządzane nadal kobietom. Wiodącym motywem jest spalenie na stosie w XVII w. w okolicach Görbersdorfu/ Sokołowska kobiet uznanych za czarownice. Pamięć o zbrodni zachowała się w okolicznych legendach, co doprowadza za sprawą tajemniczych leśnych Tuntschi do śmierci młodych mężczyzn. Do katalogu palącej publicystyki włączony jest również wpływ Kościoła katolickiego na społeczeństwo, tak w XVII w., jak i w czasach współczesnych.

Empuzy, czy też Tuntschi przywoływane w powieści, to postaci z mitologii greckiej i ludowej, które goszczą w naszej świadomości i psychice, ale już odszkodowania dla Afroamerykanów, potomków dawnych niewolników w Stanach Zjednoczonych, to problem jak najbardziej realny, zmaterializowany w projekcie amerykańskiego senatu.

Interesująca w książce jest konstrukcja literacka nawiązująca do *Czarodziejskiej góry* Tomasza Manna, dwa plany narracyjne, w tym jeden należący do demonów, konwencja horroru wynikająca z przeświadczenia o odwecie prześladowanych kobiet, fragmenty narracyjne inspirowane Brunonem Schulzem, kontekst historyczny małej ojczyzny i odniesienia, do w końcu mało znanej w kulturze świata, Europy Środkowej.

W książce inspiracje kulturą antyczną i ludową łączą się i przenikają. To splątanie obu światów jest niezwykłe i fascynujące. Jeżeli tytuł książki wzięty jest z mitologii greckiej - Empuza – bogini strachu wychodząca z Hadesu pod różnymi postaciami, w tym pięknej kobiety, która morduje ludzi; to zasadnicza narracja powieści prowadzona jest przez małe umieszczone tuż przy powierzchni ziemi, podłogi- demony- z mitologii ludowej. Następnie Mojry – Prządki - Frau Weber i Frau Brecht obserwujące bohatera, nie przędą nici, jego losu, ale łuskają bób, i ich ziarnko bobu, Mieczysław Wojnicz bierze ze sobą na spotkanie nowego życia. Doprawdy udana kombinacja!

W przypadku *Empuzjonu* – sprawa wydaje się jednoznaczna- to kultura ludowa→

zwycięża, jest bardziej życiodajna, interesująca, płodna, bardziej interesująca niż kultura antyczna. Tak więc mit, legenda ludowa wydają się bardziej adekwatne do opisu współczesności. Wydaje się, że motto z Fernanda Pessoa (1888-1935), portugalskiego poety, którym autorka opatrzyła powieść:

„Codziennie dzieją się na świecie rzeczy, których nie da się wytłumaczyć na podstawie znanych nam praw. [….] Obcość podpatruje nas z cienia" – nie przywodzi na myśl kultury greckiej.

Tyle konkluzja, ale wcześniej należałoby wyjaśnić, że przywołanie starożytnej kultury greckiej czy rzymskiej w *Empuzjonie* jest częste. Odpowiada ono przytoczonemu nazewnictwu(typu Wenus, Jowisz) i obszernym odwołaniom do poglądów filozofów, w tym cytowanego fragmentu Arystofanesa *Żaby*:

Ksantiasz: O właśnie widzę ogromnego stwora/ Dionizos: Jaki on?/ Ksantiasz: Straszny. I ciągle się zmienia: był byk, muł potem, a teraz kobieta. I to prześliczna. […] Dionizos : Więc to Empuza/ Ksantias\ :Czystym ogniem płonie całe oblicze.

Możemy się tego spodziewać, bowiem Longin Lukas i August August wiodą nieustające dyskusje jak Naptha i Settembrini u Manna. Przy czym August jest pisarzem, filologiem klasycznym, a także nieujawnionym homoseksualistą, wierzy w postęp, kulturę grecką, itp., ale także w mit, dopuszcza bowiem istnienie stanów pośrednich - „demonów - owych Proteuszy", tych „wszystkich miejscowych Tuntchsi, tych empuz". Longin Lukas z kolei, wierzy w chrześcijańskiego Boga i konieczność nieustannej dyscypliny, ponieważ człowiek z natury jest zły.

Jest jeszcze Walter Frommer z Breslau, objaśniający Wojniczowi, co znalazł w tamtejszym archiwum, czyli historię spalonych na stosie czarownic. Winnym jest niejaki Stilfried (postać autentyczna), który w dobie reformacji jako protestant, aby zachować majątek przeszedł na katolicyzm i stał się „bardziej papieski niż sam papież". Egzekucja na stosie spowodowała powszechny strach okolicznych kobiet, które opuszczały domy i kryły się w lesie. Zamieniły się w Tuntshi i w odwecie w kolejnych wiekach napadały na okolicznych młodych mężczyzn. Tyle miejscowa legenda .

Jak się okazuje niezwykle płodna i żywotna do dzisiaj, szczególnie ważna dla kobiet samodzielnych i walczących z dominacją męską. Przecież nie urojoną, o czym zaświadcza polska polityka i ogólnodostępne statystyki różnych dziedzin. Kobiety dziedziczą mit płonących na stosach czarownic – owych niezawinionych obdarzonych najczęściej większymi umiejętnościami od im współczesnych. Dzisiaj niejedna kobieta zdaje sobie sprawę, że w przeszłości podzieliłaby ten los. Toteż to ponure dziedzictwo obecne jest w literaturze, także popularnej (Ken Follett) oraz jego nieskończone warianty w popkulturze. Ostatnio tryumfy święci serial Wednesday, gdzie tytułowa bohaterka- inteligentna nastolatka- dziedziczy schedę po przodkini – czarownicy- z tym, że nie ona, lecz sprawca staje się w odwecie ofiarą.

Wydaje się, że w *Empuzjonie* kultura starożytnej Grecji i Rzymu jest pewnym nawykiem kulturowym, pewną oczywistością i dlatego przestała być tak ekscytująca. Warto też zauważyć, że jeśli ekscytująca mogła być polemika hellenisty i jezuity w *Czarodziejskiej górze* na progu pierwszej wojny światowej, tak dzisiaj Olga Tokarczuk proponuje nam rozumienie współczesności w kategoriach horroru.

***Elżbieta Juszczak***

---

*1 J. Sztachelska, Czar i zaklęcie Sienkiewicza. Studia i szkice, Białystok 2003, s. 18, https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/bitstream/11320/12863/1/J_Sztachelska_Czar_i_zaklecie_Sienkiewicza.pdf, dostęp 13.02. 2023.*
*2 Cyt. za Sztachelską, tamże.*
*3 http://archiwum.starebabice.nowoczesnyurzad.pl/pl/news/ods%C5%82oni%C4%99cie-rze%C5%BAby-pojedynku-bohuna-z-wo%C5%82odyjowskim.html,dostęp 14 .02.2023.*
*4 A. Ulman, Zabawne zbrodnie, Koszalin 1998, s. 15.*
*5 Podstawowe informacje o B. Leśmianie zawiera przedmowa J. Trznadel w: Bolesław Leśmian. Poezje wybrane, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk, Łódź 1983, wyd. II.*
*6 O. Tokarczuk, Empuzjon, Kraków 2002.*

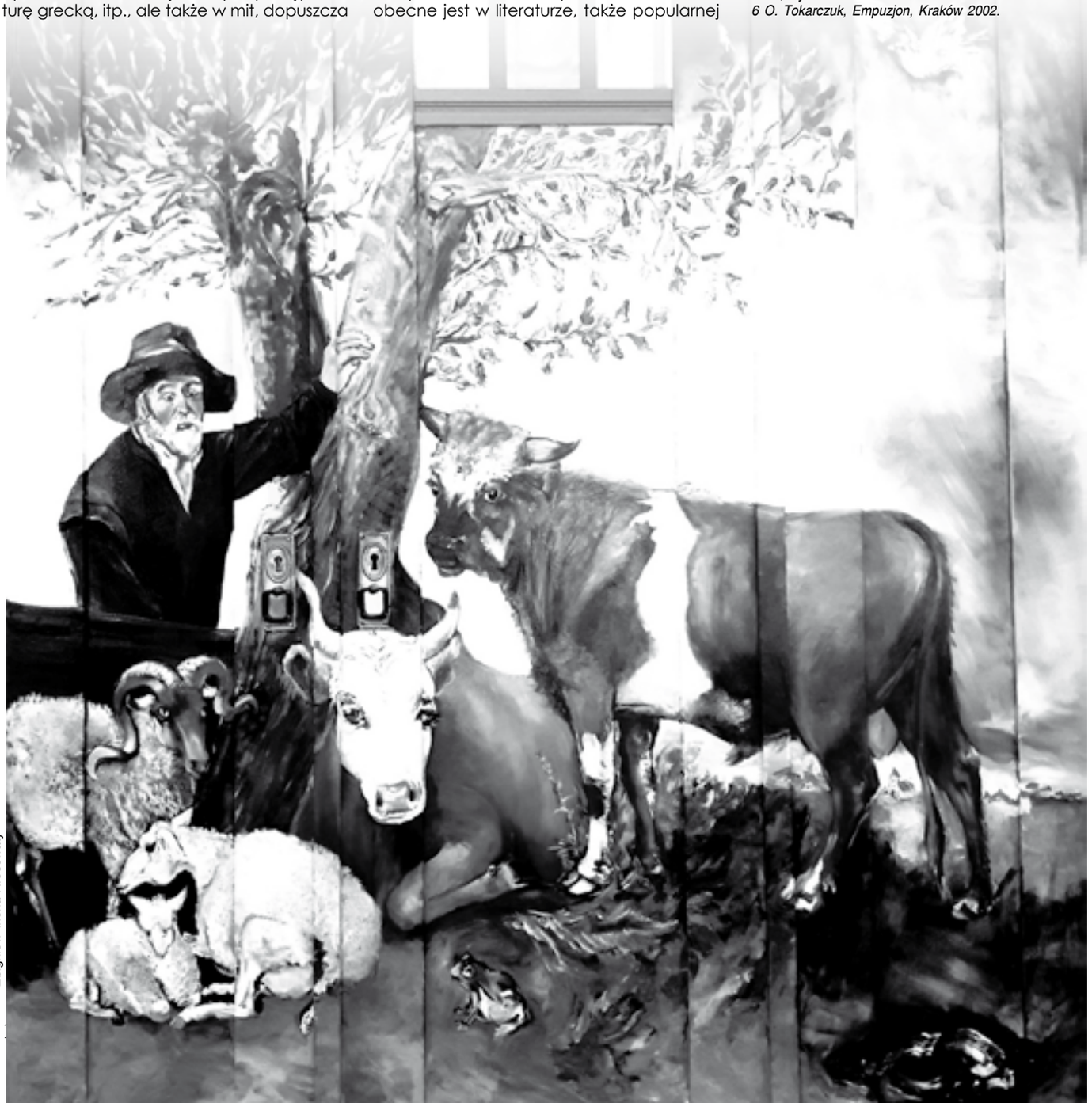

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Piotr Wojciechowski

# O JEMIOLE PIOSENKA

*Mówili topoli*
*Jemioła cię wyzwoli*
*Mówili klonowi*
*Jemioła uzdrowi*
*życzliwie nieobecni*
*wszystkie gaje obeszli*
*milczące pytania nieśli*
*o serce, o sumienie*
*pytali wszystkie drzewa*
*pytali i kamienie*
*gawron odpowiedź śpiewał*
*od tego jest jemioła*
*aby pod nią całować*

PROZA

# ZAPISKI Z (FRAGMENT POWIEŚCI)

Maria Jentys-Borelowska

Jest poniedziałek 30 maja 1910 roku, godzina 10 rano. Dokładnie tydzień temu ciało mojej Najdroższej Przyjaciółki wyniesiono w czarnej, metalowej trumnie z „szarego domku" i powieziono do grodzieńskiej fary, a następnie na grodzieński cmentarz katolicki. Podążałam za karawanem jak we śnie, podtrzymywana, a chwilami prawie niesiona przez Maksymiliana, bo siły, nadwerężone bezsennymi nocami, opuściły mnie do reszty, gdy czarne wieko z metalicznym trzaskiem opadło na trumnę, a ja nagle pojęłam coś, czego przez pięć dób pojąć nie mogłam: że już Jej nie ma i nie będzie.

Nie ma i nie będzie Tej, która przez trzydzieści lat była mi - obok matki - najbliższa i najważniejsza. Bliższa nawet i ważniejsza niż mój mąż, o ile można porównywać dwie tak odmienne bliskości i ważności. Ufam, że Maksymilian nie weźmie mi za złe powyższych słów, choćby ze względu na przyjaźń i cześć oraz niemal synowskie przywiązanie, jakie żywi dla Tej, która tak wiele dla niego - a także dla jego ojca - uczyniła.

Ojciec Maksa wszak, Ludomir Obrębski, właśnie u Niej znalazł przytulisko, gdy po dziesięciu latach katorgi w guberni kazańskiej wrócił… był to bodaj rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty ósmy… w ojczyste strony jako nędzarz, pozbawiony majątku oraz szlachectwa i objęty ścisłym nadzorem policyjnym. Bez wahania otworzyła przed nim drzwi swojego grodzieńskiego domu i przyjęła do grona domowników. Jako skarbnik partii powstańczej województwa grodzieńskiego pan Ludomir (nazwany przez Nią Wojskim) był Jej szczególnie drogi, ponieważ współdziałał z Romualdem Traugutem, w pierwszych miesiącach walk komendantem oddziału kobryńskiego, a potem dyktatorem Powstania, człowiekiem, dla którego w lipcu sześćdziesiątego trzeciego roku zaryzykowała własne życie… Ale to długa i dramatyczna historia, o której opowiem kiedy indziej, tymczasem wracam do przerwanego wątku. Tak więc Ludomir Obrębski, nota bene mój drogi i czcigodny teść, należał do najbliższych przyjaciół swej Opiekunki, bywał w Jej domu codziennie, spędzał z Nią każde letnie wakacje. Aż do swojej śmierci w roku dziewięćdziesiątym czwartym.

Syn Ludomira Obrębskiego powiększył grono Jej domowników rok po ojcu, czyli w siedemdziesiątym dziewiątym. Ja jeszcze nie należałam do Jej licznej przybranej (własnej nie miała) rodziny, nie byłam więc świadkiem „adopcji" Maksymiliana, ale z barwnej opowieści mojej Przyjaciółki wiem, że stało się to w Świsłoczy, gdzie wraz z przyjaciółmi spędzała swoje pierwsze wiejskie wakacje. Maks przyjechał tam w pierwszej dekadzie lipca, aby pod Jej opieką pozbyć się - jak mówiła - wiszącej nad nim groźby rychłej śmierci. Miał dwadzieścia sześć lat i początki suchot. Inteligentny, ambitny, bardzo zdolny, bardzo pracowity i bardzo sumienny, tracił siły i zdrowie wskutek przeciążenia jałową, nędznie opłacaną i pozbawioną perspektyw pracą urzędniczą. Strapiony ojciec opowiedział o nim Pisarce, a Ona zaprosiła młodzieńca do siebie do Świsłoczy, gdzie poddała go iście sanatoryjnej kuracji o „zaostrzonym" rygorze: pięć obfitych i zróżnicowanych posiłków dziennie; osiem godzin snu nocą i godzina snu (lub leżakowania) po południu (uwaga! kategoryczny zakaz ślęczenia nad książkami po nocach); co najmniej dwa długie spacery po lesie, a w pogodne dni kąpiel w rzece (Świsłoczy lub Niemnie); wspólne głośne czytanie po kolacji; zalecane gry i zabawy, tańce i śpiewy przy muzyce, także niewinne flirty… „Pacjent" ochoczo poddał się wszystkim rygorom, ale w zamian zażądał prawa do dwóch na tydzień rozmów „edukacyjnych" z Szefową sanatorium. Zgodziła się, bo była to dla Niej okazja do wysłuchania jego bolesnej historii.

Historii, która, jak wiadomo, stała się zaczynem ważkiej społecznie powieści, opublikowanej już w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim w miesięczniku „Ateneum" pod tytułem *Zygmunt Ławicz i jego koledzy* (mimo iż autorka nadała jej najpierw miano *Na ciemnej karcie*, a potem *Ginące siły*). Gdy powieść zaczęła ukazywać się w owym ekskluzywnym warszawskim piśmie, grodnianie, do których trafił marcowy zeszyt z pierwszym odcinkiem *Zygmunta Ławicza* , bez trudu rozpoznali w tytułowym bohaterze kancelistę jednej z jurysdykcji grodzieńskich. Znali bowiem tego dziwaka, pustelnika, marzyciela, który poza książkami świata nie widział, zamiast spać nocami lub choćby i bawić się, czytał i pisał do białego rana, a potem, półprzytomny z niewyspania, ślęczał po kilkanaście godzin w biurze za nędzną pensyjkę, która ledwo starczała na uchronienie rodziny od śmierci głodowej. I żadnej szansy na korzystną zmianę nie widział, nawet w najdalszej przyszłości. A gruźlica już zaczęła pustoszyć jego wynędzniały organizm i kto wie, czy dożyłby trzydziestki, gdyby nie interwencja Dobrej Wróżki.

Tak, tak, Dobrej Wróżki, z rozmysłem użyłam tu tego określenia, bo przecież Ona swoimi poczynaniami, niczym dobrymi czarami, ocaliła przed nędzą, rozpaczą, upadkiem i śmiercią wielu, bardzo wielu ludzi, młodych i starych, dziewcząt i chłopców, Polaków i Żydów, a wśród nich, prócz obu wspomnianych już Obrębskich, także mnie, Marię z Siemaszków Obrębską.

No bo jakież byłoby moje życie, gdyby Ona nie wzięła mnie do siebie? Sądzę, że nie lepsze - albo niewiele lepsze - niż życie panny Antoniny, tytułowej bohaterki opowiadania, które wyszło spod Jej pióra w roku osiemdziesiątym pierwszym, a ukazało się w „Biesiadzie Literackiej" dwa lata później, w miesiącu sierpniu, co dobrze pamiętam, bo był to jeden z pierwszych utworów, które kopiowałam jako Jej osobista kopistka, lektorka i sekretarka. Zresztą i wcześniej, nim zamieszkałam w Jej domu i zyskałam status domowniczki i przyjaciółki, pilnie śledziłam Jej publikacje, nawet najdrobniejsze, czytałam wszystkie nowele i powieści, poruszona siłą zawartej w nich prawdy o naszym społeczeństwie (w tym także o mnie, a jakże, a jakże!), pełna miłości i uwielbienia dla mądrości i dobroci kobiety, która miała zapisać się w pamięci Polaków jako wielka obywatelka i wielka pisarka, duchowa przywódczyni swojego pokolenia, „najmiłościwsze z wielkich serc".

Pannę Antoninę czytałam z nie lada przejęciem, jako że była to historia - wedle słów autorki - „wzięta żywcem prawie z natury", a dotyczyła biednej domowej nauczycielki, takiej jak ja (nim trafiłam pod Jej opiekuńcze skrzydła), jak setki panien ze zubożałych rodzin szlacheckich, zarabiających licho płatną i niepewną pracą na utrzymanie przy życiu swoich rodzin. Dotyczyła pierwszej preceptorki małej Elizy Pawłowskiej (późniejszej wielkiej Elizy Orzeszkowej) - panny Michaliny Kobylińskiej. Owa żarliwa wielbicielka „gwiazdy wiedzy" miała zwyczaj opowiadać swojej „uczennicy idealnej" o wielkich mężach i ich wspaniałych czynach, całując ją i pieszcząc jednocześnie, a dziewczynka słuchała wniebowzięta i nad wyraz szczęśliwa, bo od śmierci ojca nikt nie zajmował się nią z taką uwagą i czułością. Niestety, gdy rozłączono ją z nauczycielką i wysłano na pensję do Warszawy, zapomniała o niej na amen. Dopiero po latach, gdy przypadkiem dowiedziała się, że panna Kobylińska zmarła w przytułku, zaczęła wyrzucać sobie, że nie odszukała jej i nie przygarnęła, gdy tylko mogła to uczynić, że nie odpłaciła jej sercem za serce… Zgnębiona, wyznała mi wtedy, iż dobrej pannie Michalinie zawdzięcza nie tylko chwile szczęśliwe, ale i wiele pierwszych zadatków umysłowego światła. A potem zabrała się do pracy i w ciągu kilku dni nakreśliła przepyszny, tragigroteskowy portret swojej pierwszej nauczycielki.

Nie sentymentalny, nie ckliwy, lecz tragigroteskowy właśnie, bo panna Michalina Kobylińska taka była: tragiczna i groteskowa, wzniosła i śmieszna. A Eliza Orzeszkowa jako pisarka nigdy nie sprzeniewierzała się życiowej prawdzie. Jej panna Antonina to idealistka, pojmująca nauczycielstwo jako kapłaństwo, całym sercem oddana swym uczniom i nieświadoma własnej naiwności graniczącej ze śmiesznością. Dobiegająca czterdziestki stara panna, samotna i biedna, chuda, sztywna, zasadnicza, choć w głębi serca gorąca, jest niczym karykatura Siłaczki Żeromskiego. Ucząc dzieci po domach szlagońskich, wciąż łudzi się, że w którymś z nich znajdzie swoje stałe miejsce, swoją rodzinę, nie rozumiejąc, że jest tylko sługą, najemną nauczycielką na pewien czas. Umiera przed czterdziestką z biedy, przemęczenia, smutku. Do końca uczy, karmi i wspomaga sieroce dzieci, które przychodzą na lekcje do jej nędznego pokoiku na poddaszu. „Idealna" uczennica, na którą w jednym z domów trafia, to oczywiście mała Eliza Pawłowska. Która także ją zawodzi.

Ależ się rozgadałam. A przecież przyszłam tu, do Jej gabinetu, usiadłam w Jej fotelu przy Jej biurku, aby wreszcie zająć się tą wielką stertą depesz, listów kondolencyjnych oraz gazet z nekrologami. Minął tydzień, a nikt do nich jeszcze nie zajrzał. Trzeba

# „SZAREGO DOMU"

je przeczytać, posegregować, powkładać do odpowiednich pudeł, aby potem, po sądowym zatwierdzeniu testamentu Zmarłej, przekazać wszystkie, razem z księgozbiorem i pamiątkami, Towarzystwu Przyjaciół Nauki w Wilnie.

Boże, ileż tego! Dnia i nocy mi nie starczy na pobieżne choćby przejrzenie wszystkich kondolencji i nekrologów. Zosi Gorzkowskiej nie poproszę o pomoc, bo biedaczka nie może dojść do siebie po tym, co przeszła. Chodzi z kąta w kąt, żałośnie łkając, a raz po raz staje, załamuje ręce i mówi cichutko coś, co brzmi jak: „Nie ma Paniutki naszej… nie ma… nie ma… i jak my tu teraz bez Niej, jak?! … Nikogo już nie ma… Pana Stanisława nie ma, pana Ludomira, cioci Monisi… Panny powychodziły za mąż i powyjeżdżały….Maksymilian wkrótce wyjedzie i Marynia za nim … ". Kochała Paniutkę całym sercem, była przy Niej przez te wszystkie trudne miesiące przeważnie sama jedna, niekiedy tylko z Wandzią Nusbaumówną, a najgorsze, że również sama była przy Jej agonii, jeśli nie liczyć doktora Stefana Szumkowskiego, który przybył natychmiast, gdy tylko zadzwoniła do niego z wiadomością, że chora obudziła się i nie może złapać tchu. Ten nagły atak dusznicy bolesnej, po dwóch dniach złudnej poprawy, był niezwykle ciężki i doktor Szumowski nie mógł już nic dla chorej zrobić. Wezwani chwilę później doktorzy Aleksander von Talheim i Henoch Zamkowski także okazali się bezradni. Zgon nastąpił o godzinie dziewiątej rano osiemnastego maja.

Od Zosi więc nie mogę wymagać, by czytała depesze i listy kondolencyjne, bo to by ją rozstroiło do reszty. Sama muszę przez to przejść. Przysunęłam do siebie stos gazet z ostatniego tygodnia. Byłam ciekawa nie tyle nekrologów, co większych artykułów o Zmarłej: wspomnień, omówień Jej twórczości, wierszy Jej poświęconych. Wzięłam do ręki leżący na wierzchu „Kurier Litewski" z 22 maja, numer 104, i - oniemiałam. Na pierwszej stronie widniały obok siebie dwa nekrologi: ELIZY ORSZESZKOWEJ i ZYGMUNTA ŚWIĘCICKIEGO! Los potrafi być przewrotny - pomyślałam. Zakpił sobie z tej nieszczęśliwej (w pewnym tylko sensie!) kobiety. Ale zaraz przyszło mi do głowy, że może to redaktor „Kuriera Litewskiego", świadomy rzeczy, wysłał w ten sposób w świat dyskretny komunikat, przypominający dramat Jej serca. Cóż znowu! - skarciłam zaraz samą siebie. To było przecież tak dawno, ponad cztery dekady temu, nikt z żyjących nie może tego pamiętać. A Ona nigdy nikomu prócz mnie o nim nie mówiła, choć przecież w roku dziewięćdziesiątym dziewiątym, w listopadzie, spotkała się z doktorem Zygmuntem Święcickim we własnym domu w Grodnie. Przyjechał do Niej z synem, oczekiwała tej wizyty spokojna, może tylko na pozór spokojna, bo po ich odejściu była dziwnie milcząca i wcześnie zamknęła się w swoim pokoju. Na drugi dzień powiedziała tylko, że było to zwykłe spotkanie towarzyskie, nic więcej. Nie uwierzyłam Jej. W każdym razie nie całkiem. Przez lata wspólnego życia nauczyłam się rozpoznawać, kiedy cierpi, choćby nie wiedzieć jak umiejętnie się maskowała. A człowiek ten, który był jej pierwszą i bodaj jedyną prawdziwą miłością, zawiódł ją boleśnie, a takie rany się nie goją… A już na pewno nie przestają boleć.

Ale czy on rzeczywiście Ją zawiódł? Wedle informacji podanych w 106 numerze „Kuriera Litewskiego", z 25 maja, można mieć co do tego wątpliwości. Dotąd wierzyłam święcie w to, co mi Ona sama o przyczynie zerwania narzeczeństwa z Zygmuntem Święcickim powiedziała, ale teraz, w świetle nowo poznanych faktów, widzę to inaczej. Ona tłumaczyła swoją dramatyczną decyzję mniej więcej tak:

- Święcicki, po ukończeniu ze złotym medalem petersburskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej, najlepszej wówczas uczelni medycznej w Rosji, był lekarzem gwardii cesarskiej w Petersburgu i nosił mundur. Gdyby zrezygnował ze służby rządowej i zdjął mundur, pobralibyśmy się i zamieszkali w Wilnie. Ale on nie chciał nawet o tym słyszeć. Ja zaś wiedziałam, że nigdy za nic nie porzucę mojego kraju, by żyć w Rosji. On jednak był nieustępliwy. Tak więc musiałam dokonać wyboru między obowiązkiem pozostania w kraju - obowiązkiem, który w ówczesnych (po roku 1863) okolicznościach za święty uważałam - a pociągiem serca i perspektywą szczęścia rodzinnego. Chyba nie muszę ci mówić, Maryniu, że bez sekundy wahania wybrałam obowiązek, choć przyszło mi to z wielkim trudem, a boleść, jakiej doznałam, rozdarła mi serce. Jemu na pożegnanie rzekłam: „Kto nie chce poświęcić wszystkiego, aby ze mną być tu, z tym ja nie mogę być nigdzie". Odszedł bez słowa i więcej go nie widziałam. Stało się to w czerwcu roku sześćdziesiątego dziewiątego. Jak na ironię, miesiąc później uzyskałam rozwód, o który starałam się tak długo, tak usilnie z tak wielkim nakładem kosztów, aby nareszcie móc połączyć się z Zygmuntem nierozerwalnym węzłem małżeńskim! Jakże ja go kochałam, Maryniu! Jak pragnęłam tej chwil! I nie tylko ja! On także. Gdy proces o unieważnienie małżeństwa przeciągał się o kolejne miesiące, Zygmunt desperował i pisał list za listem. Tak na przykład - cytuję za pamięci, bo czytałam te gorączkowe słowa setki razy: „*Niepokój i niecierpliwość sparaliżowały wszystkie moje siły żywotne. Nie jestem już zdolny do niczego. Sama praca mi nie wystarcza. Nie stanę się znów człowiekiem dopóty, dopóki nie będę mieć prawa nazywać Pani swoją żoną. Do tego czasu stale będę - tak jak obecnie - owładnięty jedną myślą. Niech mi Pani nie pisze nigdy, że jest rzeczą możliwą, iż to się nigdy nie stanie - widzi pani - to sprawia mi zbyt wiele cierpienia*". I wiesz, Maryniu, po takim jego liście gotowa byłam złamać to, co świat przywykł za niezłomne uważać - gotowa byłam w drodze do celu użyć strasznych środków. Niebu, jemu i sobie powiedziałam: zwyciężę albo umrę - i dotrzymam. Jak widzisz: poniosłam klęskę, druzgocącą klęskę, ale nie umarłam. I jak na ironię, kilka lat po opowiedzianym ci dramacie związałam się ze starszym o lat piętnaście, żonatym człowiekiem, który był mi jedynym aż do swojej śmierci, ale nigdy nie stał się tym, kim mógłby stać się Zygmunt, gdyby mnie nie zawiódł.

Biedna, biedna Eliza! Ale czy rzeczywiście to on ją zawiódł? A nie ona jego? Czy nie zdawała sobie sprawy, że nie mógł porzucić służby rządowej? Jako jeden z kształcących się za darmo biednych, lecz nieprzeciętnie uzdolnionych studentów (tak zwanych „kazionnokosztnych"), po otrzymaniu dyplomu był zobowiązany do dziesięcioletniej służby rządowej. Niedopełnienie tego zobowiązania nie wchodziło w grę. Ale Święcicki uczynił coś, co powinno było ją zadowolić: rok później przeniósł się z Petersburga do Mińska Litewskiego, miasta, które uchodziło za polskie, i objął posadę starszego lekarza w szpitalu wojskowym. Rosyjskiego munduru, który Ją tak mierził, rzecz jasna, nie zdjął. Ale pracował na Litwie, a nie w Rosji. Co prawda, nie podjął próby odzyskania byłej narzeczonej. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Dwa lata później ożenił się z Marią Mickiewiczówną, bratanicą Wielkiego Adama. Ze służby rządowej wystąpił w roku siedemdziesiątym siódmym.

Biedna, biedna Eliza! Jako pisarka miała setki, tysiące wielbicieli w całej Europie, jako kobieta nie miała nikogo, dla kogo byłaby i JEDYNĄ, i WSZYSTKIM… Tak przynajmniej twierdziła, na to się przede mną - i bodaj nie tylko przede mną - w chwilach słabości uskarżała. Lecz może rzeczywiście tak było, skoro kilka lat po śmierci pana Stanisława Nahorskiego kilkoma lekkimi słowy przekreśliła wartość przeżytych z nim trzydziestu lat?! Jakby nagle przestały się liczyć wszelkie ofiary i wyrzeczenia, jakie dla tego starszego, żonatego mężczyzny ponosiła odważnie i dumnie w imię miłości, jakby zapomniała, że był Jej „jedynym" i „najważniejszym na świecie", a po jego śmierci rozpaczała tak, jakby cały świat rozpadł się w gruzy.

Czyżbym nie znała mojej Przyjaciółki? Biedna, biedna Eliza! Uwielbiana, czczona, ale - niekochana….

- Witaj, maleńka! - usłyszałam za plecami głos Maksymiliana i nim zdążyłam się do niego odwrócić, pochwycił mnie i uniósł z fotela, a potem przytulił i obsypał pocałunkami. Rosły i silny, lubił nosić mnie na rękach, bawiło go, że jestem drobna i lekka jak dziecko.

- Maks, Maks, dość już, dość, udusisz mnie…

- Tak mnie witasz, żono nieczuła?! Po dwóch dobach niewidzenia?!

- Ależ nie posiadam się ze szczęścia, że już jesteś, wreszcie jesteś! Czekałam na ciebie od rana… Co tam od rana! …. Czekałam od wczoraj wieczora i całą noc! „Szary domek" bez Niej to istny grób, nie mogłam wytrzymać w tej pustce i ciszy. Gdyby nie szlochanie Zosi, uciekłabym stąd. Dzięki Bogu, że wróciłeś!

- A więc nie o mnie ci szło, nie beze mnie było ci ciężko, tylko bez tej twojej Najukochańszej... Zawsze Ją kochałaś bardziej niż mnie, niedobra żono.

- Czyżbyś był zazdrosny o Elizę, mężu mój?! Przecież to Ona nas połączyła? Nie pamiętasz już, jak cudownie to zrobiła?

- Pamiętam, że mnie nie chciałaś, odmawiałaś mi swojej maleńkiej rączki ze→

dwadzieścia razy. O mało nie umarłem ze zgryzoty!

- Odmawiałam, bo nie wierzyłam, że mnie kochasz, że taki piękny facet jak ty mógłby upodobać sobie taką brzydulę, chudzinę, mizerotę jak ja, w dodatku bardzo już wtedy starą pannę…

- Ale w końcu uwierzyłaś, niewiasto małej wiary! Musiałaś mi uwierzyć, bo potrafiłem być przekonujący - rzekł i usiadł w fotelu, sadzając mnie sobie na kolanach. - A teraz i ty mnie pocałuj.

- Pewnie jesteś okropnie głodny - rzekłam, całując go serdecznie - chodźmy do jadalni, mam tam coś dobrego dla ciebie…

- Nie jestem głodny, Maryniu, pan prezes Władysław Zahorski był tak uprzejmy, że po rozmowie, jaką odbyliśmy w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Nauk - rozmowie, która zajęła nam kilka godzin - zaprosił mnie do siebie na obiad. Jego żona zadbała o to, bym wywiózł z Wilna jak najlepsze wyobrażenie o gościnności wilnian i o wileńskiej kuchni.

- W takim razie odpocznij w naszym pokoju, a potem razem z Zosią napijemy się herbaty.

- Nie jestem zmęczony, Maryniu, jestem za to bardzo spragniony twojego towarzystwa. Jeśli pozwolisz, zostanę tutaj z tobą i pomogę ci uporać się z tą smutną lekturą.

- Będę ci bardzo rada. I bardzo wdzięczna - rzekłam i podsunęłam mu „Kurier Wileński" z dnia 22 maja. - Spójrz na nekrologi umieszczone na pierwszej stronie.

Maksymilian wziął gazetę do ręki i przyjrzał się nekrologom, a potem prawie wykrzyknął:

- Nie wiedziałem, że zmarł doktor Zygmunt Święcicki. I to trzy dni po Elizie Orzeszkowej. Dla Mińska to strata nie mniejsza niż dla Grodna Jej śmierć. Należał do najznamienitszych obywateli swojego miasta.

- Znałeś doktora Święcickiego, Maksymilianie? - spytałam, zaskoczona i zaintrygowana.

- Oczywiście, był znany w całym naszym regionie jako lekarz wybitny, nieomal cudotwórca: specjalista w zakresie urologii, pionier antyseptyki, mistrz skalpela, nowator w leczeniu złamań kości, propagator nowoczesnych metod operacyjnych, epidemiolog i dermatolog, przede wszystkim jednak organizator leczenia szpitalnego dostępnego dla wszystkich, bez względu na zasobność ich kieszeni. Pierwsza lecznica dla ludności cywilnej, świadcząca darmowe usługi medyczne w sześciu specjalnościach, powstała w Mińsku z jego inicjatywy w roku siedemdziesiątym dziewiątym. Zespołem piętnastu lekarzy i dziesięciu felczerów kierował, rzecz jasna, doktor Święcicki. Pracując w administracji grodzieńskiej nasłuchałem się o jego dokonaniach bardzo wiele, lecz zaszczytu (tak, tak, nie inaczej!) osobistego poznania go dostąpiłem dopiero podczas służby w Wilnie. Jako prezes Mińskiego Towarzystwa Lekarskiego (które zresztą - co trzeba podkreślić - medyków różnych narodowości) przyjeżdżał on do Wilna na doroczne narady przedstawicieli tego zawodu. Za jego prezesury Towarzystwo Mińskie stało się naukowym centrum medycznym regionu, wydawało swoje czasopisma i publikowało sprawozdania, utrzymywało kontakty z podobnymi sobie towarzystwami zagranicznymi. Ale aktywność społeczna i obywatelska tego człowieka nie miała granic. Był sędzią pokoju, współzałożycielem kasy ubezpieczeń od ognia i Bóg wie kim jeszcze. A jak przemawiał! Miałem dwa czy trzy razy sposobność słuchać jego wystąpień na tych ich lekarskich sympozjach, o których ci wspominałem. Przekonywał do swych racji nawet najbardziej sceptycznych.

- Do czego na przykład?

- Na przykład do higieny osobistej i czystości otoczenia. Wykazał, ile chorób zakaźnych bierze się z brudu i jak łatwo można im zapobiegać.

- W takim razie rzeczywiście był w jakiejś mierze podobny do najznamienitszej obywatelki Grodna.

- A tak! Wybitny umysł, gorące serce, obywatelskie sumienie!

- No to już nic nie rozumiem. Pogubiłam się…

- Czego nie rozumiesz, Maryniu. W czym się pogubiłaś?

- Nie rozumiem, dlaczego Ona rozstała się z nim? Pogubiłam się w jej wyjaśnieniach.

- Teraz to ja nic nie rozumiem. O czym ty mówisz, moja droga?

- To ty nic nie wiesz o ich wielkiej miłości? O tym, że Eliza Orzeszkowa i Zygmunt Święcicki kochali się przed laty tak mocno i gorąco, że postanowili pobrać się, mimo przeszkody, jaką był jej stan cywilny, wykluczający ponowne małżeństwo. On był bez wątpienia Jej pierwszą wielką miłością, a nie zawaham się powiedzieć, że być może jedyną prawdziwą.

- Pierwszą?! I jedyną prawdziwą?! Czy chcesz przez to powiedzieć, żono, że Piotra Orzeszki nie kochała? Że wyszła za mąż bez miłości? Wbrew sobie?

- Zadajesz wiele pytań, Maksymilianie, muszę więc wyjaśnić ci rzecz podstawową: Eliza nie wyszła za mąż, lecz została za mąż wydana. Jednak wcale nie wbrew sobie, bo na pytanie, zadane Jej przez matkę i ojczyma, czy chce poślubić tego akurat mężczyznę, odpowiedziała, że chce. Nikt Jej nie przymuszał, nie wywierał na Nią presji. Nie kochała Piotra Orzeszki, ale dowiedziała się o tym dopiero po ślubie. Jako panienka niespełna siedemnastoletnia, w dodatku przygotowywana do życia na pensji sióstr sakramentek, nie miała zielonego pojęcia ani o miłości, ani o małżeństwie, jeśli oczywiście nie liczyć „wiedzy" zaczerpniętej z wzniosłych i rzewnych romansów. No i kiedy otworzyły się jej oczy na „rzeczywistość", zaczęła myśleć o rozwodzie. W tym to właśnie czasie - a był to rok sześćdziesiąty - do Ludwinowa, gdzie mieszkała po zamążpójściu, przyjechał na letnie ferie student petersburskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej Zygmunt Święcicki. Był kolegą Florentego Orzeszki, brata Piotra, a jej ulubionego szwagra. Zakochała się w fascynującym gościu pierwszą, wielką, płomienną miłością. Tak zaczął się ten Jej, a raczej Ich dramat, który trwał do roku sześćdziesiątego dziewiątego.

- Przecież Święcicki studiował, a potem pracował w Petersburgu, Eliza zaś po aresztowaniu, skazaniu i zesłaniu męża wróciła do własnego domu - do Milkowszczyzny. Jakim cudem znowu się zeszli?

- Jakim cudem? Nie wiesz to!? Cudem miłości! Zakochany doktor przyjechał któregoś dnia do Milkowszczyzny, a zakochana pustelnica otworzyła mu dom swój i serce. Dawna miłość rozgorzała od nowa. Spotykali się w różnych miejscach, między innymi w Warszawie i nawet chyba w Petersburgu, dokąd jeździła w sprawie rozwodowej. Bliższych szczegółów jednak nie znam. Wiem tylko, że biedny Piotr Orzeszko między sześćdziesiątym czwartym a sześćdziesiątym dziewiątym przebywał na zesłaniu w guberni permskiej, a po powrocie do kraju żył samotnie w Warszawie, bo żona nie chciała go przyjąć, a Ludwinów był w rosyjskich rękach. Zmarł w roku siedemdziesiątym czwartym.

Maksymilian porwał się nagle z fotela i zaczął chodzić po pokoju. Nie odzywałam się, czekałam, aż sam powie, co go tak wzburzyło. Po chwili stanął przede mną i rzekł:

- Potrafisz mi wyjaśnić, dlaczego ta kobieta, która bez wahania ryzykowała życie dla Romualda Traugutta, a zresztą także dla innych powstańców z jego oddziału, nie zdobyła się na to, by podzielić srogi los swego męża? By być prawdziwą żoną Polką, jak jej towarzyszki z kobryńskiego pomocniczego „legioniku" kobiecego?!

Smutno mi się zrobiło, bo mój mąż mówił o naszej Przyjaciółce, w której prawość nigdy dotąd nie wątpił i której wielkoduszność stawiał sobie zawsze za wzór, teraz, kiedy nie mogła się własnymi słowy wytłumaczyć, kwestionował jej dawny, jakże dramatyczny wybór.

- Sama nieraz zadawałam sobie to pytanie, Maksie - odrzekłam z westchnieniem. - Ale w końcu znalazłam na nie odpowiedź. Myślę więc, że potrafię ci wyjaśnić, dlaczego dokonała wtedy takiego, a nie innego wyboru. Wielu odsądziło Ją wtedy od czci i wiary bez zapytania o rację, co, jak wiesz, jest niestety niechlubnym polskim obyczajem. Gdyby poszła na Sybir z mężem, ich wspólne zesłańcze życie wkrótce zamieniłoby się w piekło. Tak dla Niej, jak i dla niego. Nigdy nie było między nimi miłości, co gorsza, nie było też żadnej innej więzi, ani duchowej, ani ideowej. Piotr Orzeszko poślubił posażną dziedziczkę Milkowszczyzny, by ratować od bankructwa swój katastrofalnie zadłużony majątek ludwinowski. Ona zaś zgodziła się wyjść za przystojnego i wytwornego, dwa razy od niej starszego człowieka, gdyż gorąco pragnęła wolności. Po pięciu latach klasztornej niewoli małżeństwo jawiło Jej się jako raj nieograniczonych możliwości. O życiu - w tym o pożyciu małżeńskim - miała wyobrażenie księżycowe. W konfrontacji z rzeczywistością wszakże bardzo prędko zrozumiała, że popełniła fatalny błąd. A potem Jej dojrzewanie dramatycznie przyspieszyło: w sześćdziesiątym roku pojawił się w Ludwinowie Zygmunt Święcicki, a w styczniu sześćdziesiątego wybuchło powstanie. Odtąd dwa fakty: miłość (może powinnam powiedzieć: Wielka Miłość) do Święcickiego oraz oddanie Świętej Sprawie Narodowej (Ona powiedziałaby to wielkimi literami) przesądzały o Jej wyborach. Na koniec dodam jeszcze, że nasza Przyjaciółka do końca życia czyniła sobie wyrzuty, że nie okazała się prawdziwą żoną Polką i nie podzieliła z mężem jego zesłańczego losu. Zwierzyła mi się z tej udręki na początku lutego tego roku, gdy tylko usiadłam przy Niej, prawie umierającej, po przyjeździe do Grodna. Wiesz, jak długa i uciążliwa jest podróż z Permu do naszego miasta, więc możesz sobie wyobrazić moje ówczesne zmęczenie, ale Ona nie mogła z tym czekać…

- Biedna, biedna Eliza. Uwielbiana pisarka, czczona jak święta filantropka, ceniona społecznica, szanowana obywatelka i … niekochana, nieszczęśliwa, kobieta. - Maks usiadł z powrotem w fotelu, zamyślił się i po chwili rzekł: - Widzi mi się, Maryniu, że ten umiłowany doktor nie kochał Jej prawdziwie, skoro tak łatwo dał się odprawić?

Ponieważ w mojej głowie lęgły się podobne wątpliwości, odpowiedziałam:

- Wcale nie jest pewne, kto kogo odprawił. Kto naprawdę zerwał zaręczyny, i to w chwili, gdy proces o unieważnienie małżeństwa Elizy dobiegał końca. Nie myślę jednak, jak ty, że Święcicki nie kochał Elizy prawdziwie. On ją kochał mocno i głęboko, namiętnie i żarliwie, ale nie wytrzymał zbyt długiego czekania, może właśnie dlatego. I po prostu wypalił się. Przynajmniej tak wynika z listów, które do niej pisał. Ale można także założyć, że zraził się do ukochanej lub

nawet przestraszył siły Jej charakteru, nieustępliwości, z jaką domagała się od niego rzeczy niemożliwej. Bo żądała ni mniej, ni więcej, tylko porzucenia służby w gwardii carskiej i przeniesienia się do Warszawy lub przynajmniej do Wilna. Jak wiesz, służba ta była odpłatą za darmowe studia w Akademii Medyko-Chirurgicznej w Petersburgu, była zobowiązaniem, od którego nie mógł się uchylić. Jest jeszcze trzecia możliwość: znużony beznadziejnością czekania, bliski załamania nerwowego, poszukał ratunku u innej kobiety. I znalazł go: panna Maria Mickiewiczówna, bratanica Wieszcza, bez żadnej zwłoki została jego żoną. Biedna, zawiedziona Eliza.

- Zdaje się, że i ona dość rychło pocieszyła się w ramionach Nahorskiego - wtrącił Maksymilian z nutą sarkazmu.

- Mężu mój, nie szczędzisz dzisiaj naszej, bo i twojej, nie zaprzeczysz, Przyjaciółce przykrości! A przecież wiesz, że owo pocieszenie w ramionach żonatego mężczyzny było zarazem pognębieniem... I to bardzo dotkliwym.

- Wiem, wiem, Maryniu. Wybacz mi, jestem po prostu zmęczony tymi haniebnymi aferami pogrzebowymi i testamentowymi, które się na nas zwaliły. Jakiż podły ten Ellert! Pomyśleć tylko: ksiądz, dziekan naszej fary, a taka mizeria moralna. No i ci krewniacy Mecenasa, istne hieny... Pójdę się położyć, Maryniu. Dobranoc, maleńka. Nie ślęcz zbyt długo nad tymi smutnymi papierami. I nie myśl, że nie kocham i nie poważam naszej Nieodżałowanej...

***Maria Jentys-Borelowska***

Zbigniew Ikona-Kresowaty

# Kalina Izabela Zioła

Kalina Izabela Zioła – poetka, tłumaczka, krytyk literacki, dziennikarka, animatorka kultury.

Wydała 20 książek poetyckich (w tym dziesięć w obcych językach) i jedną książkę krytycznoliteracką. Przetłumaczyła na język polski 22 tomy poezji i antologii. Jej wiersze tłumaczone były na ponad 20 języków. Uczestniczyła w wielu międzynarodowych festiwalach i konferencjach poetyckich. Laureatka wielu nagród literackich krajowych i międzynarodowych, między innymi Nagroda Ryszarda Milczewskiego – Bruna w Dziedzinie Poezji (2013), „Złote Pióro" za całokształt twórczości poetyckiej, krytycznoliterackiej oraz za propagowanie kultury polskiej w świecie przyznane przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Artystów Autorów Dziennikarzy i Prawników Virtualia ART w Brukseli 2014. „Zasłużony dla Kultury Polskiej" Warszawa 2020.

Członek ZLP, członek Klubu Literackiego „Dąbrówka" w Poznaniu, członek Światowego Stowarzyszenia Poetów „Poetas del Mundo",

## Czekanie

czekanie jest
jak przymierzanie nowej sukienki
nigdy nie wiem
jakie odbicie
ujrzę w ostatnim odłamku lustra

delikatnie podciągam
za długie
rozciągnięte godziny
wygładzam na biodrach
nagły dreszcz

gdy wchodzisz
zrzucam z siebie
wszystkie niewygodne myśli

ubrana tylko
w jedwab twoich dłoni
znowu czekam

świata
będzie we mnie

## CISZA

gdy zapada
świetlista cisza
zegary zatrzymują się
przestają odmierzać
sekundy i oddechy

oczy ciemnieją od grzechu
w rozsypanych
na poduszce włosach
zasypia wiatr

gdy zapada
świetlista cisza
znów do ciebie wracam

## BOCZNE ULICE

boczne ulice mojego miasta
skrywają wiele tajemnic

w cienistym zaułku
szum drzew zagłusza
zdyszany jęk i szept
namiętnych kochanków

z brudnego podwórka
wznosi się rozpaczliwy
wysoki krzyk kobiety
wtóruje mu basowy
bełkotliwy monolog
i odgłos uderzeń

w ciemnej bramie
z rąk do rąk
przechodzą pieniądze
i małe foliowe torebeczki
czasami można tam znaleźć
rozbitą strzykawkę

o zmroku
na rozświetlone okna opadają
ciężkie powieki zasłon
teraz już nikt nie usłyszy
cichego płaczu
krzywdzonego dziecka

boczne ulice mojego miasta
nie zdradzają tajemnic

## BŁĘKITNA PEŁNIA

promień słońca odbity
od błękitu księżycowej pełni
lub cień który przysiadł
na złoconej ramie

to wszystko

nie brak mi słów
lecz jak opisać tęsknotę za czymś
co ukryłam w najgłębszej szufladzie
o czym prawie zapomniałam

cicho podpełzają
dawno wyblakłe sny
budzą się niespokojne myśli

- a może to tylko
błysk słonecznego światła drży
na złoconej ramie

# ZAPISKI NIECODZIENNE

Czesław Sobkowiak

**W pokoju**

Wszedłem do pokoju wypełnionego subtelnym zapachem jabłek. Jedynym w świecie, który pamiętam z dzieciństwa. Od dwóch dni, przyniesione z ogrodu, ułożone w misce, umyte, na stole w pokoju nasycają powietrze. Jaka to przyjemność i niecodzienność wyczuwać taką delikatność. Dobrze więc, że są jabłka. I wraz z zapachem łączy się smuga światła. Tak to jedno z drugim czyni cud istnienia, który we mnie domaga się zapisania. Niezwykła drobność.

**Następnego dnia**

Niedobrze jest powiedzieć lub zachować się niefortunnie. To potem w czyimś nadwrażliwym odbiorze urasta do wielkich rozmiarów, arcyważnego zdarzenia i nagle mocno zakorzenia się we wnętrzu, tkwi w nim jak drzazga, jak ból do szpiku kości, zmienia się w urazę, staje się stałym motywem myśli, przekreśla dobry kontakt, a nie o to chodzi. Nie o to chodzi. Lecz nagromadzenie trudnych spraw i kłopotów wewnętrznych skutkuje czasem takim niepotrzebnym, nielogicznym zachowaniem. Teraz właśnie muszę sobie radzić z powstałym głupstwem. Ważnym głupstwem do rozwiązania. Z jeszcze jedną ciężką cegiełką, która wrażliwość przytłacza. A co przytłacza to i niszczy natchnienie.

**Czy**

Czy. Z wizją kultury i słynnym, wielce symbolicznym, wizerunkiem nagiego człowieka witruwiańskiego Leonarda da Vinci, który ustala jego proporcje, ale jest zarazem jakby architekturą centrum świata, manifestem renesansu, rozpiętym demonstracyjnie, wpisanym w koło i kwadrat, czy już pożegnaliśmy się? To znak kultury, jej ikona i zarazem matematyczny rysunek ołówkiem i atramentem na niewielkiego formatu papierze. Wykonany w 1490 roku. I ze znakiem Krzyża, stanowiącym przez wieki podwaliny kultury europejskiej, czy już nie mamy nic wspólnego? Już nie na pierwszym miejscu są te wzory człowieczeństwa? Jako fundamenty. Czy we współczesność weszły demoniczne monstra? I nie ma, nie będzie wielkiej muzyki, wielkiego malarstwa, wartych uwagi idei, wartości, apoteozy estetycznej, dostojeństwa, pochwały, czci, pokłonu, piękna ciała kobiety, krajobrazu, portretu. Bo nikt nie dozna takich natchnień? Czy zostały tylko stadionowe imprezy? Nic już ma nie być? Człowiek jako przeszkoda, jako zbędna istota? Wszystko przyziemne?

**Napisała Halina**

Wiadomość. Dzisiaj „właśnie zasnęła na wieki siostra Grażynki". To ciężkie. Moment ostateczny. Odczułem jego wagę, mimo, że nigdy nie poznałem tej osoby. A dotknęło. Wszystko inne mniej ważne. I tak to już będą płynąć i uderzać ze wszystkich stron nagłe wiadomości, że umierają znajomi przyjaciół i nasi przyjaciele.

**Udało się**

Pojechać do miasta, czekać na pobranie krwi przed drzwiami laboratorium. Udało się na targowisku kupić orzechy, jajka, ostatnie jesienią dojrzałe pomidory na sałatkę. Udało się zrobić wydruk kopii obrazu Madonny Weneckiej, zapłacić pięć złotych za tę usługę, a potem jeszcze kupić folię do przykrycia sterty drewna. Jeszcze pójść do stolarza w sprawie naprawy stolika, wypełnić kupon totolotka, chwilę pomyśleć o liczbach na chybił trafił. Udało się w późnej nocy napalić w piecu i zrobić inne rzeczy, których tu nie będę opisywał ani wymieniał. Udało się smutnej chwili być smutną. Wszystko to udało się, i udaje się jakoś oddychać przed snem. I dopóki żyjemy udaje się żyć, lepiej lub gorzej. Pewne jest, że do pewnego czasu będzie się coś udawać. A potem...

**Ostatnio**

Uświadamiam sobie lub raczej przeczuwam, że katastrofalnie i systematycznie jest podważany dotychczasowy porządek świata. Porządek wątpliwej jakości. On sam też zmienia się pod presją klimatu. Może to ludziom odebrać wszelką, realną motywację do działania. Jak każda katastrofa, oceniana jako nieuchronna. Niszcząca wszelkie nadzieje. Unaoczniająca bezsilność. Są podejmowane heroiczne wysiłki ocalenia jakiegoś ładu, lecz bieg zdarzeń nie pozostawia żadnych złudzeń. Coś się dzieje. Taki jest wiatr historii. Wiatr natury. Nie wiemy jaki jest, dokąd zaprowadzi, ale może to lepiej.

**Niebo**

Przed wschodem słońca niebo całe w czerwonych pasmach. Szukam lekarskich skierowań na badania krwi, powinny być, a ich nie ma. Spokojnie. Trzeba szukać pomiędzy małymi karteczkami.

**Ula**

Czytam w mailu od Uli, że trzyma kciuki za mój zbiorek „Zanim spadnie śnieg". To wzruszające. Jej wiara w ważność poezji i intuicji w tym bierze udział. Czuję się jednak niezręcznie, bo co można powiedzieć, co takiego powiedziałem, by poruszyć ludzi, by wstrząsnąć sumienia. Są linijki o mnie, biograficzne, o domu rodzinnym, o przedmiotach, o moim czuciu dnia, świata, natury, innego człowieka, trochę o rozumieniu poezji. Może czasem udało się pewne rzeczy ująć lub cząstkowo nazwać. Cząstkowe jest życie. Do siebie podchodzę z dystansem. I nie ważę się myśleć, jakiej wysokiej miary jest to moje dzieło.

**Księżyc**

Księżyc jesiennie, wyraziście, mocnym światłem, przemyka pomiędzy drobnymi chmurami.

Wychodzi ogromny zza lasu, wspina się na niebie do pełni swojego blasku. Patrzę. Dlaczego tak patrzę?

**Czekanie na poezję**

U. Cieszy się, że to, co stworzyła jest bliskie upublicznienia. Jednak daje radość tworzenie nie dla siebie. Mało byłoby w tym sensu. To jest jak osobisty dar, dawany ludziom. Pisze mi o swoim czekaniu. Żyje tymi emocjami, ma tremę. Piękne jest takie czekanie na poezję, jak na narodziny dziecka. Zimno w nocy przed północą. Coraz wyżej księżyc złoci się oraz lśni mrozem. Ja do snu idę.

**Sobota**

Duży ruch aut od samego rana. Wiele kobiet za kierownicami. Kobiety chętnie i szybko jadą do swoich mężczyzn. Myślę sobie. Mają widać potrzeby, sentymenty, pragnienia i swoją inicjatywę. Chodzę po targowisku. Niebo optymistyczne. Dobrze zanurzyć się w gromadę ludzi, patrzeć z bliska na twarze dziewczyn, kobiet, na sprzedawców. Każda osoba coś wyraża, słychać rozmowy. Wszędzie dużo młodości, chęci życia, kupowanie warzyw, owoców, ciekawość istnienia. Idzie do przodu nowe pokolenie. Piękne ubiory, włosy, oczy, policzki, linie sylwetek, kształty bioder, pośladków, ust, brwi. Trwają starania o codzienne sprawy. Czy to nie wystarczy? Nie wystarczy. Świat, jak widać, musi się nieustannie komplikować.

**Powieki**

Powieki robią się ciężkie, senne, kleją się, pieką. Już prawie północ. Mają do tego prawo.

**Na przykład**

Szukałem piękna. Potrzebowałem osobliwego klimatu i znalazłem ładny malarski obraz Andriesa Verleurea urodzonego w Amsterdamie 29 czerwca 1876, który malował sceny wiejskie, wnętrza domów, pejzaże wodne i krajobrazy, ale także martwe natury i ludzkie postacie. Był samoukiem. Lekcje i rady pobierał u kilku malarzy. Mieszkał w wielu miejscach w Holandii. Zmarł w 1953 roku. Miałem wtedy trzy lata. Obraz, na który patrzę, pokazuje zamglony widok późnojesienny, poranny jakby Amsterdamu. Na pierwszym planie, jak to często bywa w tego rodzaju pracach, jest portowa zatoka, woda gdzieniegdzie lśni. Z boku zatoki raczej skromne, na grubych palach nabrzeże. Kilka statków i łodzi zacumowało. Woźnica na pomoście. Przyjechał zabrać ładunki na swój wóz, konia wyprzągł, wysokie maszty łodzi zaznaczają się pionowo, w kilku miejscach dzielą obraz. Barki czymś są wypełnione, może piaskiem. Statek parowy dymi z komina. Przestrzeń widoku ukazuje ledwo widoczne na dalekim planie domy i wieże kościołów. Półkolem barwnie otaczają zatokę. Niebo jest zasnute. Kolory są osadzone we mgle, więc stonowane, ale ich gama jest dosyć duża – niebieski, pomarańczowy, zielony, błękitny i różne tonacje szarości. Ładna to kompozycja, która w ciszy oddycha. Nic nie krzyczy, nic nie domaga się pośpiechu, ale praca trwa. I jest chwila by poczuć piękno, tak jak teraz. A gdy się wsłuchać, to z różnych miejsc i kierunków dobiegają głosy, stłumione dźwięki, stłu-

miony blask wody. Można dzień zobaczyć i co najmniej domyśleć się istnienia gwaru w prawie niewidocznych uliczkach. Działa na mnie ten nieco melancholijny nastrój.

**Są**

Są takie rodzaje spraw, takie ciężary i doświadczenia, że niemal zupełnie utrudniają kontakt z innymi ludźmi. Zwłaszcza te, które podmiotowe życie stawiają pod wielkim znakiem zapytania.

**B.**

Bliska mi B. była dobrym, cenionym laryngologiem dziecięcym. Zdobywała specjalistyczne, medyczne kwalifikacje, była jako lekarz coraz bardziej znana w regionie. I dobrze zarabiała. Potrafiła dbać o swój estetyczny wygląd. Jeździła corocznie z mężem, też lekarzem, na narty w Alpy. I w inne kraje w ogóle. Jej wiedza medyczna i wnikliwość mogła imponować. Aż nagle dopadła ją nieuleczalna choroba. Kilka lat walczyła. Najlepsze, bardzo drogie, sprowadzone z zagranicy zastrzyki nie okazały się skuteczne. Zmienił się wyraz jej twarzy. Schudła wyraźnie. Na koniec leżała w osobnym, szpitalnym pokoju. W pewnym momencie poczuła, że umiera. Nie było wtedy przy jej łóżku nikogo. Tylko samotność. I ostatnie myśli, którymi z nikim, w gęstniejącej pustce, nie mogła się już podzielić.

**Okropne**

W obliczu dokonywanych uderzeń rakietowych władze Kijowa obwieściły, że ludność miasta ze względu na brak prądu, wody, ciepła, a więc i braku żywności, może, musi, być przed zimą ewakuowana. Zniszczona została już w dużym stopniu w całej Ukrainie infrastruktura energetyczna? Okropne.

**Dom**

Dom. Po ukończeniu studiów we Wrocławiu zbudowałem dom. Zbudowałem własnymi rękoma w Zawadzie. Na prowincji. Tak postanowiłem. Wiedzę fachową, budowlaną musiałem z prostego powodu intensywnie i nieustannie zdobywać u różnych osób i sobie przyswajać. Byłem mocno zdeterminowany, by osiągnąć cel. Nie wiedziałem o tych sprawach absolutnie nic. Przerzucałem wywrotki piasku, szlaki, kamieni, dźwigałem ciężkie worki cementu, wapna, tysiące cegieł, pustaków, których nie udawało się ot tak kupić, i czego tam jeszcze. Zakładałem konstrukcje, rusztowania, szalunki, wstawiałem okna, drzwi, zakładałem podłogę, wiązałem drucikiem zbrojeniowy drut, betonowałem, pomagałem tynkarzowi, murarzowi, szukałem instalatora do instalacji elektrycznej. Dużo było naprawdę ciężkich zajęć, od wczesnego rana do później nocy, dzień w dzień, przez dwa lata. Natalia po przyjściu z pracy przychodziła pomagać. Nosiła cegły, deski, sypała piasek do betoniarki, nosiła wodę. Niczego nikt mi nie dał, nie pomagał, poza sporadycznymi przypadkami ze strony rodziny. Trudy znosiłem. W deszczu i upale, i w chłodne dni. Byłem młody, silny i dosyć naiwny, bo niektóre sprawy mogły mieć konsekwencje prawne, może nawet katastrofalne dla mnie. Ale jakoś uniknąłem ich. Teraz zastanawiam się, co jest dla mnie domem? Czy ściany, sufit, podłoga, klamki, okna? Czy poezja, którą piszę na kartce przy nocnej lampie? I w niej, czy cokolwiek mieszkalnego buduję? Czy świat, ze wszystkimi sprawami społecznymi, cywilizacyjnymi, zjawiskami natury, pozwala swobodnie zamieszkiwać? Jako dom.

**Tylko**

Noc jest czarna, ale myśli o M. nie są czarne. Są na pierwszym miejscu. Tylko one. Poniekąd drżą. Nie ma więc absolutnej nocy. Lecz został problem, co z tymi myślami począć, takimi upartymi? Ich nawroty pokonują senność? Czy uda się rozświetlać noc, czy raczej powiększą we mnie brak światła?

**Akt**

Ostatnio dużo dosyć oglądam malarskie, mistrzów dawnych i bardziej współczesnych, kobiece akty. Lubię ten gatunek sztuki. Każdy obraz jest inny. Ciekawy, warty uwagi, dający możliwość fascynacji cielesnością kobiecą. Pole do artystycznego popisu jest ogromne. Ujęcia w pozycji leżącej są najczęstsze. Tła są różnorakie. Postaci są bardzo odmiennie przedstawiane - na posłaniu, na krześle, na łóżku, nad wodą, na trawie, w pejzażu. Naga kobieta parta o parapet okna, uwydatnione linie jej tułowia, ramiona. Inna zmysłowo ujmuje dłońmi swoje piersi. Ujęcia z przodu - piersi, brzuch, wzgórek łonowy z delikatnym owłosieniem, z tyłu – plecy, pośladki, nogi. Kobieta stoi, patrzę, jedną rękę położyła na głowie, długie rude włosy opadają na plecach aż do samego pasa, drugą rękę wsparła na fotelu. Dosyć wysoka, oczy przymknięte, delikatny rumieniec na policzkach, przez całe ciało od samych stóp idzie smukłość. Rysują się zgrabne piersi, co podkreśla lekkość postaci, brzuch naturalnie zaokrąglony, pępek, łono, uda przywierają do siebie. Jakby ze snu była cała, nieco marzycielska. Tło ciemne, uwydatnia nagość i jasność jej ciała. Można patrzeć na piękną, młodą, nagą kobietę. Ona sama na to pozwala, bo wie, że w tym celu się rozebrała przed artystą w jego pracowni. Zaciekawionym oczom coś własnego dając.

**Linia**

Nawet nie próbuj myśleć, że może być jedna linia czucia, mówienia, działania w tym świecie. I historii też nie powiesz, że czegoś nie wolno jej dokonywać. Nie zdołasz przeciwstawić się jej zaślepieniu. Piękne myśli, ambicje, idee, plany, postanowienia i marzenia, i złudzenia, i usiłowania trzeba zostawić na czas pokoju.

**Waśkiewicz**

Przypomniały mi się niektóre pesymistyczne sformułowania z jego wierszy o miastach, murach, domach, budowlach jako przyszłych ruinach. O pustce świata. Urodził się w Warszawie w 1940 roku i widział ruiny miasta. Napisał o ruinach wiersze po pobycie literackim w Iraku, na jakimś festiwalu poezji. Odnosiłem te jego formuły do widzialnego świata jako wielce nieprawdopodobne, a raczej już realnie niemożliwe. Waśkiewicz jednak wiedział , że każda budowla to jest przyszła ruina. I stało się tak. Czas kreacji świata jednak zatrzymał się. Nie dopuszczałem takiej możliwości do czasu, kiedy na Ukrainie zaczęło to właśnie się dziać. Wysiłek budowania zastąpiony został wysiłkiem niszczenia.

**Mail przed snem**

Przeczytałem już senny, co kto do mnie napisał. Potem poszedłem do łazienki i w gorącej wodzie wygrzałem zziębnięte stopy. Wróciłem i znowu czytam, że jest ważne do czego literatura inspiruje. I co zawiera. Czy istotne są tylko obsesje, sprawność warsztatowa, słowne emocje, czy też jakaś myśl i przestanie. Czy jest pochyleniem się nad człowiekiem, światem, rośliną, kroplą wody, cierpieniem cudzym i nad własnym cierpieniem, smutkiem, bo czemu nie. Tu jest styk. Można poczuć z kimś wspólnotę bycia na świecie, doznać olśnienia, uwielbienia, piękna, itd.

**Pokolenie**

Przeczytałem ostatnio dwa zbiorki poetyckie pełne abnegacji, dekadencji, negatywizmu i niechęci do ludzi, że zrobiło mi się wszystko naraz - zniecierpliwienie, i sprzeciw a nawet żal, że mają oczy zamknięte, a chcą wymierzać sprawiedliwość światu. Idą jednym torem, jedną manierą, w jednym kierunku.. Klapki na oczach. Chcą być nihilistycznym pokoleniem, zjawiskiem powtarzając do znudzenia swoje jednorodne słowa.

***Czesław Sobkowiak***

Zbigniew Ikona-Kresowaty :

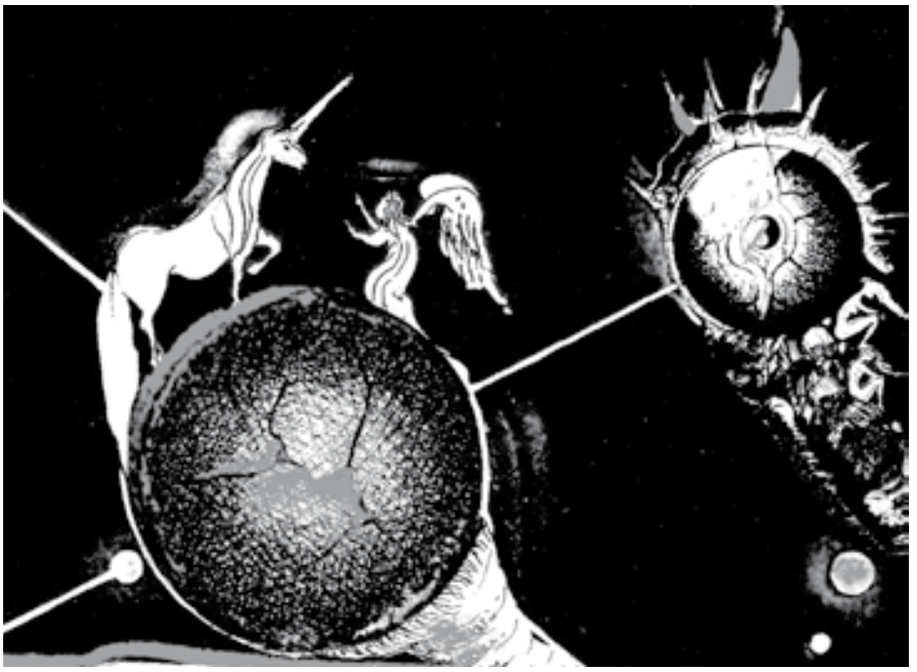

## Dorota Czerwińska

### Chudoba

Białe kości pod krzyżem schowane,
nie czekają na panów psie cienie,
pająk wplótł się w sieć żółtych firanek,
pusto w starym, zziębniętym kościele.

W martwym niebie odbija się głucho
klucz zgubiony,  bo gniazdo zmurszałe.
Wyszedł chłop z pochylonej chałupy.

Usiadł sam, liczy ślady na trawie.

Daleki
Uwielbiam, gdy Budda się śmieje.
To jakby sens schodził na ziemię
bez sztampy, bez modlitw, wprost bosssko.

Ubóstwiam tę nutę beztroską
w rechocie gołego grubasa.

Oj, znacznie popuścił on pasa,
być może się upasł w nirwanie.

Mój Boże, mój Jahwe, mój Panie,
czy możesz obdarzyć mnie śmiechem?

To padół. Ty na nim człowiekiem.

kokosy

w prawdziwym raju kobiety
pochylają się nad herbatą
a litościwy nadzorca
wsuwa do rozkołysanych na ich plecach koszy
co jaśniejsze  pędy

kornak na grzbiecie słonia
wybija piętami wspólny rytm
pobrzękując łańcuchem
idą do wodopoju

pachnie biedą sokiem palmowym
ufnością i pogodzeniem

w prawdziwym raju mahoniowy Adam zapodał mi drewniane jabłko

nie do zgryzienia

### Biesy Czady i Wiara

drewniane cerkwie w Bieszczadach
zawsze z sobotą gdzie wiara
czekając na Mszę pieśń nuci

cierpliwa woda wyrzuca

co zatopiła Solina
bo przecież wszystko wypływa
pomimo wielkiej zapory

ktoś rzeźbi w wrotach złowionych
nowe bieszczadzkie anioły

*Zdzisławowi Pękalskiemu*

---

Dorota Czerwińska – urodzona 24 października 1968 roku w Warszawie, gdzie mieszka i pracuje do dziś. Nauczycielka i terapeutka. Jej wiersze ukazały się w wielu Herbasencjach, w Tea Booku, Nowych Myślach, Post Scriptum, Helikopterze oraz w ogólnopolskich pismach literackich elewator, Migotania, Afront i Akant, a także w almanachach „Spiętrzenie" i w XXI Agonie poetyckim „O wieniec Akantu". Można je też odsłuchać w Poczcie Poetyckiej Polskiego Radia Koszalin.

ESEJ

Dariusz Pawlicki

# POD NIEBEM NOCY

Czytelniku niniejszego tekstu, z pewnością, choć raz jeden, szedłeś o zmroku. Nie mam jednak na myśli sytuacji, gdy w środku nocy wysiadłeś na dworcu. A ponieważ nie było żadnej taksówki do domu udałeś się pieszo. Nie biorę też pod uwagę późnego powrotu z urodzin jednego z Twych przyjaciół. Nie, takie sytuacje nie interesują mnie (przynajmniej w tym szkicu). Chciałbym bowiem podzielić się odczuwaną przeze mnie przyjemnością ze spacerów odbywanych nocą. Pisząc „nocą" mam na myśli naprawdę noc, na przykład godzinę dwudziestą trzecią. Lecz zaraz na wstępie, aby uniknąć ewentualnych nieporozumień, zaznaczę, że chodzi mi o spacery odbywane nie tylko poza miastem, ale w ogóle poza terenami zabudowanymi.

Długie spacery nocne odbywam - najprawdopodobniej będę czynił to nadal - w bardzo konkretnym miejscu na Ziemi. Choć nie zawsze poruszam się wówczas po drogach wcześniej poznanych. Preferuję jednak takowe.

W owym przemieszczaniu się na własnych nogach w nocy, i to dla własnej przyjemności, każdorazowo moją uwagę szczególnie przyciąga ciemność i cisza. Zacznę od ciemności. A ta bardzo często wcale nie jest taka ciemna. Szczególnie wtedy, gdy niebo jest bezchmurne, rozgwieżdżone, a do tego daje o sobie jeszcze znać poświata księżyca. Nie wspominając o jego pełni. Ale i wtedy, ta niezupełna ciemność rozciąga się tylko nad głowami osób, które zamiast spać, albo oglądać nocne programy telewizyjne, wolą przebywać poza przysłowiowymi czterema ścianami. Albowiem dookoła ich, i to w bardzo niewielkiej odległości, czai się „prawdziwa" ciemność. I im dłużej w nią się patrzy, tym ona staje się mroczniejsza. Mroczność ta intensywnieje również za sprawą wyobraźni. A jeśli jest ona wybujała, może być kłopotliwa. Chociażby wtedy, gdy za każdym krzakiem bądź drzewem widzi się jakiegoś stwora, jakąś tajemniczą postać. Efektem tego mogą być nerwy naciągnięte niczym postronki. I to nie tylko w przypadku osoby o takiej wyobraźni, ale i ludzi jej towarzyszących. Osoby tak reagujące, z reguły, gdy nie będzie to konieczne, drugi raz nie opuszczą już o zmroku swego mieszkania lub domu. Wyruszą natomiast ci, między innymi piszący te słowa, dla których lustrowanie poboczy pogrążonych w ciemnościach, będzie tylko dodatkiem. Dodatkiem do głównych atrakcji, jakie przynosi nocne spacerowanie (będzie o nich jeszcze mowa).

Oczywiście niepokój towarzyszy każdemu, kto znajdzie się w nocnej scenerii. Różne jedynie są jego poziomy.

Drugim ważnym elementem scenerii związanej z poruszaniem się nocą dla własnej przyjemności, jest cisza. Jest ona jednak tego rodzaju, że każdy dźwięk, który z rzadka się rozlega, nie zakłóca jej, lecz ją podkreśla, zwraca na nią uwagę. Z kolei ona sama uwypukla dźwięki dające o sobie znać, z różnym natężeniem, i w różnych sytuacjach.

A tych rejestruje się w nocy o wiele mniej. Dlatego przede wszystkim, że między świtem a zmierzchem, zdolności człowieka do hałasowania są wykorzystywane (na szczęście) w niewielkim stopniu. (Za dnia sytuacja w tym względzie przedstawia się diametralnie inaczej.) Natomiast w ciemnościach możemy, co najwyżej, usłyszeć przejeżdżający pociąg lub samochód, pojedynczy strzał bądź kilka, który rozlegnie się za sprawą myśliwego zaczajonego na ambonie stojącej na skraju lasu. I cóż więcej?

Ale dźwięki nocne są inne niż te dzienne. Ich inność wynika z tego, że słyszymy wówczas więcej takich, których źródłem jest natura. Często zresztą one dominują. Plusk wody w strumieniu będzie słyszalny z większej niż normalnie odległości, tak jak i szum lasu (noce najczęściej są jednak bezwietrznie), trzask gałęzi łamanych przez jeleniowate, łosie, albo dziki. Rozlegać się też będą pohukiwania sów, popiskiwania nietoperzy.

Poza brakiem światła słonecznego i dominującą ciszą, tym, co najbardziej odróżnia noc od dnia jest prawie bezruch. Nie tylko ten będący wynikiem, lepszego lub gorszego, snu prawie wszystkich ludzi i większości zwierząt (te z nich, które nie śpią, wolą jednak pozostać niezauważonymi). Lecz przede wszystkim z racji dominującej bezwietrzności. Ona zaś czyni nieruchomymi, chociażby, drzewa, łany zbóż.

Lecz nieruchomość otoczenia sprawia z kolei, że gdy wzrok przyzwyczai się już do ciemności, zwraca się uwagę na wszelki ruch, jaki dokonuje się w jego zasięgu. Wtedy właśnie okazuje się, że bezruch jest pozorny, jest iluzją. Ma się bowiem, raz po raz, do czynienia z jakimś przemieszczeniem. Na przykład wtedy, gdy coś czarnego przesuwa się na jaśniejszym tle. Może to być, poruszający się szybko i w charakterystyczny sposób, błonoskrzydły nietoperz (jego pojawienie się, z racji przypisywanych mu w niektórych kulturach związków ze światem magii, złymi mocami, może wywołać dodatkowe emocje). Niewykluczone, że na drodze pojawi się jakiś duży zwierz. Po kilku chwilach może okazać się, że to łoś wędrujący ku pobliskiemu bagnu.

W rozgwieżdżone noce, przejawy ruchu można także zauważać na niebie. Widzi się wtedy kolorowe światła lecących wysoko samolotów. A także białe światła sputników okrążających, na jeszcze większych wysokościach, Ziemię. Można także zaobserwować spadające gwiazdy. Odnośnie gwiazd  doznania będące rezultatem ich obserwacji, ulegają wzmocnieniu, gdy zna się ich nazwy, jak też nazwy ich grup i konstelacji. Jeszcze lepiej, gdy nazwom towarzyszy znajomość kryjących się za nimi spraw, zarówno tych ludzkich jak i boskich. Dla przykładu, Perseusz, nim użyczył swego imienia gwiazdozbiorowi, był greckim herosem, założycielem Myken, pogromcą straszliwej Meduzy; tym, który przed potworem Ketosem uratował Andromedę, która została jego żoną. Z kolei Plejady to „grupa 7 nimf i uosobienie konstelacji o tej samej nazwie, siedmiu małych gwiazd w gwiazdozbiorze Byka, widocznych od połowy maja do końca października. Ich ukazanie się oznaczało w dawno minionych czasach początek, a zajście  zakończenie sezonu morskich podróży; są córkami Atlasa i okeanidy Plejone. Należą do nich: Alkjone,

Asterope, Elektra, Kalejano, Maja, Merope i Tajgeto. Ich przyrodnią siostrą jest Kalipso. Plejone i jej siedem dziewiczych córek przez całe lata prześladował opętany miłością myśliwy Orion, aż Zeus, jego i wszystkie te kobiety, przeniósł na nieboskłon (...), gdzie dalej toczy się bezskuteczne polowanie"[1].

Wielki Wóz tworzą najlepiej widoczne gwiazdy w konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy, która na naszym niebie jest widoczna przez cały rok. A nazwa owego gwiazdozbioru nawiązuje do nimfy Kallisto. Z zazdrości, że Zeus uwiódł Kallisto, Artemida lub Hera (mity greckie nie prezentują jednej wersji) zamieniła nimfę w niedźwiedzicę, którą następnie zabiła. Zeus przeniósł Kallisto i jej syna, obrońcę niedźwiedzi, na nieboskłon, jako właśnie gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy. „Ogon" owego niedźwiedzia stanowi równocześnie dyszel wspomnianego Wielkiego Wozu.

Horapollon na temat gwiazd głosił następujący pogląd:

„Widać je w nocy, więc związane są z jej ideą; z racji wielkiej liczby – z ideą mnogości; z racji rozmieszczenia – z ideą ładu i przeznaczenia"[2].

Jeśli mowa o wierzeniach dotyczących nocy, to napomknę, że Grecy uważali, iż poprzedzała ona stworzenia wszystkich rzeczy. A Hezjod określił noc mianem matki Bogów.

Czyż we współczesnym człowieku nie wywoła zdziwienia, choćby niewielkiego, informacja, że w starożytności gwiazdy uważano za „istoty rozumne troszczące się o świat, stąd gwiazda stała się synonimem mądrości"[3]. Konsekwencją tego poglądy są wierzenia ludowe dotyczące przekonania, że „każdy człowiek ma swoją gwiazdę na niebie, która pojawia się przy jego urodzeniu i gaśnie po śmierci, co znajduje odbicie w wyrażeniach: Jego gwiazda zbladła, moja gwiazda jeszcze nie wzeszła, on jest gwiazdą pierwszej wielkości"[4].

Wiek swój mają nie tylko gwiazdy, ale i ich nazwy. Nazwy zarówno gwiazdozbiorów jak i tworzących je gwiazd. Tyle, że wiek gwiazd, jak i innych ciał niebieskich, liczy się w milionach lat, a istnienie nazw to kwestia jedynie wieków (zresztą współcześnie najczęściej w grę wchodzi kod cyfrowy). Lecz czy gwiazdy byłyby tym samym, gdyby były pozbawione nazwy? Wątpię. Nazwa bowiem wyróżnia, także wzbogaca. Świadczy też o sile wyobraźni nazywającego.

W niejednym spacerowiczu widoki nieba usianego licznymi jasnymi punktami, wywołują marzenia o dalekich podróżach, o poznawaniu innych krajów. Mogą także skłonić do podjęcia rozważań na temat istnienia bądź nie, cywilizacji pozaziemskich. Lecz w wielu osobach spotęgują uczucie zadowolenia z tego, że czują pod nogami twardy grunt, że przebywają w miejscu, które, jakby nie było (w dziennym świetle wygląda on jednak inaczej), znają i uważają za swoje miejsce na Ziemi pod nocnym niebem.

Sprawa miejsca, w którym odbywa się nocny spacer, jest ważna chociażby ze względów praktycznych. Przemierzanie dróg i ścieżek, których nie poznało się wcześniej za dnia, może być kłopotliwe w mroku. I to z wielu powodów. Natomiast, kiedy są one znane, nie trzeba poruszać się z dużą ostrożnością. Można wtedy odbierać więcej rozmaitych bodźców. Tych zaś, wbrew pozorom, noc nie dostarcza mniej niż dzień. Rzecz tylko w tym, czy jest się nastawionym na ich odbieranie.

Miejsce, w którym odbywam nocne spacery obejmuje niewielki skrawek północnowschodniej części Puszczy Augustowskiej, jak też przylegające do niego pola i łąki, pośród których rozrzucone są liczne zagajniki i niewielkie bagna. Na to miejsce składają się też trzy nieduże wsie o rozrzuconej zabudowie. Przemieszczam się po przecinających ten teren piaszczystych drogach.

Ów punkt na Ziemi jest mi dobrze znany. Wędrując o zmroku, nie muszę więc obawiać się, że pomylę drogę.

Obecność drugiej osoby zwiększa poczucie bezpieczeństwa. Gdy do tego jest to ktoś, kogo lubimy, spacer staje się jeszcze większą przyjemnością. Ów ktoś zyska kolejny plus, kiedy będzie także ciekawym rozmówcą. Lecz w przypadku osób bojaźliwych, konwersacja, bez względu na to jak ciekawa, zostanie potraktowana, jako sposób na zagłuszanie/oddalenie od siebie niepokoju, niekiedy wręcz strachu. W innej zaś sytuacji za plus zostanie uznany brak potrzeby mówienia. A cisza wówczas trwająca pomiędzy spacerowiczami zyska ich uznanie. Z tym, że mam na myśli ciszę, która nie ciąży, „nie domaga się" przerwania.

Bodźce, jakie docierają, jak i to czy idzie się w pojedynkę, czy w towarzystwie jednej osoby albo większego grona, wpływają na inność każdego ze spacerów odbywanych nocą (bodźce owe nie odgrywają takiej roli w dzień). Idąc samotnie jesteśmy bowiem skupieni, przede wszystkim, na otoczeniu, poświęcamy mu szczególną uwagę. Idąc z kimś, jesteśmy, choćby trochę, ale jednak nim zaabsorbowani.

Tematyka rozmów prowadzonych w nocnej scenerii, może nie mieć absolutnie żadnego z nią związku. Bardzo często jednak ma. Bo czyż nie jest to wymarzona sceneria, przynajmniej dla niektórych, do opowiadania historii, w których występują postacie nie z tego świata. Inni z kolei nie życzą ich sobie (w takich przypadkach pojawiają się zdecydowane protesty). Jeśli już, to w sprzyjających okolicznościach, czyli w czterech ścianach, z możliwością maksymalnego rozjaśnienia wnętrza, i to w każdej chwili.

Za słowem „spacer" kryje się chodzenie, przemieszczanie się. Ale spacerowanie, także to nocne, nie wyklucza w nim przerwy. Także takiej jak zajęcie miejsca siedzącego. I to wcale nie ze zmęczenia, ale, na przykład, dla dłuższego podziwiania jakiegoś widoku. Przy sprzyjającej pogodzie, z pewnością nie będzie ich brakowało. A wygoda sprzyja skupieniu się na odbieraniu przyjemnych bodźców, także tych wzrokowych.

Obiektem na nocnym niebie, budzącym największe zainteresowanie, jest Księżyc. Lecz obserwowanie tego satelity Ziemi jest czymś innym, kiedy wie się, przykładowo, że „plamy na Księżycu uważane były nieraz za blizny po walce z potworami, ale najczęściej widziano w nich postać ludzką: człowieka opisanego w Biblii (Num. 15, 32-3), który w puszczy zbierał drwa w dzień sobotni, za co Bóg kazał go ukamienować; starą babę z koszem na plecach lub tkającą, albo zajętą przędzeniem; w czasach antycznych rozpoznawano tam Endymiona[5], w średniowieczu – Judasza lub Kaina z wiązką cierni, w Polsce pana Twardowskiego. Ze zwierząt widywanych na Księżycu najpopularniejszy był królik"[6]. Tematem do rozmyślań może być i ten cytat:

„Księżyc pojmowany był niekiedy, zwłaszcza przez starożytnych Egipcjan i Greków, jako siedziba dusz zmarłych znanych ludzi, a przez gnostyków jako statek wiozący dusze"[7].

Wspomniane walki z potworami, każdorazowo przegrywane przez satelitę Ziemi, tłumaczyły jego nieobecność na nieboskłonie przez trzy dni w każdym miesiącu. Księżyc był bowiem pożerany, przez któregoś z potworów. Ale zawsze, na skutek... wymiotów, wydostawał się z jego żołądka, albo też potwór był zabijany przez jakieś niebiańskie istoty. Następnie księżyc był ożywiany przez nie.

Może się jednak zdarzyć, że ujrzymy tarczę Księżyca (nigdy jednak wtedy, gdy przybierze ona kształt sierpa) zabarwioną na intensywny kolor czerwony. Z całą pewnością trudno będzie wówczas mówić wyłącznie o podziwianiu. Jego kolor wzbudzi też niepokój. A jeżeli satelicie Ziemi przybranemu w czerwień, towarzyszyć będzie deszcz meteorytów, a nieco wcześniej lub nieco później będzie mieć miejsce zaćmienie Słońca, to najwyższa pora zacząć myśleć o sprawach ostatecznych. Będzie to bowiem zapowiedź katastrofy. O tym właśnie mówią nst. słowa:

„[…] gdy zdjął szóstą pieczęć, że powstało trzęsienie ziemi i słońce pociemniało jak czarny wór, a cały księżyc poczerwieniał jak krew" (Obj. 6, 12).

Lecz Księżyc, i to od bardzo dawna, uważany jest za opiekuna tęsknot, uczuć, myśli, nie wspominając o snach i marzeniach sennych. Łączy się z tym także jego wpływ na wyobraźnię i natchnienie poetyckie. Ale jeśli chodzi o zdolność tworzenia w myślach różnych obrazów, opowieści itp., to pobudza ją niezmiernie już sama ciemność. Skoro niczego nie widzimy, to oczami wyobraźni zaczynamy stwarzać rozmaite na przykład tajemnicze istoty. Ich liczba, kształty, zamiary wobec nas, w znacznej mierze zależą od przeczytanych przez nas książek, obejrzanych filmów, zasłyszanych historii. Tak, inność świata ciemności w porównaniu z obrazem świata widzianego za dnia, dla ogromnej większości ludzi jest niezmiernie silnym impulsem. Lecz to dotyczy sytuacji, gdy nocy poświęcimy trochę więcej uwagi. Chociażby w taki właśnie sposób, że opuścimy cztery ściany.

*

Nocny spacer, odbywający się niedługo po godzinie drugiej, w wiejskiej posiadłości w Anglii, opisuje Susan Hill w powieści *Ptak nocy* [8]:

„[...]. Weszliśmy do parku, który okalał dom z trzech stron i zajmował dwadzieścia akrów. Zostawialiśmy za sobą ślady butów, połyskujące jak dróżka ślimaka.

Nie było zimno, noc była zupełnie bezwietrzna, powietrze suche, o dziwnie słodkim zapachu. Kasztany i buki stały w parku nieruchome, a śnieg obrysowywał kontury ich rozpostartych, chudych ramion. Skrzypiał nam lekko pod stopami.

[...] Byliśmy w samym środku parku. Po chwili ciszy dał się słyszeć lekki, miarowy trzepot skrzydeł, jakby buczenie powietrza wprawionego w wir.

Zobaczyliśmy puszczyka lecącego ku nam tunelem między drzewami. Białe pióra na jego głowie tworzyły jakby hełm, po obu stronach haczykowatego dzioba widać było olbrzymie oczy. Gdy nas mijał, rozglądając się wokół, tymi wielkimi oczyma, wydał z siebie niski, gardłowy dźwięk, niemal jęk, a potem, gdy zawrócił w naszą stronę, rozległo się w powietrzu długie, głuche pohukiwanie […]".

W *Ślubie konwersacji* [9], dzienniku Thomasa Mertona, obejmującym zapiski z lat 1964-1965, pod datą 30 listopada (1964) został dokonany m. in. taki zwięzły zapis:

„Noc. Zero stopni. Gdy idę ścieżką przez las, zamarznięte liście chrzęszczą pod moimi stopami jak szkło".

Naszą uwagę przykuwają rozmaite sytuacje, zdarzenia. Przede wszystkim oczywiście te, które są nietypowe, albo noszą znamiona takowych. Choć wielokrotnie zdarza się, iż te typowe, przynajmniej po jakimś czasie, okazują się nimi nie być.

Takie nocne wędrówki, czy spacery po miejscach poznanych już wcześniej bądź →

stale przemierzanych, mogą służyć przywoływaniu wspomnień. Tak jak czyni to Jarosław Iwaszkiewicz w końcowej części autobiograficznego opowiadania *Ogrody*[10]:

„[...] Z tego miejsca rzucam spojrzenie na dom. Zawsze przypominam sobie moment, gdy tak wracałem od stawu szóstego września 1939 roku, bardzo późno w nocy, i tak patrząc na dom myślałem: zaraz wyjadę, ale czy wrócę?"

Podczas spaceru możemy zobaczyć też coś, co upewni nas, że przynajmniej w tej chwili, wszystko jest na swoim miejscu. I nasz świat wciąż trwa. W przypadku Iwaszkiewicza, jego świat, w bardzo konkretnym okresie jego życia i w równie konkretnym miejscu na Ziemi, współtworzył stary koń, wspomniany pod sam koniec owych *Ogrodów* nst. słowami: „[...] czasem z cienia nocy wynurza się jeszcze i teraz cień Siwka. Siwek jest zwyczajnym zabiedzonym koniem, jedyną sztuką inwentarza, która mi została.

Jest bardzo stary i już nie może robić. Co wieczora jednak urywa się od żłobu i w nocy wychodzi na spacer jak ja. Krąży niespokojnie po ogrodzie, stara się wyjść na szosę, bo szosa jest obsiana lepszą trawą, ale w cieniu przemienia się, robi się jak gdyby młodszy, bielszy i staje się podobny do pegaza. Gdy go psy zaatakują, albo spokojnie odchodzi na bok, albo odbiega galopem. I wtedy w cieniu nocy jego oddalający się galop ma coś z jesiennej ballady. Wtedy psy – oba czarne – wracają do mnie".

Ogromna większość ludzi ze światem nocnym kontakt ma sporadyczny i zdawkowy. Jeśli szanowny czytelniku dotarłeś do końca mego tekstu, a jest noc i nie otacza cię ludzka termitiera, może wyjdziesz na spacer? Zachęcam Cię. Chyba, że już to uczyniłeś… przerywając lekturę.

***Dariusz Pawlicki***

*1 Gerhard J. Bellinger, Leksykon mitologii. Mity ludów i narodów świata; Muza SA, Warszawa2003.*
*2 Juan Eduardo Cirlot, Słownik symboli; Znak, Kraków 2012.*
*3 Władysław Kopaliński, Słownik symboli; Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2006.*
*4 tamże.*
*5 Endymion – piękny, młody grecki pasterz. Zeus, spełniając jego prośbę, zesłał na niego wieczny sen, gdyż chciał on pozostać wiecznie młody; ukochany Selene, bogini Księżyca, która odwiedza go co noc, lecz nie potrafi obudzić.*
*6 Władysław Kopaliński, Słownik symboli.*
*7 tamże.*
*8 Susan Hill, Ptak nocy; Czytelnik, Warszawa 1978.*
*9 Thomas Merton, Ślub konwersacji. Dziennik 1964-1965; Zysk i S-ka, Poznań 1997.*
*10 Jarosław Iwaszkiewicz, Ogrody, w tegoż: Ogrody; Czytelnik, Warszawa 1974.*

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Grzegorz Borowiec

## Brakuje sił żeby zatrzymać

Wyrwali z samego rana
nie dali się ubrać
dokończyć listy zakupów
nakarmić i pożegnać się z kotem

Po schodach po szkle
ściągali nie patrząc na krew
wyzwiska nie pomagały
po prostu jedno mięso
transportowało drugie
jeszcze żywe

Bezsens

Nie tak dawno przecież byli
pewnie w podobnym miejscu i strachu

## Stały kurs z piekła A do piekła B

Po drodze jadą ile fabryka dała
resztki ubrań i skóry naciągnięte na kości
w skrzyniach z płyty wiórowej
i tak dwadzieścia ciężarówek
tylko z tym
do spalenia
do wysypania w dół
do zapomnienia

Szoferki wyłożone żarem
tlą się razem z kierowcami
jest ciepło jest ból
nieustanny absurd
stały kurs
z piekła A do piekła B

## Trzęsę się

Przewracam się z boku na bok
wyłączenie głowy nie przychodzi
mimo że noc przykleiła się już do podłogi
na ściany i na oczy

Usycham z powodu pracy
drobnych kłótni lenistwa
niedoskonałości które zbieram
i nie mogę na nich zasnąć

Telewizory i latarnie o tej porze
grają tylko powtórki
a we mnie w środku
nowe szaleństwa wstają i umierają
strach żyje w nieskończoność

## Otacza mnie chłód

Stare znicze wyrzucone
wygrabiłem też wokół pomnika
i pozbierałem liście

Ręce brudne od ziemi
jak dwadzieścia lat temu
kiedy domykałem trumnę
po raz pierwszy

Otacza mnie chłód
rozczarowanie
ale
nie zamarzam

Po tych wszystkich podtopieniach
kałużach krwi zachodzę w głowę
czemu nie leżę już zimny
obok Ciebie

## * * *

Tabletka gorzka
mała
wpada do żołądka
czeka na rozmiękczenie

Głowa spada
jest lekka
wszystkie rzeczy dźwięki
za szybą

Przez drobny czas
spokój
przez drobny czas
poczytalność

PROZA

Aleksiej Batałow

# DWA DZIECIŃSTWA BAJKI I LEGENDY

**Fragment pochodzi z książki Aleksieja Batałowa „Sud'ba i riemiesło"[1]**

Wojna powywracała nam życie, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Podobnie pokolenie urodzone w 1928 roku i to urodzone nieco wcześniej na zawsze zostały naznaczone jej ognistym piętnem. Dla jednych była to okupacja albo na ręce obozowy numer, dla innych głód albo sieroctwo, a dla kogoś - utrata bliskich. Nawet ci z moich rówieśników, którzy przeżyli wojnę gdzieś w głuszy, w głębi Rosji, ciągle noszą to wojenne znamię. (...) Chociaż dla dorosłych wciąż jeszcze byliśmy dziećmi; tamtymi dawnymi chłopcami i dziewczynkami, to jednak nasze dzieciństwo, a właściwie, to co składało się na pewien styl życia w czasie pokoju, pękło jak sucha gałąź i nagle znaleźliśmy się na ziemi w obliczu dorosłych kłopotów, tragedii i zmartwień. Właśnie dlatego te moje kalendarzowe dziecięce lata, tak zdecydowanie rozpadły się na części. Jedna - świetlista, szczęśliwa; wychuchana przez dziadków i babcie, w radosnym oczekiwaniu lata na wsi lub śniegu w Moskwie, a także ta druga - przepełniona nieustającym strachem, ciągłą zmianą miejsc, zapachem nafty i tym najważniejszym - zimnem, które przenikało ze wszystkich stron; przez zamarznięte okna, przez wszelkie szczeliny, przenikało przez ubranie i dziurawe buty. Jednak oczekiwanie ciepła było tak wyczerpujące, że gdy na koniec do nas - ewakuowanych - przychodziło lato, nikt już nie miał ani sił, ani chęci na nie. To nasze pierwsze dzieciństwo, tak jak u wszystkich, nie miało początku i bardziej pamiętamy je z opowiadań świadków, niż własnych przeżyć. Natomiast doskonale zapamiętaliśmy w którym momencie tak nagle się skończyło. Był to dzień ewakuacji.

Tamtego ranka zebrano nas i wystawiono razem z tobołkami i walizami na podwórze, gdzie mieliśmy czekać na wyjazd. To drugie dzieciństwo, w przeciwieństwie do pierwszego, ma dokładną datę, zaczęło się właśnie na tamtym podwórku w 1941 roku i ciągnęło przez nie kończące się wojenne dni, zginęło nie wiadomo gdzie, jak stare zabawki, które powoli zamienialiśmy na zdobyczne gilzy, noże i pistolety.

Najpierw, gdy znaleźliśmy się w tłumie, który dokądś podążał, ogarnął nas strach, że możemy się zgubić pomiędzy uszkodzonymi pancernymi pociągami albo zapomną o nas na jakiejś stacyjce. Ale później, w miarę, jak przetaczał się ten niepowstrzymany potok wściekłej ludzkiej masy, już od tamtego dnia coraz częściej zdarzały się sytuacje, że zmuszeni byliśmy grać role dorosłych i dlatego trudno teraz powiedzieć, w którym właściwie momencie skończyło się dzieciństwo i gdzie granica, za którą zaczęło dorosłe życie. (...)

W tym pierwszym dzieciństwie był MChAT[1] i należące do niego podwórze, a na nim, gdzie nie spojrzysz, dekoracje, praktykable, malowane kulisy i wietrzące się kostiumy. Zawsze było tam mnóstwo ludzi; aktorzy, malarze i różni pracownicy teatru. To był czas, gdy cały nasz klan był na miejscu; tata (wtedy jeszcze „Atałow"), mama (Olszewska[2]), ciocia Lila (Androwska), wujek Kola (Batałow), ciocia Musia (Szczerbinina), ciocia Zina (Batałowa) i wujek Witia (Stanicyn). Na tym podwórku byli nie dlatego, że stanowili rodzinę, a dlatego, że większość z nich była aktorami tego teatru.

W tym drugim dzieciństwie też było podwórze należące do teatru, i też byli aktorzy, ale z całej rodziny byliśmy tam tylko ja i mama. Natomiast w miejscu, gdzie powinny leżeć dekoracje leżały jakieś skrzynki, stare błotniki; różny niepotrzebny chłam przerabiany przez nas na potrzeby spektakli.

- Chłopcy z Bugulmy[3] z piskiem kręcą się wokół sceny, włażą pod kulisy, a ja pomagam mojemu nauczycielowi naprawiać wszystko, co może się przydać; zbijam elementy dekoracji, maluję ekrany, do obdrapanych krzeseł przybijam oparcia ze sklejki. Mój mentor i nauczyciel, to fachowiec, a w tej grupie jedyny pracownik fizyczny. Jest inwalidą, pracuję razem z nim, ale ciężkie rekwizyty pomagają nosić aktorzy. Na scenie zimno i prawie ciemno, ale pomimo to trwa prawdziwy spektakl. Mama obiecuje, że gdy będą grali Ostrowskiego, pozwoli mi zagrać kelnera. Słowa całej sztuki, nie tylko swoją rolę, już umiem. W ogóle, to wszystko, co jest grane w naszym teatrze znam na pamięć. Przecież w czasie wszystkich prób jestem za kulisami; w trakcie sztuki są potrzebne efekty dźwiękowe, trzeba podawać rekwizyty, a także zasuwać i rozsuwać kurtynę. Mama przez długi czas nie chciała wypuścić mnie na scenę. Byłem pracownikiem fizycznym, rekwizytorem, dekoratorem, robiłem wszystko co było trzeba, ale tylko za kulisami. W dniu przedstawienia paliłem w piecach, rozstawiałem ławki, napełniałem naftą lampy i to właśnie ja dawałem sygnał do rozpoczęcia spektaklu z całej siły potrząsając starym, zardzewiałym dzwoneczkiem. W krótkim czasie, całkiem dla mnie niezauważalnie, to przypadkowe zbiorowisko głodnych ludzi zamieniło się w realny teatr. Pojawiły się afisze, bilety, dekoracje i repertuar. Właśnie tam, w Bugulmie, miałem szczęście po raz pierwszy być obecnym przy powstawaniu prawdziwego teatru i od pierwszego dnia brałem udział we wszystkim co było z nim związane. Nawet pierwsze zebranie trupy składającej się z artystów podobnie, jak moja matka ewakuowanych do Bugulmy, odbywało się w naszym pokoju. W lampie naftowej, bez szklanego klosza, knot palił się, drgał i kopcił. Wszyscy mówili przyciszonymi głosami, by nie obudzić gospodarzy i dzieci, moich młodszych braci[4]. Mama i profesor Bekman-Szczerbina siedziały na taboretach, pozostali, gdzie kto mógł, także na brzegach naszych łóżek. Zasnąłem nie podejrzewając, że tej nocy aktorzy zadecydowali o moim losie. (... )

Tak było w Bugulmie. Później był Instytut Sztuki Teatralnej i wspaniali wykładowcy. Graliśmy przed Olgą Czechową-Knipper i Kaczałowem, a naszymi wykładowcami byli; Stanicyn, Blinnikow, Moskwin. Była to surowa, bardzo pryncypialna Szkoła Stanisławskiego, znana ze wspaniałych spektakli; tzw. „Złoty Okres teatru MChAT". Ale do czasu, gdy zacznę się uczyć w tej szkole za plecami będą już dziesiątki spektakli z Bugulmy i cała teatralna praktyka[5]. (...)

Właśnie wojna i ewakuacja, rzucając nas do tego miasteczka darowała mi teatr (kierowała nim mama). Umęczeni ciągłym stresem ludzie zbierający się wieczorami po obu stronach rampy i te w trudzie rodzące się spektakle otworzyły przede mną tajemne drzwi, za którymi, jak niebieski ptak, ukryta była odwieczna moc, potencjał każdego teatru. Przemarznięta lodowatym chłodem sala zaczynała z dnia na dzień zapełniać się zdecydowanie nie odświętnymi, zziębniętymi widzami, ludźmi o surowych, zmęczonych twarzach. Okazało się, że ci oparci na szczudłach, w gipsie, w bandażach, oglądający ogień i śmierć ludzie z jakiegoś powodu czują potrzebę przychodzenia tutaj w mroźne wieczory, by wstrzymując ostry męczący kaszel pokornie śledzić, to co dzieje się na biednej, bóg wie czym, przyozdobionej scenie. Wszystko tutaj było na tyle prawdziwe i poważne, że szybko, to poprzednie dzieciństwo utraciło jakąkolwiek więź z rzeczywistością, zamieniając się w coś na podobieństwo słodkiego snu.

W związku z tym, że moim ojczymem został Wiktor Jefimowicz Ardow jeszcze przed wojną znalazłem się w domu, w którym oprócz znanych mi przyjaciół mamy z MChAT-u byli także aktorzy estrady, malarze, i obowiązkowo pisarze. Dorośli, tak jak mogli, wymieniając się, zabawiali nas recytacjami, grami, opowiadaniami. Wyglądało to tak, jakby rolę Ariny Rodionownej [6] przejmowali przeróżni ludzie. Tak też było pewnego wieczoru w mieszkaniu Pietrowów. Gdy tylko goście usiedli przy stole zaczęto wysyłać nas spać, ktoś tam został odprowadzony do babci, a mnie i mojego serdecznego przyjaciela Pietkę zwabiono do na w półciemnego pokoju obiecując bajkę. Niezbyt entuzjastycznie odnieśliśmy się do tego, znając już wybiegi naszych rodziców. Do uspokojenia dzieci tym razem odkomenderowany został Michaił Zoszczenko[7]. Gość, który dopiero co przyjechał i którego nie znaliśmy, wszedł do pokoju, przymknął drzwi i usiadł pomiędzy łóżkami. Długo siedział milcząc. Pomyśleliśmy z Pietką, że rodzice odesłali do nas, to co mieli bezwartościowego, ale przez delikatność cierpliwie czekaliśmy. W naszym cichym pokoju słychać było, jak świetnie bawią się dorośli. Patrząc na gościa uczesanego starannie, z przedziałkiem, z dokładnie zawiązanym krawatem i dokładnie dopasowanym garniturem spodziewaliśmy się raczej nudnej opowieści budowanej wokół jakichś postaci historycznych. Na koniec, kierując spojrzenie w kąt pokoju, przymykając powieki i przybierając absolutnie poważny ton Zoszczenko zaczął mówić. Właściwie nie była to ani bajka, ani nawet opowiadanie, ale coś w czym udział brali wszyscy siedzący przy stole w sąsiednim pokoju. Zaczęliśmy chichotać, a im bardziej fantastyczna i śmieszna stawała się opowieść, tym poważniejsza robiła się twarz opowiadającego. Już po kilku minutach dusiliśmy się ze śmiechu, a dorośli zostawiając kolację zaczęli z zazdrością do nas zaglądać. Michaił Michajłowicz nie odwracając się w kierunku drzwi, wstał i domknął je niewzruszony kontynuując opowieść. Po wielu latach znalazłem tę „naszą bajkę" w maleńkim opowiadaniu o chłopcu, którego kochająca matka ubrała tak, że dwie nogi znalazły się w jednej nogawce. Chłopiec przewracał się, nie potrafił stanąć, a matka w panice, nie próbując dojść przyczyny, pobiegła do lekarza i dopiero tam wszystko się wyjaśniło. Już po wojnie zdarzyło mi się dorosłe spotkanie z Zoszczenką, ale jeszcze wcześniej ta historia przyszła do mnie w Bugulmie. A od tamtego wieczoru (z Pietką) wszystko uległo zmianie. Nastała głodna zima. Najpierw wysłano nas do Kazania, później zimnym jak lód wagonem towarowym do

Swierdłowska, stamtąd do Ufy i na koniec do Bugulmy. Latem ojciec Pieti, Jewgienij Pietrow zginął na froncie i już nic nas nie łączyło z dziecięcym pokojem i bajkami. Teraz, gdy parterowe miasteczko nafciarzy dawno już spało, po spektaklu, razem z dorosłymi wracałem pustymi zawianymi śniegiem ulicami. Bez względu na to, jak było późno piliśmy z mamą herbatę, a jeszcze później w zimnej sieni, w tajemnicy, paliłem ukradkiem skręta, ukradkiem, ale z poczuciem własnej wartości, bo w tym czasie oprócz wynagrodzenia ucznia dostawałem także zupełnie dorosłe kartki pracownicze.

W naszym zespole teatralnym najbliższy mi wiekiem był młody aktor Tola Rotenstein. Byłem jak jego ogon i przy każdej nadarzającej się okazji dawałem dobre rady. Znosił to dzielnie, jak mógł wspierał różne moje pomysły, głównie dlatego, że podczas spektakli to ja służyłem wiernie i jemu, i scenie. Role jakie grał Tola, jego niezależność, popularność, były powodem mojej skrywanej zazdrości, ze szczególną uwagą i ciekawością obserwowałem jego pracę. W jednym ze skeczy Tola grał pijanego Niemca zatrzymanego nagle nocą przez partyzantów. Mnie przypadła niema rola partyzanta. Najśmieszniejszy był finał, gdy Niemiec miotając się w ciemności usiłuje odnaleźć wyjście. Ten fragment pantomimy buduje cały satyryczny numer, który niezawodnie wszędzie wywoływał śmiech i oklaski, ale grany w szpitalach wojskowych przy świetle dziennym tracił swoją moc. Podium było maleńkie, szeroką ławę zastępowały dwa krzesła, drzwi i okien brak, więc scena wypadała słabo. Zależało mi na powodzeniu skeczu. Wszystko, co tylko mogłem, taszczyłem na te występy, żeby tylko odnieść sukces; zasłony okienne, wiadra, czajniki, nic nie pomagało. Aż pewnego razu w czasie przedstawienia olśniło mnie, to było prawdziwe reżyserskie objawienie, które z zakamarków pamięci wyciągnęło tamtą nogawkę. Przypomniałem sobie opowieść Zoszczenki i pojawiło się długo oczekiwane rozwiązanie. Tola zgodził się urzeczywistnić mój wspaniały pomysł. Podczas następnego koncertu skecz grany był w jakiejś stołówce, a za scenę służyły dwa krzesła stojące obok okienka do wydawania posiłków. Teraz Niemiec jeszcze w półśnie wkłada obie nogi w jedną nogawkę, próbuje wstać - pada - na sali oklaski, śmieją się ranni, śmieją siostry, a uskrzydlony Tola już w drugą nogawkę wsuwa rękę i nagle wyrywa, jakby tam była mysz. I wtedy okazuje się, że jednak można, że mamy komizm. To było tych kilka sekund, gdy tam, w stołówce, zakosztowałem słodyczy reżyserskiego rzemiosła. Pękałem z dumy z powodu pierwszej i z pewnością najradośniejszej reżyserskiej realizacji. Tam śmiali się okaleczeni, ale niezłamani wojną żołnierze, śmiali się z wroga, który w tamtym czasie był

silniejszy, bogatszy i szczęśliwszy od nich.

Gdy w 1945 wróciłem do Moskwy i spotkałem przyjaciół z podwórka; pierwsze, co rzucało się w oczy, to zadziwiająca przemiana, jaka zaszła w tym czasie w każdym z nas. Poznawaliśmy się od nowa; grubas, nazywany przez nas burżujem był teraz chudy i długi, inny, zawsze dokładnie wymyty i układny, zmienił się w obdartego, rozczochranego chuligana. Ja z ubrań przedwojennych wyrosłem, a to co zostało sprzedaliśmy pierwszej wojennej zimy. Chodziłem teraz w płaszczu wojskowym, wojskowych butach, spodniach marynarskich, a w kieszeniach były papierosy. Spotkaliśmy się już inni i teraz czekało nas przystosowanie się i do siebie, i do tego nowego, nieznanego nam życia, które na koniec miało się zacząć w prawdziwym domu. W naszą szkołę - do dziś stoi na wprost Galerii Tretjakowskiej, ale teraz jest szkołą dla dzieci wybitnie uzdolnionych – uderzyła bomba. Prawe skrzydło oderwało się i upadło dokładnie w to miejsce, gdzie znajdował się stół nauczyciela, nienaruszona pozostała ściana wewnętrzna z czarnymi tablicami. Przed wojną uczyliśmy się na pierwszym piętrze, dlatego ta nasza tablica długo jeszcze wisiała spoglądając wprost na ulicę. Zimą śnieg zdobił jej ramy, a w ciepłe deszczowe dni powierzchnia błyszczała jak lakierowana. Tak zakończyło się nasze dzieciństwo, na drugie nie było już czasu.(…) Teraz oglądając się na nie, najpierw widzę to co bliskie.

Mieliśmy w domu fotografię na której byłem ja, moja mama i Anna Achmatowa. Zdjęcie zrobione w dzień moich urodzin, ale to co na zdjęciu najważniejsze, to prawdziwy dorosły krawat, który z tej okazji został mi zawiązany. To ważny moment, utrwalone przejście z dzieciństwa do dorosłego życia. W czasie wojny to zdjęcie tułało się razem z nami, było częścią tamtego przedwojennego szczęśliwego czasu, który za każdym razem wyjmując to zdjęcie wspominałem ze ściśniętym sercem. Tamto uroczyste wejście w świat dorosłych przypadło na koniec lat trzydziestych. Ale prawda tamtych strasznych czasów przyszła do mnie dopiero z końcem wojny. Na tej fotografii, za plecami Achmatowej była już śmierć rozstrzelanego Gumilowa[8], pierwszy areszt ich niepełnoletniego syna Lowy, znikanie w Leningradzie bliskich im ludzi, było też aresztowanie Mandelsztama[9], który w moich dziecięcych wspomnieniach pozostał jako surowy wujek mieszkający na najwyższym piętrze naszego domu. We Władimirze, jedno po drugim, zostali aresztowani[10], mój dziadek i moja babcia - lekarze; znało ich całe miasto. Ich dom, w którym jak w raju spędzałem każde lato opustoszał, ale nie na długo, wkrótce pokoje zostały - dla przykładu - zasiedlone jako mieszkania komunalne. Dziadek zesłania nie doczekał. Zmarł w „słynnym" władymirskim więzieniu, babcia odbyła pełny wyrok W tym samym czasie w Moskwie został aresztowany brat babci, naukowiec, profesor Nikołaj Narbekow. W domu pozostała żona i pięcioro dzieci. Dwie siostry ze ślepą nianią, przyjechały do Bugulmy. Na tę dużą teraz rodzinę pracowała tylko moja mama. Wszyscy razem mieściliśmy się w jednym pokoju z ogromnym rosyjskim piecem na którym spała niania i jedna z sióstr. Mama, mój młodszy brat [Michaił Ardow - K.Ś.] i druga dziewczynka spali za przepierzeniem, a ja ze średnim bratem [Boris Ardow - K.Ś.] obok stołu. Tak wyglądało realne, zgodne z rzeczywistością dzieciństwo czasu wojny.

Pierwsza rola w filmie;

Uczyłem się wtedy w moskiewskiej Szkole Średniej nr 12. Nauka szła mi źle. Po ewakuacji zupełnie nie mogłem dogonić swoich kolegów, więc do szkoły chodziłem z niechęcią, natomiast cieszyła mnie każda możliwość opuszczenia zajęć. Pewnego razu w korytarzach naszej szkoły pojawili się dziwni ludzie. Dziwni dlatego, że absolutnie nie wyglądali na rodziców, ani nauczycieli, także ich zainteresowanie skierowane było nie na to, na co patrzą różnego rodzaju komisje odwiedzające szkoły. Przyprowadzano ich do klas w czasie lekcji i szybko, tajemniczo wyprowadzano na korytarz. Mimo to pod koniec lekcji w całej szkole zahuczało. Ci tajemniczy ludzie okazali się pracownikami kina! Wybierali dzieci do zdjęć! Ale na zdjęcia pozwalano brać jedynie dobrych uczniów. Następnego dnia wiadomość została potwierdzona. Nie wiem skąd wziąłem siły; cały następny tydzień zgłaszałem się do odpowiedzi. W ciągu kilku dni nauczyłem się więcej niż przez całe dotychczasowe życie. Do tej pory na lekcjach milczałem, więc teraz koledzy zaskoczeni poobrażali się na mnie. Po przerwie do klasy też wchodziłem pierwszy. Z pewnością śmiesznie to wyglądało, ale przez nauczycieli zostałem zauważony i gdy nadszedł dzień, że należało wysłać chłopców do Studia Filmowego znalazłem się w tej grupie. W domu nic nie powiedziałem obawiając się sprzeciwu rodziców. Już wcześniej nie puścili mnie na zdjęcia do filmu „Timur i jego drużyn-

Kadr z filmu „Zoja"

na". Więc tym razem też musiałbym się z tym liczyć. W pawilonie dekoracja przedstawiała klasę i tym sposobem znowu znaleźliśmy się w ławkach. Zaczęto zdjęcia. Kręcono jeden z pierwszych epizodów filmu „Zoja". Prawdę mówiąc wydawało mi się to śmiesznie proste. Aktorzy chodzą, mówią jakieś słowa, wszystko tak się odbywa, jak w życiu, tylko światło silniejsze. Siedząc w ławce w myślach powtarzałem sobie ten lub inny fragment i u mnie wychodziło to wcale nie gorzej, niż u prawdziwych aktorów. Aż pewnego pięknego dnia kilka słów powinien powiedzieć uczeń, wybór padł na mnie. Wystarczył moment by się nauczyć tego prostego fragmentu. Chodziłem po korytarzu na różne sposoby powtarzając swój tekst i za każdym razem wychodziło prosto i prawdziwie, prawie czułem przedsmak sukcesu. Przerwa zakończyła się i wszystkich zawołano. Zapamiętałeś słowa, które masz powiedzieć? - Tak! - Do mojej twarzy podjechała kamera. Reżyser poprosił o ciszę. Moi przyjaciele zamilkli, zapaliło się światło i wszystko oprócz ostrych świateł reflektorów utonęło w czerni. Jeszcze w tej ostatniej minucie wierzyłem w sukces. Gdzieś zupełnie blisko zabrzmiał głos reżysera; - Nie patrz w kamerę! Spokojnie powiedz to zdanie. Dalej był tylko wielki wstyd. Słowa, które jeszcze przed chwilą, na korytarzu, wypowiadałem z taką lekkością teraz wychodziły niezdarnie, były ciężkie, twarde, po prostu nie mieściły się w ustach. Nie mogłem wydobyć głosu i wprost czułem mój idiotyczny wyraz twarzy. – Bardzo dobrze, tylko spokojnie - powiedział reżyser. Jeszcze walczyłem ze sobą, jak z obcym człowiekiem, próbowałem, ale im dalej, tym było gorzej. Na szczęście moich kolegów wysłano do domu i nie byli świadkami tej hańby. (...)

Cała szkoła z niecierpliwością czekała na film. Bałem się tego bardziej niż egzaminów. Oddałbym wszystko, żeby tylko nie pokazano mojej roli. Ale nadszedł ten dzień. Uciekliśmy z lekcji. Ja oczywiście chętnie bym nie poszedł, ale głupio mi było przed kolegami. Zgaszono światło, zaczęły się napisy. Siedzieliśmy na górze i miałem wrażenie, że cały balkon kołysze się razem ze mną. Gdy zbliżał się mój kadr myślałem, że ze wstydu zapadnę się pod ziemię, ale stał się cud i okazało się, że wypadło całkiem nieźle. Przez trzy miesiące nazywano mnie w szkole „artystą".

Bolszaja Ordynka 17. W tym domu od 1930 roku mieszkał Aleksiej Batałow ulica Bolszaja Ordynka

Moje opowiadanie o dzieciństwie nie byłoby pełne, gdybym nie wspomniał tamtego bajarza, odkomenderowanego do dziecięcego pokoju w celu usypiania syna Pietrowów, Pietki. Już w czasie wojny był dla mnie sławnym Michaiłem Zoszczenką, autorem opowiadań i scenek wykonywanych na wszystkich dosłownie koncertach. Po wielu latach pojawił się u nas na Ordynce11. Był to jego ostatni przyjazd do Moskwy. Na dworze jesień, wieczory zimne, a Zoszczenko lekko ubrany, ale najważniejsze - na nogach przemoczone pantofle z płótna żaglowego. Wychudła twarz, w której głęboko osadzone oczy, patrzące zawsze z uwagą, stały się teraz ogromne. Już wtedy był chory, unikał ludzi, bał się ich, a tego dnia, u nas, usiadł z boku obok mamy poprosił o szklankę herbaty i nie chciał nic więcej.

„Osobiście nie mam nic przeciwko władzy radzieckiej" - to wspaniała fraza zaczynająca jedno z jego opowiadań.

Co musiała zrobić ta władza, żeby z człowieka bezgranicznie oddanego, odważnego, który nie raz patrzył śmierci w oczy, „żołnierza-frontowca" nagrodzonego najwyższym odznaczeniem - Orderem Świętego Jerzego[12], na dodatek pisarza, którego samo nazwisko wywoływało uśmiech, żeby tak go zmienić. Mówią; takie były czasy! Ale takie czy inne, ludzie nie wybierają czasu, taki czas dostają. W tym okrutnym czasie naszego życia, po „niesławnym postanowieniu"[13] Szostakowicz powiedział; „Jeżeli odrąbią mi ręce pióro wezmę w zęby, a i tak będę pisał muzykę." Dlatego uparcie twierdzę, że to z Wyższej Woli, mój los okazał się pomiędzy ludźmi, którzy nie tylko do końca pozostawali ludźmi, ale jeszcze na przekór wszystkiemu służyli swemu powołaniu i do końca spełniali swój obowiązek.

***Aleksiej Batałow***
***przełożyła Krystyna Śmiechowicz***

Bolszaja Ordynka 17. W tym domu od 1930 roku mieszkał Aleksiej Batałow

Teatr w Bugulmie

*1 „Los i rzemiosło".*
*2 Moskowskij Chudożestwiennyj Akademiczeskij Tieatr.*
*3 Nina Olszewska; uczennica K. Stanisławskiego. Jej babcia ((hrabina Poniatowska) była polską arystokratką.*
*4 Miasto w Tatarstanie*

*5 Młodsi bracia Aleksieja Batałowa to; Boris i Michaił Ardowowie.*
*6 W 2008 roku Państwowy Teatr Dramatyczny w Bugulmie otrzymał imię Aleksieja Batałowa. Jeszcze w tym samym roku jesienią Aleksiej Batałow – osiemdziesięcioletni aktor - dał w nim trzygodzinny wieczór autorski.*
*7 Arina Rodionowna, chłopka pańszczyźniana, słynna niania Aleksandra Puszkina, to dzięki niej poznał ludowe tradycje i folklor rosyjski.*
*8 Michaił Michajłowicz Zoszczenko, satyryk, dramaturg, felietonista.*
*9 Nikołaj Gumilow mąż Anny Achmatowej.*
*10 Osip Emilianowicz Mandelsztam, jeden z największych rosyjskich poetów zginął w obozie przejściowym pod Woronieżem. (Prawdopodobnie była to śmierć samobójcza.)*
*11Aresztowani z artykułu 58 kodeksu karnego (podejrzenie o działalność kontrrewolucyjną); na jego podstawie w okresie wielkiego terroru aresztowano i zamordowano miliony rosyjskich obywateli.*
*12 Bolszaja Ordynka, ulica w Moskwie, gdzie mieszkali rodzice Aleksieja Batałowa*
*13 Order Świętego Jerzego - carski order przyznawany za męstwo.*
*14 Słynne postanowienie KC WKP(b) o zamknięciu czasopism „Zwiezda" i „Leningrad" drukujących oszczerców, twórców antyradzieckich (Achmatową i Zoszczenkę). Efektem był zakaz publikacji i wydalenie ze Związku Pisarzy Radzieckich. Pozbawiony możliwości wydawania swoich utworów zarabiał na życie jako szewc. Choroba psychiczna spowodowała, że obawiając się otrucia zmarł śmiercią głodową.*
*15 Wszechrosyjski Państwowy Instytut Kinematografii.*

**Aleksiej Władimirowicz Batałow** (1928 – 2017), pisarz, malarz, poeta, pedagog, ale przede wszystkim najbardziej rozpoznawalny radziecki aktor. Znany między innymi z filmów; „Lecą żurawie", „Dama z pieskiem", „Moskwa nie wierzy łzom". Był także scenarzystą i reżyserem, wykładowcą w VGIK[14], kierownikiem Katedry Sztuki Aktorskiej. Przez wiele lat związany z teatrem MChAT. W 1968 roku odmówił podpisania listu poparcia najazdu na Czechosłowację. Odmówił również zagrania roli Lenina, a nagrywając dla radia rosyjską klasykę nie zgodził się czytać wspomnień Breżniewa. Natomiast w 2014 roku opowiedział się za aneksją Krymu.

ulica Bolszaja Ordynka

Elżbieta Juszczak

## Wstyd

Siedzę tu w domu
w świetle lampy,
ciepły krąg zagarnia przestrzeń
zapach ciasta każe myśleć
o domowych przywilejach.

Są granice wytyczone murem.
Mury.
Żydzi uciekali
szukając w lesie kryjówki.
Ta sama kryjówka staje się domem
syryjskiego dziecka.

Nie znam jego imienia,
ale znam imiona
psychopatycznych władców
i ich akolitów.

Prosta historia -
ofiary i ich oprawcy,
w każdym rejonie przemocy lub biedy.

Ten wstyd, który noszę.
Ten wstyd, który rozrywa mnie na kawałki.
Upokorzenie, że jestem z tego narodu,
który wywozi dzieci do lasu.

*26.10. 2021*

## Oni

Ciemność tu niesie szczekanie psa.
Szczelnie zamknięta noc jak drzwi
w komórce  mniejszej niż obórka.
Łopata, grabie, skobel zdjęty.
Czterdziestu ich, czterdzieści istnień
wyjętych z prawa, niepojętych.

I ślady po nich pozostały-
naklejka, strach, butelka,
kiedy leżeli przy ognisku.
I strzęp marzenia, które lśni-
jak dziecka ręka wyciągnięta.

Obławę na nich wytyczyli,
wojsko rozkazem skute, spięte-
w mur jest wpisana każda ciemność-
a poza murem nasze sny -
o byciu z nimi w człowieczeństwie.

ESEJ

Andrzej C. Leszczyński

# ZAGUBIONE KORZENIE

Chcę pokazać, jak bardzo Kościół w Polsce oderwał się od swoich aksjologicznych fundamentów. Obok własnych, przywołuję opinie osób, dla których także nie jest to rzecz obojętna.

**Kościół**

Słowo to początkowo mówiło o wspólnocie. W chrześcijaństwie jest to wspólnota wierzących, czyli Lud Boży. Jest to wspólnota upodmiotowiona. „Co do was, to namaszczenie, które otrzymaliście od Niego, trwa w was i nie potrzebuje pouczenia od nikogo, ponieważ jego namaszczenie poucza was we wszystkim" (1 J 4, 27). Z czasem pojęcie Kościoła zaczęto odnosić wyłącznie do episkopatu, czyli instytucji zrzeszającej biskupów. Hierarchiczna struktura Kościoła ma odzwierciedlać takie formy społeczne, jak „dom" czy „wielka rodzina" (najwyraźniej patriarchalna). Jest w niej więc biskup - opiekun, nadzorca, kontroler; jest prezbiter - starszy; jest wreszcie diakon – sługa. Inne znaczenia - mówiące o Kościele jako depozycie wiary, mistycznym ciele Chrystusa czy o wspomnianej wspólnocie wiernych – praktycznie zniknęły z żywego języka i pojawiają się jedynie w opracowaniach teologicznych. Podejmowane w wielu krajach współczesne próby przywrócenia pierwotnego sensu Kościołowi – „Kościół to my". „Wir sind Kirche". „Nous sommes aussi l`Eglise". „We are a Church" – napotykały zdecydowany opór urzędu.

Jerzy Sosnowski („Bóg za zasłoną słów. O współczesnej nieporęczności i przydatności mówienia nie wprost") zwraca uwagę na zmianę, jaka dokonuje się w języku religijnym: „[…] w języku wspólnotowym, dotąd służącym zarówno wertykalnej więzi wierzącego z Bogiem, jak horyzontalnej – wierzącego z innymi wierzącymi – zaczyna dominować ten drugi, horyzontalny aspekt". Jest chyba jeszcze gorzej - zanika też autentyczna więź między wierzącymi, o której pisze Sosnowski. Pozostają okazjonalne rytuały (chrzest, wesele, komunia, bierzmowanie, pogrzeb). Wyrasta i utrwala się nacechowana utylitarnie instytucja, która wiąże się z hierarchią, rutyną, strukturą, biurokracją itp. Leszek Kołakowski („Obecność mitu") pisze o Kościele, który już u swych początków zaczął naśladować administrację imperium rzymskiego i przejmować jej funkcję. Ideał miłości bliźniego ustąpił miejsca ideałowi świętości własnej, osiągalnej w ramach „doskonałego konformizmu". Chrześcijaństwo zdaniem Kołakowskiego winno pamiętać, że stworzyło „pierwsze w Europie modele państwa totalitarnego; że chyba jedyne w dziejach ludzkich nie tylko praktykowało, ale wypowiadało jawnie zasadę, wedle której to, co białym widzimy, trzeba czarnym nazwać, o ile zwierzchność tak karze".

Wypowiedzi Karola Tarnowskiego („Polski Kościół przyszłości") nie pozostawiają złudzeń. Filozof, zaprzyjaźniony z Karolem Wojtyłą i Józefem Tischnerem, kreśli obraz polskiego Kościoła jako zajętej sobą urzędniczej korporacji skrywającej swe grzechy i występki. To twór feudalny, bizantyjski, oparty na absolutyzmie biskupów, ignorujący ideę Ludu Bożego, nieustannie wtrącający się do polityki. Zajmuje się bardziej nienarodzonymi niż narodzonymi. To Kościół dbający o materialny dostatek, bogaty, roszczeniowy ekonomicznie.

O. Wacław Oszajca („Innego cudu nie będzie. Rozmowy o wierze i niewierze") w spotkaniu z Damianem Jankowskim zastanawia się, czy chrześcijaństwo jest w ogóle religią. „Nie, jeśli pod tym pojęciem rozumiemy tylko sztywny system wierzeń. W chrześcijaństwie chodzi o bardzo intymny kontakt z Bogiem, który pozostaje blisko nas. […] jeśli mówię o chrześcijańskiej wierze, to wcale nie myślę o dogmatach, nie o katechizmie czy doktrynie, tylko o Osobie, o Chrystusie". Jarosław Makowski w szkicu zatytułowanym „Gdzie jest Bóg?" rozróżnia w Kościele dwa nurty: katechizmowy („Postępuj według prawa Bożego") i ewangeliczny („Uczestnicząc w tajemnicy Chrystusa będziesz wiedział, jak postępować"). Bóg katechizmu to surowy sędzia z mieczem, Bóg Ewangelii – ukrzyżowany Bóg miłości „nie z tego świata". (Stracić wiarę – mówił Jerzy Nowosielski - można wtedy, „kiedy człowiek zanadto ufa katechizmowi i nagle mu się grunt spod nóg usuwa. To, co może wyczytać w najdoskonalszym nawet katechizmie, staje się nieadekwatne do jego osobistego doświadczenia. I to jest moment, w którym traci się wiarę"). Zdaniem Makowskiego w polskim Kościele dominuje duch katechizmowy umiejscowiony w perspektywie doczesnej. „[Kościół] za wszelką cenę chce być po stronie tzw. zwycięzców, tu i teraz. Chce być po stronie tych, którzy tu i teraz mają rację, tu i teraz chcą praw i przywilejów, tu i teraz chcą cieszyć się uznaniem i prestiżem, tu i teraz pomnażają bogactwo. Miał rację Fryderyk Nietzsche, gdy mówił, że »Kościoły są dziś grobami Boga«. I dlatego są ostatnimi miejscami, w których można go spotkać. […] Kościół dorósłby do Ewangelii, gdyby idąc za radą, jaką dał bogatemu młodzieńcowi Chrystus, pozbył się swojego bogactwa. Rozdał je biednym i poniżonym. Gdyby, co byłoby rzeczywistym skandalem w oczach świata, poniósł w sposób ostateczny »bankructwo«. Przegrana Kościoła w oczach świata byłaby ostatecznym jego zwycięstwem w oczach Boga!".

Otóż to! Czyżby „duchowni" zapomnieli słowa kolędy mówiącej o maluśkim dziecku ze stajenki? W dwutygodniku internetowym „Kontakt" ukazał się poruszający tekst prof. Marii Krzysztofa Byrskiego zatytułowany „Apel do książąt Kościoła: Wyrzeknijcie się królestw z tego świata". Mam wrażenie, że jego waga – podnoszenie spraw oczywistych, które brzmią jak bajka - uzasadniałaby przytoczenie go w całości. Oto fragment: „Szanowni biskupi, jednego wam brakuje: sprzedajcie wszystko, co macie, i rozdajcie skrzywdzonym, a będziecie mieli skarb w niebie; potem idźcie za Nim (por. Łk 18,22). Najwyższy więc już czas, żebyście swoje pałace, i te prywatne, i te »służbowe«, sprzedali, pieniądze rozdali skrzywdzonym przez księży, sami zaś zamieszkali w kawalerce w pobliżu katedry, spędzając tam i tak niewiele czasu. Bo administrowanie diecezją powinniście powierzyć świeckim, a sami powinniście niestrudzenie wędrować od parafii do parafii w swojej diecezji, korzystając z gościny proboszcza i w każdej parafii przebywając przynajmniej tydzień. Powinniście odprawiać mszę świętą, spowiadać, udzielać chrztów, brać udział w katechezie i odwiedzać ludzi w ich domach. Zaproszeń na pewno nie zabraknie. Czy nie czas najwyższy przestać się uważać za »świeckich panujących«, oddać wasze stroje liturgiczne do muzeów, a pod krzyżem i wiszącym na nim nagim ciałem umęczonego Chrystusa stanąć w skromnej, zgrzebnej szacie?". Gorzkie te zdania bliskie są Konstytucji duszpasterskiej Gaudium et spes z 1965 roku: „Biskupi, którym powierzony jest obowiązek kierowania Kościołem Bożym, niech wraz ze swymi prezbiterami głoszą orędzie Chrystusa w ten sposób, aby wszystkie doczesne działania wiernych przeniknięte były światłem Ewangelii. Ponadto niech wszyscy pasterze pamiętają, »że stylem życia codziennego i swoim zaangażowaniem« pokazują światu oblicze Kościoła, na podstawie którego ludzie oceniają wartość i prawdę orędzia chrześcijańskiego".

Naiwnością okazuje się oczywisty, można sądzić, pogląd wskazujący jeden tylko istotny cel, ku któremu winien zmierzać Kościół. Tym celem jest zbawienie dusz wiernych (salus animarum), zaś warunkiem zbawienia jest odwołanie się do Bożego daru, jakim jest indywidualne sumienie. Tzw. nauka Kościoła ku temu właśnie winna prowadzić - by wierni szukali odpowiedzi w sobie, nie zaś w gotowych kliszach i pouczeniach kapłanów. (Podobnie zresztą bywa z normą prawną, szkodliwą przez to, że podmiotem wyboru czyni anonimowego prawodawcę). „Wszystko bowiem, co się czyni niezgodnie z przekonaniem, jest grzechem", pisał św. Paweł z Tarsu (Rz 14,23). Podobnie św. Tomasz z Akwinu („Summa theologiae"): „Człowiek sam poznaje prawdę i dobro i sam wybiera. Gdy więc zajrzy w głąb swego serca, pytając szczerze, czy to, co czyni, jest dobre naprawdę, to znaleziona odpowiedź jest dla niego zobowiązaniem, nawet gdyby się mylił. Sumienie błędne obowiązuje".

Ducha powyższych stwierdzeń można odnaleźć w „Deklaracji o wolności religijnej" (Dignitatis Humanae…), uchwalonej podczas II Soboru Watykańskiego w grudniu 1965 roku ( 2 278 biskupów za; 70 przeciw), Czytamy w niej: […] wszyscy ludzie powinni być wolni od przymusu, czy to ze strony poszczególnych ludzi, czy to zbiorowisk społecznych i jakiejkolwiek władzy ludzkiej, tak aby w sprawach religijnych nikogo nie przymuszano do działania wbrew jego sumieniu". Piękne słowa…

**Kler**

Pierwotne chrześcijaństwo było wolne od struktur hierarchicznych, te zaczęły utrwalać się wraz z instytucjonalizacją wspólnot wyznaniowych. Ewangelie nie wspominają o hierarchii, raczej przestrzegają przed nią. „A wy nie pozwalajcie nazywać się *Rabbi*, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie ojcem, jeden jest bowiem Ojciec wasz, Ten w niebie. Nie chciejcie również, żeby nazywano was mistrzami, bo jeden jest tylko

Mistrz, Chrystus" (Mt 23, 8-10). Na soborze nicejskim pierwszym (325 rok) usankcjonowano wyodrębnienie spośród wiernych grupy mającej specjalny udział w urzędzie kościelnym, czyli kleru. Konstantyn uznał chrześcijaństwo za religię państwową, którą miała zarządzać podlegająca cesarzowi kasta kapłańska. Członkowie tej kasty – biskupi, prezbiterzy i diakoni – cieszyli się przywilejami (zwolnienie ze służby wojskowej, z podatków itp.). Dzisiaj kler to ogół duchowieństwa, osób, które przyjęły święcenia. „Duchowieństwo" opiera się na rdzeniu „duch"; to tchnienie (gr. pneuma) Kler stanowią osoby obdarowane boską pneumą, uduchowione, czyli „lepsze". Pozostali wierni to laikat (gr. laos – lud, tłum, naród, ludzie świeccy). Stąd zapewne wzięło się utożsamianie laika z ignorantem, kimś „gorszym".

„Nie lubię słowa »kapłan« - pisze o. Wacław Oszajca („Wierzyć do szaleństwa"). - W Nowym Testamencie mowa jest tylko o jednym i to jest Chrystus. Nie rozumiem podziału na duchownych i świeckich. Na mocy chrztu wszyscy jesteśmy kapłanami. Po co ta przepaść między prezbiterium a nawą?". Papież Franciszek, określający się jako antyklerykał, podkreślał (od jakiegoś czasu nie podnosi tego zagadnienia), że chce pojmować Kościół jako wspólnotę podmiotowego ludu. Jako instytucja – mówił w Asyżu - „powinien wyrzec się pozornego spokoju, który dają struktury, oczywiście potrzebne i ważne, ale które nie mogą jednak przyćmić jedynej prawdziwej siły, jaką niesie w sobie; siły Boga". Piętnował dążenie biskupów do władzy: kiedy biskup narzuca swoje zdanie, „nie jest dobrym kapłanem; jest dobrym tyranem, skutecznie niszczy religijność innych". (Od podobnych pokus nie są wolni zwykli księża, którzy – jak pisał Czesław Miłosz - upodobali sobie rolę „kościelnych oficerów polityczno-wychowawczych"). Wacław Oszajca zwraca uwagę na kościelną specjalność, jaką było i jest budzenie lęku i utrwalanie poczucia winy. Jego zdaniem zwrot „Bój się Boga" to negacja ducha chrześcijaństwa; podobnie „Panie, nie jestem godzien…", bo jako boże dzieci nie mamy powodu do takiego upokarzania się.

Religia, pisze Jerzy Surdykowski („Filozofia sensu"), przybrała dziś postać układu, w którym Kościół oferuje swój „przepis na zbawienie w zamian za odstąpienie własnej wolności i przyrzeczoną uległość". Instytucja Kościoła, podkreśla wielu badaczy, prowadzi od niepewności do pewności, od ambiwalencji do przejrzystości, od chwiejności do trwałości. Prowadzi też od poszukiwań, niepokoju sumienia i wrażliwości osobowej do rutyny. Rodzi się religijny behawioryzm, za nic mający uczucia budujące religijność w sensie ścisłym (numinosum w terminologii Rudolfa Otto). Nie intencje się liczą, ani wskazania sumienie, lecz widoczne i podlegające kontroli urzędu zachowania, nagie czyny.

Oto dwa, głośne w swoim czasie, przykłady przekształcania domu Bożego w martwy urząd. Ksiądz Grzegorz Sowa z Gryfowa Śląskiego w zakrystii swej parafii instalował czytnik linii papilarnych, do którego przed mszą i po jej zakończeniu mają przykładać palce miejscowi gimnazjaliści. A Arcybiskup gdański Sławoj Leszek Głódź przy pomocy biurokratycznego języka uzasadniał ewangelizacyjne indeksowanie uczniów: „Każdy uczeń – posiadacz Indeksu – będzie się nim legitymował wobec władz kościelnych w ramach czynności duszpasterskich, wymagających poświadczenia udziału w katechizacji szkolnej. Chodzi zwłaszcza o przygotowanie do przyjęcia sakramentów".

**Sakrament**

Czyli święte słowo. Wypowiadane jest w Kościele – czytam w „Małym słowniku teologicznym" Karla Rahnera i Herberta Worgrimlera – „w imię i z polecenia Boga i Jezusa Chrystusa". Teologia katolicka przyjmuje obiektywną i bezwarunkową skuteczność sakramentów, co wyraża się w formule „ex opere operato" (przez spełnienie czynności). Sens powyższej formuły wyjaśnia Leszek Kołakowski („Świadomość religijna i więź kościelna"): „Teoria ta ma nade wszystko dwojaki efekt: po pierwsze, akty liturgiczne są wedle niej ważne i udzielają odpowiednich łask niezależnie od jakości moralnych kapłana, lecz tylko w zależności od jego prawomocnego stanu kapłańskiego; po wtóre, łaski te zostają również w akcie rytualnym udzielane niezależnie od jakości moralnych tego, względem kogo odpowiedni akt (komunia, chrzest, absolucja) jest spełniony". O bezwarunkowej skuteczności sakramentu pisał już św. Augustyn Aureliusz („In evangelium Johannis tractatus"): „Kto zaś jest sługą pysznym, należy do diabła, jednak daru Chrystusa nie plami. Co przez niego spływa, jest czyste, co przez niego przechodzi, jest jasne, dostaje się na żyzną glebę... Duchowa moc sakramentu jest jakby światłością. Ci, którzy mają być oświeceni, przyjmują ją czystą, a jeśli nawet przechodzi przez nieczystych, nie ulega splamieniu". Podobnych słów używa Zygmunt Krasiński w prologu do „Nieboskiej komedii" pisząc o poecie: „Przez ciebie płynie strumień piękności,/ ale ty sam nie jesteś pięknością". I dodaje: „Biada Ci! Biada!".

Iwan Wyrypajew, reżyser, w rozmowie z Romanem Pawłowskim nie ma wątpliwości: „Kapłan może być nawet pedofilem, ale w chwili spowiedzi, kiedy wypowiada modlitwę rozgrzeszającą, grzechy są rzeczywiście odpuszczane człowiekowi. […] (Kapłan) jest tylko formą, która wiąże nas z Bogiem za pomocą obrzędu. Grzechy odpuszcza nie człowiek, ale Bóg. Obrzęd to akt metafizyczny. Gdyby zależał od jakości człowieka, to jaka byłaby wartość tego obrzędu? Człowiek jest jak przewód elektryczny – nawet jeśli jest oblepiony brudem, to nie znaczy, że nie przewodzi prądu". Trudno mi przyjąć podobny punkt widzenia. Kapłaństwo jako stygmat i szczególny automatyzm? Kapłan niewierzący bądź zwyczajny łajdak jako szafarz sakramentów? Jakiś czas temu w nieistniejącym już „Przeglądzie Powszechnym" ks. Mirosław Cholewa pisał o stylu posługi kapłana, który utracił wiarę: „[…] prezbiter będzie ją pełnił jedynie formalnie, jako urzędnik kościelny, wyłącznie z przyziemnych i egoistycznych motywów, z chęci zdobycia dla siebie pieniędzy lub zyskania poklasku i uznania". Więc chyba urzędnik, a nie kapłan; śpiewała o takich Dorota Furman w kabarecie Olgi Lipińskiej. Coraz częściej przychodzi mi do głowy, że – być może wbrew pierwotnym intencjom – sakramentalność jest (stała się?) formą asekuracji, uzasadnieniem kapłańskiej niezbywalności.

Kościół, to – poza wskazanymi wcześniej znaczeniami – także budynek, nazwa pisana z małej litery. Bywa, że pustka kościelnej bryły przepełniona jest metafizyką, jakiej brakuje, gdy wypełni się ludźmi. Poruszył mnie wiersz Piotra Piaszczyńskiego pt. „W kościele".

„Kiedy jest w nim półmrok
bez ludzi i cisza
(Bacha na organach
jakbym w sobie słyszał),
wtedy w dzień powszedni,
lecz nigdy w niedzielę, bywa, że znajduję
tam jakąś nadzieję".

Boskie, cesarskie

Jedno i drugie połączył Konstantyn. Od tego momenty zaczyna się udręka związana z zachowaniem ewangelicznej czystości Kościoła. Przytaczane często słowa Jezusa „Oddajcie więc cesarzowi to, co jest cesarskie, a Bogu to, co boskie" (Mt 22,15) to tylko odpowiedź na pytanie faryzeuszy, czy mają płacić podatki. Ważniejsze jest to, co, co mówi Piłatowi: „Królestwo moje nie jest z tego świata" (J 18,36); tam więc winny być skierowane praktyki i dążenia chrześcijan. Przecięcie związanych z tym, wielowiekowych kontrowersji teologicznych, było jednym z celów, jakie postawił przed sobą Sobór Watykański II. W Konstytucji Gaudium et spes czytamy: „Wspólnota polityczna i Kościół są, każde na własnym terenie, od siebie niezależne i autonomiczne".

Że są to puste wskazania, widać gołym okiem w Polsce. Nie chodzi mi o głośne incydenty (np. modlitwę w 2018 roku ks. prof. Edwarda Stańka o śmierć papieża Franciszka), lecz o praktykę utrwaloną od wielu lat i przyjmowaną jak stan normalny. Równie martwe są zapisy z Konstytucji z 1997 roku (art. 25, ust. 1-3) gdzie jest mowa o równouprawnieniu wszystkich kościołów i związków wyznaniowych oraz o tym, że władza ma zachowywać bezstronność w sprawach przekonań religijnych, zaś stosunki między państwem i kościołami oparte są na wzajemnej autonomii i niezależności. Po 1989 roku nieustannie wzrasta obecność Kościoła katolickiego w życiu publicznym. Wprowadzenie religii (nie religioznawstwa) do szkół, symbole religijne w szkołach i urzędach publicznych (np. w Sejmie), udział funkcjonariuszy publicznych w aktach religijnych (np. publiczna modlitwa premiera Mateusza Morawieckiego podczas mszy 1 grudnia 2018 z okazji 27. rocznicy powstania Radia Maryja), i odwrotnie: „bez katolickiej modlitwy i księdza z kropidłem, akt publiczny jest w Polsce de facto nieważny" (Jacek Żakowski). Wyraźny jest wpływ Kościoła katolickiego na stanowienie prawa. W 2018 roku w polskich paszportach znalazły się słowa: „Bóg Honor Ojczyzna". A jeszcze polityczne kazania wygłaszane podczas mszy świętej, relatywizacja sakramentów w odniesieniu do politycznych notabli (drugi ślub kościelny Jacka Kurskiego). Itd., itp.

W 1995 roku Czesław Miłosz („Państwo wyznaniowe?") przepowiadał coś, czego właśnie doświadczamy: „Może tak się zdarzyć, że kler będzie celebrować obrzęd narodowy, kropiąc, święcąc, egzorcyzmując, ośmieszając się zarazem swoim tępieniem seksu, a tymczasem będzie postępowało wydrążanie się religii od wewnątrz i za parę dziesiątków lat Polska stanie się krajem równie mało chrześcijańskim jak Anglia czy Francja, z dodatkiem antyklerykalizmu, którego zaciekłość będzie proporcjonalna do władzy kleru i jego programu państwa wyznaniowego". Jarosław Makowski („Bóg stoi przed drzwiami Kościoła") pisze o jedynym istotnym celu Kościoła. Nie jest nim głoszenie Dobrej Nowiny, lecz biowładza: „coś, na czym najbardziej mu zawsze zależało – panowanie nad ludzkim ciałem. By →

nim zarządzać, hierarchowie nie potrzebują Ewangelii, ale państwa z jego stanowionym prawem i orzeczeniami trybunału Konstytucyjnego". Logikę dobra i miłosierdzia, pisze Makowski, zastąpiła pelagiańska z ducha logika nagrody i kary; zaś Dobrą nowinę – dobra ustawa.

Jednoznacznie komentuje to prof. Krzysztof Biedrzycki: „Myślę, że obrażają Ewangelię – jej ducha a także słowa - proboszcz, biskup bądź kardynał chroniący księdza pedofila, sprzeciwiający się przyjmowaniu uchodźców, domagający się posłuszeństwa im, nie sumieniu, gromadzący dobra materialne, dążący do sprawowania władzy doczesnej". Jeszcze dosadniej wyraził się teolog, prof. Marek Kita: „Kościół jako system władzy i kontroli to nie tylko błąd, ale wręcz zdrada Ewangelii". Fakt, że jak dotąd nikt nie oskarżył żadnego z biskupów o obrazę uczuć religijnych, świadczy o skuteczności „kościelnych oficerów polityczno-wychowawczych".

Instrumentalne sprzężenie władzy politycznej i kościelnej szczególnie wyraźne jest w Polsce rządzonej przez PiS, co znaczy przez prezesa tej partii. O Jarosławie Kaczyńskim powiedziano chyba wszystko co trzeba (pomijam oczywiście dworskie panegiryki). Trudno mieć wątpliwości co do jego bezwzględnego pragmatyzmu, cynizmu (cynik: ten kto widzi dobro, czyni zło), pewnie też antyklerykalizmu. Podobny jest w tym do Romana Dmowskiego, innego przedstawiciela funkcjonalizmu religijnego (też starego kawalera). Pozbawiony wiary, główny ideolog endecji nie widział powodu, by nie wykorzystywać normatywów, którymi kierują się ludzie wierzący, dla budowania ziemskiego ładu zbiorowego (narodowego). Religia znakomicie daje się spożytkować w tym celu. Zdaniem Jana Emila Skiwskiego traktuje ją Dmowski jako wygodną dla polityki policję, tyle że transcendentną.

A Kaczyński? Owszem, media pokazują, jak podczas mszy świętej z bogobojną miną robi znak krzyża. O jego rzeczywistym stosunku do świętości świadczy co innego. Pytany o antyaborcyjną ustawę odpowiada bez skrępowania, że przecież „każdy średnio rozgarnięty człowiek może załatwić aborcję za granicą". Bez skrępowania też pisze do podobnego sobie funkcjonalisty, Tadeusza Rydzyka, przepełnione hipokryzją słowa o sukcesie wyborczym: „To zwycięstwo potrzebowało prawdy i ludzi, którzy prawdzie służą. Którzy służą Polsce. Którzy są patriotami. To zwycięstwo jest także potwierdzeniem jednej prawdy. Fundamentem polskości jest Kościół i jego nauka. I że nie może być Polski bez Kościoła..[…] Każda ręka podniesiona na Kościół to ręka podniesiona na Polskę" (zupełnie jak Cyrankiewicz w 1956 roku po buncie poznańskim). A w listopadzie 2022 roku z okazji trzydziestej pierwszej rocznicy powstania Radia Maryja – tego samego, o którym abp Józef Życiński mówił, że „katolicki glos w twoim domu ma tyle wspólnego z katolicyzmem, co »Trybuna Ludu z ludem«" - wystosował list, w którym dziękuje Bogu „za ten dar, przez który działa Opatrzność, za osobę czcigodnego Ojciec Dyrektor Tadeusza Rydzyka. To jego śmiałej wyobraźni i odważnych myśli wspieranych przez charyzmę, żelazną wolę i pragnienie całkowitego oddania się służbie Panu Bogu i Ojczyźnie zawdzięczamy, że to wielkie dzieło nieustająco się rozwija. Bóg zapłać Ojcze Dyrektorze za wszystko, co uczyniłeś dla Kościoła i naszej Ojczyzny!". W 1998 roku jeszcze tego nie widział, nie doceniał. Mówił w „Gazecie Polskiej" że „Po naszej stronie działają aktywnie rosyjskie służby specjalne. Radio Maryja jest dziś głęboko antyzachodnie, prorosyjskie, wcale nie nieżyczliwe PRL-owi […]. Czyż targowica nie była właśnie taka: narodowa, katolicka? […] Prorosyjskość ubrana jest tam w maskę patriotyczną". Dziś już wie, że „antyzachodni i prorosyjski" jest patriotyzm prawdziwy, pozbawiony maski.

Marzył o tym dziewiętnastowieczny rosyjski rewolucjonista, Siergiej Nieczajew, by polityka była religią, a religia polityką.

***Andrzej C. Leszczyński***

Zbigniew Ikona-Kresowaty

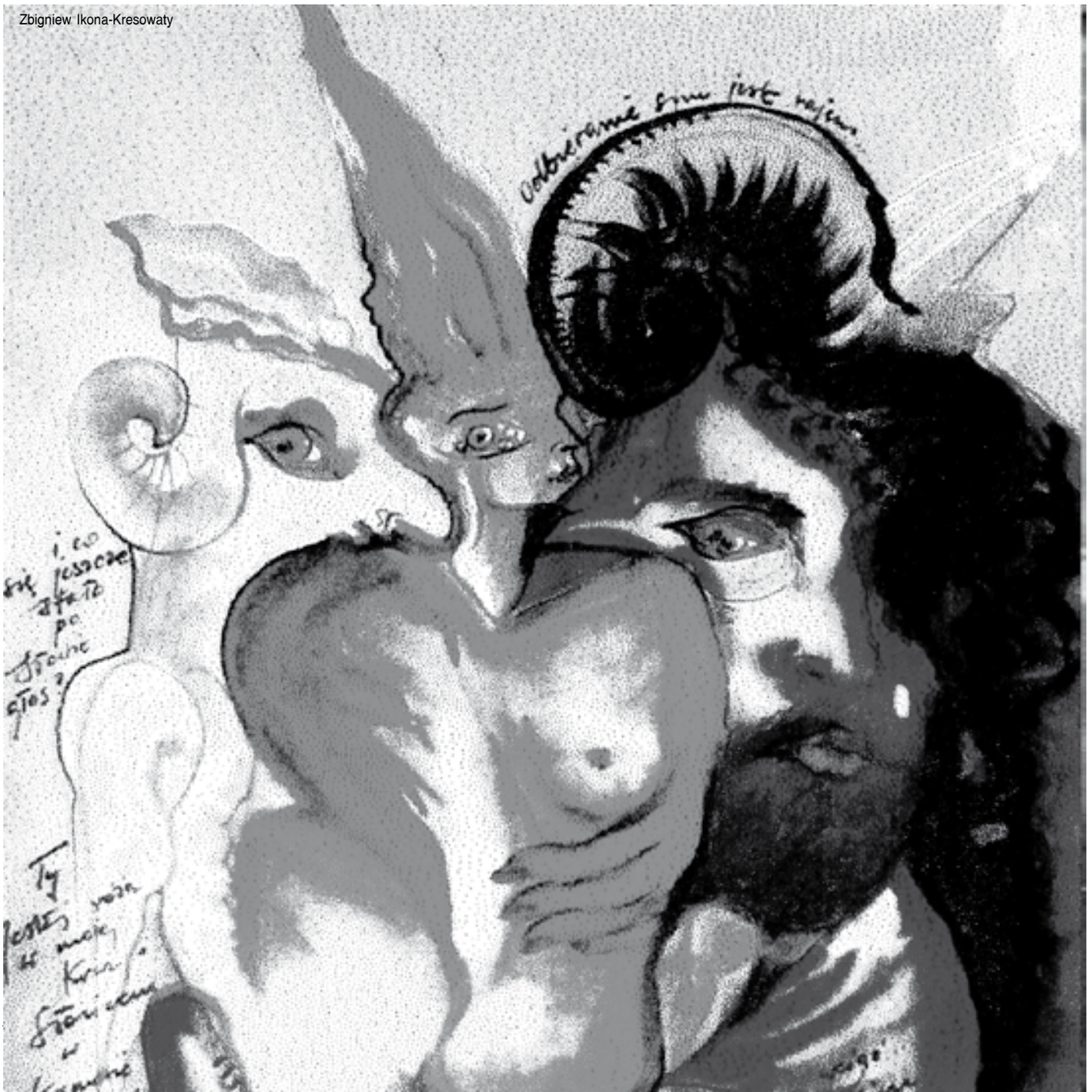

# Rudy Alfonso Gomez Rivas

**Rudy Alfonso Gomez Rivas**

(ur Aguacatan, Huehuetenango, Gwatemala. 2 lipca 1977). Pedagog, pisarz, redaktor, menedżer kultury. Jego wiersze tłumaczone były na język polski, rosyjski, ukraiński i bułgarski i publikowane w zagranicznych czasopismach literackich. Opublikował 8 zbiorów poezji. W 2022 roku została wydana w Polsce jego dwujęzyczna hiszpańsko – polska książka „En la telaraña de los sueños / W pajęczynie snów". Założyciel i organizator Międzynarodowego Festiwalu Poezji Aguacatana FIPA. W roku 2022 kapituła Nagrody Literackiej im. Klemensa Janickiego IANICIUS przyznała Rudy'emu Alfonzo Gomezowi Rivasowi to wyróżnienie za wybitną twórczość poetycką oraz międzynarodową działalność kulturotwórczą.

**VII**

Z miłości
strach szuka schronienia
w pięknie złudzenia
liście jesienią opadają.

**XLII**

Motyl siada na mojej dłoni
daje mi swoje kolory
swoje gąsienicowe sny
lot swoich skrzydeł.
Potem zapada noc i uspokaja ból
i nadchodzą narodziny kolejnego motyla.

**XXX**

Odległe wiatry
zamykają drzwi przed żółtą nostalgią,
radość wraca z dalekiego wygnania
oddaję jej klucze.

**XXXII**

Wiem, że ruch liści zdradza wiatr.
Po pieszczotach nic nie jest takie samo.

**XXXIV**

Widzę cię, jak raz po raz przechodzisz z miotłą w ręku
usuwasz bezużyteczne,
twój uśmiech jest wspólnikiem miłości.

**XXXV**

Na końcach twoich włosów śpiewa wiatr.

## Drzwi, jeżyna snów

Dziecko,
drzwi tworzą dialog między życiem a śmiercią.

Zamek w drzwiach to oko, które śmiejąc się czuwa nad nami.

Zawiasy to anioły z aluminiową krawędzią
skazane na codzienne porażki.

Klucze ratują nas przed biczem ulicy.

Stara kobieta chodzi po chodnikach
z jej rąk wylatują motyle pachnące morzem.

Dziecko łapie wiatr
ze swoich szmat buduje gitary.

Drzwi to poziome otchłanie
gdzie czas marnieje
i znieczula się jeżyną snów.

## Na brzegu morza

przybyłem z odległych krain
niosąc na ramionach
mgławice, przekraczające granice
niechęci i niepamięci o cierniach i ropie.

Idę za szumem horyzontu
który zagłusza bajki
tworzące nagie wschody słońca.

Lustra we mnie zamarzają
niszcząc spacer
rozwieszony
w żółtych oknach.

Kadzidło to odległy zapach
w którym zagnieździł się dziecięcy głos
fig i połamanych ptaków.

Na brzegu morza:
sen
uśmiech
pracowite ręce
usta, zapraszające do szaleństwa
piosenka Serrata
dziewczyna rozpościerająca ze strachu skrzydła
czyjeś oczy wymyślające inny kraj.

我爱你我爱你我爱你我爱你我爱你我

PROZA

Dariusz Tomasz Lebioda

# CHINY

## WYPRAWA NA DACH ŚWIATA

Na początku sierpnia 2009 roku dotarłem do Xining na Wyżynie Tybetańskiej, biorąc udział w wielkim festiwalu poezji. Przywitano mnie serdecznie i otrzymałem pokój hotelowy najwyższej klasy, z dużą kabiną prysznicową w łazience, panoramicznym oknem, wygodnym biurkiem, specjalnym fotelem do czytania i podziwiania widoków, a także z telewizorem plazmowym, który włącza się i wyłącza, naciskając przycisk w ścianie, nad łóżkiem. Codziennie dostarczane są świeże owoce, wody mineralne, różne rodzaje herbat, a gdybym tylko chciał, miałbym też do dyspozycji dziesięć rodzajów piw, całe ogromne *menu* dań i dziesiątki alkoholi z całego świata. W związku z klasą hotelu, ceny też są markowe, więc pozostaję przy tym, co określa się jako *free*. Biorę na przemian gorący i lodowaty prysznic, przebieram się w czyste rzeczy i elegancką, szybkobieżną windą zjeżdżam na dół. Wszędzie uśmiechnięte twarze osób z obsługi, pań w recepcji, otwieraczy drzwi i młodzieńców zajmujących się bagażem, boyów hotelowych i koordynatorów, którzy z krótkofalówkami wydają rozkazy, tak by przyjeżdżające i oddalające się samochody zostały szybko obsłużone. Do pracy podchodzi się tutaj z godnością i robi się wszystko szybko, energicznie, jakimś rodzajem niezwykłego zaangażowania. Jestem już przed hotelem i szeroką ulicą kieruje się ku widocznemu wyraźnie wielkiemu parkowi. Położony jest na niższym poziomie miejskim, nad rzeką Huang Shui (dopływ Huang He, za moich czasów szkolnych nazywanej też Huang Ho, 黄河 – Żółtej Rzeki), która także ma kolor żółtawy, z powody mułłów lessowych, niesionych wraz ze swoim biegiem. Zdaje mi się, że uczestniczę w jakimś święcie, bo w parku są dziesiątki osób, które spacerują lub bawią się z dziećmi. Jakieś dziewczynki łowią małe rybki w strumieniu i wkładają je do słoików z wodą, chłopcy przeskakują z kamienia na kamień. Wiele starszych osób siedzi na ławkach, coś sobie opowiada z żywą gestykulacją lub po prostu śpi w najlepsze. Jestem na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów nad poziomem morza i moje szybkie zbiegnięcie po schodach natychmiast spowodowało gwałtowne bicie serca i trudności z oddychaniem. Przystaję na chwile i czekam aż ta nagła burza w moim ciele się uspokoi, przypominam też sobie, co powiedziała młoda przewodniczka w autobusie, wiozącym nas z lotniska. Apelowała by nie biegać, by chodzić wolno i nie forsować się specjalnie, ona także, po przyjeździe z Pekinu na studia, miała spore kłopoty i długo się aklimatyzowała. Park z jednej strony ogranicza rzeka, a z drugiej szeroka ulica, nad nim biegną jednak też bardzo wysoko dwupasmowe estakady. W każdym miejscu widać ogromną dbałość o czystość i dopracowanie szczegółów. W strumieniu są progi wyłożone mozaiką z kolorowych kamieni, brzegi są zabezpieczone specjalnymi kołkami i wikliną, wygodne betonowe chodniki biegną w różne strony, a drzewa zostały tak posadzone, że tworzą aleje i zacieniają cały park. Ludzi tutaj jest mnóstwo, bo przecież Xining liczy blisko sześćset tysięcy mieszkańców, a i przyjezdnych jest wielu, bo to punkt przystankowy w drodze do Lhasy, do klasztorów taoistycznych i do mistycznego jeziora Qinghai (czyt. *Czinhai*). Zapewne dla wielu z nich, zabieganych i z trudem utrzymujących rodziny na powierzchni życia, wyjście do parku jest jedną z ulubionych rozrywek. Przysiadam na ławce i przyglądam się ludziom, tej przesuwającej się przede mną przeplatance twarzy i gestów, urody i starości, uśmiechu i zapatrzenia w jakieś tajemne dale. Jestem też obiektem żywego i życzliwego zainteresowania, bo moja europejska twarz natychmiast jest wyodrębniana i rodzi zastanowienie. Myślę o tysiącach życiorysów, o narodzinach na Wyżynie Tybetańskiej, o latach spędzonych w cieniu dalekich szczytów, ośnieżonych i majestatycznych, już od września do maja, a czasem nawet dłużej. Wiem o tym od przewodniczki, która w autobusie, podczas godzinnej podróży, przekazała nam wiele cennych informacji. Ci ludzie mają swoje historie, a starsi byli świadkami wielkich przemian, rządów przewodniczącego Mao, Wielkiego Skoku, rewolucji kulturalnej i czego tam jeszcze, ale widzę, że zachowali pogodę, noszą ze sobą w siatkach małe składane taboreciki (moja babcia mówiła na to *ryczka*), przysiadają w różnych miejscach, obserwują świat i odsłaniają zęby w uśmiechu.

Widzę w dali większe zgromadzenie i słyszę dźwięki dobiegającej muzyki, więc kieruję się tam powoli i fotografuje po drodze ludzi i kwiaty, jakieś ciekawe rzeźby, buddyjskie dzwony i aleje drzew. Przystaję przy jednej większej topoli, robię zbliżenie i zachowuję w pamięci aparatu ciekawą draperię kory. Natychmiast gromadzi się wokół mnie kilka osób i patrzy, gestykuluje, coś po chińsku komentuje. Pod wielkimi estakadami jest coś w rodzaju okrągłego placu, wokół którego widzę wielorzędowy wianek ludzi. Podchodzę bliżej i dostrzegam chińską orkiestrę, złożoną ze starych mężczyzn i grającą przede wszystkim na *èrhú* (二胡), dwustrunowym instrumencie o skali trzech oktaw. To jakby mały bębenek z gryfem, na którym naciągnięte są struny, wydający przenikliwy, orientalnie brzmiący dźwięk. Podczas mojej wizyty będę niebawem czytał wiersze w starożytnym miasteczku, a przygrywać mi będzie orkiestra złożona z kilku osób. Po lekturze przyjrzę się chińskim instrumentom, które stworzyły mi tak wspaniały nastrój – wyodrębnię *guzgeng* (古箏), czyli cytrę, najpopularniejszy instrument w Państwie Środka, ale też *quqin* (古琴), starodawny chordofon o siedmiu strunach, liczne bębny, kotły, flety bambusowe, czasem połączone w duży zintegrowany zestaw oraz *pipę* (琵琶), instrument strunowy z pudłem w kształcie gruszki, pomalowany na czerwony kolor i ozdobiony smokiem lub feniksem. Z tyłu tego lutniczego dzieła sztuki dostrzegłem też namalowane kolorowe kwiaty. Takie same ozdoby miały trzy efektowne *yueqiny* (月琴), tradycyjne chińskie instrumenty strunowe, z pudłem w kształcie połowy kuli. Tutaj – w parku – królują *èrhú* i proste instrumenty perkusyjne, na których grają starsi mężczyźni, a z tyłu stoi duża grupa widzów. Rozlegają się orientalne dźwięki, a na placyku tańczą kobiety w podeszłym wieku, przyozdobione jaskrawo różowymi i zielonymi szarfami z jedwabiu, powiewające prostymi wachlarzami z tego materiału, naciągniętego na drewniany szkielet. Widać, że zarówno występujący, jak i widzowie mają wielką satysfakcję i czują się kimś ważnym, kimś kto uczestniczy w wielkim wydarzeniu. Myślałem, że to jednorazowy występ i samoistna manifestacja talentów artystycznych, ale poszedłem dalej i na wielkim placu spostrzegłem ogromny dach płócienny, pod którym odbywała się podobna prezentacja, a zbiegowisko było jeszcze większe. Ilekroć jestem w takich odległych kulturowo miejscach, czuję w sobie jakąś wielką tęsknotę, chęć zostawienia życia w Polsce i poświęcenia reszty moich dni podróżowaniu, poznawaniu obcych krajów i ludów, a nade wszystko pisania o tym. Patrzę na pełne natchnienia twarze kobiet, które z jakimś chińskim majestatem i powagą celebrują kolejne kroki, gesty, ruchy ramion i całego ciała. Zapewne piękniej by to wszystko wyglądałoby, gdyby ci ludzie mieli na sobie tradycyjne stroje chińskie, ale kogo dzisiaj na to stać – widziałem w sklepach wolnocłowych, na lotnisku pekińskim, jakie są ceny takich ubiorów. Tutaj odświętny charakter mają podkreślać intensywnie barwione jedwabie i oprawa muzyczna, układ taneczny i owo wystudiowane ruszanie się do przodu i do tyłu, w bok i z powrotem. Robię wiele zdjęć i jestem znowu obiektem uważnych obserwacji, czasem nawet ktoś z drugiej strony koła podbiega do mnie i przygląda mi się jakbym był jakimś dziwacznym zjawiskiem nie z tej ziemi. Ruszam dalej i znajduję mniejsze grupki, gdzie także ktoś śpiewa lub tańczy, są też siedzący przy kamiennych stolikach gracze pochyleni nad chińskimi grami, a z boku parku dostrzegam równy szereg żołnierzy maszerujących z dostojeństwem i patrolujących ulicę. Jako ornitolog amator szukam ptaków, ale nie widzę ich, zapewne z powodu sporego ruchu w parku, co jakiś czas jednak dostrzegam jakiegoś barwnego mieszkańca przestworzy, przelatującego na przeciwległą stronę rzeki, gdzie jest jakby druga część przestrzeni parkowej. Przystaję przy Huang Shui, która ma specjalne metalowe progi i w niektórych miejscach jest pozarastana trawami. Zapewne przy wyższym poziomie wody, zostają one przykryte mętną, żółtawą wodą, a potem wyrwane przez nurt, spływają dalej. Na kamieniu przysiadła pliszka, przypominająca naszą siwą odmianę i żwawo porusza ogonkiem, przeskakuje z głazu na głaz. Patrzę na dalekie wzgórza, gdzie zapewne też krzewi się życie, owce i jaki pasą się na zboczach, przemykają górskie kozły i antylopy, a nad szczytami kołują sępy i orły. Jestem w miejscu, które od dawien dawna uważano za kolebkę cywilizacji chińskiej, tak niedaleko gór, z których wypływają trzy wielkie rzeki.

Zataczam ogromny krąg i przyglądam się Xining, w którym kolorowe wieżowce ze szkła i stali w centrum, sąsiadują z domami z glinianej cegły w dalszych dzielnicach. Na jednym ze wzgórz umieszczono ogromną, szpiczastą konstrukcję z kulą, którą nazywają tutaj wieżą Szanghaju, bo przypomina barwne oświetlenie tego miasta i jest darem od jego władz. Na ulicach jest dosyć duży ruch i samochody, autobusy, motocykle i ciężа-

rówki jeżdżą bardzo szybko. Czasem trudno jest mi przebiec ulicę pomiędzy pojazdami, zauważam też kobietę w charakterystycznej chińskiej czapce, takiej samej jak nosili przywódcy za czasów Mao, która ma w ręku czerwoną chorągiewkę i pilnuje by nikt nie zakłócał ruchu ulicznego. Coś do mnie mówi i powiewa swoim rekwizytem, ale nie przywiązuje do mojego wykroczenia za wielkiej wagi, przygląda się bacznie drugiej stronie ulicy i głośno krzyczy, gdy ktoś próbuje przeskoczyć jezdnię. Wszędzie interesujące twarze i gesty, podążanie do jakiegoś celu, nieustający bieg, pomalowane na niebiesko i biało autobusy, a przy nich niewielkie czerwone taksówki na trzech kołach, wykonane z motocykli i mogące zabrać ledwie dwie osoby. Przed jednym z wieżowców ogromna układanka z różnobarwnych kwiatów, urządzone ze smakiem klomby, wiele barwnych roślin, ułożonych w pomysłowe ciągi, wstęgi i szachownice. Na domach i budynkach użyteczności miejskiej wiele chińskich napisów, które stają się w nocy jaskrawymi neonami, a przy nich nieco obwieszczeń w języku angielskim. Przede wszystkim banki reklamują swoje usługi w dwóch językach, ale też na największych sklepach widzę takie informacje. Schodzę na niżej położony, rozległy plac, na którym także wiele jest kwiatów i krzewów, a z jego środka doskonale widać jak położone jest to miasto. Zniknęły właśnie obłoki na niebie i słońce zaczęło operować bardzo mocno, co spowodowało, że podniosły się mgły i zauważyłem nad pobliskimi górami, bardzo daleko położone i okryte śniegiem wyższe szczyty. Usiadłem na ławce i patrzyłem długo na krystalicznie czyste widoki, czy mogłem przypuszczać, że moje życie zaprowadzi mnie kiedyś do tego miejsca i przeżyję ogromne wzruszenie, a zarazem jakby przypływ pradawnej energii, która odtąd już będzie mnie zawsze prowadzić. Takie doświadczenia bardzo wzbogacają wnętrze człowieka i powodują, że nabiera dystansu do własnych kolei losów i kłopotów, małomiasteczkowej zawiści i prób zniszczenia tego, co się zrobiło. Cokolwiek by się nie działo w przyszłości, nikt już mi nie zabierze tych chwil i tego zapatrzenia się w swoje wnętrze w środku Azji. Powoli wstaję z ławki i ruszam w drogę powrotną, przez cały czas wzbudzając zaciekawienie mijających mnie ludzi. Niektórzy z nich widząc aparat fotograficzny w moim ręku, sami oferują swoją pomoc i chętnie fotografują mnie, inni – gdy ja o to proszę – kiwają przecząco głową i uciekają w popłochu. Wspinam się teraz ku górze i czuję znowu na jakiej wysokości jestem, serce przyspiesza i oddech robi się szybszy, ale ogólnie dobrze się czuję. Mijam kolejne domy i robię jakieś drobne zakupy w sklepie z tradycyjną chińska biżuterią, wybieram bransoletki z zielonych i żółtych kamieni, trochę targuję się uzyskuję niską cenę. Kupuję też dla spróbowania ze trzy rodzaje chińskich piw, jakieś wody mineralne i sok z orzecha kokosowego – nie byłem jeszcze na kolacji i nie wiem jak nas będą karmić, ale moje obawy wkrótce okażą się niezwykle wręcz zabawne. Jestem już w pokoju hotelowym, gdzie w międzyczasie podrzucono mi elegancko zapakowane małe, słodkie banany i sporo malutkich czerwonych i żółtych pomidorków. Pojawiły się dwie butelki wody mineralnej z zawieszaną etykietka *free* oraz saszetki zielonej i czarnej herbaty. Staję przy oknie i patrzę na Wieżę Szanghaju, powoli zachodzi słońce nad górami, z lewej i z prawej strony zaczynają unosić się niebieskie mgły i pierwsze światła zapalają się w domach. Widzę z wysokości dziewiętnastego piętra niewielkie postaci ludzkie w różnych mieszkaniach, czasem tonących w półmroku lub nieco jaśniej oświetlonych. Mój, jakże interesujący i ekscytujący dzień, który zaczął się w Pekinie, a potem miał swoją kontynuację w samolocie Air China, nad górami i dolinami tego kraju, dalej już w mieście Xining, gdzie spacerowałem dość długo i chłonąłem aurę tego miejsca, kończy się także dla wielu ludzi tutaj mieszkających i żyjących. Ustawiam fotel z podnóżkiem przed oknem, rozsiadam się wygodnie i patrzę na ten świat, dany mi w darze przez życie i organizatorów międzynarodowego festiwalu poezji. Ostatnie promienie słońca gasną za zboczem górskim, wieża cała okrywa się kolorowym, stale zmieniającym się światłem. Zaczynam czuć zmęczenie, ale nie kładę się jeszcze spać, bo żal mi zamykać taki niezwykły dzień…

Jako kucharz amator, bardzo byłem ciekaw osławionych chińskich potraw i smaków – lecąc samolotem, rozmyślałem o tym, że gotów jestem na wszelkie kulinarne eksperymenty. Niektóre z dań przyrządzałem w domu i miałem pewną wiedzę na temat kuchni kraju, w którym ogromne zaludnienie powoduje, że zjada się z apetytem nieomal wszystko. Podstawowym naczyniem kuchennym jest tutaj wok, w którym na dużym ogniu, przyrządza się szybko kruche potrawy. Dlatego tak ważne jest też krojenie składników na desce odpowiednim nożem lub tasakiem, na co zwracał już uwagę Konfucjusz i co podkreślają wszystkie nieomal podręczniki orientalnego gotowania. Oprócz przysmażania w owalnym naczyniu, Chińczycy gotują na parze i w wodzie, lub smażą elementy dań w głębokim tłuszczu. Je się też sałatki, świeże owoce, pije liczne soki i krystalicznie czystą, źródlaną wodę. Stosunkowo mało je się surówek, co być może ma związek z niebezpieczeństwami, jakie za sobą niesie używanie przy uprawach ludzkich odchodów. Składniki chińskiej kuchni są w szczególny sposób dobierane, a wielką wagę mają tutaj smak i kolor oraz wartość energetyczna produktów. Stosuje się też charakterystyczne przyprawy, a więc olej sojowy i czosnek, ocet i imbir, olej sezamowy, pastę sojową i cebulkę dymkę. Nieomal całe Chiny zajadają się ryżem w różnych odmianach, ale na północy kraju konsumuje się też wiele dań mącznych, z charakterystycznymi pierogami, kluskami i makaronami z pszennej mąki oraz z serami sojowymi. W niewielkich gospodarstwach przydomowych hoduje się przede wszystkim drób i świnie, a krowy, kozy, owce i jaki spotyka się znacznie rzadziej. Samo jedzenie jest rodzajem spektaklu, do którego podchodzi się z nabożną czcią i celebruje jak święty obrządek. Ważne są tutaj charakterystyczne pałeczki, które należy trzymać w odpowiedni sposób i posługiwać się nimi z gracją. Muszę się przyznać, że dwukrotnie w różnych miejscach kelnerki w ludowych strojach czekały cierpliwie aż uporam się z problemem, a potem przynosiły mi sztućce europejskie lub specjalną porcelanową łyżkę. W końcu jednak nauczyłem się właściwie chwytać pałeczki i posługiwałem się nimi dość sprawnie. W moim hotelu była duża owalna sala, w której serwowano wszystkie posiłki. Na środku umieszczono okrągły stół, a na nim dziesiątki różnorakich dań, nieodłączny ryż, warzywa z woka, wiele mięs i innych pyszności. Obok stały stoły z wielkimi szklanymi pojemnikami na soki, serwowano też wodę mineralną i piwo w butelkach. Pierwszego dnia były przy potrawach tylko chińskie napisy, ale widocznie ktoś interweniował, bo pojawiły się informacje w języku angielskim. Wiedziałem, że w kuchni tej jada się mięso z psa i węża, a i niektóre większe insekty znajdują swoich amatorów. Początkowo byłem bardzo ostrożny w doborze dań i nakładałem przede wszystkim warzywa, fasolę, pędy bambusa i ryż, ale z czasem zacząłem eksperymentować. Nakładałem spore ilości makaronu, a w nim pełno było malutkich skrawków mięsa, jakichś ledwie dostrzegalnych pasemek tłuszczu, jakichś nitek i grudek, ciemnych kropek i jaśniejszych smug.

Niestety niektóre dania powodowały, że natychmiast od nich się oddalałem. Tak było z gotowanymi płucami w dziwnym jasnobrązowym, bryjowatym sosie i tak było z zupą z penisa woła. Te duże narządy nawet dość smakowicie wyglądały i początkowo myślałem, że to jakiś rodzaj szaszłyków. Nałożyłem sobie na talerz dwa i trochę ryżu, usiadłem obok niewielkiego rozmiarami Chińczyka, a ten łamaną angielszczyzną uświadomił mi co mam zamiar jeść …*good bull dick*… very *good for your love*… Sam też miał na talerzu trzy takie penisy w mętnej, niebieskawej zalewie i zabierał się do jedzenia. Udałem, że kogoś zauważyłem, jakby kogoś zawołałem i przepraszając towarzysza, przeniosłem się do innego stołu. Po drodze odłożyłem mój talerz w miejscu, gdzie zabierano je do umycia i zacząłem od nowa kompletować posiłek. Tym razem był to suchy ryż z warzywami, kawałek tofu, zapiekane ziemniaki, jakieś bułeczki przyrządzane na parze. Usiadłem przy stole i zacząłem wolno jeść, a naprzeciw mnie siedział sympatyczny chiński muzułmanin, który coś tam do mnie zaczął mówić w swoim rodzimym języku. Uśmiechał się serdecznie i pokazywał jak smakuje mu to, co właśnie je. Na talerzu miał spory kawałek mózgu i gotowane płuca jakiegoś zwierzęcia, z żyłami i arteriami oddechowymi na wierzchu. Brał to ostatnie danie w dwie ręce i z błogością wyjadał fragmenty tłuszczu. Potem sprawnie chwytał pałeczkami kawałki czerwono-białawego mózgu i wsuwał je szybko do ust. Całą buzię sobie wytłuścił, okrwawił, a kawałki żółtawego tłuszczu i odgryzionych żył zaplątały mu się pośród włosów długiej brody. Na koniec prawą dłonią przejechał po niej, zgarnął co się dało, zlizał to z dłoni i dość głośno beknął. Żyły w szyi mi jakoś zgrubiały, ale okazałem moje wielkie zadowolenie, pokiwałem z uznaniem głową, co bardzo mu się spodobało. Odszedł od stolika i powędrował po dokładkę, a ja skupiłem się na moim posiłku i starałem się przełykać kolejne kęsy, choć na wspomnienie tego co jadł ten brodacz, pokarm cofał mi się ustach. Po kilku minutach muzułmanin wrócił, a na jego talerzu były dwa pyski rybie, fragment ogona i nieco fioletowej skóry. Było mi już wszystko jedno, straciłem całkowicie apetyt, więc teraz posiłek tego człowieka potraktowałem jak lekcję poglądową. Najpierw urwał pałeczkami miejsca z oczodołami, zanurzył w jakimś czarnym płynie, w małej miseczce i z apetytem je pochłaniał, potem przyszła kolej na same pyski z niewielkimi zębami, które chrupał z wyrazem szczęścia na twarzy. Na koniec wziął jakiś fragment rybiego kręgosłupa i kawałek po kawałku odgryzał, moczył w płynie i zjadał. Cały czas życzliwie kiwałem głową i wyrażałem moje przyjazne nastawienie do jego wyborów i sposobu jedzenia. Tak mu się to spodobało, że powiedział coś niezrozumiale do mnie, a potem kiwnął pytająco głową. Cóż było robić, też kiwnąłem i brodacz oddalił się znowu na chwilę. Po jakimś czasie przyniósł mi na talerzu taki sam kawałek ryby, z wyjątkowo szpetnymi zębami w pysku, ukłonił się i wreszcie sobie poszedł.

Raz jeszcze zmieniłem stół i kończyłem →

moje warzywa oraz parowane bułeczki, w których była młoda marchewka, grzyby mun, ostra papryczka chili i kawałki tofu. Niestety innym razem, gdy wezmę to danie, okaże się, że w środku są kawałki krewetek z niebieskimi, teleskopowymi oczyma, jakieś ich wąsy i odnóża, a wszystko razem smakuje jak zgniła ryba. To się dopiero miało wydarzyć, na razie jadłem w miarę bezpieczne dania i niczego nie przeczuwałem. Spojrzałem w lewo, ku najbliższemu stołowi i zamarłem – jakiś przysadzisty Chińczyk miał na talerzu górną część ciała niewielkiego psa. Wyraźnie rysowała się podłużna czaszka jak u jamnika i przednie łapy, pierwsze żebra i kawałek kręgosłupa. Siedzący obok niego koledzy też mieli to samo danie na talerzach, przy czym jeden z nich wyraźnie szczycił się tym, że trafił mu się tłusty ogon. Patrzyłem na ten psi pysk, z zębami ułożonymi jakby zwierzę właśnie warczało i zbierało mi się na wymioty. Właśnie przechodziła nasza tłumaczka i widząc moje szczególne zainteresowanie powiedziała, że warto w Chinach wszystkiego spróbować, a pies smakuje jak wieprzowina skojarzona z kurczakiem, prawdziwe delicje… Podziękowałem grzecznie za tę sugestię i czym prędzej opuściłem salę. Odtąd już wiedziałem, że nie należy zbytnio rozglądać się wokół i podczas kolejnych posiłków brałem coś prostego, dodawałem furę warzyw i owoców, popijałem sokami, pyszną zieloną lub czarną herbatą i wodą. Jeszcze tylko raz popełniłem błąd, gdy nałożyłem sobie na talerz dwa kawałki mięsa, wyglądające jak podpieczony boczek wędzony, w ładnej zielonkawej zalewie, ze śliwkami różnych rozmiarów. Dołożyłem ryż, wziąłem ze trzy kwadraty zapiekanki ziemniaczanej, trzy białe pierożki z serem feta i zasiadłem do jedzenia. Tym razem moim towarzyszem był poeta z Belgii, który już dwa razy był w Chinach i miał sporą wiedzę o tym kraju. Pochwalił mój wybór i powiedział, że żmija jest bardzo dobra, szczególnie w tym skowronkowym sosie z oczami kóz i jaków. Znowu mi się zrobiło niedobrze i zastosowałem ten sam fortel co poprzednio, niby to kogoś zauważając, niby kogoś wołając. Przeprosiłem Belga i powędrowałem w inny koniec sali, po drodze pozbywając się talerza, biorąc nowy i nabierając warzyw i owoców. Piszę tutaj o przygodach pierwszych dwóch dni, bo potem wszystko wróciło do normy i wraz z innymi uczestnikami imprezy mówiłem, że tego wspaniałego jedzenia jest za dużo. Nikt nie jada w domu trzech posiłków w takiej obfitości i z taką regularnością, nikt też tak nie eksperymentuje. Odtąd brałem na talerz dobrze mi znane potrawy, jakieś plastry wędzonego boczku, pięknie przyrumienione, swojsko wyglądające jajka sadzone, filety z pangi lub mintaja, a do tego ogromne sterty warzyw, trójkąty arbuza i kostki melona lub ananasa. Szybko zorientowałem się też gdzie siadają amatorzy dziwnych dań i omijałem ich z daleka, najczęściej jedząc w gronie poetów z Brazylii, Meksyku, Sri Laki lub z krajów europejskich. W sumie, zachowałem w pamięci owo znakomite jedzenie i apetyczne zapachy, nieustające poczucie sytości i lekkości potraw. Tutaj, w środku Chin, kuchnia jest zbliżona do europejskich zwyczajów – czyż to nie jeden z władców Niemiec uwielbiał dania ze skowronków. Choć miałem jakieś negatywne doświadczenie podczas pierwszych posiłków, to nie narzekałem, bo przecież wiedziałem, że w innych częściach tego wielkiego kraju je się skorpiony i stonogi, rekiny, rozgwiazdy, jaszczurki, żółwie i wszystko co się da wyciągnąć z morza i rzek.

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Po piątej rano budzi mnie sympatyczny głos w słuchawce hotelowego telefonu …*morning call*… Dziękuję i szybko wstaję z łóżka, biorę prysznic, starannie się golę i zjeżdżam windą na śniadanie. Tym razem jem tylko kawałki arbuza i melona, jedną bułkę i jajko sadzone z boczkiem wędzonym. Popijam kawą i sokiem pomarańczowym, a potem wracam na dziewiętnaste piętro by spakować swoje rzeczy. Gdy otrzymałem zaproszenie do Chin, przestrzegano mnie, bym wziął jesienne ubranie, bo w górach bywa bardzo zimno. Zabrałem zatem ciepłą kurtkę, która zajęła mi bardzo dużo miejsca w walizce i jeszcze jedną, lżejszą, ortalionową z ociepleniem, którą wielokrotnie brałem do różnych krajów. Tym razem, po rozmowie z tłumaczką i jednym Chińczykiem, decyduję się wziąć właśnie tę drugą i już jestem gotów do drogi. Jedziemy nad zjawiskowe jezioro Qinghai czyt. *Czinhaj*), gdzie ma odbyć się centralna uroczystość, wraz z wręczeniem Nagrody Złotej Gazeli. Kandydują do niej same poetyckie sławy: Tomas Transtromer, Tadeusz Różewicz, Robert Bly, Philippe Jaccottet, Juan Gelman i para twórców z Chin. Przed hotelem czeka już siedem wygodnych autokarów i mnie trafia się ten oznaczony numerem trzy. Jedzie w nim sporo osób, z którymi już nawiązałem kontakty, a nawet udało mi się wstępnie zaprzyjaźnić – są zatem poeci z Meksyku, Palestyny, z Brazylii i Kanady, ze Stanów Zjednoczonych i ze Sri Lanki, z Indii i z Dahomeju, a także sporo Europejczyków – z Chorwacji i Czech, z Francji, z Łotwy i Estonii, z Rosji i z Mołdowy. Mówi się przede wszystkim po angielsku, ale słychać też język francuski i hiszpański, młoda tłumaczka podaje niezbędne informacje po angielsku. Punktualnie o siódmej trzydzieści ruszamy z Xining w kierunku największego chińskiego jeziora, które jest tak słone i ma tak lodowatą wodę, że ryby, a w tym słynna karpiowata Huang Fish, musiały się specjalnie przystosować do takich warunków. Szybko mijamy główne ulice stolicy prowincji Qinghai, a ja przyglądam się miastu i ludziom, sycę oczy dalekowschodnią odmiennością. Na drogach widzę wiele motocykli, ciągnących małe dwukołowe wózki, ponad miarę wypełnione kapustą, zieloną fasolą w strąkach, cebulą dymką, stertami pomidorów,

papryki, ogórków, bakłażanów i arbuzów, melonów i jabłek, gruszek i różnokolorowych śliwek. Czasem na takim dwukołowcu stoi beczące głośno cielę lub koza, innym razem dwie owce lub pies. Wszyscy pędzą do przodu, a kierowca naszego autokaru co chwilę trąbi i hamuje, przyspiesza i znowu daje dźwiękowe sygnały, zagradzającym drogę pojazdom, motocyklom i rowerom. Mijamy jakiś wielki targ i widzę przez chwilę prawdziwą barwną mozaikę z owoców i warzyw, a także ogromne ilości wystawionych przed niewielkimi budkami towarów przemysłowych, plazmowych telewizorów i sportowych butów, motorowerów i skuterów, ubrań i żywych ptaków, serów i słodyczy. Wszystko to miga przed moimi oczyma bardzo szybko, ale udaje mi się zauważyć wielką różnorodność produktów, którymi handluje się w tym miejscu. Jesteśmy już kilka kilometrów od centrum i widzę teraz sporo walących się domków z glinianej cegły, całych kompleksów niskich budynków, przypominających ziemianki, ogrodzonych murem z piachu, gliny i kamieni. Jak w kalejdoskopie zmieniają się twarze i ubiory, na mijanych motocyklach i miniaturowych traktorach o wydłużonym kształcie widzę muzułmanów w charakterystycznych białych nakryciach głowy i kobiety tego samego wyznania, w czarnych narzutkach, kryjących włosy i powodujących, że wszystkie wyglądają podobnie. Przeraża mnie to, że na obrzeżach dróg wałęsa się sporo małych dzieci, czasem mijanych o centymetry przez rozpędzone samochody, motocykle i nasze autobusy. Stoją i z zaciekawieniem patrzą na kawalkadę, pilotowaną przez chińską milicję, a potem powoli ruszają ku jakimś bocznym drogom i ścieżkom, sklepom i targom. Widzę też wielu ludzi starych, najczęściej w jednolitych strojach z poprzedniej epoki i charakterystycznych czapkach. Siedzą na niewielkich ławeczkach po kilka osób lub samotnie, na rozkładanych krzesełkach i także obserwują ruch uliczny, czasem coś krótko komentują, wyciągają rękę w geście pozdrowienia, zdumienia lub zachwytu.

Wyjeżdżamy na wygodną autostradę, która biegnie przez zjawiskowo wyglądające góry, w wielu miejscach zabezpieczone konstrukcją żelbetonową lub stalową siatką i zasadzoną specjalnie roślinnością. Dopiero tutaj widać w jak niezwykłej niecce, między pasmami, położone jest Xining, dopiero tutaj odsłaniają się drugie, trzecie i któreś z rzędu dale, odległe ośnieżone szczyty, mnóstwo form skalnych i ziemnych, stada owiec i jaków na zboczach, a czasem samotne krowy lub konie, pasące się na takich stromiznach, że wydaje się, iż zaraz stracą równowagę i spadną wprost pod koła pędzących pojazdów. Tablice informują, że zbliżamy się do tunelu o długości trzech i pół kilometra, co wywołuje ożywienie pośród pasażerów autobusu. Nasz kierowca, prowadzący pojazd w białych rękawiczkach i pędzący blisko sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, nie ma zamiaru zwalniać. Podziwiam myśl inżynierską Chin, a zarazem z niepokojem obserwuję wyczyny człowieka za kierownicą. Zapewne dla „uciechy" i chęci „przestraszenia" gości, bawi się wraz z kierowcą jadącego przed nami autobusu w wyścig i mijanie się w wąskiej przestrzeni. Pojazdy pędzą obok siebie w odległości pół metra i to jeden, to drugi, wysuwają się do przodu, a światła w tunelu migają jak oszalałe. Dora z Brazylii jest przerażona i kiwa z dezaprobatą głową, a ja myślę o tym, że starczy mały poślizg opony, niewielki przedmiot na drodze i zdarzy się makabryczny wypadek. Na szczęście długi tunel kończy się i wyjeżdżamy na otwartą przestrzeń. Wielkie zielone hale i rozległe turkusowe zbocza ciągną się w dal bez końca, a przy szczytach widać ocierające się o nie białe chmury, jakieś opary i mgły. Właśnie wjeżdżamy do małego miasteczka, zamieszkiwanego głównie przez niskich, drobnych muzułmanów. Widać to po wspomnianych wyżej nakryciach głów, a i minarety meczetów ze złotymi półksiężycami wskazują, jaka nacja i religia ma tutaj największe znaczenie. Znowu obserwuję przejawy życia na chińskiej prowincji, zauważam też, że wszędzie buduje się domy, wykańcza wnętrza, wznosi wielkie meczety. Jakiś stary mężczyzna prowadzi na postronku kozę, dzieci biegną i coś krzyczą, ze śmiechem, przy mijających je autobusach. Na polach widać pochylone kobiety w słomianych kapeluszach, które ledwie na chwilę prostują się, zerkają na mknące pojazdy i zaraz wracają do pracy. To jest pora żniw i widzę w wielu miejscach ścinanie zboża sierpami, a potem wiązanie go w niewielkie wiązki i układanie w snopki. Wszędzie panuje ożywienie, ludzie gdzieś podążają lub wykonują jakąś pracę, coś przewożą, coś z namaszczeniem transportują, jakby ich świat miał swoje prawa, pośród których najważniejsza jest niezwykła aktywność. Kierowca przyhamował na chwilę i zauważam niewielki targ przy drodze, na którym najwięcej jest arbuzów i melonów, jakieś powiązane w warkocze ryby, spore kawałki baraniego i wieprzowego mięsa, a w jednym miejscu kilka odciętych kozich głów z rogami i jakoś dziwnie połyskującymi oczami. Młoda kobieta rozwiesza pranie na sznurach, tuż przy domu i na nasz widok uśmiecha się, odsłaniając białe zęby. Jacyś mężczyźni jadą na pudle niewielkiej ciężarówki, z narzędziami rolniczymi w dłoniach, a na samym brzegu siedzą trzy rozmawiające ze sobą w ożywieniu młode dziewczyny w czarnych chustkach na głowach i z sierpami w rękach. Miasteczko pojawiło się nagle przed nami i równie szybko zniknęło, a pojazdy znowu znalazły się na wijącej się pomiędzy górami dwupasmowej autostradzie. Krajobraz zaczyna się już zmieniać, strzelające w niebo pagóry i granie łagodnieją i więcej jest teraz ukształtowania równinnego, z niewysokimi, granatowymi górami nad horyzontem. Zaczynają pojawiać się jurty i namioty, a ludzie nabierają wyraźnych cech mongoloidalnych, przemieszczają się poboczami na koniach lub mułach, przemykają na motocyklach Yamaha, w ogóle nie zwracając uwagi na ruch na jezdni. Zmieniła się ona teraz w niezbyt zadbaną jednopasmówkę, na której z dużą szybkością mijają się jadące w przeciwnym kierunku pojazdy.

Widocznie zbliżamy się do celu, bo przy drodze pojawia się coraz więcej byle jak skleconych, prostokątnych namiotów, zwróconych wyjściem ku drodze. Często przednie płachty są odsunięte i widać w nich niskie stoliczki, jakieś beczki, sterty skór. Za nimi ustawiono wiele pszczelich uli, jakieś mniejsze jurty, czasem drewniane szopy. Przed głównymi namiotami handluje się ze stoliczków z miodem i kumysem, a czasem jakimiś lokalnymi lekami i nalewkami ziołowymi. Przy drodze pojawiają się grupki mieszkańców tych ziem, ubranych w ludowe stroje i leżących na ziemi lub siedzących w kręgach w kucki. Jakieś dziewczęta powiewają kolorowymi flagami, młodzi chłopcy cwałują na przyozdobionych paradnie rumakach. Wszystko to bliższe jest Mongolii, niż Chinom i widać tutaj, że ludzie bardzo różnią się od tych, których widywałem w Pekinie czy w Xining. To przez te tereny przebiegała jedna z odnóg *Jedwabnego szlaku*, pradawnej drogi łączącej Chiny z Europą i Bliskim Wschodem. Patrzę na te miejsca, a w uszach brzmi mi muzyka Kitaro, skomponowana do serialu telewizji japońskiej, której ekipa przebyła całą drogę. Ileż moich tekstów napisałem słuchając poszczególnych partii tego wspaniałego dzieła, które mój brat przywiózł na początku lat dziewięćdziesiątych z Berlina. W pewnym momencie tłumaczka kieruje naszą uwagę ku prawej stronie i wyraźnie ożywiona obwieszcza, że szara smużka w dali to już jezioro Qinghai. Ja bardziej przyglądam się dalekim, ośnieżonym szczytom i ludziom, których coraz więcej jest przy drogach. Czuję też, że jesteśmy nieco wyżej, co potwierdzają też niektórzy uczestnicy wyprawy – szczególnie źle czuje się młody poeta z Dahomeju, który ostatecznie skorzysta z pomocy karetki pogotowia i dostanie dawkę tlenu. Także starszy poeta z Iranu i otyła Palestynka narzekają, że boli ich serce, nie chcą wychodzić z autobusu, nie zachwycają się jeziorem i myślą tylko o powrocie. Ja czuje się bardzo dobrze w tym miejscu, oddycham krystalicznie czystym powietrzem, które zdaje się mienić w przestrzeni. Coś tam dzieje się w moim sercu, jakby ktoś nastawiał mechanizm zegara lub przesuwał godzinę, ale w sumie budzi to tylko moje zaciekawienie i nie przywiązuję do tego wagi. Dojeżdżamy do parkingów przy jeziorze i widzę, że jest to miejsce, gdzie przybywa wiele wycieczek, stoi kilkadziesiąt autokarów, kursują malutkie osobowe samochody elektryczne, a na drogach widać prawdziwą przeplatankę różnych rodzajów ludzkich, twarzy bliższych urodzie mongolskiej i typowo chińskiej, Europejczyków, Murzynów, Latynosów i wszechobecnych Japończyków oraz Koreańczyków. W autobusach rozdawano wodę mineralną i teraz prawdziwe tłumy poetów biegną do wskazanej przez tłumaczkę toalety. W Chinach widziałem przede wszystkim urządzenia sanitarne na których się staje, a zdziwiło mnie to, że niektórzy mężczyźni bez żenady, nawet nie domykając drzwi, załatwiali się kucając i wydając głośne odgłosy. Podobnie dziwiło mnie wszechobecne chrząkanie i charczenie, czasem nawet widywałem mężczyzn, którzy wydawali takie dźwięki, a potem siarczyście spluwali w towarzystwie pięknych kobiet. Te w ogóle nie zwracały na to uwagi, tak jakby takie zachowania należały do celebry męskości i były czymś tak oczywistym jak picie wody czy czesanie włosów. Dopiero w hotelach i na lotnisku w Pekinie pojawiały się ubikacje, na których można było usiąść, w innych miejscach wszędzie królowały porcelitowe miski, z dwoma stopami i otworem w środku. Na szczęście nie miałem problemów związanych z tymi miejscami, więc szybko wyszedłem z szaletu i udałem się ku placykowi, gdzie miała się odbyć uroczystość wręczenia nagrody, połączona z występami artystycznymi i koncertem orkiestry filharmonicznej. Przy drodze stali młodzi ludzie, ubrani w stroje ludowe z jedwabiu, przyozdobieni licznymi koralami i broszami, barwnymi zapinkami i kolczykami. Górne partie ich ubiorów miały znacznie wydłużone rękawy, którymi powiewali z gracją w tańcu i z uśmiechem witali przybyłych. Szczególnie pięknie prezentowały się dziewczęta, które miały na sobie czerwone koszule, kontrastujące z bielą męskich strojów. Ileż było egzotyki w tych występach i ileż azjatyckiego posmaku, poczucia oddalenia i zarazem łączności z przedwiekowymi kulturami, z dawnymi obyczajami i nieustającym ruchem, ciągłym dążeniem milionów istnień do jakichś celów. Stanąłem z boku dużej grupy i patrzyłem na pobliskie góry, znowu zamyśliłem się nad drogami mojego życia, które przywiodło mnie ku tej przestrzeni. Odwróciłem się w drugą stronę i zobaczyłem →

wielką kryształową nieckę jeziora Qinghai, połyskującego turkusowo i wabiącego swoim nieskażonym pięknem, będącego obietnicą wielkich wzruszeń i jakże rzadko pojawiającego się poczucia spełnienia.

Słone, bezodpływowe jezioro Qinghai, nazywane przez Chińczyków też *Kuku-nor* (chiń. 青海湖), położone jest na wysokości 3205 metrów nad poziomem morza. Niegdyś w tym miejscu miała miejsce ogromna aktywność tektoniczna i w jej wyniku, w rozległym zagłębieniu Wyżyny Tybetańskiej, powstał ogromny zbiornik wodny. Jest to największe i najwyżej położonej jezioro Chin, które ma powierzchnię 4220 kilometrów kwadratowych. Jego maksymalna głębokość sięga tylko trzydziestu ośmiu metrów i choć zasilane jest przez dwadzieścia trzy rzeki i strumienie, powoli zanika. Mimo tego poraża swoim ogromem, rozległością i zjawiskową ułudą, a przecież niegdyś miało nawet powierzchnię około sześciu tysięcy kilometrów kwadratowych. Stanąłem na drodze i patrzyłem na granatowiejące po lewej stronie Góry Nan-szan. Po stronie prawej miałem przed sobą taflę jeziora, którego nazwa oznacza „zielone morze". Tym razem te barwy wody zbliżone były do błękitu, choć przy coraz większym nasłonecznieniu, rzeczywiście nabierały one barwy turkusowej. Ten niezwykły akwen zbadał dokładnie rosyjski podróżnik i przyrodnik Mikołaj Przewalski, który znalazł też i opisał w tym regionie konia, którego odtąd określa się jego nazwiskiem. Przez pięć miesięcy w roku, jezioro Qinghai jest zamarznięte, a jego wody obfitują w liczne i bardzo zróżnicowane gatunki ryby. W Internecie znaleźć można wspaniałe zdjęcie satelitarne turkusowo-błękitnego akwenu, otoczonego górzystym terenem, pośród którego leży Qinghai. Wszędzie żłobione przez wodę i rzeźbione przez lodowce wzgórza i skały, a i dno tego zbiornika jest skaliste – dzięki *google.maps*, widać znakomicie, że stanowią je w miarę płaskie płyty tektoniczne, które układają się obok siebie i zachodzą jedna na drugą. Na zdjęciu satelitarnym wyraźne też są pobliskie ośnieżone szczyty, które robią wspaniałe wrażenie, gdy ogląda się je z płaskiego brzegu. Wszystko tutaj jest dziewicze, bliskie natury, niezmienne od wieków i zapowiadające trwanie w takim stanie przez następne stulecia. Stoję w pewnym oddaleniu od brzegu i sycę oczy wspaniałościami krajobrazowymi, zauważam ruch małych stateczków wycieczkowych, ptaki unoszące się nad tonią i dalekie mgły, sine opary, które zmieniają się, rozwiewają i na chwilę odsłaniają dalsze przestrzenie. Trudno się dziwić, że miejsce to przyciąga liczne wycieczki i samotnych podróżników – to jakby sama istota chińskiej czystości, niczym nieskażonego piękna, dali, o których marzy się w dzieciństwie i które udaje się zobaczyć nielicznym Europejczykom, czy mieszkańcom innych kontynentów.

Przyglądam się roślinom, które na tej wysokości są dość ubogie i nabierają charakteru endemicznego – trawy i drobne żółte kwiaty, pośród nich, a także wszędzie sporo lokalnych suchorostów i ostów. Idziemy dużymi grupami ku miejscu, gdzie przygotowano Ścianę Wielkich Poetów i ustawiono kilkutonowy głaz, symbolizujący festiwale poetyckie nad jeziorem Qinghai. Z północy napływają ciemnoniebieskie chmury, które powoli przesuwają się nad horyzontem i przydają grozy dalekim przestrzeniom. Na zwykłym polu wyłożono specjalną, grubą folię, ustawiono plastikowe krzesła, przygotowano stanowiska dla operatorów kamer i profesjonalne nagłośnienie. Jest też, usadowiona z boku, chińska orkiestra kameralna, która da koncert utworów kompozytorów europejskich i miejscowych. Wszędzie przemykają piękne dziewczęta w amarantowych ludowych strojach, które są ozdobą imprezy, a także pomagają w różnych momentach – podają wino, wnoszą Nagrodę, ubarwiają inscenizację tańcem. Organizatorzy prezentują sylwetkę lewicowego poety Juana Gelmana, czytane są jego wiersze po hiszpańsku i chińsku, a potem twórca, w podeszłym już wieku, odbiera wyróżnienie. Pięknie wykonana, gazela z litego złota, została umieszczona w estetycznie wyglądającym zamknięciu z drewna i pleksi. Atmosfera jest dość swobodna, a ja odchodzę od głównej grupy i znikam za ścianą wielkich poetów, na której swoje miejsce ma też Adam Mickiewicz. Przystaję dłużej przy płaskorzeźbach przedstawiających różnych autorów, ze wszystkich części świata, a najwięcej czasu poświęcam kontemplowaniu wizerunku Ai Qinga – poety, którego wiersze kiedyś tłumaczyłem z języka angielskiego. To niezwykła postać, wspaniały twórca, który studiował w Paryżu, czytywał Kanta i Hegla, a po powrocie do ojczyzny był dziennikarzem i naukowcem, a także działał jako polityk, co niestety skończyło się osadzeniem go w obozie pracy. Spędził w nim ponad dwadzieścia lat i dopiero po jego opuszczeniu zaczął publikować kolejne książki i stał się postacią centralną dla współczesnej poezji chińskiej. Na ścianie są też wizerunki Dantego i Szekspira, Puszkina i Cervantesa, ale moją uwagę bardziej przyciągają rozstawione nieopodal namioty modlitewne, a właściwie barwne wstęgi rozwieszone tak, że imitują wielkie jurty. Do nich, z kolei, przyczepiono niewielkie kawałki materiału, na którym zapisano intencje modlitewne – ludzie tam mieszkający wierzą, że wiatr poruszając wstążkami, odmawia nieustannie mantry.

Za ścianą przygotowują się do występu artyści i konferansjerzy, a ja podchodzę do pięknej Chinki, która zaśpiewa kilka pieśni. Podziwiam jej strój z niebieskiego jedwabiu i czapkę z futra górskiej antylopy. Rozmawiam z nią chwilę po angielsku i mam wrażenie jakby obcował z księżniczką z dawnych cesarskich Chin – ileż takich kobiet rodziło się tutaj przez tysiące lat i ileż cierpiało z powodu swojej urody, zawłaszczane przez możnowładców, wydzierane rodzinom i zmuszane do zaspakajania swoich panów. Chińska śpiewaczka mówi, że trochę się denerwuje, na co odpowiadam, że wszyscy będą na pewno nią oczarowani i obdarzą ją wielkimi brawami. Uśmiecha się i rusza by zaśpiewać przed międzynarodową publicznością – zanim usłyszę jej cudowny głos, zauważam na specjalnie zdobionej spódnicy znak, który w naszej kulturze ma złowieszczą wymowę. To swastyka, zagarnięta przez Hitlera ze starożytnych kultur Indii i Chin – tutaj nikogo ona nie dziwi, ale przybysze z Europy popatrują na nią z zainteresowaniem. Jej nazwa pochodzi z sanskrytu i oznacza szczęście, powodzenie, pomyślność, a możemy ją zaobserwować także w kulturach wszystkich kontynentów (prócz Australii), gdzie była starożytnym znakiem magicznym, oznaczającym ogień i słońce. Symbol ten pojawił się już na malowidłach naskalnych z paleolitu, a więc sprzed 10 000 lat, odnajdywano go w Starożytnej Grecji, w Skandynawii, a także w Japonii i właśnie w Chinach. Nie wiem czy na spódnicy urodziwej Chinki znak ten miał oznaczać „cnotę", jak w buddyjskich tekstach, tłumaczonych przez mnicha Xuanzanga, czy może – jak w czasach jedynego cesarza kobiety, Wu Zetian – pełnię i kompletność. Staję tuż przy namiocie modlitewnym, słyszę krystalicznie czysty głos mojej niedawnej rozmówczyni i wpatruję się w dale jeziora Qinghai. Ogromne wzruszenie rozlewa się we mnie, a pieśń potęguje doznania, sprawia, że łza kręci mi się w oku i myślę o niezwykłości tej chwili. Chinka, obdarzona aplauzem, cała rozpromieniona, wraca za ścianę poetycką, a ja jako pierwszy składam jej gratulacje – mówię o swoich odczuciach i całuję ją w rękę, co powoduje, że kobieta czuje się nieco zakłopotana. Muszę szybko odejść, bo jestem za bardzo zafascynowany tą istotą, która ma tutaj swoje życie i swój świat, a ja jestem dla niej ledwie przelotnym cieniem, mgiełką, która zaraz zniknie, jak te błękitne opary nad taflą wody.

Idę w kierunku brzegu jeziora i po drodze fotografuję rośliny, ludzi i zwierzęta, próbuję utrwalić zwinne, małe ptaki, które przysiadają na ostach, bujają się chwilę na nich i szybko odlatują. W specjalnych zagrodach czeka tutaj na turystów wiele przystrojonych paradnie koni i szczególnie Chińczycy, sadzają na nich dzieci i przewożą je wzdłuż plaży. Nagle, przy jednym z samochodów, zauważam poetę z Dahomeju, który zgiął się w bólu i pochylił głowę ku ziemi. Podchodzę do niego i dowiaduję się, że bardzo źle się czuje na tej wysokości i że prosi o pomoc. Informuję zatem o tym opiekuna grupy, a ten natychmiast przywołuje lekarza z towarzyszącej nam karetki pogotowia. Murzyn dostaje tlen i powoli wraca mu dawny humor, ale są też niestety i inne przypadki złego samopoczucia i gromkie nawoływania do powrotu. Idziemy na obiad do dużego pawilonu, podczas którego muzułmanin z czarną brodą znowu nakłada sobie na talerz spore porcje gotowanych płuc i delektuje się nimi, wzbudzając powszechną wesołość. Ja nakładam sobie trochę fasoli i zielonych warzyw, biorę nieco ziemniaków i popijam sokiem z pomarańczy. Mięsa jakoś dziwnie tutaj wyglądają i wolę nie ryzykować, tym bardziej, że jeden z Chińczyków, podczas podróży, rozwodził się po angielsku nad wspaniałością tutejszych psich kotletów. Jem szybko posiłek i wychodzę na zewnątrz jadłodajni, a potem ruszam na brzeg jeziora. Jest coraz świetliściej i w dali pojawia się coraz więcej ośnieżonych szczytów górskich. Staję na dużym głazie, a w uszach mam stale ów tęskny śpiew chińskiej artystki, coś łka we mnie, dławi i wyrywa się ku otwartym przestrzeniom. Najpiękniejsze chwile w moim życiu związane były z podróżowaniem i gdybym tylko mógł, rzuciłbym wszystko i stale podążałbym do nowych miejsc. Na taki luksus pozwolić sobie mogą nieliczni i doskonale zdaję sobie sprawę z niepowtarzalności tego, co przeżywam i z nieuchronności końca wyprawy. Na razie jednak chodzę na brzegu niebiańskiego jeziora Qinghai, patrzę na pływające po nim łodzie i żałuję, że w programie nie znalazła się też wodna ekskursja. Jadąc do Chin i czytając o tym miejscu, miałem nadzieję, że zobaczę też słynną ptasią wyspę, na której przysiadają tysiące skrzydlatych stworzeń, a pośród nich także azjatyckie gęsi, które odpoczywają przed wzniesieniem się bardzo wysoko i przelotem nad Himalajami. Czas płynął szybko i nadeszła godzina powrotu, więc ociągając się i wiele razy odwracając się twarzą ku wodnym mirażom, udałem się do autokaru. Byłem jednym z ostatnich, na których czekano i nie żałowałem, że trochę opóźniłem wyruszenie w drogę. Jechaliśmy tym samym szlakiem, którym przybyliśmy, a we mnie już rodziła się wielka tęsknota, by kiedyś odwiedzić to miejsce raz jeszcze. Choć nic w życiu nie zdarza się dwa razy, to jednak czasem cuda się zdarzają…

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Wracając znad jeziora Qinghai, docieramy do starochińskiego miasteczka Huangyuan (chiń. *Dan Ger*), które nazywają też Odonkor, co w transliteracji mongolskiej znaczy *Biała muszla*. Zostało zbudowane w czasach dynastii Ming, czyli około 600 lat temu i szybko stało się ważnym ośrodkiem handlowym i kulturalnym zachodnich Chin. Składają się na nie świątynie i budynki mieszkalne z zamkniętymi podwórkami, przestronne ulice z wieloma ozdobnymi bramami. Tutaj dopiero mam do czynienia z Chinami, na które czekałem i z wielkim zainteresowaniem chodzę od miejsca do miejsca, odwiedzam sklepiki z pamiątkami, przystaję przed budynkami sakralnymi, wchodzę w boczne odgałęzienia ulic. Wszędzie piękne malowidła, zdobienia i złocenia, a do tego jeszcze spore tłumy Chińczyków, którzy z zaciekawieniem patrzą na naszą grupę i komentują to, co widzą. Robię mnóstwo zdjęć, bo gdzie nie spojrzeć, pojawia się coś ciekawego, niezwykłego, jakże odmiennego od naszej kultury. Przeważają barwy niebieskie, ale połączono je z taką paletą innych kolorów, że wszystko razem tworzy niezwykłą dalekowschodnią harmonię. W tym miejscu zbiegały się trakty handlowe, wojskowe, kulturowe, wszakże Huangyuan było ważną fortecą Jedwabnego Szlaku. Choć od momentu zaistnienia dynastii Ming, zaczął się powolny upadek, to samo wystąpienie przeciwko mongolskim rodom Yuan, spowodowało rozwój trwający do połowy XV wieku. Prowadzone były wielkie prace nawadniające, zalesienia, rozwinięto uprawy, produkcję tkanin jedwabnych i bawełnianych, szkła, porcelany, rydwanów i statków morskich. Nastąpiło też w tym okresie wielkie odrodzenie rodzimej kultury chińskiej oraz buddyzmu i taoizmu. Do tego miasta podążały karawany ze wschodu i z południa, tutaj zatrzymywano się, kupowano nowe konie i wielbłądy, wydawano sporo pieniędzy, które niezwykle ożywiały lokalny rozwój. Widać to jeszcze dzisiaj, gdy spaceruje się od domu do domu, przechodzi z podwórka na podwórko, odwiedza się wystawy i teatr przedstawiający dziej Chin od czasów najdawniejszych do dzisiaj. Z czasem Dan Ger stał się największym ośrodkiem handlowym w północno-zachodniej części wielkiego państwa i zaczęto go nazywać Małym Pekinem.

Staję przy wielkiej kamiennej bramie i podziwiam umiejętności rzeźbiarskie dawnych chińskich artystów. Kontempluję sceny z życia Konfucjusza, a wokół nich wiele ornamentyki roślinnej i zoologicznej, jakieś magiczne znaki, złożone sinologiczne symbole. A wszystko wydobyte z twardego kamienia, z taką lekkością i z taką finezją, że aż trudno uwierzyć, że ręka ludzka tego dokonała. Przecież wystarczyłoby fałszywe uderzenie narzędzia, a cały trud poszedłby na marne, starczyłoby osunięcie się dłoni, a rysa zniekształciłaby przedstawienie. Ile godzin, ile chwil trzeba było poświęcić, by osiągnąć taki efekt, a nade wszystko jak trzeba było być utalentowanym, jaką posiadać wyobraźnię i jak wprawnie odrzucać zbędne cząstki materii. Ludzie Zachodu zachwycają się rzeźbami Michała Anioła, Berniniego, Donatella, a częstokroć nie zdają sobie sprawy z tego, że mniej więcej w tym samym czasie w odległej Azji żyli i tworzyli równie zdolni artyści. Ich nazwiska i imiona najczęściej przepadły w mrokach przeszłości, ale dzieła pozostały i przetrwały próbę czasu. Stoję jak zaczarowany i nie mogę oderwać oczy od tych płaskorzeźb, podchodzę i dotykam ich delikatnie, wyczuwam gładkość kwiatów i sylwetek ludzkich, smukłość ornamentów florystycznych i dendrologicznych. I znowu myślę o tych, którzy przez tę bramę przez wieki przechodzili lub zatrzymywali się przy niej i podziwiali kunszt chińskich snycerzy. Ach jakimż wspaniałym przedsięwzięciem byłoby napisanie powieści o takim chińskim rzeźbiarzu sprzed setek lat, a przy okazji ukazanie zaistnienia, rozkwitu i upadku dynastii Ming. Ta brama musiała być świadkiem wielu ważnych wydarzeń, walk, egzekucji i ceremonii z udziałem władców, a nade wszystko trwała w tym miejscu, gdy pojawiali się i znikali prości ludzie. Czytam w wyobraźni pierwsze strony takiej nieistniejącej powieści, zaczynającej się od opisu płaskorzeźb i kamiennej bramy, a potem meandrycznie, jak wielkie chińskie rzeki, podążającej od miejsca do miejsca, od wątku do wątku i od zdarzenia do zdarzenia. Ludzie siedzą tutaj całymi grupami i ani im w głowie podziwianie płaskorzeźb, o ileż ciekawsi są dla nich ci dziwaczni przybysze z Europy.

Chodzę po *Dan Ger* i przyglądam się orientalnej rzeczywistości, w której wszystko ma swoją wartość i stanowi ogromny przekaz na temat przeszłości i wielkości Państwa Środka. To było dogodne miejsce do obrony, a także ośrodek, z którego kierowano pracami nad wznoszeniem Wielkiego Muru, skąd kierowano oddziały do walki ze stale pojawiającymi się Mongołami, a wreszcie punkt, gdzie zbiegały się drogi artystów i pisarzy, muzyków i wojskowych. Także religia rozwijała się tutaj żywiołowo i szybko miejsce to stało się ważne dla buddyzmu tybetańskiego, ale też, pojawiły się liczne świątynie konfucjańskie, taoistyczne, a nawet islamskie. Staję przed monumentalnym →

pomnikiem Konfucjusza i jest to chyba najpiękniejsze przedstawienie tego człowieka, jakie kiedykolwiek widziałem. Trochę jestem zaskoczony mnogością religii i hołdów składanych tutaj różnym figurkom i wyobrażeniom i widzę, że ludzie ci traktują bardzo poważnie zapalanie kadzideł, składanie ofiar pieniężnych, modlenie się, obracanie młynków i powolne wypowiadanie mantr. Tak było od wieków i tak jest teraz, chociaż może zmieniło się trochę nastawienie Chińczyków do dawnych bóstw. Dopuszczają oni teraz swobodną wymianę, przechodzenie z jednej świątyni do innej, z jednego kręgu religijnego do drugiego. W cieniu licznych pagód stale powstawały warsztaty rzemieślnicze i szybko Huangyuan zasłynęło z produkcji lamp, fajerwerków, regionalnych haftów, tybetańskich wysokich butów, miniaturowych drzewek, biżuterii i różnorakich ozdób. W jednym z teatrów jestem świadkiem specjalnego przedstawienia dla turystów – kilku aktorów odtwarza stosunki panujące na dworze cesarza i moment wydania wyroku na jakiegoś nieuczciwego urzędnika. Wyobrażam sobie ile istnień ludzkich przewinęło się tutaj, ilu Chińczyków i Chinek urodziło się pośród tych przestrzeni, dorastało, a potem popadało w starość i w końcu umierało. Zaświadczają o tym nagrobki na pobliskich górach – to charakterystyczny sposób pochówku w tej części ogromnego kraju. Idę wraz z moją grupą do stylowo urządzonej restauracji, gdzie czeka na nas posiłek, tym razem mający wiele elementów dobrze mi znanych, a więc ziemniaków, fasoli, licznych warzyw, są też dziwnie wyglądające mięsa, jak zwykle wiele pierożków, przyrządzanych na parze, jakieś lokalne wina, sporo wódki ryżowej i soków owocowych.

Po sutym objedzie, na jednym z większych podwórek, otoczonym ze wszystkich stron malowniczymi budynkami, ze szpiczastymi dachami i tysiącami ozdób, zaczyna się wieczorne czytanie poezji. Z boku rozlokowała się niewielka orkiestra, grająca na tradycyjnych instrumentach chińskich, jest też młodzieńcza para, prowadząca spotkanie i wielka rzesza publiczności. Wywołany na scenę, wychodzę i czytam kilka wierszy po angielsku. Muzycy wyczuwają rytm moich prezentacji i pobrzękują na *pipach* i *èrhú*, uderzają leciutko w membrany bębenków. Po prezentacji staję na boku i myślę o moim pobycie w tym miejscu. Czy kiedykolwiek mogłem o tym marzyć, czy miałem zapisane w mojej księdze życia, że kiedyś stanę pośrodku starożytnego miasta *Dan Ger* i będę czytał tam moje wiersze. Nie wiadomo dlaczego przypomniał mi się w tym momencie mój ulubiony fragment z *Dialogów* Konfucjusza: *Szaty człowieka szlachetnego nie są przyozdobione purpurą i czerwienią, podobnie jak szaty codzienne. W czasie upałów nosi on lnianą szatę bez podszewki, zakładając inną szatę, gdy wychodzi z domu. Pod czarną szatę zakłada czarną skórę jagnięcą, pod nie barwioną szatę – skórę młodego jelenia, pod żółtą szatę skórę lisią.* Czyżby chiński myśliciel, którego duch stale żyje w tym miejscu, chciał mi coś przekazać, na coś zwrócić uwagę? Rzeczywiście, myślę o wielu moich drogach i o różnych moich skórach, o jakże odmiennych obliczach i wreszcie o punktach dojścia, o tym miejscu i o ludziach, których tutaj spotkałem. Moje wiersze o kamieniach z Central Parku, o Matce Teresie z Kalkuty i o zmienności, przemijalności kultur, wywarły duże wrażenie na wielu poetach i po chwili podchodzili by coś skomentować, zadać jakieś pytanie. Oczywiście było też kilka innych prezentacji autorskich i z przyjemnością słuchałem wierszy poety z Belgii, z Meksyku, z Dahomeju i Kanady. Gdy zapadł wieczór Chińczycy i goście wymieszali się, pojawiło się też sporo dzieci, które podchodziły małymi grupkami i przyglądały się ludziom z daleka. Każdy z tych ludzi ma swoją historię, każdy gdzieś się urodził, miał jakichś rodziców i dorastał pośród odmiennych przestrzeni – każdy wreszcie przejdzie szlak swojej egzystencji i odejdzie na zawsze. Patrzę na to mrowie twarzy, przyglądam się najbliższym osobom i uczę się życia, by zrozumieć przemijanie i śmierć. Konfucjusz mówi: *Nie wiedząc nic o życiu, jak można wiedzieć coś o śmierci?* Takie myśli nachodzą mnie nie bez powodu, właśnie poeta z Maroka przeczytał niezwykły wiersz o umieraniu i zaległa grobowa cisza. A potem pojawiły się gromkie oklaski… Prawie go nie dostrzegałem w tłumie poetów, nie zamieniłem z nim ani jednego słowa i nagle – wiersz na miarę największej poezji światowej. Znowu brzmią we mnie słowa chińskiego świętego: *Ten człowiek rzadko się odzywa, ale zawsze mówi słusznie.* Tak, muszę nawiązać bliższy kontakt z tym człowiekiem, wszak myśliciel też powiedział: *Działaj wedle tego, co usłyszysz.*

Od rana leje deszcz, a my jedziemy kilku autobusami do słynnej świątyni taoistycznej w miejscowości Huangzhong, oddalonej zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów o Xining. Tutejszy klasztor nazywany jest też Kumbum i słynie w całych Chinach z pięknej architektury, niezwykłych stup oraz czerwonych szat mnichów sekty żółtoczapkowej, zwanej też Gelug. Ten odłam buddyzmu lamajskiego zainicjował Je Tsongkhapa Losang Drakpa (1357–1419), znany także jako Dzie Rinpocze. To główny odnowiciel monastycyzmu tybetańskiego – uczony o ogromnej wiedzy, potrafiący łączyć w swoich dziełach wiele linii nauk współczesnych mu nauczycieli. Tao lub Dao (道) to podstawowe pojęcie starożytnej filozofii chińskiej, pojawiające się też w konfucjanizmie i innych odłamach religii. Niestety trudno jest wskazać jednoznacznie, co termin ten oznacza, bo zmienia się on u różnych interpretatorów i wyznawców. Najogólniej powiedzieć można, że jest to uniwersalna zasada kierująca wszechświatem lub metoda postępowania danej osoby. W najodleglejszych zapisach określenie to oznaczało też drogę łączącą niebo z ziemią. Dao trudno wyrazić, bo zasada leżąca u podstaw wszechświata stale się zmienia, tym niemniej jest to droga cnoty, prowadząca do olśnień duchowych. Po pojawieniu się u bramy klasztoru, deszcz powoli przestaje padać i mogę oddać się kontemplacji tego niezwykłego miejsca. Przy wejściu jest wiele ogromnych młynów modlitewnych, a dalej białe, przyozdobione barwnymi ornamentami stupy i ołtarze, na których płonie wiele wiązek kadzideł. Staję przy kolejnych budynkach i podziwiam ornamenty, malowidła, przyglądam się ludziom. Wszędzie widać mnichów, którzy stoją w grupkach i ruchami rąk dają znać by ich nie fotografować. Inni, z kolei, sami podchodzą do turystów i ustawiają się do fotografii, obejmują ramionami mężczyzn i kobiety. Przez wiele lat klasztor ten nie miał pozwolenia na prowadzenie działalności religijnej, ale w ostatnich latach wyraźnie rozwinął się, przyciągnął wielu nowych mnichów. Stał się też wielką atrakcja turystyczną, stymulującą rozwój całego dystryktu Huangzhong.

W jednej z wielkich sal, przy rzeźbie inicjatora zakonu, leży wiele banknotów i monet, ludzie prześcigają się by złożyć datki, czasem wciskają banknoty w części ornamentów, innym razem kładą na obszernych stosach, tuż przy innych, leżących w nieładzie. Wędruję dziedzińcami, wchodzę na kolejne podwórka, kręcę kolejne młynki modlitewne, zatrzymują się w mniejszych pokojach i w wielkich komnatach modlitewnych. Na ziemi leżą czasem brudnawe habity i osławione żółte nakrycia głowy, wszędzie sporo starożytnego nieładu, powiewu dawnych wieków, ale też widzi się grupy malarzy, renowatorów, odnawiaczy malowideł i ozdób. Długo zatrzymuję się przy wielkiej atrakcji klasztoru – świątyni ze złotym dachem, w całości pokrytym drogocennym kruszcem. Widzę duże, lśniące płyty, ręcznie wykute i dokładnie dopasowane, są też charakterystyczne buddyjskie zwieńczenia, rynny w kształcie smoków, z otwartymi pyskami, liczne barwne ornamenty. To jakby sama istota Dalekiego Wschodu, wykwint sztuki chińskiej, kształtującej swoje wzorce w samotności, w oddaleniu od głównych szlaków kulturowych. Tuż obok inne dachy, pokryte wspaniałymi, wypalanymi dachówkami, także ozdobione, zwieńczone wieżyczkami u góry, a na dole ograniczone ozdobnymi rynnami. Choć tyle tutaj bogactwa, nie ma się wrażenia przepychu, wszystko zdaje się mieć walor użytkowy. Obok złota widać jakieś średniej świeżości makaty, zasłony, flagi, na zapleczu świątyń sporo bezładu, jakieś spore sterty śmieci, ale też i rusztowania, wskazujące na to, że nieomal w każdym miejscu trwają tu jakieś prace. Wchodzę wysokimi schodami do wielkiego pomnika złotego słonia. Po drodze stara żebraczka wyciąga ręce po banknoty i monety, prosi o wsparcie i wielu ludzi daje jej jakieś pieniądze. Musi mieć specjalne pozwolenie od mnichów i jakoś dzielić się z nimi zyskami, bo poza nią nikt tutaj nie żebrze. Dostrzegam element dawnej urody w jej twarzy, pobrużdżonej zmarszczkami, i myślę, że warto ją zapamiętać, bo to jeden z emblematów tego miejsca i jakby żywy wiersz.

Mam jeszcze sporo czasu do odjazdu autobusów, więc wychodzę za bramę klasztorną i podążam w kierunku miasteczka. Wszędzie wiele sklepików z pamiątkami, oferującymi biżuterię, małe i większe młynki modlitewne, drogocenne kamienie i naczynia, buddyjskie figury i ozdoby. Sporo jest też małych kiosków, oferujących produkty spożywcze, jakieś napoje, piwo i wódkę. Ku mojemu zdumieniu widzę tutaj całe grupy mnichów buddyjskich, którzy robią wielkie zakupy, negocjują cenę jakiejś złotej biżuterii, targują się ze sprzedawcami owoców i tytoniu. Podchodzę do rzeźnika, gdzie starszy mężczyzna prowadzi ku cynowej misie młodego barana. Staje za nim, obejmuje go nogami, sięga po leżący na półce zakrzywiony nóż i wprawnym ruchem przecina tętnicę na szyi zwierzęcia. Ono próbuje się uwolnić, przez chwilę szaleńczo wierzga, ale zaraz traci siły, a jego krew szybko wypełnia naczynie. Po minucie, może dwóch, ruchy zwierzęcia ustają, a jego zabójca wiesza go na specjalnym haku, głową w dół. Widzę jeszcze jakieś ostatnie skurcze, jakieś śmiertelne dreszcze, wstrząsające martwiejącym ciałem, ale jest to już czas ściągania skóry. Choć żal mi zwierzęcia, jestem pod wrażeniem sprawności ruchów i profesjonalizmu rzeźnika. Robi on nacięcia na nogach i łatwo zdziera skórę, która ląduje w kącie, na stercie innych „powłok". Jednym szybkim ruchem odcina głowę, kopie ją nogą na bok, robi duże nacięcie na brzuchu i zaczyna wydobywać wnętrzności. Nic nie może się zepsuć, więc parujące jelita, wątroba, nerki i pozostałe organy lądują w innej sporej misie z blachy. Mężczyzna nie widzi mnie, bo stoją z boku, za załomem następnego składu, zresztą nie zwraca on uwagi tak-

że i na przechodniów. Sprawnie, fachowo kawałkuje części zwierzęcia i zawiesza je na hakach. Patrzę na leżące pod ścianą głowy owiec i baranów, które żyły jeszcze kilka godzin, kilkanaście minut temu. Idę dalej, ku centrum miasteczka, przystaję na jednym ze skrzyżowań – patrzę na odległe minarety świątyni islamskiej, przyglądam się pojazdom i ludziom, tak różnym i tak zabieganym, muzułmanom w charakterystycznych białych czapeczkach na głowie, policjantom i mnichom, sprzedawcom pamiątek i przechodniom. To są prawdziwe Chiny, pulsujące wielu odcieniami, nieustannie pędzące do przodu, nie zatrzymujące się nad osobną śmiercią, od wieków szukające swojej właściwej drogi. Jeszcze przyglądam się płaskorzeźbom, pokrywającym główne wejście do klasztoru, robię ostatnie fotografie, kręcę młynki modlitewne i już siedzę w autobusie, wracającym do Xining. Po obiedzie jedziemy do miejscowego uniwersytetu, gdzie odbędzie się wieczór autorski poetów języka hiszpańskiego. Przy drzwiach wszyscy otrzymujemy od studentów białe jedwabne szale i w wielkiej auli, wypełnionej po brzegi przez młodzież i wykładowców, zaczynają się kolejne prezentacje. Po wrażeniach z klasztoru taoistycznego, z przyjemnością i poczuciem przynależności do wielkiej światowej poetyckiej rodziny, słucham pięknych słów, zamyślam się nad swoim życiem i nad moją drogą.

Godzinę przed zachodem słońca, idę jeszcze do parku, po drugiej stronie rzeki. Muszę przejść dość długą ulicę i ogromny most, a gdy już na nim jestem zauważam z góry dalekie pasma górskie, wyraziście rysujące się za miastem. Na ich szczytach leży połyskliwy śnieg, a całość łańcucha przydaje krajobrazowi orientalnego charakteru. Bliżej widać osiedla wysokich apartamentowców, a wokół nich niższe budynki, rozsiane jak barwne kawałki warzyw pośród dania ryżowego. Schodzę do parku i mijam niewielu ludzi, ale za każdym razem zauważam ich bystre spojrzenia. Wszystko tutaj jest zadbane, ścieżki wewnętrzne utwardzone, eleganckie ławki i stoliki z górskich kamieni z ciekawym, wewnętrznym rysunkiem linii i zygzaków. Sporo średniej wielkości drzew i starsze klony, topole, wierzby, na każdym kroku klomby kwiatowe i wypielęgnowane trawniki. Schodzę do rzeki i zauważam na kamieniach pliszki siwe, a w miejscach głębszych kaczki krzyżówki. Nurt płynie leniwie i w wielu miejscach zanika w półmetrowej wodnej roślinności, zaborczo wdzierającej się w koryto. Woda jest mętna, żółtawa, ale niesie się od niej jakaś górska rześkość, oddech dalekich dolin i przełęczy. Przysiadam na ławce i patrzę na wszystko dookoła, a przede wszystkim na ludzi, którzy mijają mnie po dwóch, trzech, czasem w niewielkiej grupce. Starcy ubrani w tradycyjne, granatowe uniformy z czasów Mao, młodzieńcy i dziewczęta odziani w bawełniane koszulki, dżinsy, jakieś zwiewne bluzki, w nieodłącznych adidasach na nogach. Chinki dobrze wiedzą jakie są zgrabne, więc z upodobaniem noszą krótkie, kolorowe spódniczki, obcisłe spodnie. Fotografuję ich i proszę o zrobienie mi zdjęcia, na co przystają z uśmiechem, trochę mówią po angielsku, coś tam komentują w swoim języku. Muszę być dla nich wielkim dziwakiem, z moją dość ciemną karnacją skóry i zielonymi oczyma – odchodząc, kilka razy się odwracają, wskazują na mnie i głośno ze sobą rozmawiają. To miasto, w miesiącach chłodniejszych i zimą, jest zapewne zamkniętą enklawą i niewielu trafia tu ludzi z innych części świata – to w końcu przedmurze Tybetu. Dostać się tutaj można tylko samolotem z Pekinu lub koleją trans tybetańską, jadącą wiele dni ze stolicy państwa.

Nagle spostrzegam coś, co każe mi wstać z ławki, włączyć aparat fotograficzny i ruszyć szybko do przodu. Na pobliskich drzewach zauważam stado barwnych ptaków, które okazują się chińskimi dudkami. Jakoś tak się złożyło, że nigdy nie widziałem tych istot w naturalnym, europejskim czy amerykańskim biotopie, wiele razy się zasadzałem, odbywałem specjalne wyprawy, ale jakoś mi się nie udawało. I nagle, w środkowych Chinach, widzę całe ich stado, przelatujące z drzewa na drzewo i pozwalające podejść dość blisko. Jest ich chyba z dziesięć i czuję się jak w ptasim raju, tym bardziej, że zauważam też inne skrzydlate twory – dzięcioły, sikory i zięby, a nawet dzierzbę i srokatego zimorodka. Przypomina mi się tradycyjne malarstwo chińskie, które lubowało się w odtwarzaniu kształtów i w specjalny sposób stylizowało symetrię lotnych krzywizn. Sporo takich przedstawień widziałem w Odonkorze, w starych domach, pałacach i świątyniach, a także na wyrobach sztuki ludowej i regionalnych pamiątkach. Ptaki lśnią w słońcu i przelatując na dalsze drzewa, prowadzą mnie w głąb parku. W końcu kryją się pośród liści, siadają wysoko, tak, że nie mogę ich dostrzec - tylko świszczące głosy wskazują, że tam są. Idę dalej i przysiadam na następnej ławce, patrzę na niezwykłe, liliowo-amarantowe chmury, podświetlone przez zachodzące słońce. Przysiada do mnie jakiś stary człowiek i nie zwracając uwagi na moją obecność, patrzy w dal, kontempluje drzewa, kwiaty i dalekie góry. Za chwilę zamyka oczy i w naturalny sposób zasypia na chwilę, a ja przyglądam się jego twarzy, pooranej bruzdami głębokich zmarszczek, ma może siedemdziesiąt, może więcej lat i musiał przeżyć w tym państwie liczne przełomy i zawirowania dziejowe. Wstaję powoli, by go nie zbudzić i idę w kierunku mniejszego mostu przez Huang Shui, zauważam, że jest już siódma wieczorem, więc przyspieszam kroku, by zdążyć do hotelu na kolację. Od razu czuję żywszy rytm serca i szybciej oddycham, jestem przecież na wysokości dwa tysiące trzysta metrów nad poziomem morza. To historyczna tybetańska prowincja Amdo, gdzie krzyżowały się szlaki karawan i samotnych pielgrzymów i zawsze tętniło życie, dudki wzbijały się ponad drzewa, →

Zbigniew Ikona-Kresowaty

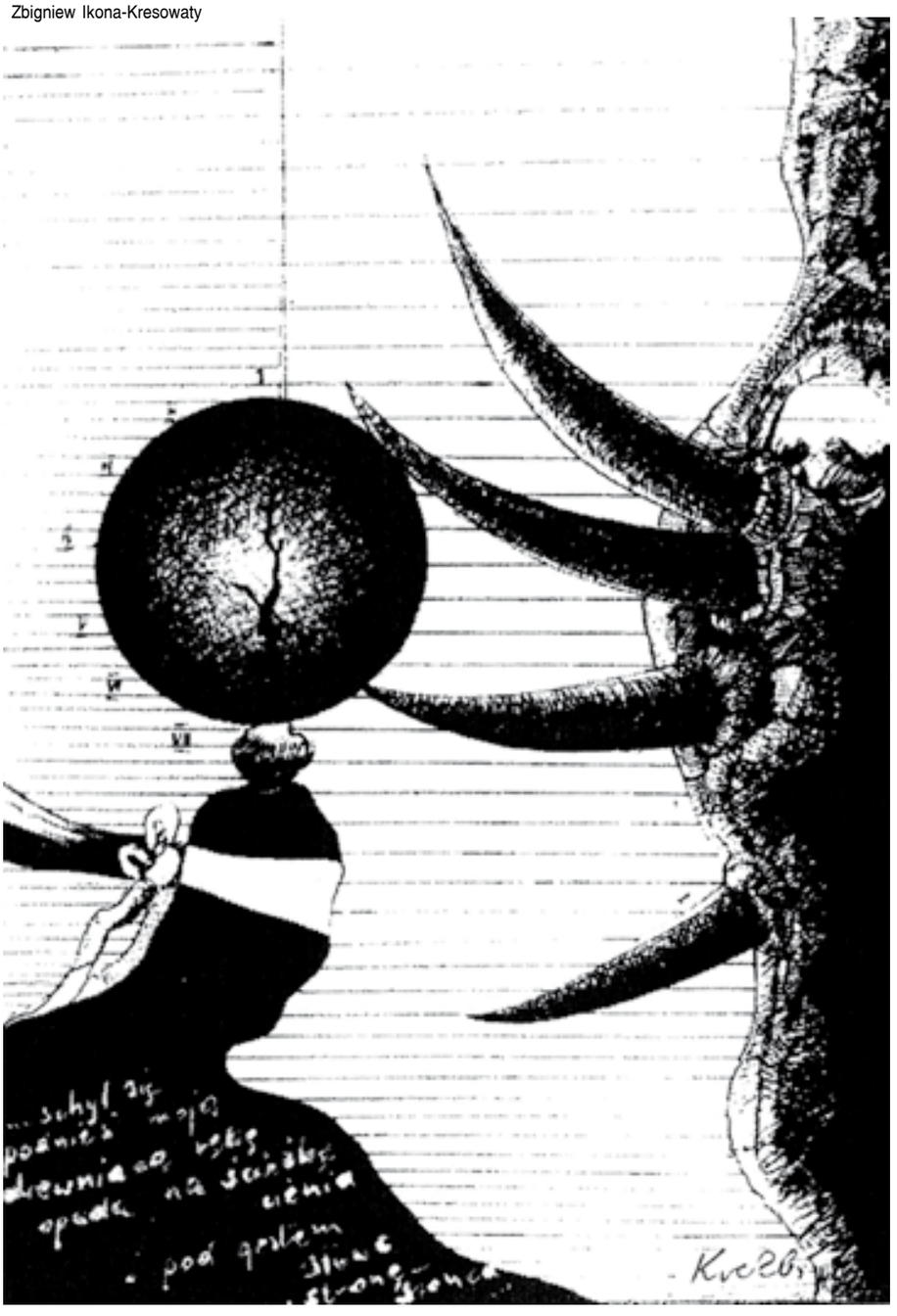

nurty mętnego dopływu Huang Ho sunęły leniwie ku ujściu, a ludzie przyzwyczaili się do życie na wolniejszych obrotach.

Idąc, przyglądam się temu kawałkowi Chin i wydobywam takie skrawki, które mnie ciekawią lub wzruszają. Jakaś mała dziewczynka, może sześcio-, może siedmioletnia, idzie grzecznie parkową dróżką i niesie w woreczku foliowym, wypełnionym wodą, kilka malutkich, kolorowych rybek, które zapewne złowiła w strumieniu. Jest w niej tyle świeżości i piękna, tyle delikatności i azjatyckiej subtelności, że czuję przypływ ciepła w całym ciele. Choć ona o tym nie wie i mija mnie szybko, zastanawiam się jak będzie wyglądało jej życie – tutaj dorośnie, tu wyjdzie za mąż i urodzi dzieci, a w końcu odejdzie z tego świata, jak wszyscy ludzie. Gdzie ja wtedy będę, co będę robił, kim będę i co osiągnę, czy jeszcze będę wśród żywych? Ona tu pozostanie, a ja wyjadę, choć może wrócę za jakiś czas, a może będę w zupełnie innej części świata – niezbadane są wyroki losu. Idąc dalej, spotykam kobietę, mniej więcej w moim wieku, urodziwą i szczupłą, ubraną w czarna kurtkę skórzaną i w jedwabną, niebieską spódniczkę. W pierwszej chwili budzi moje zdumienie, bo chodzi powoli do tyłu, ale szybko orientuję się, że to ćwiczenia relaksacyjne *tai chi*, mające służyć poprawie zdrowia i zyskaniu dobrego samopoczucia. Choć mijam ją zaaferowany, nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi, wysuwa ręce do przodu i wygina je wolno w różne strony, koordynuje ich ruchy, z lekko przesuwającymi się do tyłu nogami. Wchodzę do innego dużego parku, tuż przy hotelu i zatrzymuję się na dłuższą chwilę przy szerokim sztucznym stawie. Wszystko ma tutaj orientalny wymiar i na każdym kroku widać chińską ornamentykę, od budowli, poprzez mostki i nawet pojemniki na śmieci. Myślę o tym, że mógłbym żyć w takim świecie, z dala od Polski, od tego wszystkiego, co w niej zostawiłem. Opieram się o balustradę tarasu wychodzącego nad wodę, wpatruję w dalekie domy, świątynie i myślę o tym jaki jestem w tym momencie szczęśliwy… i jak trudno zatrzymać taką chwilę. Robi się coraz później i wspinam się po schodach na plac, przed hotelem, wchodzę do budynku, gdzie jak co dzień, boy wita mnie z promiennym uśmiechem. Myję się szybko w ogólnej łazience i wchodzę do restauracji – wszyscy jedzą już kolację w najlepsze, więc i ja zaczynam krążyć z talerzem pośród barwnych potraw, warzyw i fasoli, owoców morza i gotowanych na parze pierożków z ostrym lub łagodnym sosem.

Następnego dnia jest lepsza pogoda i jedziemy na południe, do Narodowego Parku Leśnego Kanbula, zobaczyć jedno z najpiękniejszych miejsc w Chinach. Żegnamy nieco zamglone Xining i podążamy przez wsie, miasteczka ku szerokiej autostradzie. Biegnie ona przez góry, a czasami przebija się przez nie tunelami – właśnie wjeżdżamy w jeden z najdłuższych w Chinach, mierzący ponad trzy kilometry. Dowcipni kierowcy autobusów urządzają sobie wyścigi i mijają się trąbiąc na siebie. Patrzę z przerażeniem jak prawie ocierają się o siebie, przy szybkości stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Jeden nieostrożny ruch kierownicą lub kamień pod kołem, mogłyby spowodować katastrofę. Wreszcie wydostajemy się z tunelu i oddycham głęboko, z ulgą, przypatruję się zielonym wzgórzom, które ciągną się z każdej strony. Widać na nich wyraźnie rysujące się tarasy uprawowe, gdzieniegdzie jaśnieją lub zaznaczają się plamy białych lub czarnych jaków, niżej krów i koni lub mułów. Przejeżdżamy przede wszystkim przez muzułmańskie wioski, na co wskazują nakrycia głowy mężczyzn i kobiet. Czasem mijają nas oni na motocyklach *Yamaha* lub *Kawasaki* i wtedy wyraźnie widać białe czapeczki i czarne, koronkowe chusty. Wszędzie pełno odkrytych straganów z arbuzami i melonami, kawałkami baraniny wiszącymi na hakach, jabłkami i gruszkami, pomarańczami i mandarynkami. Żywe kozy i owce błąkają między ludźmi, czasem niewielki pies wybiega z zagrody i oszczekuje pędzące autobusy. Jacyś ludzie wydobywają kamienie z płytkiej, prawie wyschłej rzeki, biegnącej równolegle do drogi. Czasem widzę jakieś umykające ptaki, ale z racji oddalenia nie mogę się zorientować jakie to gatunki, rozpoznaję tylko odważniejsze i żyjące blisko ludzi sroki, szpaki i wróble. Przewodnicy zapowiadają, że zbliżamy się do rzeki Huang He i spodziewam się niewielkiej strugi, która niedaleko stąd rusza z gór i coraz to potężnieje. Wjeżdżamy na most i ze zdumieniem zauważam, że w tym miejscu jest to już wielka rzeka, równie szeroka jak Wisła w swoim północnym biegu. Wkrótce wszystko się wyjaśnia, bo dojeżdżamy do wielkiej tamy, która spiętrza wielką chińską rzekę i powoduje, że już w górnej części jest ona potężna i ma ów żółtawy odcień, który od dawien dawna akcentowano w jej nazwie. Koryto jest nieuregulowane i przeciska się szeroko przez górzystą krainę, przenosząc ogromne ilości życiodajnego lessu, cząstek organicznych i materiału skalnego.

Gdyby nie istniała Żółta Rzeka, północne Chiny byłyby zapewne nieurodzajnym pustkowiem. A tak stały się kolebką starożytnych Chin - to tutaj łatwo uprawiało się lessowe gleby i produkowano ogromne ilości żywności. Z powodu krętego biegu, a także kapryśnej natury, rzeka często porównywana była do smoka. Wypływa ona z gór Bayah Har Shan i wpada do jeziora Elinghu, co po tybetańsku znaczy Błękitny Wschód Słońca. Przypomina ono kształtem złoty dzwon i obejmuje obszar 618 kilometrów kwadratowych. Tuż przy nim usytuowane jest jezioro Zhalinghu, co z kolei znaczy Biały Wschód Słońca. My jednak jesteśmy bardziej na wschodzie, przy pięknym zbiorniku wodnym Lijiaxia, który słynie z niezwykłych widoków i wielkiej hydroelektrowni. Wszystkie autokary zatrzymują się na sporym placu i przesiadamy się do mniejszych busów, które powiozą nas w góry, do miejsca zwanego Kanbula, skąd roztacza się piękny widok na okoliczne, żłobione przez wodę i wiatr skalne ostańce, jak i na niezwykłe, turkusowe jezioro. Wsiadam do jednego z pojazdów, gdzie kierowca w tradycyjnym tybetańskim stroju uśmiecha się i z dumą odsłania wprawione złote zęby. To charakterystyczny element wyglądu tutejszych ludzi i znak ich zamożności, która bierze się przede wszystkim z licznych kontaktów z turystami. Każdy kto przyjeżdża do prowincji Qinghai, pragnie zobaczyć osławione jeziora i poszarpane góry, przedstawiane w tradycyjnym malarstwie chińskim. Jedziemy dość szybko w górę, wąskimi serpentynami, i po kilkunastu minutach pojawia się panorama jeziora Lijiaxia. Wielu uczestników wycieczki krzyknęło w tym momencie z zachwytu, bo widok doprawdy zapiera dech w piersiach. Dopiero stąd widać delikatną barwę wody, przechodzącą od błękitu do turkusu. Zapinam sweter, bo w miarę wspinania się w górę, czuję coraz większy chłód. Zaczynam też odczuwać zmieniającą się wysokość, która sięga blisko czterech tysięcy metrów, obserwuję też zmieniającą się roślinność. Przy drodze pasą się kozy, a nieco wyżej, na zboczach widać samotne jaki. W końcu docieramy do Narodowego Parku Leśnego Kanbula, gdzie jest niewielki budynek i parking dla samochodów. Mamy godzinę na zwiedzanie tego miejsca i kontemplowania niezwykłych kształtów otaczających gór, które bardziej przypominają krajobraz z jakiejś obcej planety, niż miejsce na ziemi. Są to wielkie ostańce skalne, w specjalny sposób wyżłobione przez wodę i wiatry, tak że przypominają głowy prehistorycznych żółwi. Rośnie tutaj wiele rzadkich drzew iglastych, górskie topole i sporo krzewów charakterystycznych dla tej wysokości. Wędrujemy wąskimi dróżkami, podziwiamy ostańce oraz odległe szczyty górskie, nawet w sierpniu pokryte śniegiem i lodem. Wchodzimy też na niewielka górę, na której zbudowano rodzaj chińskiej altany, ze stromymi dachami i charakterystycznymi ozdobami. Tuż obok jest jeszcze jeden szczyt, pokryty trawą, kwiatami i ziołami. Wspinam się na niego, mijając dwa pasące się muły, a gdy staję na szczycie, zauważam, że wspięli się tutaj też trzej muzułmanie z pobliskiej wsi. Niestety nie rozmawiają oni po angielsku, ale wymieniamy jakieś uwagi o okolicy, podnosząc wskazujący kciuk do góry, coś próbując dać do zrozumienia na migi. Po zejściu ze szczytu jedziemy nieco niżej, do dużej stołówki, gdzie zatrzymują się wszystkie wycieczki. Jem pałeczkami tradycyjny posiłek, pełen warzyw i pierożków drożdżowych, gotowanych na parze i szybko wychodzę na placyk przed budynkiem. Słońce grzeje bardzo mocno, siadam więc na niewielkim murku i korzystając z okazji, opalam twarz. Dopiero w Xining zauważę, że te kilkanaście minut w bezruchu, spowodowało, że słońce dosłownie osmaliło mi buzię.

Zjeżdżamy jeszcze niżej, w kierunku zbiornika wodnego i monumentalnej, żelbetonowej hydroelektrowni. Przez cały czas podziwiam niezwykłe widoki, sporo fotografuję i zatrzymuję wzrok na niewielkich skupiskach budynków, ulokowanych w dolinach i otoczonych murami. Zimy tutaj muszą być srogie i wiatry porywiste, dlatego ludzie chronią się w specjalnych kompleksach, które mnie kojarzą się z gniazdami jaskółek, przyczepionymi do ścian. Wreszcie dojeżdżamy do sporego tarasu widokowego i mamy przed sobą panoramę skał, kamiennych platform, turkusowej wody, tamy i gór ciągnących się aż do horyzontu. To jeden z najpiękniejszych widoków, jakie widziałem w życiu, więc fotografuję, by utrwalić tę chwilę. Spaceruję przy samym brzegu przepaści i cieszę oczy tym kawałkiem Chin, niegdyś tak niedostępnym, a teraz będącym wielką atrakcją turystyczną. Organizatorzy dają nam ledwie kilka minut na delektowanie się panoramą zbiornika wodnego, który z samolotu wygląda jak chiński smok. Szybko wsiadamy do mikrobusów i zjeżdżamy w dół, do podnóża gór, gdzie z hukiem, przez sztuczne spiętrzenie, przewala się, rzeka Huang He. Wracamy tą samą drogą do Xining, ale w pewnym momencie skręcamy w kierunku gór i ocieramy się o kompleks lamajskich świątyń na szczytach. Jesteśmy lekko ubrani, a tam temperatura gwałtownie spada do minus dziesięciu stopni, więc nie możemy się zatrzymać. Przyglądam się namiotom z flagami modlitewnymi i ludziom, którzy często siedzą na ziemi, na niewielkich kocach lub na rozpostartych skórach jaka. Muszą być bardzo zahartowani, bo nie są wcale grubo ubrani, mają na sobie swetry, czasem jakieś sfatygowane płaszcze lub kurtki. Przy drodze leżą białe jaki i kozy, widać też ludzi, wspinających się specjalnymi dróżkami ku świątyniom. Mijamy to niezwykłe miejsce i zjeżdżamy do autostrady, a nią mkniemy znowu szybko w kierunku Xining. Kierowcy

raz jeszcze dają popis w długim tunelu, ale po wyjechaniu z niego, trąbiąc na mijane samochody i przyspieszając coraz bardziej, dowożą nas bezpiecznie do hotelu. Jestem nieco zmęczony i chcę się przespać, ale nagle dowiaduję się, że z powodów technicznych, muszę tego samego dnia wieczorem lecieć do Pekinu. Zabrakło miejsc w samolocie, który miał ruszyć następnego dnia, więc mnie i poetę z Dahomeju umieszczono w innym statku powietrznym. Cóż robić, szybko pakuję swoje rzeczy, żegnam się z wieloma pisarzami i wsiadam do autobusu, który odwozi nas i sporą grupę Chińczyków na lotnisko. Gładko załatwiam formalności, siadam w poczekalni z czarnoskórym kolegą i czekam na samolot. Nie możemy rozmawiać, bo on mówi tylko po francusku, a ja posługuje się przede wszystkim językiem angielskim. Jeszcze godzina i już wsiadamy do Boeinga 737 i wznosimy się nad Xining. Z zachwytem patrzę na górzysty krajobraz gościnnej prowincji Qinghai, a potem długo przyglądam się z zaciekawieniem ludziom, którzy lecą wraz z nami do stolicy. Na lotnisku czekają na nas wyznaczeni opiekunowie, którzy transportują nas znowu do tego samego hotelu, co przed wylotem do Xining. Śpię spokojnie i budzę się wczesnym rankiem, mam więc jeszcze trochę czasu by pochodzić po ulicach Pekinu. Trwa na nich poranne ożywienie, tysiące samochodów i ludzi na rowerach przemieszcza się ku jakiemuś przeznaczeniu. Niebawem znajdę się ponownie na lotnisku, wsiądę do wielkiego samolotu, lecącego do Wiednia, stamtąd mniejszym aeroplanem przemieszczę się do Warszawy i moja chińska wyprawa zakończy się. Będę tęsknić za Państwem Środka i może nigdy do niego nie wrócę, na pewno jednakże zainteresuję się bliżej jego kulturą – będę czytać wiele książek i jak najwięcej pisać o nim.

***Dariusz Tomasz Lebioda***

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Michał Kaczmarek

Michał Kaczmarek – ur. w 1986 w Głogowie. Z wykształcenia nauczyciel języka angielskiego. Publikował drukiem i w internecie, w tytułach takich jak: „Afront", „Gazeta Kulturalna", „Akant", „Wytrych", „Ypsilon", „ArtPapier", „Tlen Literacki", „Pisarze.pl", „Helikopter". Obecny również w radiu („Poczta Poetycka Polskiego Radia Koszalin").

## Hodowla gęsi

zmęczona małżeństwem
trudem w dążeniu
do zawarcia przymierza
z odbiciem w lustrze

mężczyzna z którym dzieli łózko
na sąsiadujące układy sił
pisze traktat
bada okoliczności moralnego osądu
uczony w prawie
świadek walczy o możliwość
wyboru programów telewizyjnych
wolność od papierosów żony

obrasta w glinę
forma niedostatku
kształtowanego w rękach naczynia

zapach gęsi
rozmnożonych w nieskończoność
dociera do najdalszych domów
w których
brzmią zaklęcia babek
modlitwy matek
wypełnić piwnice winem
szuflady powszednim chlebem
dobrodziejstwem inwentarza

w pobożną noc
jak spray do ucha zatkanego woskowiną
w drogę rodną
wpływa nasienie

## Układy rozrodcze

między dachówką a rynną
osy budują gniazdo
ich praca pozbawiona planu
jest planem sama w sobie
jak woda
która poddaje się kształtowi naczynia
działanie opiera się na posłuszeństwie
niezachwianej zgodzie z przeznaczeniem

coraz grubsza powłoka i owalny kształt
nie mają śladów pielęgnacji
czułego doglądania

są wynikiem przeżuwania szczęk
machania skrzydłami
pulsowania odwłoków

szczęki
skrzydła
odwłoki
na pojęcia anatomii zwierzęcej
nie ma miejsca
w języku dwóch mężczyzn
mówią językiem w naturze nieznanym

instynkt pozostaje w rezerwie
na specjalne okazje
sytuacje zagrożenia
jak teraz
gdy niosą drabinę i dmuchawę
by zniszczyć gniazdo
miało być macicą
przyjmować nasienie w miękkie ścianki
niczym ciała ich kobiet
które
odpowiednią temperaturą
prawidłowym ciśnieniem tętniczym
zachęcają do odbycia stosunku

## Ojciec

woja śmierć
konieczna
namacalna jak wazon
miała owalny kształt
miała funkcje użytkowe
można wstawić kwiaty
wlać wodę
konieczna to znaczy nieodwracalna
wiadomość tata nie żyje
nie wyraża zgody na powrót
nie cofa się składnia
przed wykonaniem zadania
wyznaczonego
przez głos drżący w słuchawce
wazon jest przy nas
widzimy go gdy wracamy z pracy
próbujemy nawiązać rozmowę
odpowiada chłodem
jego istnienie
równa się twojemu odejściu
nie rozumiemy
nie wierzymy
zaistniało nieistnienie
zdanie niemądre
składa się z części
które do siebie nie pasują
mogłyby
wypychać siebie nawzajem
poza granicę
za którą nic nie widzimy
lecz
nie walczą o prawo
nie sprzeciwiają się
pozostają w zgodzie
jakby odmierzone
by ważyć tyle samo

## Wiersz osoby dojrzałej

deszcz zamienił się w mżawkę
uśpił czujność
korzystne wydarzenia
doprowadziły do samotności
zmęczenie dziecka które zasnęło
łupieżcze najazdy domowników
na centra handlowe
dały odpoczynek
jestem sam
w ciszy przed burzą
właściwą dla osób dojrzałych
kataklizm rozwija się
zapowietrzonym piecem
który odmówi posłuszeństwa
nieświadomym ojcem
który dowie się o nieuleczalnej chorobie
lub
odwrotnie
ojciec przestanie wykonywać obowiązki
piec zachoruje na astmę
wykrztusi plastikowy dym
którym trujemy z oszczędności
krople deszczu są coraz większe
i z coraz większą energią
uderzają o ziemię
napięcie wzrasta proporcjonalnie
do zmniejszania dystansu
między mną a pojazdem
w którym zapakowane w torby zdobycze
krzyczą o ułożenie na regały
podbijają spiżarnię
wymaganiem
natychmiastowej realizacji oczekiwań
ściany patrzą podejrzliwe
wyrażają pretensje
ukryte głęboko w ciałach
okaleczonych od urodzenia
w rękach murarzy
szczotki
zabiegów szlifowania
zostawiają ślad
Pewna pani
choroba ojca przyszła w złym momencie
nie miała możliwości
nie widzi w tym swojej winy
ani jego winy
nie chciała zrywać kontaktu
z tymi którzy mieszkają
dwie ulice dalej
dzieli ich więcej
niż dwie ulice
dzieli ich może
nieskończoność ulic
nowoczesne lampy
dobrane kolory farb
roześmiane dzieci
nie rozumieją co się stało
ona rozpamiętuje
dlaczego nie może być sama
dlaczego ma iść kiedy wołają
do swoich wesołych twarzy
rumianych policzków
co zrobić z żalem który przynosi
za złuszczonymi drzwiami
mieszkania które zmieniło imię
głos rozsypuje się w rękach

PROZA

Zbigniew Zbikowski

# STRAŻNIK Z BEAUREGARD

## (FRAGMENTY POWIEŚCI)

Nie ma potrzeby, by próbować balansować na niewidocznej granicy między kawiarnią a trotuarem. Wystarczy, że lekko skręcę szyję i przesunę nieco swoje krzesło, a wszystko zobaczę. Lecz kilku gapiów zdążyło już przesłonić mi widok, muszę więc i ja wstać, żeby się dowiedzieć, co tam się stało, na tej cholernej, biegnącej w dół ulicy.

Człowiek leży na brzuchu na środku jezdni, dwa metry od krawężnika, w nienaturalnej pozie, z przedziwnie wygiętą ręką. Wytrącona ze stawu barkowego i złamana w nadgarstku, sprawia wrażenie sztucznej.

Młodzieniec. Wygląda na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Śniada cera i ciemne, mocno poskręcane włosy podpowiadają łatwy osąd: Algierczyk bądź Marokańczyk, ach, ci, wiadomo. Ubrany jest w niebieskie wytarte dżinsy i białą bawełnianą koszulę. Jego głowa z twarzą w dziwnym grymasie skręciła się po upadku w naszą stronę. Otwarte czarne oczy o obojętnych źrenicach patrzą już w nicość. Prawy but, jak nic chińska podróbka sportowego adidasa, wylądował trzy metry dalej, na przeciwległym chodniku. Pewnie oderwał się od stopy w momencie uderzenia ciała o beton i odskoczył, oddając powietrzu i ziemi teraz już do niczego mu nieprzydatną energię.

Bezruch ogarnia solidarnie but i ciało. Tylko biel koszuli w okolicy kołnierzyka zachłystuje się nagłym przypływem czerwieni w odcieniu soku, jaki zwykle wypływa z pękniętego przejrzałego arbuza.

Zerkam na czarną w czerwonym. Nie wygląda na poruszoną. Patrzy na wszystko chłodno, bez egzaltacji ogarniającej innych świadków, jakby wyrzucanie gości przez narożne okno na trzecim piętrze podejrzanego hoteliku zdarzało się tu co poniedziałek, a ona za każdym razem była tego świadkiem. Wyciąga nie wiedzieć skąd telefon komórkowy i wybiera numer alarmowy. Mówi spokojnie, co się stało, że mężczyzna, że upadł, że leży bez ruchu.

Spoglądam ukradkiem na pozostałych. Przynajmniej dwie inne osoby także telefonują. Pięć następnych robi zdjęcia, które pewnie za chwilę pojawią się w Internecie, na Fejsie bądź na Insta, by – nim zostaną zablokowane – ściągnąć po trzy tysiące lajków. Po drugiej stronie uliczki, na wprost mnie, ktoś fotografuje miejsce, z którego zapewne wypadł ten człowiek. Jacyś ochotnicy z tłumku dają znaki dwóm nadjeżdżającym samochodom, żeby, zwolniwszy, ominęły nieruchomego Algierczyka czy Marokańczyka szerokim łukiem.

Wychylam się mocno, ale niczego szczególnego nie udaje mi się dostrzec, poza tym że wysokie okno trzeciego piętra na ściętym narożniku budynku, przegrodzone niewielką balustradą udającą balkonik, jest w połowie otwarte, a gęsta ażurowa zasłona odsunięta.

Dwoje kelnerów, dziewczyna i chłopak, może studenci, może imigranci, zagradzają wejście, rozdarci między chęcią popatrzenia z bliska na ofiarę a potrzebą dopilnowania, aby wszystkie pozostawiane teraz kisze, tarty, przegrzebki, kremy, zamówione nie wiadomo czemu między obiadem a kolacją, wszystkie te kawy, wina, piwa i świeżo wyciśnięte soki zostały opłacone. Klienci rzucają na stoliki zaokrąglone w górę należności w banknotach i monetach lub wręczają je czuwającym na posterunku kelnerom, usiłującym osiągnąć kompromis między służbową uprzejmością w uśmiechu a powagą w obliczu tragedii: *merci, au revoir, merci, au revoir, merci*, i wybiegają na ulicę, aby znaleźć się bliżej zdarzenia bądź na wszelki wypadek prysnąć z tego miejsca, nim uchwyci ich sylwetki i twarze oko czyjejś kamery.

Mam wrażenie, że zostałem w kawiarnianym ogródku sam, otoczony przez karny zastęp plastikowych stolików i gromadkę zdezorientowanych pustych krzeseł w komendzie na spocznij. Z daleka słyszę sygnał nadjeżdżających pompierów. Zareagowali błyskawicznie. Zapewne mają remizę na którejś z sąsiednich ulic. Wystarczyły im dwie minuty od telefonu. Są przy ofierze szybciej niż policja. Nic jednak po nich. Leżący na ulicy Algierczyk czy Marokańczyk nie żyje. Strażacy przykrywają jego ciało czarnym workiem, w który zostanie za chwilę zapakowane, gdy tylko koroner, niespieszący się, bo i do czego, oficjalnie stwierdzi zgon.

Obserwując beznamiętnie ruch wokół zwłok wyrzuconego z trzeciego piętra człowieka, czuję na plecach świdrujące spojrzenie. Wwierca mi się pod łopatkę, drapie po karku, wbija w podstawę czaszki. Wiem, że to on. Widzę go, nie widząc. Stoi i spogląda tam, gdzie ja. Nie obejrzę się jednak. Wytrzymam, jak długo się da. On także nie zrobi kroku, by znaleźć się choćby na granicy mojego pola widzenia. Wiem, że jeśli gwałtownie się odwrócę, zobaczę tylko rozedrgane gorące powietrze, sztywniejące niczym płynna galareta w chłodzie kamiennych paryskich murów, wlewająca się do płuc z każdym głębszym oddechem.

– Przypatrz się, przypatrz się temu! – słyszę gdzieś w swoim wnętrzu jego głos. – Nie odwracaj oczu. To twój dzień i twoja godzina. Czy nie po to pokonałeś dwa tysiące kilometrów, by się dowiedzieć, jak zginął ten twój bohater? Właśnie tak, tak to było. Jota w jotę. Wyleciał przez okno, upadł na bruk i się zabił. Tu, dokładnie w tym miejscu, w czterdziestym siódmym. Też przyjechała karetka, też zjawili się pompierzy, ale nie było kogo ratować. Zabrali go wprost do kostnicy, jak tego Algierczyka czy Marokańczyka.

Próbuję wywołać w wyobraźni jego sylwetkę. Niski wzrost. Starannie zaczesane jasne włosy. Twarz charakterystyczna dla wschodnich Europejczyków, z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi i echem fałdu mongolskiego w oczach – cztery wieki tatarskiej niewoli zrobiły swoje – zdradzającym swą nienachalną obecność zwłaszcza przy uśmiechu. Płaski, rozszerzony u dołu nos. Stoi z lekko wysuniętą do przodu prawą stopą w schodzonym mocno, niegdyś brązowym bucie. Ma na sobie mundur czerwonoarmisty, jego głowę przykrywa spiczasta czapka z pięcioramienną gwiazdą. A może jest w mundurze pomocnika niemieckiego oficera, bez dystynkcji, jedynie z trójkolorową rosyjską naszywką? Albo pojawia się jako *maquisard* w brytyjskim battledressie i francuskim berecie? Albo jako obozowy strażnik w furażerce? Mógłby być każdym z nich i zawsze byłby sobą.

– No więc… – szepcze mi prosto do ucha, lecz nie czuję na małżowinie jego oddechu. – No więc zobaczyłeś wreszcie na własne oczy, jak zginął. Zadowolony? – Nie wiem, czy potrafi czytać w moich myślach. Na wszelki wypadek nie odzywam się, nawet bezgłośnie. –Tak, tak – skrzeczy. – Słusznie się domyślasz. Nie wyskoczył z własnej woli. Nie popełnił samobójstwa, jak napisano w kronice wypadków. – Wie o mnie wszystko. Zna moje myśli szybciej, nim sam je sformułuję. Teraz przypomina mi, że niedawno byłem w czytelni, gdzie wyczytałem w starej gazecie cztery czy pięć krótkich zdań o incydencie w szesnastej dzielnicy siedemnastego września czterdziestego siódmego roku, uznanym oficjalnie za *suicide*. Mam wrażenie, jakbym czytał cały komunikat raz jeszcze. Ale on wie więcej, niż ja zdołałem wyczytać z kroniki wypadków. Zaraz mi powie, jak to było naprawdę. – W rzeczywistości został wyrzucony przez to okno – oznajmia. – Kiedy znajdował się w locie, jeszcze żył, jeszcze mógł zostać uratowany. Wyobrażasz sobie tę sekundę? Ten wyścig krwi z tlenem? Najpierw duszenie i ciemność w oczach, potem ostatni haust powietrza i spotkanie z brukiem. I ta nagle utracona, ledwo odzyskana nadzieja. I znowu czerń, tak doskonała, że nawet jedna iskierka w tunelu jawi się jak oślepiająca supernowa. Lekarz sądowy orzekł, że śmierć nastąpiła na miejscu. Przynajmniej się nie męczył.

Dłużej nie wytrzymuję. Oglądam się. Żadnego zaskoczenia. Tylko rozedrgane powietrze. Trzy metry za mną stoi kobieta w czerwonej bluzce. Odsłoniła lewy bark przekreślony w pionie czarnym ramiączkiem. Przygląda mi się, patrząc pod światło. Inaczej niż wtedy, gdy tu wszedłem, a ona, siedząca blisko wejścia, uśmiechnęła się szeroko na powitanie, zwyczajnie, bez zobowiązań czy niejasnych obiecanek, jakby chciała bezgłośnie powiedzieć, że właśnie mamy w Paryżu wspaniałe, ciepłe, przedjesienne popołudnie, ty, gościu, jesteś fajnym facetem, a ja niezależną, szczerą, otwartą kobietą, cieszmy się z życia, nic nas nie łączy i niech tak pozostanie, poza tą wymianą uśmiechów na *bonjour*. Mam wrażenie, że teraz próbuje dostrzec we mnie kogoś więcej niż anonimowego, harmonijnie zbudowanego mężczyznę – siłownia dwa razy w tygodniu robi swoje – o niebieskich oczach, a więc zapewne nie Francuza, który na chwilę zwrócił jej uwagę. Kogoś z zewnątrz z wewnętrzną tajemnicą. W smudze cienia. Jedynego, który nie wybiegł z kawiarni na ulicę, żeby popatrzeć na trupa.

– To straszne, prawda? – mówi, jakby dla sprawdzenia, czy odezwę się po francusku.

Kiwam głową. Szukam słów. – Zaskakujące – odpowiadam. – Siedziałem blisko, tu, prawie na samym rogu, niczego nie zauważyłem. – Mój akcent mnie zdradza.

– Rosjanin? – próbuje zgadnąć.

Zaprzeczam gwałtownie poziomymi teraz ruchami głowy, najpierw o dużym zasięgu, potem coraz węższym. – Polak – stwierdzam na zakończenie cyklu drgań.

– Ach, tak! – odzywa się, nie kryjąc zaskoczenia, i zaraz układa usta w zagadkowy półuśmiech, po czym obciąga bluzkę, odsłaniając drugi obojczyk.

– Zna pani innych Polaków? – pytam.

– Może znam – odpowiada dwuznacznie i zaraz zmienia temat. – Policja będzie pytać

– informuje, nie kończąc zdania. – Już są. – Pokazuje dużymi ciemnymi oczami niewidocznych jeszcze dla nas funkcjonariuszy.

Chce, abym sam się domyślił, że najlepiej zrobię, oddalając się stąd, o ile nie mam przyjemności zostać wylegitymowany przez policję i wypytany, co zobaczyłem, siedziałem przecież blisko miejsca upadku, a potem może jeszcze ciągany po przybytkach sprawiedliwości jako świadek nie wiadomo czego, bo dokładnie niczego nie widziałem, ot, jakiś ruch na granicy pola widzenia i dźwięk jak uderzenie o asfalt worka pełnego arbuzów.

– Którędy? – rzucam, gotów w razie nieporozumienia zwalić wszystko na język, że przepraszam, ale te krótkie francuskie pytania są do siebie takie podobne.

Ona wykonuje głową szybki gest oznaczający idź za mną i rusza ku wyjściu. Pozwala mi przez kilka sekund napawać się widokiem swej figury w ruchu do przodu i na boki jednocześnie. Mija schody na górę, ach, dlaczego tam nie idziemy, no tak, tamtych na górze będą szarpać w pierwszej kolejności, dlatego. Wprowadza mnie do sali na parterze, przeprowadza przez kuchnię, otwiera drzwi na podjazd dla dostawców. Pozwala, bym przeszedł bardzo blisko niej, tak blisko, że przy odrobinie bezczelności mógłbym się o nią otrzeć, zwłaszcza że nie cofa się nawet na centymetr, co można poczytać za prowokację, ale nie daje spojrzeć sobie w oczy. Sama nie wychodzi.

– Jak pani na imię? – pytam beznadziejnie, jak uczniak, jakby chodziło o ładną koleżankę z międzyszkolnej kolonii, której do końca turnusu nie ośmieliłem się o nic zapytać, i oto mamy ostatni dzień, i wiem, że wrócę do domu i więcej jej nie zobaczę, więc chociaż to jedno niech pozostanie w mej pamięci. Jej imię.

Uśmiecha się, jak to zwykle robi odważna kobieta spotykająca nieśmiałego chłopca.

– Juliette – mówi. Nie jest ciekawa mojego imienia, ale chce z jakiegoś powodu spełnić moje oczekiwanie. – A pan? – pyta uprzejmie.

– Żorż – odpowiadam.

– Czyżby? – dziwi się, ściskając klamkę, którą za chwilę pociągnie ku sobie. – Jest takie polskie imię?

Skąd ona może o tym wiedzieć?

– Jerzy po polsku – poprawiam się i tłumaczę: – To po dziadku, którego nie poznałem. Zginął…

Nie chce słuchać tej historii. Nie ma czasu ni ochoty. Już zamyka drzwi, ciągle się uśmiechając. – Do widzenia – mówi, gdy zostaje jej tylko domknąć szparę.

– Do widzenia, Juliette – żegnam się, zostawiony sam sobie. – Miło było cię poznać – dorzucam, patrząc na zamknięte drzwi, które przyjmują moje wyznanie bez poruszenia, ze zdrewniałą obojętnością.

Czy zapłaciłem za espresso? Chyba nie. Na pewno nie. Oczywiście, że nie. Zostało niedopite na stoliku obok niewidzialnej linii. Wrócę tu jutro i zapłacę. Chcę zobaczyć ich miny, gdy powiem, że tak się złożyło, wiecie, ten wypadek i to całe zamieszanie, ale pragnę być w porządku, proszę, oto cztery euro.

Ani uczciwość, ani legalizm. Liczę, że przy okazji znowu zobaczę Juliette w czerwonej, a może tym razem w ciemnoróżowej bluzce, nie zakłada zapewne dwa razy pod rząd tej samej. Chyba że ma dwie czerwone. Jak dwa kłujące w oczy sztandary do porwania na wietrze. Chciałbym powiedzieć jej, wytłumaczyć, że nazywali go w domu Żorż, dlatego ja tak odruchowo, bo ja swe imię dostałem po nim, jak mówiłem, choć nigdy, ani ja, jak mówiłem, ani moja matka, nazywająca mnie pieszczotliwie Żorżykiem, nie widzieliśmy go żywego na oczy.

Tylko co ją to obchodzi?

Wielki czarny citroën, który jakby czekał na moje pojawienie się na podjeździe, bo nikt przy mnie do niego ani nie wsiadł, ani z niego nie wysiadł, rusza nagle spod ściany budynku ku bramie, by wytoczyć się na zewnątrz dziedzińca i zniknąć w potoku aut mknących bulwarem. Nie chcę na nic patrzeć ani niczego widzieć, co mnie on obchodzi, ale to dzieje się samo, wbrew mej intencji. Moje oczy na ułamek sekundy nadziewają się na obojętne spojrzenie pasażera obok kierowcy. On omiata mnie wzrokiem jak przydrożny słupek, który trzeba ominąć, ja w tym czasie topię swój wzrok w zimnej głębinie jego oczu. Na jej dnie dostrzegam roztrzaskany o beton arbuz, z którego wypływa strużka czerwonego soku.

***

– Następny!

Potężny głos co chwila wybucha i niesie się korytarzem jak niekończąca się letnia burza po upalnych dniach. Oddalająca się i nawracająca, z każdym kręgiem coraz bliższa, coraz bardziej gotowa splunąć ogniem na drewniane zabudowania. Pierzyny powiązane, zdekompletowana fajansowa zastawa w starych tekturowych walizkach, połatane ubrania w lnianych workach, na wypadek, gdyby przyszło uciekać przed nawałnicą płomieni. Świece w oknach, ludzie na kolanach. Tak zawsze robili na Ukrainie, tak robią tutaj, w kazachskim stepie, w swych glinianych domach. Kazachowie z sąsiedztwa naśmiewają się, eh, wy, dokąd uciekniecie? Kismet. Przed losem nie ma ucieczki, wszędzie was dopadnie.

– Następny!

Piorun uderzył tuż przy uchu. Teraz jego kolej. Zwykłe drzwi kołchozowej świetlicy stają się granicą światów, wrotami między kręgami przeznaczenia. Nie ma czasu na zdumienie, że to się dzieje naprawdę. Szybciej, szybciej, popędza czerwony na twarzy, z wojskowym pasem opuszczonym poniżej regulaminowej linii, członek komisji wojskowej z głosem Szalapina. Taśma stemplująca nowych czerwonoarmistów nie może mieć przestojów. Pięć kroków do stołu, za którym siedzi trzech obcych w mundurach. Czuć samogon, ludzki pot i maziło do butów. Najsilniej błyszczą dobrze wypastowane kamasze siedzącego w środku oficera w stopniu kapitana. Z boku, przy oddzielnym stoliku, chudy lekarz z kitlem narzuconym na ramiona i grubawa pielęgniarka z plikiem dokumentów przyciśniętych do obfitej piersi.

Chciałby podać rozpiskę, z powodu której tu się znalazł, ale nie wie, komu ją podać. Żołnierz po prawej daje mu dwoma palcami znak, aby wręczył wezwanie właśnie jemu.

– Nazwisko?

Rudawy blondyn z kapitańskimi patkami, zadający dziś to pytanie po raz dwieście trzydziesty czwarty, wspiera zmęczoną głowę na trzech palcach. Nie patrzy na poborowego, tylko w rozłożoną na stole gazetę.

– Kowalk. Iwan Aleksandrowicz.

Oficer kiwa głową, stukając jednocześnie ołówkiem. Poznał setki najdziwniejszych nazwisk. Kowalk to Kowalk. Nic mu do tego.

Sekretarz ma wrażenie, że czegoś nie dosłyszał. Zerka na rozpiskę.

– Kowalko?

– Nie, Kowalk.

Taśma pracuje. Dociekanie, dlaczego Kowalk, niczym jakiś ptasi korpus pozbawiony ogona, żołnierz bez godła, drogowskaz bez strzałki, a nie zwyczajnie, jak człowiek: Kowalko, Kowalczuk, Kowalkow, Kowalik czy nawet Kowalski, może zostać poczytane za opóźnianie produkcji, sabotaż. Pal licho, niech mu będzie Kowalk – ktoś jak nikt, kto może być każdym. Sekretarz zapisuje.

– Urodzony?

– Trzeciego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego.

– Miejsce urodzenia?

– Lwów.

Stukanie ołówkiem ustaje. Kapitan bez podnoszenia głowy powoli unosi przekrwione gałki oczne i spogląda przez krzaczaste brwi. Po raz pierwszy ogarnia spojrzeniem sylwetkę wychudłego, niewysokiego młodziana, wysoko podgolonego, lecz z pozostawioną nie wiedzieć czemu jasną grzywą włosów opadających na czoło. Ma jedną sekundę na zadanie dziesięciu pytań, których nie wolno mu zadać. Lwów, powiadasz? A co też twoja mać robiła we Lwowie w dwudziestym roku? Kim ona jest? A ten Aleksander, co cię zrobił w czerwcu dwudziestego roku, jakiego pochodzenia? Ukraińskiego? Rosyjskiego? Czasem nie polskiego? A ty sam, kto? Ten azjatycki rys w oku to po jakich przodkach, ha? Skąd się wziąłeś w Kazachstanie? Wywieziony z innymi spod Żytomierza i porzucony w stepie? Czy może inaczej: ojca przenieśli urzędowo w trzydziestym trzecim za jakieś niedopatrzenie w pracy do miasta Kokczetaw? A w końcu jakie to ma znaczenie! Jutro dostaniesz karabin do ręki albo i nie, za tydzień, z karabinem czy z gołymi rękoma pójdziesz w bój, być może pierwszy i ostatni raz.

– Narodowość?

Znaczy co? Moja ojczyzna to Sowiecki Sojuz, ale nie ma takiej narodowości. Ma powiedzieć, że polska, bo gdy wydał pierwszy krzyk, wydobywszy się z brzucha matki i straciwszy z nią kontakt przez przeciętą pępowinę, w mieście akurat powiewały flagi biało-czerwone? Czy ukraińska, bo na sowieckiej Ukrainie spędził wygłodniałe do bólu dzieciństwo i wczesną kartoflaną młodość? Bo jeśli liczy się język, to w domu mówiło się po domowemu, ni to po rosyjsku, ni po ukraińsku, często też jakieś polskie słowo wpadło. To jaka będzie narodowość? Przecież nie kazachska. W ich wsi pod Kokczetawem mieszkają trzy rodziny kazachskie, a ukraińskich trzydzieści. Plus trzydzieści polskich i tyle samo niemieckich. Ukraińcy mieszają się z Niemcami, Polacy z Ukraińcami. Czort znajet, jakiej kto jest narodowości.

– Rosyjska – oświadcza z półsekundowym opóźnieniem.

W szkole mówił po rosyjsku, w urzędzie po rosyjsku, czytał rosyjskie książki i śpiewał rosyjskie pieśni masowe. Być rosyjskiej narodowości teraz najbezpieczniej.

Kapitan patrzy na niego przenikliwie, dla wyostrzenia obrazu mrużąc oczy.

– Zapisać – mówi do sekretarza, który na moment zawiesił pióro nad odpowiednią rubryką. – I do lekarza.

Sekretarz zapisuje, podaje papier i wskazuje głową stolik medyczny.

Przechodzi pięć kroków w prawo. Lekarz wyciąga rękę, bierze dokumentację i rzuca na nią okiem.

– Nazwisko!

– Kowalk. Iwan Aleksandrowicz.

– Rozbierać się.

Stoi w wypłowiałych szortach, niegdyś dumnie zwanych błękitnymi, i w zszarzałym bezrękawniku. Co ma zdjąć? Ściąga podkoszulek.

– To też. – Doktor lekceważącym gestem wskazuje niebieskawe majtki.

Pielęgniarka patrzy obojętnie. Widziała tę scenę setki razy. On niepewnie pozwala →

szortom zsunąć się z bioder i odruchowo krzyżuje dłonie na podbrzuszu.

– Co to ma być? Opuścić! – krzyczy lekarz. Na jego rozkaz wyciąga ręce wzdłuż tułowia w pozycji na baczność. – Odwrócić się!

Natychmiast obraca się na pięcie. Czuje pomieszanie wstydu, upokorzenia i podniecenia.

– Przodem! – słyszy polecenie.

Odwracając się, natyka się na łagodne spojrzenie pielęgniarki. Jej oczy każą mu się uspokoić. Wiesz, chłopcze, ilu synków takich jak ty przemaszerowało już przede mną? Białych i śniadych, chuderlawych i umięśnionych, gładkoskórych i obrośniętych, z naprężonymi i skurczonymi, pomarszczonych i obrzezanych? Wiesz, ilu z nich widziałam wkrótce bez rąk i nóg, z bebechami na wierzchu, zakrwawionych, ogłuchłych, oślepionych? Ilu dotykałam zimnych, zniekształconych, z wypływającym z czaszki mózgiem, z otwartym sercem, z nogą wyrwaną aż po miejsce, które teraz próbujesz zasłonić? Zapomnij o wstydzie, zapomnij o wszystkim, co słyszałeś o dumie. Jeśli twoja dusza tkwi wciąż w poprzednim kręgu, za tymi drzwiami, jeśli jeszcze tęskni i płacze, zanurzona w pożegnalnym wieczorze przy wódce i akordeonie, to ciało należy już nieodwołalnie do kręgu krwi i prochu nieugiętej Krasnej Armii, przychodzącej po nie jak po swoje w kazachski step i syberyjską tajgę.

– Skarży się na coś? – pyta lekarz.

O co pyta? Czy dobrze się czuje? Czy nie choruje? Czy chce ofiarnie i bez słowa skargi służyć Stalinowi i ojczyźnie, gotów oddać za niego i za nią, bo on i ona to jedno, jak oblubieniec i oblubienica, swe młode życie? Kręci przecząco głową.

– Zrób skłon – pada polecenie.

Sięga palcami rąk do stóp.

– Teraz przysiad.

Wyciąga dłonie przed siebie, jak na szkolnej gimnastyce, przysiada i zaraz sprężyście się podnosi.

– Zdrów – orzeka lekarz, zwracając się do pielęgniarki.

Ta coś zapisuje w odpowiednich rubrykach i przenosi kartę do stołu, przy którym siedzi kapitan z sekretarzem i tym trzecim, nic niemówiącym. Oni pochylają się nad papierem i kiwają głowami.

– Zdolny – stwierdza kapitan.

– Zgadzam się – potwierdza sekretarz.

– Zgadzam się – mruczy ten trzeci basem.

Chłopak już stoi przed stołem, w szortach i podkoszulku.

– Strzelać umiesz?

– Melduję, że umiem.

Nagle truchleje. A może to źle, że umie? Lepiej powiedzieć, że nie umie? Bo gdzie się nauczył i kto go nauczył? Za późno. Przewodniczący komisji musi w sekundę podjąć decyzję. Przydzielić mu karabin, czy też w pierwszy bój pójdzie z gołymi rękoma, w nadziei, że jego uzbrojony towarzysz pierwszy padnie, a wtedy będzie mógł zabrać jego broń. Teraz wszystko staje się ważne. Jego wzrost, głos, akcent, deklaracja narodowościowa i to, że urodził się we Lwowie, choć nie zdążył zobaczyć miasta na swoje dziecięce oczy, bo jeszcze jako niemowlę zabrali go stamtąd pod Żytomierz, gdzie mieszkała rodzina matki. Może należało wspomnieć, że ten Lwów to przypadek, mimo że nikogo to nie obchodzi, bo cóż może znaczyć miejsce urodzenia dla martwego czerwonoarmisty poległego w pierwszym boju? A jeśli dla tego oficera w wyglansowanych butach ta jedna sylaba zaklęta w cztery litery wywołuje przyjemny błysk w umyśle i drgnienie w sercu, i dzięki temu zrobi w papierach malutki sekretny znaczek, przez który nie poślą go do ataku w pierwszej linii?

– Odmaszerować! – pada zza stołu rozkaz.

Iwan Kowalk salutuje. – Tak jest, towarzyszu kapitanie! – melduje i odchodzi. Kiedy jest już przy drzwiach, oficer pochyla się ku sekretarzowi i poleca:

– Karabin.

– Kiedy już nie mamy.

– Znajdźcie.

Sekretarz wpatruje się w listę. Przesuwa palec coraz wyżej, potem go ślini i przewraca kartkę. Zatrzymuje się przy nic niemówiącym mu nazwisku jakiegoś Mamedowa. Zamazuje małą literę „k" w rubryce „zdolny" i stawia taki sam znak w papierach Kowalka.

– *Charaszo* – stwierdza kapitan.

Siedzący po jego prawej stronie podoficer już jest przy drzwiach, za którymi zniknął Iwan. Otwiera je i głosem jak grzmot woła:

– Następny!

Potem omiata groźnym spojrzeniem całe pomieszczenie. Jeszcze rano kłębiła się tu ciżba dziarskich poborowych, a teraz zostało ich zaledwie kilku, zgaszonych całodziennym oczekiwaniem na swoje miejsce w kolejce do piekła, w którym ostatni będą pierwszymi na linii strzału wroga.

– Jeszcze pięciu – informuje basem kapitana i kołysząc się na boki, jakby w życiu nie zsiadał z konia albo w dzieciństwie cierpiał na krzywicę, wraca na swoje krzesło.

– Siadaj! – krzyczy Iwanowi do ucha fryzjer w mundurze szeregowca.

Pomieszczenie obok świetlicy. Zwykle miejsce oczekiwania artystów i prelegentów na występ, teraz zasłane ludzkim włosem. Czarnym z głów turańskich i mongolskich, jasnym ze słowiańskich, rudym z piegowatych ni to ni sio, zmieszanym, zdeptanym, sponiewieranym, jak w zbiorowej mogile rekrutów posłanych w pole dla rozpoznania siły ognia nieprzyjaciela.

Iwan Kowalk gładzi się po wystrzyżonym do skóry czerepie, z pozostawionym na czubie zadziornym kosmykiem. Chce powiedzieć, że nie dalej jak przedwczoraj był u Wieni, znajesz, Wieniedikt Daniłowicz, nasz golibroda, co to jak podstrzyże kawalera, to uch, każda panna chciałaby dotknąć jego grzywy, nawinąć na palec i pociągnąć ku sobie, niby tak, dla żartu, ale znajesz, już my się znamy na tych ich gierkach, co nie, towarzyszu żołnierzu?

– No, siadaj! – Szeregowiec ze stępioną od włosów z tysiąca głów maszynką przygniata ramię Iwana, by zmusić jego kolana do ugięcia, a pośladki do zajęcia miejsca na zydlu.

Wyrok na jasną grzywkę już zapadł, gdzieś tam, w Moskwie, może gdzieś za Uralem. Zostanie złożona na ofiarnym kamieniu jako wotum dziękczynne wąsatemu bożkowi przedstawionemu na portrecie zajmującym ćwierć ściany w świetlicy. Jako widomy znak roztopienia się duszy indywidualnej w zbiorowym duchu Armii Czerwonej, upokorzonym, ale nie pokonanym, przygniecionym, ale nie złamanym, do odrodzenia potrzebującym ciała i krwi chłopców ze stepu i tajgi. Niczym aztecki Xiuhtecuhtli, którego ofierze, by uratować świat na kolejne pięćdziesiąt dwa lata – nim wrzucono ją w ogień, a nadpalonej wyrwano serce – wycinano najpierw kosmyk włosów z czubka głowy. Iwan nigdy nie widział dziobatej, pożółkłej twarzy wąsatego Xiuhtecuhtli z Kremla, ale poznał jego adiutanta, wściekłego Hołodomora, każącego swoim ofiarom, których serca zamieniał w kamień, w ukraińskim stepie zjadać ludzkie mięso. Hołomodor już krążył jak wilk wokół ich wsi, lecz stał się cud i okrutny wąsacz wyrwał małego Janka-Iwanka spod Żytomierza z łap swego sługi, i kazał w bydlęcym wagonie powieźć do Kazachstanu, gdzie nie żyło się lepiej, ale przynajmniej Hołodomor nie przychodził każdego dnia po ostatnie ziarno. Dziobaty bożek pozwolił przeżyć, za co mu cześć i chwała, ale teraz przyszedł w kokczetawski step po swoje, po tę zawadiacką grzywkę na czubku głowy i po młode serce. Dostaniesz karabin, mówi bezgłośnie Xiuhtecuhtli z czerwoną gwiazdą na czole ustami kapitana swojej armii w wyglansowanych butach i pójdziesz w ogień. Przeżyjesz, pójdziesz dalej, przeżyjesz, pójdziesz dalej, przeżyjesz, pójdziesz dalej. Ubijesz stu germańców, dostaniesz awans i medal, i nadprzydziałowe frontowe sto gram. Ale statystyka, chłopcze, jeśli wiesz, o czym mówię, ta okrutna boża posłanka, której rolą jest mówić zawsze prawdę, będzie przeciwko tobie, jej nie pokonasz. Prędzej czy później przyjdzie po twoje bijące serce.

Iwan odsuwa głowę i syczy, bo stępiona maszynka boleśnie szarpie włosy, lecz szeregowy woła siedź i uderza go w ramię. Szybko porusza kabłąkami wysłużonej maszynki i jasny kosmyk po serii ostrych razów upada na podłogę, między wcześniej poległych towarzyszy.

– No, uchodź – mówi fryzjer i lekko uderza go w kark.

Przy wyjściu stoi strażnik z paskiem pod brodą i pepeszą na ramieniu. Spogląda na rozpiskę i każe przejść i dołączyć do dwustu trzydziestu trzech rekrutów z kokczetawskiego rejonu wcielonych tego dnia do armii. Jeszcze po cywilnemu, choć już z gołymi bielejącymi czaszkami, zdradzającymi udział w świeżym poborze. W połowie zbici w kupę, pogadujący, popalający, w połowie rozproszeni po kątach i zakamarkach, przeżywający ostatnie chwile na granicy między tym, co było, i tym, co jest. I tylko czekają, aż za chwilę, za kwadrans najdalej, jakiś starszyna krzyknie na nich, ustawi w dwuszereg, zawoła baczność i spocznij, i znowu baczność, w prawo zwrot, naprzód marsz, i poprowadzi do polowych koszar. Tam nastąpi fasowanie sortów mundurowych, przebieranie i oswajanie się z nową rzeczywistością, w ostatnim kręgu życia i śmierci. Odtąd nie ma już tego, co było, ani tego, co będzie, jest tylko to, co jest, a jest, jak jest. Jesteś ty, pył marny, oraz twój dowódca, dowódca dowódcy, który ma swojego dowódcę, który ma nad sobą dowódcę pułku, armii, frontu i samego generalissimusa, wąsatego krwiolubnego i sercowładnego bożka, z którego imieniem na ustach, jak z imieniem ukochanej, ojczyzny i matki, i z okrzykiem urra, zostaniesz posłany jako nawóz historii pod grad kul i bomb najeźdźcy kochającego innego nienasyconego wąsatego bożka, i dla siebie swojej domagającego się ofiary.

– Nazwisko?

– Kowalk. Iwan Aleksandrowicz.

– Do szeregu.

***

– Czyli nie porozmawiamy?

– A o czym?

Widać zaciekawiam ją. Trwa w pozycji „gotów", w oczekiwaniu na „start", ale wystrzał nie pada.

– Może o tych pokojach na górze?

Wykonałem fatalny w skutkach falstart.

– Nie ze mną. Przepraszam.

Obraca się na pięcie i odchodzi. Nic mnie nie upoważnia do tego, by biec za nią. Jednak nie zrozumiała mnie. Jak mam jej to wytłumaczyć? Nie podejdzie drugi raz. Zamiast niej przyjdzie znowu kelner w typie

południowca, który nie rozumie, po co chcę im wcisnąć te cholerne cztery euro. Sprytny fortel, jak mi się zdawało, zaczyna mnie już wkurzać. Zostawić im na stoliku garść monet i pójść w diabły, co będzie demonstracją obrażonego nie wiadomo na co obcokrajowca, czy dalej prowadzić beznadziejną grę? Na pewno już biorą mnie za kogoś innego, niż jestem naprawdę. Z drugiej strony, któż inny wprowadzi mnie do pokoju, z którego być może został wypchnięty na bruk dziadek Żorż? Nie objaśnię tego Juliette w jednym zdaniu, kiedy siedzę przy stoliku w bistro na obrzeżu Montmartre, a ona stoi nade mną i nie może usiąść, bo jest w pracy.

Przepłukuję wodą kubki smakowe, mieszam cukier w kawie, wypijam trzy małe łyki smolistego espresso, lecz żaden z nich nie dostarcza mi zwykłej w takich razach przyjemności. I co, strażniku z Beauregard, co to zjawiasz się w mojej głowie, kiedy chcesz, i znikasz, kiedy chcesz? Co mi teraz poradzisz? Nic mi nie szepniesz do ucha? Wiem, łatwiej przychodzi ci gadać o tym, co się wydarzyło tu i tam, wtedy i wtedy, niż coś samemu wymyślić.

Strażnik nie odpowiada na zaczepkę.

Żanet. Rok romanistyki na Uniwersytecie Jana Kazimierza i od razu letnie stypendium w stolicy Francji. Miała wrócić do Lwowa na koniec lata, nie wróciła. Trzeciego września Francja wypowiedziała Niemcom wojnę, bo trzy dni wcześniej Hitler napadł na jej sojuszniczkę i jego dywizje zajmują polskie terytorium. Została w Paryżu. Próbuję wyobrazić sobie mężczyzn, którzy się przy niej kręcili, nim poznała Jerzego. W ciągu sześciu lat ktoś musiał się pojawić. Jakiś Francuz? Polak? Może Amerykanin? Jerzy przyjechał do Paryża już po wkroczeniu aliantów, latem 1945 roku. Właściwie wrócił. Był tu wcześniej wiosną czterdziestego roku, zaraz po wydostaniu się z węgierskiego obozu dla internowanych i przedarciu się przez kilka granic utartym szlakiem zbiegów. We Francji wstąpił na krótko do nowo organizowanej polskiej formacji wojskowej.

Można by założyć, że poznał Janinę już wiosną roku czterdziestego. Na przykład tu, w tym bistro. Ona pracowała jako kelnerka, z czegoś przecież musiała się utrzymywać, on wpadł z kolegami na pogawędkę przy kawie, może przy czymś jeszcze, odetchnąć wolnością po kilkumiesięcznej, podszytej niepewnością niewoli. Próbował coś zamówić swoją łamaną, gimnazjalną francuszczyzną. Spokojnie, może pan mówić po polsku, zrozumiem, powiedziała. O, pani może z Polski? A skąd, jeśli można wiedzieć? Naprawdę ze Lwowa? Bo ja też, to znaczy niezupełnie, ale mieszkają tam moi krewni i ja ostatnie dwa lata, kiedy studiowałem architekturę na Politechnice Lwowskiej, pomieszkiwałem u nich. A pani, taka piękna Polka, skąd pani tutaj? Bardzo pan miły, lecz nie mogę panom poświęcić za wiele czasu, jestem w pracy. To może spotkamy się po pracy?

– Przepraszam, pan życzy sobie coś jeszcze?

To kelner. Ten w typie południowca. Stanął za mną, nieco z boku i mówi mi prawie do ucha. Zaskoczony, gwałtownie odsuwam głowę.

– Yyy, nie. Dlaczego?

– Słyszałem, że pana interesuje... – Nie mówi, co mnie interesuje, tylko pokazuje palcem na górę. – Relaks?

Oczywiście, to sprawka Juliette. Naprawdę źle mnie zrozumiała i powiedziała mu, czego, jej zdaniem, szukam.

– Nie – odpowiadam zdecydowanie, potem uśmiecham się na wszelki wypadek. – Tu jest mi dobrze.

– Gdyby jednak – nie ustępuje – zapraszam do baru.

– Zdecydowanie nie – podtrzymuję swoje désintéressement dla szybkich uciech. – Proszę przekazać pannie Juliette, że to nieporozumienie. Pokoje na górze interesują mnie z zupełnie innego powodu.

– Przepraszam, jakie pokoje? – Normalnie powinien teraz wziąć mnie za policjanta po cywilnemu, ale jaki tutejszy policjant wymawiałby w tak okropny sposób francuskie nosówki? Niechybnie bierze mnie za żołnierza wschodniej mafii. – Ja coś mówiłem o pokojach?

– Nie mówił pan, ale proszę przekazać. Bardzo mi na tym zależy. Co mi pan poleci do tej kawy?

– A w czym pan gustuje? – Kelner gładko porzuca temat pokoju do relaksu. – Na słodko, czy raczej coś konkretnego?

– Jadłem już, zatem coś drobnego, jakiś deser może.

– *Mousse au chocolat?*

– Świetny wybór. Poproszę.

Jest mi obojętne, co zamówię, byleby podała mi to Juliette.

Pracuję do późna w nocy, powiedziała Janina. Chce pan czekać, aż wyjdę? To nie jest dobry pomysł. Jerzy zrozumiał, że szybko musi coś wymyślić, bo choć piękna lwowianka zamknęła mu drzwi przed nosem, zostawiła w nich wąska szparę. To może przed pracą? Na przykład jutro. Będę tu na panią czekał. O której pani zaczyna? Jeśli pani mi nie powie, uroczyście obiecuję, że przyjdę godzinę przed otwarciem bistra i nie odejdę stąd, dopóki pani się nie zjawi.

Jako scena w tanim melodramacie sprzed wojny by mogło być, myślę sobie. W prawdziwym życiu być może wcale w czterdziestym roku się nie spotkali. Jeśli nie wiadomo, co się zdarzyło, wszystko mogło się zdarzyć. Jeśli nie wiadomo, co jest prawdą, wszystko może być prawdą.

– No więc o czym naprawdę chce pan ze mną rozmawiać? – pyta Juliette z irytacją w głosie.

Stawia na stoliku *mousse au chocolat* i czeka.

A jednak przyszła. Zaciekawiam ją. Południowiec pewnie też chce wiedzieć, co jest grane z tym Polakiem, który może wcale nie jest Polakiem. Niepewność to strasznie męczące uczucie.

– Przedwczoraj, kiedy wypuściła mnie pani na zaplecze, potem na podwórze, stał tam samochód, duży, w nim dwaj mężczyźni. Zaraz po tym, gdy wyszedłem, przejechali obok mnie...

– Aha, czyli już nie chodzi o pokoje na górze?

W niej też jest coś intrygującego. Niezależna, otwarta, wie, czego chce, mężczyzn traktuje po partnersku. Wyczułem to już wtedy, gdy przy wejściu do bistro poczęstowała mnie tym swoim szczerym, lecz niczego nie obiecującym uśmiechem.

– O pokoje też, ale absolutnie z innego powodu.

– Ja już wszystko, co mogłam, powiedziałam dziś na policji. Właśnie dlatego się spóźniłam.

Chwytam drobny niuans: powiedziała „wszystko, co mogłam", nie zaś „wszystko, co wiem".

– To też mnie nie interesuje.

– Dziwak z pana.

– Mam na imię Żorż.

– Pamiętam. Polak. Nie Rosjanin. A Żorż to nie jest polskie imię.

– Tak naprawdę chodzi o innego Żorża, mojego dziadka, który tu...

Znowu nie chce słuchać tej historii.

– Dobrze już, wystarczy. Kończę za godzinę. A teraz życzę smacznego.

Powiedziała, co chciała. Mam to rozumieć, jak mi się podoba. Ona rozdaje karty.

Odchodzi.

***

– Jestem Iwan.

– No i co?

– A ciebie jak nazywają?

– Co ci do tego? Nazywają jak nazywają.

– Słyszałem, Mamedow. Starszyna i wszyscy inni tylko Mamedow i Mamedow. Dlatego wiem, jakie nosisz nazwisko. A przecież każdy człowiek u nas oprócz nazwiska ma jeszcze imię i otczestwo. To jak to z tobą jest?

– Wystarczy Mamedow.

– A widzisz, czasem nie wystarczy. U nas we wsi, rozumiesz, no, jest miasto Kokczetaw, i zaraz za miastem, trzydzieści kilometrów w step, nasza wieś, i u nas tam żyje taki jeden Pasza. Skąd on u nas, nikt nie wie. Ja młody, dla mnie on zawsze był, odkąd my tam nastali. Co konkretnie robi, jaki ma fach, tak samo, nikt nie powie, a pożytku z niego żadnego. Każdy na niego tylko Pasza i Pasza woła. Pasza, zrób to, Pasza, zrób tamto, a on zrobi albo nie zrobi. Aż raz kiedyś pytają go o nazwisko, bo trzeba było zapisać, no i on mówi, że Pasza. To tamten, co zapisywał, a on obcy, z miasta Kokczetaw, nie znał naszych, denerwuje się i krzyczy, że ma mu podać nazwisko, nie imię, to on znowu, że Pasza. I jeszcze raz. Aż tamten, co do nas przyjechał spisywać, widać nie w ciemię bity, zamiast strzelić go w pysk, pyta tylko, a imię jakie? I wtedy się okazało, że Pasza to jego nazwisko jest, bo na imię ma Ajdar. Ajdar Tałgatowicz. Rozumiesz?

– Za dużo gadasz, Iwan. Gadasz i gadasz. Po co mi to wiedzieć? Nie znam żadnego Paszy. I lać mi się chce, a pociąg nie staje. Dasz zapalić?

– Bo widzisz, jutro... Eh, jutro. Myślisz o tym, co będzie jutro?

– Nie myślę. Ale bym zapalił.

– Wiesz chociaż, dokąd jedziemy?

– Wiem tyle, co ty. Skąd mi to wiedzieć? Na front.

– Strzelałeś z karabinu, zanim cię wzięli do armii, czerwonoarmisto Mamedow?

– Może i strzelałem, może nie, nie twoja sprawa.

– Tak tylko pytam, po koleżeńsku, żeby coś gadać. Widziałem, że umiesz obchodzić się z bronią. I załadować, i pociągnąć za spust.

– Co tu umieć? Ładuj, celuj, pal, to wszystko.

– Dobrze strzelałeś, a nie awansowali cię na jefrejtora.

– Za to ciebie awansowali. Wielka mi rzecz, jefrejtor. Śmierć, jak przyjdzie, na stopnie nawet nie spojrzy. Pluć na to.

– Jak umiesz strzelać, możesz się przed nią obronić. Nie każdy umie.

– Nie umie, to się nauczy, w boju.

– Najpierw trzeba przeżyć, żeby się nauczyć.

– Możesz wreszcie przestać gadać? Nie chcę już tego słuchać.

Mamedow stawia kołnierz swojej kurtki i opuściwszy niżej głowę, zasłania nim uszy. Siedzi skulony pod ścianą towarowego wagonu, w który zapakowali całą ich jednostkę i posłali w nieznane. Jadą już kilkanaście godzin, a celu nie widać. Wagon śmierdzi moczem, potem i machorką. Iwan sięga do kieszeni żołnierskiej bluzy, wyciąga z niej ostatniego skręta, dzieli go na pół i trąca Mamedowa w ramię. Ten opędza się od niego.

– Masz, pal – mówi Iwan i podsuwa mu połówkę skręta pod nos.

→

Mamedow podnosi na niego skośne oczy. Powoli sięga po dar. Wciska papieros między grube wargi i rozgląda się za ogniem. Woła do siedzącego opodal żołnierza, żeby dał mu przypalić. Żołnierz podaje mu żarzący się niedopałek. Mamedow zaciąga się kilka razy, oddaje niedopałek i podaje swojego skręta Iwanowi, żeby teraz on sobie odpalił.

– Dzięki – mruczy przy tym. – Dobre masz serce, Iwan.

Iwan nie odpowiada. Palą obaj w milczeniu, siedząc ramię w ramię w pędzącym na front pociągu.

– Ty zawsze mieszkał w Kazachstanie? – pyta Iwan. Musi zadać pytanie, nim skręt się dopali, a wraz z nim wypali się chwilowa komitywa. Mamedow tylko kiwa głową. – A ja nie, nas przywieźli z Ukrainy. – Mamedow wzrusza lekko ramieniem. O tych sprawach się nie rozmawia, ktoś może podsłuchać, szepnąć słówko podoficerowi z niebieskim deklem, a ten zamelduje swojemu komisarzowi i kłopot gotowy. Ale jaki kłopot może mieć żołnierz wieziony na front, którego status żywy/martwy niepotrzebne skreślić w perspektywie doby jest dokładną kopią stanu kota Schrödingera? To znaczy nieokreślony. – Ale ja jestem w czepku urodzony, Mamedow. Nie chcesz zdradzić własnego imienia, to i dla mnie będziesz Mamedowem. Mnie szczęście sprzyja, rozumiesz? Wiesz, co to głód? – Mamedow kiwa głową i zaciąga się. – Nie wiesz. Taki głód, że dla paru okruchów chleba mógłbyś zabić. Taki, że gdy wszystko już zjedzone, i kury, i koty, i szczury, i gdy musisz pochować zmarłego z głodu dziadka, myślisz sobie, po co tyle mięsa ma się zmarnować. Znasz to? Nie znasz, Mamedow, wy tu mieliście u siebie głód, ale nie taki. I kiedy masz dwanaście lat, i myślisz, że to już koniec, że jutro umrzesz, przychodzi rozpiska z rajkomu i każą twojej rodzinie się pakować, bo jedzie do Kazachstanu. Do Kazachstanu, gdzie jest ziarno, rozumiesz? – Ogryzek skręta powoli niknie w trzech palcach Mamedowa, żałość Iwana musi szybciej zmierzać ku ujściu. – A wiesz, co to sztorm w stepie? – Mamedow znowu przytakuje. – Tak, to znasz. Taki wiatr, że jak cię porwie, a nie jesteś przywiązany liną do słupa, to już nie wracasz do domu. Wy go tu znali zawsze, a my nie, my dopiero musieli poznać. Wychodzę raz z naszej glinianki, a tu sztorm mnie porywa i gna w pole jak liść i myślę, już po mnie, nie wrócę, zamarznę w stepie na śmierć. A tu jakby mnie coś złapało i nie puszcza. I co powiesz? W stepie drzew nie ma, to ki czort? I jeszcze wicher się zmienia i z powrotem mnie gna, prosto na naszą wieś. – Mamedow zerka na Iwana, nie dowierza, bajka to jakaś albo zwykłe zmyślenie, ale sprzeciwiać się nie będzie. – I co ty na to? Cud jakiś. Ale ja szczęściarz jestem, złe mnie nie bierze.

Mamedow dopala skręta do samego końca. Już nie jest w stanie wyssać z rozsypującej się resztki nawet kropli dymu. Wstaje. Napina mięśnie.

– Lać mi się chce – przypomina. – Jak zaraz nie będzie postoju, idę w kąt.

– Poczekaj, spokojnie, za chwilę nas wypuszczą – mówi Iwan. – Dopóki widno, bo potem to już nie.

I akurat wtedy rozlega się gwizd lokomotywy, rytm wybijany przez koła na złączeniach szyn zaczyna przechodzić od szalonego prestissimo do spokojnego andante. Mamedow patrzy teraz na Iwana z podziwem. Skąd on wiedział, że pociąg stanie? Po andante następuje lento, po nim grave, jak w gasnącej symfonii, wreszcie koła zatrzymują się. Z zewnątrz docierają okrzyki, ktoś wydaje komendy, ktoś je przenosi jak żywe echo dalej. Wreszcie rozlega się zgrzyt odsuwanej sztaby i do wagonu wlewa się gwałtownie, niczym woda z przerwanej tamy, przedwieczorne światło.

– Wychodzić! – krzyczy enkawudzista.

Wysypują się na zewnątrz. Pociąg stoi w szczerym, wczesnojesiennym polu, pustym, porośniętym żółknącymi stepowymi trawami. Rekruci po trzydniowym szkoleniu mogą odejść od wagonu na pięćdziesiąt metrów, do dwóch kęp rzadkich zarośli, dalej nie pozwalają strażnicy w czapkach z czerwonym otokiem i niebieskich portkach. Można oddać mocz i kał, tylko schować się nie ma gdzie. Można stanąć na narożniku wagonu albo przykucnąć za nasypem z drugiej strony. Albo dobiec do zarośli. Tam najlepiej, bo na krzewach są przynajmniej jakieś liście.

Pociąg stoi na łuku. Jeśli trochę odejść w pole, da się zobaczyć przy lokomotywie dwie okryte plandeką ciężarówki. I już od wagonu do wagonu niesie się wieść – czerwonoarmiści dostaną jeść i pić. Znaczy to, że od razu, jeszcze dziś, w bój ich nie poślą. Źle dostać w brzuch z pełnym żołądkiem, lepiej na głodno, jedynie po stu frontowych gramach.

Iwan wciąga głęboko powietrze i wypuszcza je powolutku, żeby jak najdłużej pierwszy haust utrzymać w płucach.

– Eh, jak tu pachnie Ukrainą! – mówi głośno.

Słyszy go stojący trzy kroki dalej żołnierz w stopniu młodszego sierżanta, dowódca jego drużyny.

– Durak ty – stwierdza. – My jeszcze Wołgi nie przejechali, a tobie już Dnieprem zalatuje. Nie słyszał ty, co komisarz powiedział? Najpierw faszystów od Stalingradu odrzucić, dopiero potem iść prosto na Berlin, towarzyszu jefrejtor. Myśleć trzeba. Za co ci ten pasek dali?

Iwan nic na to nie mówi. Wydala swoją porcję moczu i zapina rozporek. Sam nie wie, dlaczego na zakończenie krótkiego szkolenia został awansowany z krasnoarmiejca na jefrejtora. Cały czas uważał, by nie rzucać się w oczy, co przy niezbyt imponującym wzroście nie było trudne, polecenia wykonywał cicho i sumiennie, na szkoleniu politycznym chował się w kąt i nie był wyznaczany do zadawania pytań, na szkoleniu ogniowym strzelał, jak potrafi, to znaczy nie najgorzej i nie najlepiej. Ale to jego wyczytano w rozkazie dziennym razem z kilkunastoma rekrutami z jego kompanii, a takiego Mamedowa nie, choć strzelał lepiej od niego. Dali jeden cienki czerwony pasek, to dali, Iwan przyjął awans z pokorą. Widać takie miało być kolejne szczęśliwe, niczym niezasłużone wydarzenie w jego życiu.

– Żołnierze! – woła dowódca plutonu po powrocie z odprawy u szefa kompanii. – Dowództwo naszej armii przysyła nam prowiant. Każdy za chwilę otrzyma puszkę tuszonki, ćwiartkę chleba, paczkę papierosów i kubek herbaty. Żaden żołnierz Armii Czerwonej nie będzie głodny. I, uwaga, bo to ważne, przydział musi każdemu wystarczyć do jutra.

Entuzjazm jednych czerwonoarmistów, którzy od rana, odkąd wyruszyli w podróż, nic nie jedli i z tego powodu cierpią, miesza się z przygnębieniem u innych, którzy cierpią i bez tego, bo głód dla nich nie pierwszyzna. To może być ich ostatni dzień na tej ziemi. Ustawiają się po amerykańską tuszonkę, czarny żołnierski chleb, papierosy i napój z wielkiego kotła nazywany czajem.

Co będzie jutro? – myśli Iwan.

I już jest jutro, które się staje nagle i niespodziewanie, jak za sprawą omykającego łańcucha w rowerze. Koło czasu się obraca, a człowiek tkwi w tym samych miejscu, co wczoraj – w dudniącym wagonie, w punkcie czasoprzestrzeni, który został pozbawiony statusu dnia dzisiejszego przez nieznoszący spóźnień dzień następny.

Z wagonów pakują ich wprost do ciężarówek. Wysłużone ZIS-y przenoszą ich po wybojach tuż pod pole bitwy.

I jest krąg piekła ostatni, którego krawędź wyznacza Wołga. Po obu jej stronach ofiary i oprawcy dwóch wąsatych bożków wyrywają sobie serca i składają je w ofierze w zimnym nurcie rzeki, w ruinach fabryk, w metalowych pojazdach i na kamiennych kikutach pomników i fontann.

Jeden, drugi, trzeci, dziesiąty, Kowalk, wystąp. Karabiny w dłoń, naboje w kieszeń. Dobrać się parami. Jeden karabin na dwóch. Mamedow, gdzie ty? Gdzie twój karabin? Nie dali. Idziesz ze mną. Jak ja padnę, ty bierzesz broń i idziesz dalej. Taki rozkaz.

I jest szyk, i krzyk, i żądanie, aby ani kroku w tył, tylko w przód, za Wołgę, za rzekę, urrra, za Stalina, za rodinu, na boj, na boj, na boj. Na Giermanca, na faszystów. Przepłyniesz, idziesz dalej. Przeżyjesz, idziesz dalej. Jest wizg i pisk, i grzmot, i ziemia jak grad z nieba, a z nim nogi, głowy, trzewia i krew zmieszana z błotem. Iwan strzela w pustkę przed sobą, raz, drugi, trzeci. Młodszy sierżant woła nie przejdziemy, zawracamy. Trzech z nim biegnie, trzech zostaje. Trzech już poległo. Mamedow! Mamedow, gdzie ty? Leż, nie wycofuj się na linię wyjściową, tam straż przyboczna Hołodomora w niebieskich portkach strzela do naszych, nie pozwala się cofać. Tylko naprzód. Masz, bierz karabin, ty lepiej strzelasz, ty nas obu obronisz, jak by co. Bierz! Ja za tobą. Jeśli padniesz, ja pójdę dalej sam. Bierz, to rozkaz! Jestem jefrejtorem, a ty krasnoarmiejcem, musisz mnie słuchać.

Starszyna wydobywa z siebie potężne urrra, które niesie się jak wiatr po stepie od gardła do gardła, jak ogień po suchych strzechach i wlewa płomień w serca młodzianów wyrwanych ze stepu i tajgi. I ruszają jak cienie podniesione z ziemi przeciw seriom i wybuchom, które przyginają je z powrotem ku skrwawionej i sponiewieranej glebie. Jednych na chwilę, innych na zawsze. Mamedow, gdzie ty? Nie biegnij za szybko, tam żołdacy wąsatego bożka Führera, których godłem trupia czaszka, czekają na takich jak ty. Ty poczekaj na nich, wtedy strzelisz. Stój, nie pójdę za tobą.

I oni zaraz się wyłaniają. Z pyłu i dymu, z boku i z naprzeciwka. Mamedowa nie ma przed nimi. Teraz już tylko podnieść nieuzbrojone ręce i czekać na zmiłowanie, na swoje szczęście. Mijają go i biegną dalej. Jeden się zatrzymuje, coś krzyczy po niemiecku, kieruje karabin w pierś Iwana, ten podnosi ręce jeszcze wyżej, ponad głowę, w której kłębią się obrazy z życia bez ładu i składu przemieszane z uczuciem lęku, przekonaniem, że to być może koniec, jak wtedy, na Ukrainie, i wtedy, w Kazachstanie. Młody Niemiec każe mu się odwrócić i iść naprzód, Iwan go nie słyszy i nie pojmuje. Polecenia odczytuje z jego gestów. Idzie z podniesionymi rękoma poza linię ognia, poza krąg władzy Hołodomora i jego pana Stalina. Żołnierz prowadzi go pod karabinem tam, gdzie stoją już inni czerwonoarmiści wzięci do niewoli. Poddali się. Popełnili grzech, którego ich najwyższy nie wybaczy im nigdy.

Teraz idą grupą. Nie patrzą na siebie, wzrok utkwili w ziemię. Nie zginęli. Zdradzili Krasną Armię, Sowiecki Sojuz i jego najwyższego wodza, inkarnację boga Xiuhtecuhtli, któremu nie oddali swych bijących serc.

Mamedowa wśród nich nie ma.

Każą im zrzucić z głów hełmy z czerwoną gwiazdą. Nazwisko i imię! Już ich spisują.

– Meine Name ist Kowalk. Iwan Aleksandrowicz – melduje się. – Jefrejtor Kowalk.

Zna może dwie garście niemieckich słów, wysupłanych z mowy niemieckich sąsiadów i kolegów z ich wsi pod Kokczetawem. Tyle, żeby wystarczyło, by się z nimi porozumieć. Jedne są porządne, inne niełądne. Bywało, że rzucali tymi niełądnymi w stronę Niemców, żeby ich drażnić. Niemiecki żołnierz podnosi na niego oczy. Być może gdyby nie te trzy niemieckie słowa, zerwałby się, wrzasnął, uderzył, żeby mu tego jefrejtora wybić z głowy. Tymczasem on tylko pokazuje naszywki na patkach i mówi:

– Usunąć. Od teraz jesteś ruski jeniec. Gefreiter nie. Rozumiesz? Odmaszerować.

– Rozumiem – mówi Iwan po niemiecku i odchodzi.

Gdy dochodzi do grupy, inny człowiek w niemieckim mundurze ostrym nożem odcina mu patki z dystynkcjami. Znów jest nikim. Będą mogli zrobić z nim wszystko.

***

– A powiedz mi, mój drogi, czy rosyjskie kobiety kochają się tak jak francuskie, czy inaczej?

Gisèle. Nienasycona, żądna wiedzy Gisèle. Chciałaby wiedzieć wszystko o życiu w Związku Radzieckim, aż po najdrobniejsze szczegóły, nawet o pożyciu seksualnym, by, gdy już tam się znajdzie, wieść równie szczęśliwy żywot, jak radzieckie dziewczęta i mężatki. I poświęcać się budowie najsprawiedliwszego z ustrojów.

Iwan jakby nie słyszał.

– Czy twoja matka była już w merostwie w sprawie naszego ślubu?

– Ciągle się wybiera, ale niech cię to nie martwi. Pójdzie na pewno. No więc jak?

– O co pytasz?

– Tak samo czy inaczej?

– Co to znaczy?

Zapalił papierosa, podłożył rękę pod głowę i patrzy w sufit. Gisèle łagodnie gładzi go dłonią po nagiej piersi. Mówi powoli, jakby smakowała wypowiadane słowa.

– No, czy są bardziej namiętne, czy przeciwnie, są bardziej chłodne, czy przejawiają inicjatywę, czy też są bierne, bezwolne, albo odwrotnie, jako kobiety postępowe, mają fantazję i nie zgadzają się na tradycyjny podział ról.

Iwan długo wypuszcza dym z płuc, potem robi wdech i wydech, jakby chciał pozbyć się ostatniej, najmniejszej cząstki dymu. Gisèle unosi się na łokciu i stara się przygwoździć go spojrzeniem.

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć? – odpowiada Iwan i patrzy w bok.

– Jak to? Nie miałeś w Rosji żadnej dziewczyny? – pyta go Gisèle z niedowierzaniem.

– Może miałem, może nie, czy to ważne? – rzuca Iwan rozdrażniony.

– No więc jakie one są?

Papieros kolejny raz pozwala Iwanowi zwlekać z odpowiedzią.

– Różne – mruczy.

– Ale ja chciałabym wiedzieć! Chciałabym być taka jak one. Powiedz mi, proszę.

Iwan chciałby uwolnić się od natarczywości Gisèle, ale nie może. Nie potrafi jej też opowiedzieć o swoim życiu seksualnym. Brak mu słów i woli. Jak może, będąc z nią, rozprawiać o innych kobietach?

– Nie umiem – przyznaje.

– Brak ci słów czy chęci?

– Słów – kłamie Iwan. Słów też, ale przede wszystkim brak mu chęci.

Gisèle zrywa się.

– To pokaż!

Iwan, uwolniony od jej ciężaru, podciąga się wyżej i opiera plecami o szczyt łóżka.

– A co będzie, jak matka nie załatwi?

– Załatwi na pewno. Powiedziałam, nie myśl o tym. Przyrzeknij mi, że nie będziesz. – Iwan w odpowiedzi powoli kiwa głową. – No więc teraz mów, jak to robicie w Rosji?

Iwan wzrusza prawym ramieniem. – Jak wszędzie – odpowiada. Chciałby już skończyć ten temat.

– Czyli ty tutaj kochałeś się ze mną jak z Rosjanką? – W oczach Gisèle pojawia się błysk.

– Mniej więcej – mówi Iwan na odczepnego.

Radość Gisèle rośnie z każdym słowem. Przez moment nie wie, jak wyrazić swoje emocje

– A więc nie jak wszędzie. Czy chcesz powiedzieć, że wszyscy ludzie radzieccy są tacy delikatni?

Jej ciało napina się w oczekiwaniu na odpowiedź. Iwan czuje, że gdyby zaprzeczył, sprawiłby jej niewysłowioną przykrość. Nie może jednak jednoznacznie potwierdzić. Nie może nawet powiedzieć, że on sam należy do tej kategorii. Delikatny. Francuzi, Polacy, Ukraińcy używają tego słowa w podobnym brzmieniu, ale co ono tak naprawdę znaczy? Kiedy Claudette zostawiła ich przed dwiema godzinami samych w tym swoim mieszkanku na poddaszu i wszystko dla niego stało się jasne – pewnie wcześniej obie dobrze sobie ten manewr omówiły – starał się postępować ostrożnie, z umiarem, jak zawsze, gdy znajdzie się na nieznanej ziemi. Jeden gwałtowny ruch i natychmiast można wpaść na minę, błotny lej, ruchomy piasek, można pannę spłoszyć, zniechęcić, wyjść na gbura, prostaka, zwierzę. Niektóre może tak lubią, ale jak jest z taką Francuzką, która mieszka z rodzicami i chodzi na Sorbonę, nie wiadomo. Lepiej więc delikatnie, powoli, nie tak, jak we wsi pod Kokczetawem, na ostrym sianie, po samogonie, byle szybko do celu, gdyż harmonia zaraz ucichnie i trzeba będzie zbierać się na pobór do armii, bo dziobaty wąsal wyznaczył godzinę, kiedy przyjdzie po twoje serce. Tu nikt nie goni, nie czeka, specjalna przepustka od komendanta nie wiedzieć czemu do późnego rana, a Claudette długo nie wróci, dopiero z croissantami na śniadanie. Gdzie ona spędzi noc? Jej sprawa.

Zsuwa nogi na podłogę, siada na krawędzi łóżka. Chyba z godzinę leżał w tej białej pościeli, drzemiąc może kwadrans dla zregenerowania sił.

– Znasz Fiodora – mówi przez ramię.

– Czy znam? Raz go spotkałam – odpowiada Gisèle i narzuca na ciało krótką białą halkę, nawet nie zakrywającą kolan, wiszącą dotąd na szczycie łóżka. Przechodzi na drugą stronę i podchodzi do niedużego okrągłego stolika.

– Czyli znasz – uznaje Iwan. – Nie powiedziałem ci tego od razu, ale teraz powiem. Posłuchaj. Tamtego dnia, kiedy się poznaliśmy, z tobą i z Claudette, wiesz, w kawiarni, i wróciliśmy do La Celle-Saint-Cluod, był bardzo zły. – Podnosi z podłogi swoje wojskowe majtki, które wróciły rano z obozowej pralni, i wciąga je na biodra. – Fiedki trzeba się bać. On raz dobry kompan jest, a drugi raz nie wiesz, kto. Ja nie wiem.

– Napijemy się wina? – pyta Gisèle i nie czekając na odpowiedź, napełnia dwa kieliszki. – Claudette go nie polubiła. Może dlatego był wtedy zły.

Iwan zna francuskie wina. Nie jest koneserem, ale poznał ich smak i odróżnia dobre od zwykłych i takich sobie. Podnosi się z łóżka, staje przy stoliku, popija łyk i kiwa głową z aprobatą. Siada na krześle, szeroko rozstawiając nogi.

– No więc kiedy wróciliśmy, ale bardzo proszę, nie powtarzaj tego nikomu, idzie do mnie z wódką i mówi pij, i ja będę pił. Chcę dziś pić.

– Aha, i co? – Gisèle nie wydaje się zainteresowana opowieścią. – To aż taka tajemnica? Rosjanie często piją wódkę, ja wiem i nie pytaj, skąd.

– I mówi dawaj listę. Listę tych, którzy przebywają akurat w obozie. Ja takiej listy nie mam, jestem zwykłym strażnikiem. Ma ją komendant. Druga lista jest na wartowni. I mówię mu, że nie mam. To on mówi idź, przynieś. Ale ja nie mogę, nie mam prawa. Dobra, mówi, czekaj, ja przyniosę. I poszedł, i przyniósł. I mówi czytaj. Ja nie chcę. A on czytaj, czytaj. I ja zaczynam czytać, nie wiem, po co. – Gisèle siada z kieliszkiem naprzeciw Iwana i zaczyna słuchać uważniej. – Kiedy dochodzę do jednego nazwiska, on mówi stop, przyprowadź ją. To ja znowu, że nie mogę, nie ma rozkazu. A on jak to nie ma, ja ci rozkazuję, i sięga po pistolet. I mówi, że musi ją przesłuchać. A ty, mówi do mnie, przesłuchaj inną, sam sobie wybierz, którą chcesz. Wiesz, Wania, mówi do mnie i przeklina po swojemu, nasze nie gorsze niż Francuzki. Może nawet lepsze.

– I wybrałeś sobie? – pyta Gisèle spokojnie.

Iwan patrzy na nią z wyrzutem. Wstaje z krzesła.

– Ja tylko próbuję odpowiedzieć na pytanie, czy wszyscy ludzie radzieccy są tacy delikatni. I chcę powiedzieć, że nie wszyscy są tacy, jak myślisz.

– Ale cóż z tego? Najważniejsze, że ty jesteś, mój kochany. – Gisèle godzi się bez protestu z tym, że nie wszyscy obywatele Związku Radzieckiego są podobni do Iwana. Że miewają różne charaktery. Nawet jest jej przyjemnie, że trafiła na kogoś wyjątkowego, w końcu miło pomyśleć, że ma się w życiu trochę szczęścia. Też się podnosi, przytula się do Iwana i gładzi go po plecach, jednocześnie wsuwając gołą nogę między jego uda. Po chwili ocierania się o niego wyczuwa, że Iwan znowu jest gotowy. – A teraz mała Gisèle pokaże Iwanowi, jak kochają się francuskie dziewczęta – mówi i popycha go lekko w kierunku łóżka, a kiedy ten po utracie równowagi pada na pościel, szybko ściąga halkę i obejmuje nogami jego biodra. – Czy Rosjanki tak potrafią? – pyta i pochyla się lekko, pozwalając, aby Iwan gwałtownie sięgnął dłońmi jej piersi. – Czy kochają się w ten sposób?

Iwan w odpowiedzi tylko się śmieje. Nie ma chęci na wyszukiwanie teraz poprawnych francuskich słówek z podręcznika, który dostał od ojca Gisèle, żeby podciągać swój język. Podoba mu się to, co się dzieje w tym akurat momencie. Zamiast słów wystarczają mu nierówne, ciężkie oddechy i skrzypiące łóżko. I ciepły powiew bijący z nozdrzy i ust tej dziewczyny, która prowadzi go przez światy dotąd nieodkryte. I ufność pokładana w jego szczęśliwym wichrze, który najpierw wywiał go w step na pewną śmierć, a potem niespodziewanie zawrócił pod dach dającej schronienie glinianki. I jak wtedy, gdy ze Lwowa wygnał go jako niemowlę pod Żytomierz, gdzie →

miał go pożreć Hołodomor, by w ostatniej chwili przewiać go szczęśliwie do Kazachstanu. I jeszcze innym razem, gdy pociąg, którym major Schröder został wysłany z Holandii na front francuski, a on razem z nim, został wykolejony przez partyzantów z ruchu oporu.

– Och, Gisèle, kocham cię! – wyrywa mu się z gardła spontanicznie zdanie, które próbował po kryjomu wiele razy, lecz za każdym razem wydawało mu się nie dość autentyczne, a teraz wypływa nieproszone.

Gisèle śmieje się w uniesieniu i prosi głosem małej dziewczynki: – Iwan, kochany, powiedz to jeszcze raz, ale po rosyjsku, tak, jakbym była twoją Rosjanką.

– Ja lubliu tiebia – powtarza Iwan, już bez tego samego z trudem tłumionego ognia w głosie, co poprzednio.

– Jak pięknie! – wykrzykuje Gisèle. – I ja ciebie kocham, Iwanie – zapewnia głośnym szeptem. – I zawsze będę cię kochać – obiecuje na wyrost i osuwa się na bok. – Na dobre i na złe. Gdziekolwiek się znajdziemy, ty i ja. Pamiętaj o tym. – Nakrywa siebie i jego kołdrą w białej powłoce z koronkowym rombem na środku, i przytula się do niego w milczeniu na dłuższą chwilę. – Będziemy szczęśliwi, prawda? – szepcze. – I wyjedziemy do Związku Radzieckiego. Będziemy mieszkać w swoim mieszkanku, gdzieś tam w Moskwie, może nie za bogato, była przecież wojna, ale na wszystko nam wystarczy. Czy u was każda rodzina dostaje od państwa mieszkanie?

Iwan wolałby unikać odpowiadania na takie pytania.

– Generalnie tak – stwierdza ogólnikowo. – Taka jest zasada. Każdy ma gdzie mieszkać. I ma pracę.

– A widzisz, a u nas, we Francji, tylu bezdomnych i bezrobotnych. Komunizm jest sprawiedliwy, dba o obywateli.

– Papa ci tak powiedział?

– Nie tylko papa. Ale on najwięcej. Słuchaj! – mówi nagle i unosi się na łokciu. – Dlaczego Fiodor powiedział, że będzie tę kobietę przesłuchiwał? Tak powiedziałeś. Może innego słowa tu trzeba użyć?

– Nie. – Iwan jest pewny swego. – Sprawdziłem w słowniku. Przesłuchanie to przesłuchanie. Tylko że on...

– Ja wiem, nie o to mu chodziło. Ale przesłuchuje się podejrzanych, przestępców, a wasz obóz to nie areszt ani więzienie. To obóz repatriacyjny.

– Tak. Ludzie wyjeżdżają stąd do Rosji. Już dwadzieścia ciężarówek wyjechało. Liczyłem.

– Ciężarówek? Nie autobusów?

– Autobus to autobus, a ciężarówka to ciężarówka. Taka z plandeką i ławkami do siedzenia. Byłem przy tym, jak odjeżdżali.

– Napijemy się jeszcze wina? Claudette niedługo wróci.

– To muszę się ubrać – mówi Iwan. Uświadamia sobie, że za dwie godziny odjedzie ostatni pociąg do La Celle-Saint-Cloud, a trzeba jeszcze dojechać do dworca Saint-Lazare.

– Łazienka jest piętro niżej, wejście z korytarza, jeśli potrzebujesz – informuje Gisèle. – Klucz wisi przy wyjściu.

– Za chwilę – odpowiada Iwan. – Lepiej nie iść tam bez ubrania. Chyba.

Podnosi się i zbiera rozrzucone części garderoby. Gisèle także się ubiera. – Wezmę kąpiel w domu – postanawia. Uzupełnia niedopite kieliszki resztką wina.

– Z czego utrzymuje się Claudette? – pyta Iwan bez większego zainteresowania, już częściowo ubrany.

– Na zdrowie! – mówi Gisèle i wypija duży łyk. Iwan pije razem z nią. – Claudette pracuje w księgarni. Sprzedaje książki i czasopisma.

– O tej porze? – dziwi się Iwan. Postanawia dokończyć swoje wino kilkoma szybkimi łykami. Odstawia kieliszek i wciąga spodnie.

– A, nie – odpowiada Gisèle. – O tej porze nie. Nie jest taką przyjaciółką, która z wszystkiego mi się zwierza. Ja zresztą też nie o wszystkim jej mówię. Mówiła, że idzie do kina, z kimś, kogo nie znam. Może poznam, może nie. Może nie zdążę. Mężczyźni długo z nią nie wytrzymują.

– Albo ona z nimi – zauważa Iwan. Stojąc tyłem do Gisèle, zapina guziki rozporka i ściąga pasek spodni.

– To też możliwe – stwierdza Gisèle. – Ma duże wymagania. Czy kobiety radzieckie też bywają takie wybredne? – Ubranie się zajęło jej mniej czasu niż Iwanowi. Poprawia włosy.

– A ja skąd mam to wiedzieć? – odpowiada szczerze Iwan. – Pewnie jedne tak, inne nie, jak wszędzie. Będziesz w Związku Radzieckim, to sama się dowiesz.

– Ale ja tak mało umiem po rosyjsku. Musisz najpierw mnie nauczyć. To wspaniały pomysł, Iwanie! – wykrzykuje nagle, przerywając słanie łóżka, choć ledwo zaczęła. – Zostań moim nauczycielem. Obiecuję, że będę pilną uczennicą.

– Ja? – dziwi się Iwan. – Nauczycielem? – Czy ma powiedzieć, że brak mu matury i nie ma pojęcia o nauczaniu, podczas gdy ona jest studentką? – Kiedy miałbym cię uczyć? Ja jestem na służbie, mam mało czasu.

– Oj tam, maman na pewno coś wymyśli. A może, gdy już będziesz moim mężem, zwolnią cię ze służby i zaczniesz pracować jako cywil? Wtedy nic nie stanie na przeszkodzie, żebyśmy spędzali razem więcej czasu.

Podchodzi do Iwana, nakręca na palec włosy z odrastającej jasnej grzywki i przyciąga jego twarz do swojej. Iwan całuje ją w usta. Tak właśnie, tak to sobie wyobrażał w Kokczetawie, kiedy Wienia Daniłowicz Gierasimow strzygł go wysoko, zostawiając długi kosmyk nad czołem – że któraś dziewczyna przyciągnie go za tę kozacka grzywę do siebie i pozwoli mocno objąć się w pasie, a potem, kto wie, co będzie potem. I tu, we Francji, wszystko to stało się naprawdę, jego marzycielska wizja wypełniła się, tylko w odwrotnej kolejności. Iwan śmieje się radośnie.

– Dlaczego się śmiejesz? – pyta Gisèle.

– Dlaczego? Bo jestem szczęśliwy – odpowiada Iwan i ściska ją jeszcze mocniej.

Ktoś puka do drzwi. Iwan spogląda na ścienny zegar, Gisèle razem z nim. Dochodzi dziewiąta. Claudette miała wrócić później.

– Już jesteś? – dziwi się Gisèle, gdy Claudette pojawia się w mieszkaniu.

– Mężczyźni – mówi Claudette i zerka na Iwana. – Nie można im ufać.

– Nie przyszedł? – pyta Gisèle z kpiącym uśmieszkiem.

– Ależ przyszedł. Nie sam, wyobraź sobie. Z kolegą. Mógł mnie chociaż uprzedzić. – Claudette, nie zdejmując płaszcza, siada na krześle i zapala papierosa. – Nie ma już wina?

– Nie ma. Co to za kolega?

– Nie mam pojęcia. Bardzo natrętny i bardzo ciekawski. Można by pomyśleć, że mnie podrywa na oczach tego, który mnie zaprosił. A tamten nic, jakby się umówili. Mam gdzieś schowaną butelkę. Poczekajcie.

Zrzuca płaszcz i przerzuca go przez ramię, odłożony na moment papieros wsuwa między wargi i wychodzi do wnęki udającej przedpokój. Potem przechodzi bez płaszcza do małej kuchni. Iwan i Gisèle rozmawiają bez słów, wymieniają zdania jedynie poprzez spojrzenia. Wiesz, o co chodzi? Nie mam pojęcia. Claudette po chwili wraca, z papierosem w jednej dłoni, a półlitrówką w drugiej. Triumfalnym gestem stawia butelkę na stole.

– Mówiłam, że coś mam. Jeden dupek u mnie zostawił. Nie pijam tego świństwa, dlatego tyle zostało, ale może teraz jest dobra okazja.

Gisèle ogląda etykietę. – Absynt? Opanuj się, kobieto!

– A, wszystko mi jedno. Odprowadzili mnie, a jakże, ale ten mój uciekł, to znaczy pożegnał się pod jakimś beznadziejnym, durnym pozorem i zostawił mnie z kolegą. Kolega koniecznie chciał wejść na górę, do mnie, na szczęście miałam dobrą wymówkę, nie musiałam kłamać, zmyślać, że boli mnie głowa. Pokazałam mu okno i mówię widzisz, pali się światło. Tam mieszkam, a u mnie są moi przyjaciele. Chcesz ich poznać? Nie chciał. Iwan, nalej nam i spójrz przez okno. Może on ciągle stoi pod domem.

Iwan wyciąga swojego papierosa i też zapala. Zaciąga się raz i podchodzi do okna. Długo patrzy w rozświetloną uliczną lampą ciemność.

– Widzisz coś? – pyta Gisèle.

Iwan odchodzi od okna ze zmienionym wyrazem twarzy. Wygląda jakby zobaczył ducha.

– Muszę już iść – mówi. – Inaczej spóźnię się na pociąg.

– Wypijmy na pożegnanie – proponuje Claudette i sama nalewa po odrobinie absyntu do dwóch kieliszków po winie. Potem wystawia z szafki dodatkowy mały kieliszek i nalewa sobie.

– Co tam zobaczyłeś? – rzuca niespokojne pytanie Gisèle.

– Pewnie kolegę – próbuje zgadnąć Claudette, a gdy Iwan gwałtownie obraca twarz w jej kierunku, szybko dodaje: – No, tego kolegę mojego nowego niedoszłego faceta, co chciał tu przyjść ze mną, ale go odprawiłam.

– Pomyślałem sobie – mówi Iwan i przez moment zastanawia się, jak skomponować po francusku zdanie zależne. – Jeśli ja skaczę z tego okna na ulicę, czy zabijam się od razu?

Gisèle, która właśnie miała sięgnąć po kieliszek, podchodzi do niego i popycha go w złości tak mocno, że on niemal traci równowagę.

– Oszalałeś? Co ty za bzdury opowiadasz! Po co miałbyś skakać? No, powiedz!

– Żartowałem – stwierdza Iwan. Sięga po kieliszek i wypija jednym haustem absynt. Potem się krzywi i potrząsa głową. – Dobre – mówi. – Idę już. Nie odprowadzaj mnie. Znam drogę na dworzec. Spotkamy się za tydzień, kiedy znów będę miał przepustkę.

Gisèle stoi jak zamurowana, jakby właśnie spojrzała w głąb ciemnej jaskini, i myśli o nieprzeniknionej rosyjskiej duszy, z którą przyjdzie jej się zmierzyć.

– Lepiej będzie, jak zostanę u ciebie do rana – mówi do Claudette, która zdaje się nie słuchać jej. – Mogę?

– Co? – odzywa się Claudette. – A, tak, oczywiście, też tak uważam.

– Zostaję – powtarza Gisèle, pewna, że Claudette nie usłyszała.

– Tak, tak. Tak będzie lepiej. Dla ciebie i dla mnie. Ten typ na pewno dalej tam stoi.

– To ja idę. Dobranoc – mówi Iwan.

Gisèle raz jeszcze rzuca mu się na szyję i całuje gorąco jego usta.

***Zbigniew Zbikowski***

## Lilla Latus

### PO WSZYSTKIM

stał tam
oparty o mur
i palił papierosa

ja potykałam się
o spadające cegły
i płonął mój świat

### SYNDROM SZTOKHOLMSKI

był okrutny
żądał miłości za wszelką cenę
i o każdej porze
pod jej postacią

miała przy nim
poczucie sytości
za jakie płaci się światłem
które gaśnie w oczach

nie bolało
i nie było blizn

kochała
wniebogłosy

### APATIA

jedyna broń
na jaką mnie stać
to milczenie drewna
przyjmującego głębię i ostrość
gwoździa

ślady na szybie
składają się z samych much

żyły wiążą mi ręce
wiosny i lata omijają
tęczowym łukiem
szarpią zęby lodowców

moja nieśmiertelność
umiera każdego dnia
powoli

nie ucieknę

### OBIETNICA

nie pokocham
nie rozkocham

nie dam klucza
wieczorów
ani wspólnego cienia

co najwyżej
nie gramatyzując za wiele
umieszczę w wierszu

bez gwarancji
że przez sito słów
nie wycieknie coś
co płynnie i potoczyście
namówi nas na siebie

### ODESZLI

po niektórych zostają
niezapłacone rachunki
książki otwarte na
przedostatniej stronie
ubrania z nieodciętymi
metkami

po innych nic

oprócz
świętej pamięci

## Adam Raczyński

Adam Raczyński (ur. w 1975 r.), poeta. Opublikował tomiki: *Chorobal* (1998), *Otwieracz* (2004), *Obce wanny* (2006), *Słońce Północy* (2011), *Poza tym wszystkim* (2015). Wiersze publikował w „Czasie Kultury", „eleWatorze", „Studium", „Fabulariach", „Afroncie", „Kresach", „Wyspie", „Arteriach", „Pograniczach", „Ricie Baum". Mieszka w Warszawie.

### Pod czerwonym parasolem

Czerwone parasole z napisem Królewskie,
drewniane ławy,

zamiast popielniczek puszki po słonych orzeszkach.

Usiadłem tam z kobietą, którą dobrze znam,
znam ją już zbyt dobrze, a ona mnie.

Usiadłem tam z żoną,
kupiła mi piwo, skręciłem papierosa.

Włóczymy się po Warszawie, mijamy tory kolejowe, pizzerie,
biurowce, rudery.

Nie goliłem się trzy dni, mam czarny zarost,
mam plecak Reeboka, który się trochę spruł,
czerwoną czapkę z daszkiem.

***

Budzę się za dziesięć piąta,
wypijam słodką herbatę i zjadam kromkę chleba.

W wagonie kolejki podziemnej robotnik
w brudnych spodniach,
nie prał ich nigdy.

Kobieta ma małą głowę.

***

Po drugiej stronie rzeki chaszcze,
w których się można odlać,
przystanek bez budki, kikut,
pod którym stoją niedorostki
w puchowych kurtkach,
balony do połowy wypełnione helem,
brudne balony w sportowych butach.

# Mariusz Kresowaty

Portret poetycki Mariusza Kresowatego wykonał Krezbi

## emigracja

Jestem owcą która
Podąża
Za stadem jeleni
Nie chcę żyć w zagrodzie
Jak głupia krowa
Stwierdziłem o poranku
A wieczorem dwa jelenie
Odwróciły się do mnie
I usłyszałem tylko
Las ten nie jest dla
Ciebie
I tak wrócisz do zagrody
Tam cię ostrzygą

## Wyjście awaryjne

Masz dosyć?
Chcesz wyjść stąd
To nie reklama
Nie musisz pytać lekarza
Czy wolno – Bóg
Zostawił ci mapę na niebie

Na ziemi do picia

Więc idź jak ci źle
I nie mów nikomu
A Polaris wskaże ci
drogę – będzie długa
I kręta przygód
Jak dobry Film
Jak powieść - Nie bój się
I tak się nie dowiesz się
Jakie jest zakończenie

A pętlę i tak napiszą ci ptaki

## Dzień na północy

Dzisiaj wszedłem na głowę
Wielkiego Buddy
Obsypanego pudrem cukru
Żeby zobaczyć z góry
Inny świat jaki dali nam
W szkole

Tak wygląda nasza
Matka
Stara jak wino rozlane
W koryta rzek

Słońce w trójkącie
Dłużej niż ktokolwiek
Myśli i nie jeden dzień
A niebo nocą jest niebieskie
Bez gwiazd - A ja
Przecieram oczy zmęczone
Chce mi się śnić
Dzień polarny musi trwać
Jeszcze tylko pół roku do
Zachodu
Aż Niedźwiedzicę zobaczę
Zacznie wtedy
mocno wiać

Krzysztof Szymoniak

# RYSZARD MILCZEWSKI-BRUNO CZYTANY PO LATACH

Jakieś trzy lata temu, rok przed przejściem na uniwersytecką emeryturę, ze studentkami i studentami Instytutu Językoznawstwa na poznańskim UAM po raz ostatni rozpocząłem całoroczny kurs twórczego pisania, który obejmował główne gatunki i techniki pisarskie w zakresie poezji, prozy i dramatu. Na pierwsze i drugie zajęcia z poezji zabrałem wiersze Ryszarda Milczewskiego, a właściwie Mielczewskiego, bo tak faktycznie brzmiało, potwierdzone we wszystkich znanych mi dokumentach, nazwisko poety z Grudziądza. Poety, który po swojej przedwczesnej i tragicznej śmierci trafił nie tylko do kultowej antologii „Kaskaderzy literatury", ale także do serii wydawniczej LSW Biblioteka Poetów, do antologii poezji kontrkulturowej „Droga do Ashramu" oraz na półki domowych, uniwersyteckich i publicznych bibliotek za sprawą swojej sławnej, a obecnie nieosiągalnej już trójksięgi „Poezja, Proza, Listy". Na tychże zajęciach zaprezentowałem braci studenckiej kilkanaście wierszy z najlepszych jego zbiorów – „Poboki" (1971) i „Podwójna należność" (1972). Chodziło mi o to, aby młodzi ludzie zainteresowani współczesną polską poezją, zwłaszcza tą „kaskaderską" (Bursa, Wojaczek, Stachura, Babiński i żyjący ciągle Świetlicki) spojrzeli na coś, co zdecydowanie odbiega od powszechnie akceptowanych norm i gustów estetycznych, a co chyba nie jest – jak chcą niektórzy – tylko niezwykle oryginalną niszą wykutą przez poetę w języku Mickiewicza, Miłosza, Różewicza i Gałczyńskiego (składnia, neologizmy, frazeologia, leksyka, gramatyka, metaforyka). To wtedy właśnie jedna ze studentek hungarystyki powiedziała po lekturze wierszy Bruna, że wchodzenie w świat tych tekstów, a zwłaszcza próba ich zrozumienia (rozkodowania), przypomina jej początkowe boje z fonetyką i gramatyką języka węgierskiego, które idą w poprzek wszystkiego, co znamy z najbardziej popularnych języków europejskich.

Ta anegdota w pełni oddaje istotę problemu z percepcją całej twórczości Ryszarda Milczewskiego, bo kto przegryzł się ze zrozumieniem, oprócz poezji, także przez jego prozę, a zwłaszcza listy, ten wie, że nie jest to lektura ani łatwa, ani poznawczo banalnie oczywista. Ryszard Milczewski czytany po latach nadal zadziwia, zaskakuje, każe na nowo zdefiniować wiele potocznych, zmitologizowanych już i zaszpuntowanych w bezkrytycznie powielanym kanonie pojęć na temat jego życia i twórczości. Oczywiście wnikliwi i uczciwi w swej robocie specjaliści od Ryszarda Milczewskiego, a także znawcy literackiej oraz egzystencjalnej materii grudziądzkiego poety (np. Piotr Müldner-Nieckowski, Jan Z. Brudnicki, Krzysztof Nowicki, Jerzy Szatkowski, Czesław Mirosław Szczepaniak, Krzysztof Karasek, Leszek Szaruga, Janusz Żernicki, Jerzy Pluta, Jerzy Rochowiak, Grzegorz Kalinowski, Zdzisław Pruss, Edmund Puzdrowski) – gdyby w jednym tomie zebrać ich szkice, eseje, wypowiedzi krytyczne i wspomnienia na ten temat – stanowią doskonalą zaporę przed naiwnym, płytkim, infantylnym, schematycznym i zwyczajnie głupim bajdurzeniem „w temacie Bruna". Wątpiącym w nieprzeciętną sprawność intelektualną tego globtrotera upiornej PRL-owskiej prowincji lat 60. i 70. można polecić nie tylko uważną lekturę listów do rodziny i przyjaciół, ale także niepozorne „wypowiedzi rozproszone" („Szczerości w tonacji kurde-moll" [napisany wspólnie z J. Szatkowskim], „Do ręki żywe serce biorę…", „W gorącym uczynku", „Sit venia verbo", „Mój wiersz", „Rodowód"), ukryte zazwyczaj w ankietach czasopism literackich i społeczno-kulturalnych tamtej epoki.

Należy też pamiętać, że Ryszard Milczewski, uzdolniony plastycznie samouk po średniej szkole rolniczej, co prawda nie dostał się na ASP w Toruniu, ale dostał się na polonistykę we Wrocławiu, skąd po dwóch tygodniach, z powodu braku pieniędzy i dachu nad głową, musiał wrócić do rodzinnego Grudziądza. Tu od razu można zaryzykować stwierdzenie, że był on – jak chyba nikt z jego pokolenia i poetyckiej konfraterni – dotknięty kłopotami zdrowot- →

nymi, życiowymi, zawodowymi, finansowymi i uczuciowymi. Kochał żonę i dzieci, a jednak stale od nich uciekał, gdy wzywały go kolejne zjazdy, festiwale, sympozja, konkursy literackie, gdzie nie tylko brylował i brał nagrody, ale też uchodził za wybitnego skandalistę. Zdobywane tam honoraria zazwyczaj trwonił z zadziwiającą szczerością w imię nieśmiertelnych wartości, jak choćby wspólnota ducha, czy napowietrzna wspólnota alkoholowa. Wiedział, że zdrowie ma kruche, a ciało pokiereszowane, ale nie potrafił zadbać o dłuższą stabilność w tej materii. Ścigały go długi, mandaty, grzywny sądowe, ale wiele razy nieroztropnie tracił pracę, stałe źródło dochodu, by po jakimś czasie zaczynać wszystko w innym miejscu i w innym charakterze. Nawet, gdy pojechał na trzy miesiące do Czechosłowacji na stypendium literacko-artystyczne, pod koniec tego okresu wybrał się z Czeskiego Cieszyna, przez most graniczny, na polskie piwo do Cieszyna, gdzie, w jakiejś mordowni skradziono mu torbę z całą, bezcenną literacko zawartością. Gdybyśmy chcieli najkrócej scharakteryzować tę skomplikowaną osobowość, uwikłaną w ówczesne realia artystyczne, polityczne i gospodarcze (ze zwyczajną biedą i włóczęgą w tle), to można by zaproponować lekturę wiersza „Nocna w sierpniu rozmowa z Cendrarsem" i odnoszącą się do tego tekstu wypowiedź ankietową („Mój wiersz") dla miesięcznika „Poezja", który zwrócił się do poetów z prośbą o zanalizowanie swego najważniejszego lub programowego wiersza.

O swojej powieści „Jak już, to już", która była zbiorem/zlepkiem wcześniej napisanych reportaży i felietonów, słabo powiązanych wątkiem fabularnym, Milczewski-Bruno nie miał najlepszego zdania, bo nie miał złudzeń co do jej proweniencji, o czym wiele razy wspomina w listach do przyjaciół. Nigdy też (zwłaszcza że ukazała się po śmierci autora, dopiero w roku 1983), nie wszedł nią do grona najlepszych i najciekawszych tytułów z kręgu debiutów powieściowych lat 70., nazwanych przez Henryka Berezę *rewolucją artystyczną w prozie polskiej*. Marzył o napisaniu „prawdziwej powieści", która traktowałaby o piciu i miłości, jak sam to określał, która jednak nigdy nie powstała, a nawet chyba nie zaczęła powstawać, jako osobny byt literacki. Na pewno jednak można zaryzykować opinię (a jest to, zaznaczmy, wyłącznie mój osobisty pogląd), że cała twórczość Milczewskiego zebrana w trójksięgę „Poezja, Proza, Listy" jawi się jako jedna wielka POWIEŚĆ rozpisana, niczym partytura symfonii, na wiele różnych instrumentów i środków wypowiedzi. W tej swoistej meta-powieści poczesne, obok wierszy, miejsce zajmują listy. Kto je przeczyta oraz przemyśli z uwagą i zrozumieniem, znajdzie być może klucz do wielu zagadek z kręgu dawnej i współczesnej Brunologii. Bez listów, a więc tego, co w sobie kryją i na co otwierają czytelnika, nie ma pełnego zrozumienia fenomenu życia i twórczości Ryszarda Milczewskiego. Ostatecznie, jak twierdzą sceptycy, jeżeli nie uda się już upowszechnić i rozesłać pod strzechy twórczości Bruna, pozostaje zawsze możliwość, że przechodzi się do historii jednym wierszem, genialnie zaśpiewanym przez Marka Grechutę, odrobinę przez mistrza dopracowanym na potrzeby tekstu melicznego. Chodzi, rzecz jasna, o wiersz „Gdzieś w nas", o czym nie zawsze wiedzą miłośnicy, zwłaszcza młodsi, twórczości Grechuty, że autorem tego wiersza jest/był Ryszard Milczewski-Bruno, który świadomie dał mu podtytuł – piosenka.

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Warto jednak pamiętać, że ziemski los Bruna nie był poetycką piosenką, nie był nawet balladą łotrzykowską, był – jeżeli już idziemy w kierunku muzycznych porównań – upiornym songiem o biedzie, pijaństwie, włóczęgostwie, marności wyniszczonego chorobami i alkoholem ciała, udręce bezdomności, rozpadzie własnej rodziny, ucieczce od stabilizacji zawodowej oraz złudnych nadziejach na literacką wielkość i wynikające z tego sukcesy finansowe. Brutalnie ten stan rzeczy (nie bawiąc się w eufemizmy) przedstawił Jan Marx w drugiej księdze swoich „Legendarnych i tragicznych" („Poezja i proza piwem płynąca") z roku 2002, co nie mogło się spodobać tym wszystkim, którzy chcieliby widzieć w Brunie raczej fajnego barda londonowskiej wolności i geniusza literackiej prowincji niż na poły zmarnowany talent i przegranego życiowo faceta. To, co po nim zostało (proza, reportaż, felietony, poezja, listy i rysunki) ma nie tylko swoją wartość artystyczną, ale także wartość dokumentu, na podstawie którego można dzisiaj podjąć się próby rekonstrukcji tamtej rzeczywistości, wielowarstwowej rzeczywistości lat 50., 60. i 70., czyli realiów PRL-u, jeżeli oczywiście chcemy zbliżyć się do odartej z legend prawdy o tragicznym niestety losie Bruna, jeżeli chcemy jego twórczość i życie poddać zdroworozsądkowej analizie i ocenie. A że nie jest to proste, zwłaszcza teraz, gdy powoli odchodzą ostatni świadkowie epoki Bruna, jego znajomi, koledzy i przyjaciele, niech zaświadczy jeden tylko przyczynek do źródeł legendy literackiej – okoliczności tragicznej, ale i bezsensownej śmierci poety. Powszechnie wiadomo (bo zostało to wielokrotnie opisane, także przez Janusza Żernickiego, w „Trenie dla Bruna", który został dołączony do wydanego przez Pojezierze tomiku „Gwizdy w obecność", Olsztyn 1982), że 17 maja 1979 roku Ryszard Milczewski-Bruno wszedł w niebieskich slipach i czerwonych skarpetkach do zimnego jeziora w Nowej Wsi Szlacheckiej i na oczach przebywających tam uczestników Toruńskiego Maja Poetyckiego zaczął tonąć. Zanim jednak poszedł pod wodę zawołał jeszcze… no właśnie, jakich wtedy użył słów? Włodzimierz Kowalewski zapewnia, że „Nie mogę!", Jerzy Rochowiak twierdzi, że „Kochani, ja już nie mogę!", Tadeusz Buraczewski i Zbyszek Szymański uważają, że krzyknął „Koledzy, pomóżcie – nie wyrabiam!", Janusz Kryszak zapamiętał słowa „Chłopaki, nie mogę!", natomiast Janusz Żernicki przytacza wołanie o ratunek „Chłopaki, nie wyrabiam!". Jaka zatem jest prawda o ostatnich słowach poety? Nie jest to dzisiaj rzecz najważniejsza, ale ten epizod uzmysławia nam, jak łatwo

mitologizuje się życiorys poety tragicznego, zwłaszcza że nie istnieje jedno archiwum, w którym zgromadzono by wszystko, co po Brunie zostało. Nikt chyba nie zebrał i nie opracował wiarygodnych świadectw i tekstów nie tylko na temat okoliczności jego śmierci. Na pewno w zbiorach rodzinnych Sławomira Milczewskiego (syn Bruna) i Jurka Szatkowskiego mogą istnieć materiały istotne i ważne z punktu widzenia biografii Bruna, ale nikt już dzisiaj nie jest chyba w stanie dotrzeć do innych prywatnych szuflad, w których znajdują się być może rozproszone pozostałości po wizytach, odwiedzinach i dłuższych pobytach Tego, który stale był w drodze i stale bez pieniędzy.

Osobnym tematem do rozstrzygnięcia (obok zapewne kilku innych) jest – jak sądzę – kwestia niemal nieobecnych w jego twórczości motywów i treści politycznych oraz religijnych (metafizycznych, eschatologicznych), choć, jak wiemy, wziął ślub kościelny i był lokalnym aktywistą Związku Młodzieży Wiejskiej. Są to kwestie ważne być może tylko dla historyków literatury zajmujących się zawodowo badaniem spuścizny po PRL-u, albo – szerzej – wpływem biografii artysty na jego twórczość (i pobrzmiewające w niej idee oraz poglądy artysty) i późniejszą, zazwyczaj pośmiertną, recepcję artystycznych dokonań, w tym wypadku głównie literackich, zwłaszcza zaś poetyckich dokonań Ryszarda Milczewskiego-Bruno. Przeciętny odbiorca, miłośnik tej twórczości, nawet jeżeli nie odczuwa potrzeby badania jej pod tym kątem, zawsze może postawić sobie – lub innym – ciągle aktualne pytanie: Czy należy oddzielić twórczość od biografii? A jeżeli tak, to co z tego wynika? A jeżeli nie, to dlaczego?

Zupełnie na koniec propozycja i zadanie dla ambitnych. Otóż chętnym, którym jest bliska poezja Ryszarda Milczewskiego-Bruno (z różnych często powodów, także tzw. pokoleniowych), którzy ponadto chcieliby skutecznie i sensownie odczytać, a nawet zbadać, jego niełatwą poetycką spuściznę, warto polecić książkę Stanisława Barańczaka „Nieufni i zadufani. Romantyzm i klasycyzm w młodej poezji lat sześćdziesiątych" (Ossolineum 1971). Dlaczego? Bo w niej właśnie (zwłaszcza zaś w I i II części owej książki) można znaleźć, jak sądzę, literaturoznawcze i krytyczno-literackie wskazówki oraz narzędzia dające się z powodzeniem zastosować do analizy wierszy grudziądzkiego poety, zwłaszcza te z jego tekstów, które – mówiąc kolokwialnie – podpadają pod określenie Barańczaka: poezja „lingwistyczna". Zapewne jest to jedna z możliwych ścieżek dojścia lub choćby tylko zbliżenia się do sedna twórczości i życia Bruna, tym bardziej, że na stronie 154 swojej książki Stanisław Barańczak pisze, cytuję: „*samo życie" jest nadrzędnym kryterium szeregowania i oceny zjawisk dla poetów kultywujących swoisty autentyzm, których w ostatnich latach przybywa coraz więcej: o ile jednak poetów w rodzaju Edwarda Stachury czy Ryszarda Milczewskiego-Bruno ratuje przed zasadzkami autentyzmu poczucie humoru i językowa inwencja, o tyle dla ich naśladowców droga ta wydaje się prowadzić do nikąd*.

***Krzysztof Szymoniak***

Zbigniew Ikona-Kresowaty

**Ad vocem**

(zapiski Zbigniewa Joachimiaka z jego prowadzonego przed laty dziennika)

*Na przykład Milczewski Bruno. Poeta. Pijak. Rozrabiaka. Z fascynującym podejściem do języka. Jego emocje i myśli nie dawały mu się zamknąć w zwykłych zapisach. A więc, być może dlatego przeszedł na poezję? Zwykły język też mu nie dawał się dobrze wypowiedzieć, dlatego stworzył swoją ekspresyjną stylistykę, poetykę wybuchową, napiętą, deformującą język literacki, ale za to bliski jego słyszenia i rozumienia świata. I BARDZO ADEKWATNY DO JEGO ZACHOWAŃ I OSOBOWOŚCI.*

*Nie polubiłem go, gdy któregoś razu w połowie lat 70. zjawił się na wieczorze poetyckim w siedzibie ZLP na ul. Mariackiej. Był, oczywiście, napity i agresywny, głośny, nachalny. Wiersze miał naprawdę dobre, ale że miał kłopoty z uzębieniem, to seplenił i mówił dość niewyraźnie. Ale show robił znakomity.*

*Drugi i zarazem ostatni raz go spotkałem na seminarium literackim, które zorganizował, gdzieś w okolicach Torunia i Grudziądza Jurek Leszin. To był najkrótsze seminarium na jakim byłem. Niewiele pamiętam, choć chyba to, co było tam najważniejsze pamiętam dobrze. W jezirze, nieopodal miejsca, gdzie mieliśmy spędzić kilka dni na słuchaniu poezji i wystąpień krytycznych, zaraz po przejeździe utopił się Milczewski Bruno. Dojechaliśmy tam autokarem, w którym ostro mnie postponował, wyzywał od Żydów, zachowywał się ordynarnie. Wtedy pomyślałem, że nie chciałbym mieć z nim cokolwiek wspólnego. Drugi raz go znielubiłem.*

*Dzień był upalny i gorący (to chyba był czerwiec lub maj, nie pamiętam), a zatem wszyscy po przyjeździe udaliśmy się nad jezioro, które było kilkadziesiąt metrów od ośrodka, w którym mieliśmy spędzić kilka dni. Byłem ubrany, ale parę osób natychmiast wyskoczyło z odzieży i weszło do jeziora. Pomiędzy nimi był Milczewski-Bruno (nie mówiło się o nim Bruno Milczewski, ale właśnie Milczewski-Bruno). Pływał blisko, 20-30 metrów od niewielkiej plaży i pomostu. Pamiętam, że w pewnym momencie skrył się pod wodą a następnie pokiwał znad tafli ręką. Nie pamiętam, czy to ja pierwszy zaniepokoiłem się, może ktoś inny, ale na pewno ja też zwróciłem uwagę, że Milczewski długo nie wychodzi z wody. Ze dwie osoby wskoczyły do wody w tamtą stronę sprawdzić i szukać Bruna. Niestety nie znaleźli go. Po kilku godzinach został wyciągnięty z toni bosakiem. Seminarium się rozwiązało. Został organizator, czyli Jerzy Leszin, też Żernicki. I nie wiem, dlaczego – ja.*

*Przyjechał jakiś pogrzebowy transport i odwieźliśmy ciało topielca do jego domu w Grudziądzu. Pamiętam tę noc w samochodzie transportowym zakładu pogrzebowego. Ciemno. Nie widzieliśmy się, bo buda metalowa samochodu nie miała żadnych okien. Niewiele rozmawialiśmy.*

---

**Krzysztof Szymoniak** urodził się w 1953 roku w Kępnie. Od roku 1969 mieszka w Gnieźnie, od połowy lat 80. zawodowo związany z Poznaniem. Ostatni sekretarz redakcji poznańskiego miesięcznika NURT oraz założyciel i pierwszy redaktor naczelny ogólnopolskiego dwutygodnika literackiego NOWY NURT. Przez ostatnie 20 lat aktywności zawodowej był wykładowcą na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. W swoim dorobku posiada kilka zbiorów wierszy, kilka tomów prozy oraz cztery tomy eseistyki okołofotograficznej, w tym dwutomową monografię „Bez przysłony" poświęconą w całości, ukazującemu się przez 13 lat „Kwartalnikowi Fotografia". Obecnie należy do zespołu redakcyjnego reaktywowanego po 10 latach „Kwartalnika Fotografia", a także jest członkiem zarządu Wielkopolskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Marian Bednarek

**PE**

a ja to pe
będzie jak będzie
a jak nie to tylko jakiś koniec świata
to też to pe

więc pójdziemy tam gdzie nas nie było
i zrobimy to i to może nie będzie pe
ale gdy pójdziemy w to samo miejsce
to na pewno będzie wielkie Pe

ale ja to szczerze pe
wolę widzieć piękne kwiatki na łące
i jak ona z nim czule
a nie tak że ja to pe
sto razy
albo i więcej

**II**

ale i tak ja to pe że coś pe
od tego zaczynam tę pieśń
widząc w tym wielki ogień
by jakoś pozbierać się
bo pe podwójne
to cholernie męcząca pepkowica

w telewizji pepkują jak im każą
wte i wewte czekając na brawa
to nasza ojczyzna Pe ciągle walczy
o odszkodowanie za II wojnę
ale te Szkopy ciągle pokazują nam obrzydliwe pe
w środkowym palcu fakju
i tak każda informacja o reparacji wojennej
kończy się obślinionym pepkowizmem

więc ja to całkiem pe
bo to już staje się monotonne
wielgachny pedemonie
wolę już iść do sklepu
po mój ulubiony makaron świderki
z którym nie masz szans
zatańczyć w moim talerzu

no nie masz
i odpepuj się!!!!

**E**

Czas na inną literkę
może E? eee… - nie boli mnie głowa - oznacza
a przed chwilą bolała
ale E ma dużo racji o każdej porze
tam i tu gdzie Ewentualność zawsze
skubie sobie jak koza swoją trawkę

Eeeetam to esy floresy Eteńczyka
to dobrze zaraz mnie posądzą o Eciopełka jakiegoś
albo o inne eberracje ale esencja
E jest dogłębna aż do szczytu szczytów
bo w eości tyle jest miłości tyle miłości
więc eam dalej sobie eam… eam…. eamuję…
no bo co mam zrobić
z tym E?

*26.11.2022*

Zbigniew Kresowaty

# „KAŻDA IKONA ZAWSZE SPADA Z NIEBA”

## ROK 2023 ROKIEM JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

„Maluj, w tym jest zbawienie”.
*(Paul Cezanne w liście do Emila Bernarda, 1904)*

Pamiętamy te słowa, ale czy Tadeusz Różewicz pisząc do Jerzego Nowosielskiego nie zapożyczył ich od znanego mistrza malarstwa? Tadeusz Różewicz i Jerzy Nowosielski w wieku seniorskim obaj wymieniali korespondencję - były to listy, jak na ich wiek bardzo spontaniczne, czasem regularne intrygujące… Ale były to listy pisane ręcznie. Nowosielski odpowiadał; pisz, pisz, w tym jest modlitwa. Krytycy i znawcy sztuki prawdziwej mówią, że Nowosielski to ikonopisarz i malarz stworzony od razu do tworzenia niezwykłych obiektów, choćby z racji swego miejsca pochodzenia. Przecież takich rzeczy nie da się w Wyższych Szkołach nauczyć, ponieważ talentu nie można nauczyć – to po prostu się ma! Do tego dochodzi pojmowanie mistyki i wiedzy o psyche... Jerzy Nowosielski zrozumiał swój cel w życiu bardzo wcześnie, później jako artysta z upływem czasu się oczyszczał, wyzbywał w malarstwie przerysowań, zbędnej finezji na cześć prostoty, także w użyciu koloru. Natomiast kiedy odszedł ów uznany za klasyka prorok współczesnego świata malarstwa ikonnego natychmiast rozgorzała dyskusja, głownie nad Jego światopoglądem, stylem malowania i całym zapleczem oraz wszczęto badania nad pochodzeniem artysty i Jego image... A żeby osiągnąć swoją formę, graniczącą z mistyką, artysta przebył bardzo żmudną drogę, nie pozując się na mistrza. Wyszedł z ubogiego domu, jako czwarte, ostatnie dziecko dla swoich ponad czterdziestoletnich rodziców. Nie wiemy, co myślał kilkunastoletni Jurko (tak nazywał go rodzony ojciec) odwiedzając na rodzinny grobowiec na Rakowcach, nie mógł jednak ominąć tego miejsca, tej kwatery z kurhanem ku czci internowanych Ukraińców, zmarłych w obozie w Dąbiu, tej „wiecznej hańby odrodzonej Polski”. Wracał myślą do tych wydarzeń całe życie, czy to w sztuce i w akcie, jak i później już tylko w ikonie i nie wiedział, że będzie uczestniczył w czymś bardzo wysoce mistycznym. A wychował się w domu skromnym, ale inteligenckim, z dużą biblioteką, ojciec śpiewał w chórze cerkwi unickiej, chodzili do niej również prawosławni studenci, słuchał i pochłaniał czar śpiewów chóralnych, jako student ASP w Krakowie, wychował się na pieśniach cerkiewnych. Artysta przeszedł jakby typową inicjację religijno- estetyczną, jak mówił; **Odczuwałem wyższość kultu wschodniego nad zachodnim – byłem dość przemądrzałym dzieckiem i bardziej uświadomionym religijnie od swoich rzymsko – katolickich kolegów.**

Zatem nic dziwnego, że pan Jerzy znalazł się wpierw w Gimnazjum oo. Pijarów, przypominali mu greko - katolickich świętych, mówiono mu: **Pamiętaj idź do cerkwi, do szkoły nie przychodź -** niestety **czuję się Ukraińcem** odpowiadał. To samo przyznał nawet po latach. Już wtedy nosił w sercu przekonanie, że najbardziej twórcza jest sytuacja Pogranicza: **konieczność ciągłego definiowania własnej tożsamości**. Jerzy Nowosielski poszukiwał tej tożsamości od samego początku w swoich oryginalnych dziełach i działaniach plastycznych, bratając się także z katolicyzmem, gdyż jak wiemy malował później freski w kościołach katolickich! Stał się po latach wytężonej pracy mistrzem osiągania prostoty, magiem… Wyzbywał się ciągłej linii w malarstwie, żeby osiągnąć czystość i blask swej formy, często eksperymentował. Najogólniej mówiąc można go nazwać malarzem tysiąclecia i postawić w szeregu wielkich twórców ikon np. obok Rublowa, choć diametralnie się oni różnią. Nowosielski pokazał prostotę modlitwy świata bardzo współczesnego, któremu to światu Sobór watykański pozwolił na więcej, dał przecież prawo malowania ikon także osobom świeckim, lub osobom klasztornym przeszkolonym do ikonopisarstwa, lecz w kanonie. Jerzy Nowosielski zaczął już medytować przy klasztorze ojców Pijarów, tam kilka lat służył… A dopiero po latach zaangażowania, po przeróżnych przejściach - pożogi wojennej i mordów na narodach polski i Ukrainy - jakby nakierował się na własną głębię. Wówczas uchwycił sens obrazu ikonnego wykonywanego nie tylko na płótnach, ale na deskach, później jako freski na ścianach.

Portret Ikonny Jerzego Nowosielskiego wykonał Zbyszek Kresowaty (2000)

Tadeusz Różewicz, dozgonny przyjaciel Nowosielskiego, mówił zawsze: **Malarstwo twoje Jerzy, to rozpięte ramiona miłości niebiańskiej i miłości ziemskiej złączone z sobą. Rozdarty przez te dwie miłości, Nowosielski przypomina czasem anioła, a czasem nietoperza wiszącego w podziemiach opuszczonej świątyni**…

**Nowosielski jest rozdzierany nie na powierzchni płótna, deski czy muru, ale w podświadomości, poza ramami obrazu, wewnątrz niego.**

→

Tadeusz Różewicz bardzo rozumiał Jerzego Nowosielskiego i Jego malarstwo, wprost przepadała za nim, bywał na wystawach malarstwa przyjaciela we Wrocławiu i nie tylko. Sam widziałem kiedyś jak poeta przyszedł na wystawę swego Jerzego do BWA, gdzie malarz głośno w podniesionym tonie oświadczył: **Tak to właśnie jestem ja!** – Zaiste to bardzo pojemna poetycka i metaforyka, dotycząca wielkiego malarza, ale i równie prosta jak Jego cała twórczość, snująca się z ust kogoś, kto dobrze osobiście znał retorykę i image twórcy. **Otóż jest pewnym, że artysta powiązał swoje malarstwo z czasami, w których przyszło mu żyć i oglądać okrucieństwo, patrzeć na rozlewiska krwi, na całym pasie pogranicza polsko - ukraińskiego i białoruskiego.** Tak ta twórczość stawała się prawdziwą odpowiedzią, stawała się ta twórczość, bardzo osobistym przeżywaniem, nie tylko co do samej okupacji. Były te przeżycia później poszukiwaniem strategii – wystarczy porównać obrazy Wróblewskiego Rozstrzelania z Egzekucjami Nowosielskiego, gdzie na jednym z płócien widnieje wykadrowany bezgłowy akt, zawierający stygmaty tamtych czasów, być może trudnych czasów między Ukraińcami a Polakami: obok na deskach podłogi stoi tyłem odcięta głowa, jak fryzjerski manekin na perukę. Powstało wiele takich odreagowań u innych różnych malarzy okresu powojennego. Jednakże artysta nadawał swoim obrazom klimaty surowości czasem grozy, żaden artysta nigdy nie może przemilczeć czasu, okoliczności, zapachu krwi i dymu… Musi metafizycznie zarejestrować ów przykry bolesny sen „mord na mordzie stojący". Malował, choć ciężko później taki obraz wieszać gdzieś na ścianie mieszkania lub przypadkowej instytucji lub w cerkwi albo kościele. Dopiero później powstawały wyciszenia w twórczości Nowosielskiego, idące wprost aż do ikon. Ikony ikonopisarza także zawierają ów klimat wręcz modlącego się widza, zawierają czasem przenikliwe ostre kolory, choć one chwilami i tylko miejscami świecą, jakby wychodzą z ciemności z mroków i na namalowanym ciele są punktami zbawczymi, bijącymi od osobowości przywołanego wyobrażenia każdej świętej postaci. A jawi się nam Ona jakby widmo, zjawa? – A może część prawdy, do której trzeba wciąż dociekać kontemplacją twórczą, podchodzić bardzo blisko i dotykać – bardzo wierzyć – nie wierzyć – pytać kto to jest?! – co to za święty – Ci święci testamentowi, choć dawno uznani za świętych, to dziś namalowani ręką Nowosielskiego już są jakby inni święci, to przecież zjawy dwudziestego wieku, które przez lata, zwłaszcza przez ostatnie stulecie, były mordowane i katowane po wielokroć różnymi najbardziej prymitywnymi sposobami.

Dlatego usta świętych Nowosielskiego bywają mocno czerwone, lekko rozwarte, podpowieki podsiniaczone, płaczliwe z naciekami na wychudłych twarzach... **To postaci wyzbyte piękności, postacie nierealne jednocześnie, noszące ciężar pokory i bólu, a jednocześnie przenikliwe.** Grubą dłoń i rękę artysty, jak się wprost wydaje, prowadzi jakaś przenikliwa modlitwa - Anioł, a może i sam Najwyższy, lub przywoływany święty – On przecież widział i widzi wszystko dokładnie! – po przez naszą fizyczność oświeca nasze dusze. Dlatego wszystkie postaci na obrazach artysty są bardzo proste, wyzbyte finezji, wydłużone, stojące na jaskrawej drodze, czasem wysoko prowadzącej poza horyzonty, bo to postaci bacząc wokół na ziemię szarą, zimną i skrwawioną, jakby ostrożne i monstrualnie wyniosłe cienie na szczudłach skrzydeł, pochylone w pokorze, uchodzące jak prawda. To postaci czasem zwinięte jak zastygłe zaschnięte stygmaty… Obrazują one przecież naszą epokę i nasze kondycje z końca drugiej połowy XIX wieku…

Przecież trzeba dostrzegać, że cała sztuka Artysty łączy artyzm najwyższy z głęboką myślą teologiczną i oboma Testamentami, czy prowadzi do Boga? – czy spełnia raczej zapełnia nasz stan duchowy? – czy intryguje i zapytuje? - jak to zawsze czyniła wielka sztuka sakralna z tłem godności. Tak **to wprost czysty ekumenizm -** tutaj wraca i zostaje obrana przez artystę ojczyzną, stała się później obecna nie tylko w miejscach sakralnych. Wspomnieć trzeba, że Nowosielski szedł do tej swojej Małej – ale Wielkiej wciąż czynnej Ojczyzny powojennie, obdarty, jak wielu innych, jakby w tłumie, od kiedy tylko pokazał się Jego erotyczno – męczeński akt, gdzie człowiek nagi zawieszony jest na linie do góry nogami, w kucki skrępowany, oczekuje na finał swego losu lub oczekuje na ludzkozwierzęce tortury. Nowosielski podążał do wizji przemienienia uświęconego – Jego akty zawierają bolesne napięcie, tajemny zapis niespełnionej tęsknoty za cielesnością zbawiona, za androgeniczną pełnią.

Jednakże za prostotą artysty nie stało tylko ubóstwo, lecz intuicja, a zwłaszcza tamto bogactwo doświadczenia duchowo – fizycznego. Dziś już naukowo stwierdzono, że znaczącą cechą tej twórczości jest przejęta z prawosławnej liturgii: surowa, głęboko utrwalona polifoniczność. Przypomnieć należy także, że Nowosielski wychował się na książkach, ale przede wszystkim na muzyce, na pieśni cerkiewnej... Wspomnieć należy, że na skrzypcach grał Jego stryj, ojciec i ten sam ojciec jego śpiewał w chórze. **W dużej mierze właśnie po przez chóry cerkiewne, bardzo melodyjne wielogłosowe, mocno surowe i srogie, za pomocą tych jednoczeń i bardzo wielką ogromną głębię pamięci artysta osiągał stopniowe inicjowanie, wyczyszczanie się z różnych nadinterpretacji, co było widać dopiero po jakimś czasie w Jego malarstwie. Harmonia świata od średniowiecza ujawnia się w szukaniu analogi między muzyką a malarstwem.**

Dlaczego np. malarze, piszący również poezję posługując się obrazami krajobrazów, opisami wnętrza, wchodzą jakby nieświadomie do metaforycznych pól i kanonów?… Dobrze wiemy, że Sztuka prawdziwa rodzi się z przeżycia, z własnego odbioru, z nabytej tradycji w dzieciństwie, z zapachu otoczenia, z wszystkiego co tylko tkwi przede wszystkim w otoczności szerszej. Prawdziwi artyści są powoływani do duchowego spełnienia, wprost do innego życia, jakby stwarzani wiekami w kosmosie dookolnym, ujawniający się jako magowie, ukierunkowani podświadomie doświadczeniem tych przeżyć... *Nie należy bać się piorunów, które rzuca chrześcijański artysta, ponieważ jest on naszym prorokiem. Naszymi prorokami są dziś nasi artyści*, mówił pan Jerzy. Natomiast, gdyby Jerzy Nowosielski nie namalował ani jednego obrazu i nie napisał ani jednej ikony, byłoby to jakimś grzechem – samo to, co mówił i pisał, było wstrząsająco intrygujące i bardzo inne... Ta erudycja teologiczna, którą świadczył wszem i wobec przecież olśniewała! – Mógł zostać duchownym, choć w istocie takim był (?) - Co ważne, artysta ten zawsze wybierał sobie swoich partnerów i adwersarzy do rozmowy i riposty. Trzeba było nieco wiedzy, żeby podjąć z panem Jerzym prawdziwą rozmowę. Ja kiedyś zainicjowałem taką „rozmowę" do mej książki pt. „Między Logos a mythos", wręczając swoje pytania mistrzowi, w których świadczyłem pewnego rodzaju wiedzę o ikonie (gdyż sam piszę ikony), ale przy całej złożoności tej twórczości, Jego rozwieszonych ikon i płócien w wielu salach wystawowych oraz ikonostasów w cerkwiach greko-katolickich, czy freskach w kościołach katolickich, interesowała mnie zawsze bardziej przeszłość i zaplecze twórczy, a o tym nie każdy artysta chce rozmawiać, czyli życie artysty to pewna tajemnica, bufor duchowy oraz niepisana taka służba duchowa… Długo Nowosielski się zastanawiał i nie odpowiedział mi, ale właśnie on tego nie potrzebował – zwłaszcza tej całej mowy o twórczości, tego gadulstwa… A wielka to strata dla mnie skromnego i mej książki. Jego interesowała mistyka i to jak nadać obrazowi boskość, a jednocześnie jak nie pożałować tego nagłego piękna i czystości wypowiedzi samego obrazu, bo przecież rozmowa z Jerzym Nowosielskim to błogie patrzenie na Jego obrazy – jakby w okna, które są wyświetlają Jego duszę… Tego spojrzenia też uczył przyjaciół i ludzi piszących, a nawet teologów, księży, służebników i poetów... W „krakowskim wierszu dla Zosi i Jerzego Nowosielskich", zatytułowanym „patyczek", przyjaciel poeta Tadeusz Różewicz wspomina słowa malarza pana Jerzego:

Napisz grafomański wierszyk
To ci sprawi radość
Uwolni Cię
Wyzwoli
Otworzy drzwi
Do niestworzonych rzeczy
Mówi do mnie Jerzy.

A kiedy mistrz wykładał na ASP w Krakowie, współpracownicy i studenci mawiali, że: **połączył ikonę z żurnalem**. To prawda, że nie zawsze potrafił, lub chciał zachowywać styl wysokiej klasy, malował też tzw. „wypoczynkowo" – ekspresyjnie pejzaże, zwłaszcza widać to z lat siedemdziesiątych, to chwilami prawie tzw. niedzielne malowanie. Wspomina o artyście i potwierdza to mój dobry znajomy prof. Marian Makarski, który oznajmia: ***wielcy malują u Boga.*** Marian Makarski i inni znani wówczas artyści niepokorni awangardziści, jak: Jacek Sienicki, Zygmunt Czyż, Jalu Kurek, Tadzio Cieślewicz, i kilku innych wśród nich bywał Jurek Nowosielski i jeszcze inni malowali na plenerach. Nawet razem z Jerzym dzieliłem pokój i to nie raz nie dwa!

Widać Jerzy Nowosielski pragnął także tych plenerowych kontaktów i rozluźnienia, potrzebował jak każdy żywy i czujny artysta chwilki na szklaneczkę wina, czy też dyskusji o podszewce malarstwa tak zwanego awangardowego, które uchodziło za występek przeciw panującemu w Polsce komunizmowi. Zatem bywając na Plenerach także kontynuował swój czyściec w sztuce. Dziś, patrząc z wielkiej perspektywy na tę imponującą twórczość, trzeba zwrócić uwagę, że w Jego malarstwie, zanim oddał się ikonnemu twórstwu, są w Jego obrazach, zwłaszcza tych wcześniejszych, żarty i kryptocytaty… ***Kto w życiu będzie się bał, że namaluje zły obraz, nigdy nie namaluje naprawdę dobrego.***

Komentował estetycznie wszystkie skrupuły kolorystów i nie tylko. A wśród wyżej wymienionych malarzy, później uznanych, byli właśnie tacy w/wymienieni... Nowo-

sielski mawiał, że poprzez malarstwo zmartwychwstaje się, nie obchodzi mnie jak ten świat będzie urządzony, mam misję do spełnienia i już! Gdzieś przeczytałem, a właściwie chyba widziałem to w okienku szklanym, jak jeszcze żyjąca wówczas żona artysty, pani Zofia, wspominała swego męża nieco dramatycznie w jakiejś dyskusji, choć z dyskrecją mówiła zawsze o Jego chorobie i odchodzeniu tak: *Jurek postanowił umrzeć. Odłożył wszystko. Koniec. Przestał malować...* – A więc budziło to zdziwienie u najbliższej osoby i przyjaciół – Uznał, że nadszedł kres, że jak gdyby zakończył już życie malarza, uznał się za zużyty pas transmisyjny, pewnie w duchu myślał: już czas zmartwychwstania, przejścia do wieczności. To była gwałtowana zmiana w Jego przepięknej duchowej drodze. Ale przed podjęciem tej decyzji wykonał jeszcze krzyż dla Dominikanów – to Jego ostatnia praca na Służewie. Jednakże zdaniem wielu tropicieli Jego dzieł to nieskończona praca – **Krzyż niedokończony** - ale dla nas dokończony – mówią Dominikanie, na Golgotę wystarczy… Dziś Nowosielski to hasło, nie trzeba wymawiać imienia - to magia, wystarczy usiąść przed obrazem zwłaszcza ikonnym. A przecież nie podpisał żadnego obrazu od lat siedemdziesiątych. Podpisem jest Jego wyjątkowy styl, czystość i maniera świecąca światełkami znakami, oznajmia miejsce gdzie mieszka dusza człowieka, w których kącikach śpi, czeka, nawołuje… Malarstwo to jest stygmatem wieczności. Wszystko się kończy krzyżem. Warto przytoczyć słowa innego bardzo oryginalnego artysty: *Spotkałem na swojej drodze Jerzego Nowosielskiego. Ten żyjący święty, artysta, najprawdopodobniej nie namaluje już nigdy żadnego obrazu. To jakby dopełnienie pokory, którą nosił w sobie przez całe życie niezrozumiany przez nikogo: katolików i prawosławnych, intelektualistów i wiernych, artystów i krytyków – cierpliwie, pokornie i konsekwentnie malował ikony, mając świadomość, że wbrew powszechnemu mniemaniu nie ma czegoś takiego, jak kanon ikony*. Jerzy Nowosielski to współczesny Andrzej Rublow – oznajmił z dumą inny – młodszy artysta malarz, zamieszkujący na Podlasiu, Leon Tarasewicz (2005 r.) W roku 1994 Jerzy Nowosielski powiedział tak: „*Jest pewien typ radości zawarty w wizji właściwej malarstwu staroegipskiemu i ikonie średniowiecznej. Wszystkie moje tęsknoty artystyczne nastawione są właściwie na tego rodzaju radość*"… innym razem dopowiadał:

- **To malarstwo jest moją ojczyzną. Nie żadna narodowość, nie jakaś tam ortodoksja chrześcijańska, lecz malarstwo. Ojczyzną, z której wyrastam, i w której jestem osadzony**.

- Przytaczam ten cytat pana Jerzego - mistrza dlatego, że jest to klucz ku tej twórczości – nadzwyczajna uporczywa szczerość i uczciwość a zarazem skromność i prostota wobec samego siebie. To odwaga powołanie i oczyszczanie nie tylko tego co się robi, ale ku temu, co niesie rytm serca i trzecie oko twórcy urodzonego w swoim czasie i miejscu. Reasumując trzeba dodać - to malarstwo naprawdę spadło nam z nieba, jest w pełni ekumeniczne. Jerzy Nowosielski powiedział sam te słowa już w 1984 roku: ***Ikona rzeczywiście spada z nieba*** - bo jeśli nie jest to rozpoznawanie dane nam ikonopiśccom i malarzom w takim stylu, to jest zadane z góry.

***Zbigniew ikona - Kresowaty***

Zbigniew Ikona-Kresowaty

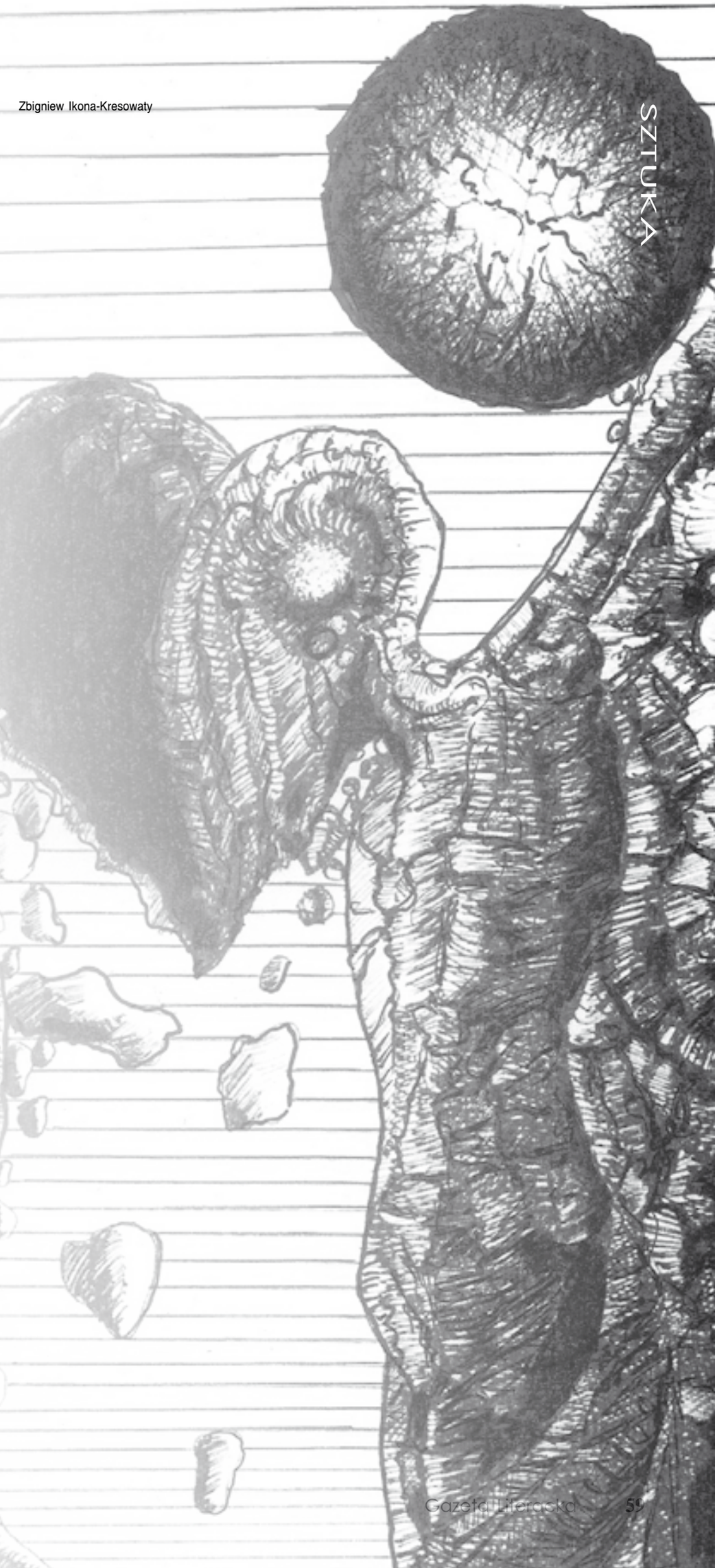

Roman Warszewski

# KAROL MYŚLIWIEC – POLSKI NASTĘPCA HOWARDA CARTERA

Ubiegły rok na całym świecie minął pod znakiem celebracji setnej rocznicy odkrycia grobowca Tutanchamona, co (może warto przypomnieć) miało miejsce 22. listopada 1922 roku. Wydarzenie to stało inspiracją do powstania niezliczonych dzieł filmowych i literackich. Jednak nad Wisłą ten znakomity archeologiczny jubileusz minął prawie niezauważony, co można uznać za kolejny dowód polskiej zaściankowości. Jest to o tyle dziwne, że w Polsce żyje człowiek, który na pewno zasługuje na miano polskiego następcy Howarda Cartera, autora wielkiego odkrycia sprzed 100 lat.

**To prof. Karol Myśliwiec – najwybitniejszy uczeń legendarnego prof. Kazimierza Michałowskiego.**

Zaginione grobowce, nieznane malowidła, tajemnicze bóstwa, starożytne skrytki i pułapki zastawiane na pradawnych rabusiów – naprawdę, na próżno by szukać osoby, która wie o nich więcej niż **prof. dr hab. Karol Myśliwiec**: do niedawna dyrektor Zakładu Archeologii Śródziemnomorskiej PAN, członek Polskiej Akademii i – *last but not least* – laureat nagrody Fundacji nauki Polskiej – tzw. „Polskiego Nobla". To między innymi dzięki niemu, polscy archeolodzy – obok Anglików, Amerykanów, Francuzów i Niemców – od lat są niekwestionowanymi królami wykopalisk w basenie Morza Śródziemnego. A właściwie – faraonami. Bo miejscem, gdzie przez przeszło trzydzieści lat pracuje Profesor jest Egipt.

**Rok 2006**

– Ten rok znów zapowiada się fascynująco - opowiada prof. Myśliwiec. – Jestem nadzwyczaj podekscytowany i ciekaw, co się zdarzy, co przyniesie najbliższa przyszłość. Bo czy przydarzyło się Panu kiedykolwiek, by przez cały rok trwać na czyimś progu, czekając na otwarcie drzwi? Na pewno nie! A ja jestem właśnie w takiej sytuacji! Rok temu, w czasie poprzedniej kampanii wykopaliskowej w Sakkarze pod Kairem, natrafiliśmy na okazały grobowiec z czasów faraońskich, który otaczano kultem przez przeszło 1400 lat! Coś takiego zdarzało się niezwykle rzadko i oznacza to, że był to grobowiec kogoś niezwykle ważnego. Kogo? Oto pytanie. Jakiegoś nieznanego faraona? Wybitnego kapłana? Kogoś, o kogo istnieniu do tej pory w ogóle nie mieliśmy pojęcia? Nie wiemy. Obyśmy się tego dowiedzieli w tym roku! Stąd też moja ekscytacja i niezmierna ciekawość. Słowem - w roku 2006 znajdujemy się w sytuacji porównywalnej do tej, z którą w Sakkarze mieliśmy już do czynienia dwukrotnie: w roku 1997, gdy wchodziliśmy do grobowca wezyra Meref-nebefa i w roku 2003, gdy otwieraliśmy miejsce pochówku kapłana Ni-anch-Nefertuma.

**Co było przedtem?**

Te dwa grobowce to bez wątpienia najbardziej sensacyjne odkrycia Profesora. Ale lista jego eksplorerskich dokonań na tym się nie kończy.

W latach 1985-1995 Profesor Myśliwiec kierował polsko-egipskimi wykopaliskami w delcie Nilu – w Tell Atrib, dawnym Athribis: na obszarze, gdzie kopie się rzadko i niechętnie, bo to teren dla archeologów szczególnie trudny i niewdzięczny. Dlaczego? Bo ziemia jest tu bardzo przemieszana przez fellachów, a procesy rozkładu - z uwagi na wszechobecną wilgoć – zachodzą nadzwyczaj szybko. Nie można więc liczyć na to, że odnajdzie się papirusy i mumie, co najwyżej – kamienne posągi, okruchy ceramiki i jakieś drobne przedmioty z najtwardszych materiałów.

– Były to niewątpliwie prace pionierskie – wspomina Profesor – choć, gdy do nich przystępowaliśmy wcale nie byliśmy tego świadomi. Rzecz w tym, że w Tell Atrib, w dzielnicy rzemieślniczych warsztatów znajdujących się w warstwach z okresu ptolemejskiego, całkiem niespodziewanie udało nam się zaobserwować bardzo ścisłą korelację między występowaniem fajansów, figurek terakotowych i ceramiki a nadzwyczaj licznymi tam okazami numizmatycznymi pochodzącymi z określonych przedziałów czasowych. Dzięki temu poszczególne typy znalezisk można było datować z precyzją do 30-40 lat, podczas gdy poprzednio – posługując się tylko kryterium stylu – czyniono to z dokładnością do lat 500, czy 600 lat! Dokonaliśmy więc zmiany jak najbardziej jakościowej. Nasze badania bardzo szybko stały się badaniami wzorcowymi – czymś, w dziedzinie datowania, porównywalnym ze stworzeniem wzorca metra. Dochodziło nawet do tego, iż po moich wykładach na temat Tell Atrib – czy to w Luwrze, czy w Muzeum Brytyjskim - zmieniano podpisy pod niektórymi podobnymi zabytkami znajdującymi się w muzealnych witrynach!

**Sakkara**

Tell Atrib i osiągnięte tam wyniki stały się dla Profesora przepustką do wykopalisk w Sakkarze – na terenie, na który Egipcjanie obcokrajowców wpuszczają szczególnie niechętnie. On jednak zadeklarował, iż jest gotowy eksplorować teren po zachodniej stronie piramidy schodkowej faraona Dżesera: tam gdzie - jak twierdzili Anglicy i Francuzi - znajdowało się archaiczne wysypisko śmieci i... – według nich – nic ponad to!

Egipcjanie pomyśleli: Jak chce, niech kopie!

On pomyślał: Trzeba wykorzystać to, iż chcą pozwolić mi rozpocząć wykopaliska tam, gdzie dotąd nikt nie kopał. Takich miejsc w Egipcie jest coraz mniej. Właściwie prawie wcale już ich nie ma!

– Byłem przekonany – wspomina - iż po zachodniej stronie tak ważnej piramidy, jak piramida Dżesera, nie może być śmietniska. Wszak strona zachodnia w mitologii staroegipskiej zawsze wiązała się z zaświatami, z krainą umarłych. Moim zdaniem było to wymarzone miejsce na cmentarzysko – i to cmentarzysko wykorzystywane nie tylko w jednej epoce, ale przez tysiące lat! Była szansa na to, że w przysłowiowej jednej kropli będzie tu się odbijał cały wszechświat – cały wszechświat starożytnego Egiptu. Z takiej okazji nie można było nie skorzystać.

Intuicja go nie zawiodła, a jest ona u archeologa właśnie tym narzędziem, które często okazuje się szczególnie istotne. Już pierwsze sondażowe wykopaliska potwierdziły przypuszczenia i pokazały, iż jest to teren bardzo obiecujący. Że znajduje się tu bardzo dużo pochówków i to z dwu odległych od siebie okresów. Że staroegipska pierwsza piramida – t. zw. „piramida schodkowa" Dżesera sprzed czterech i pół tysiąca lat, przez wieki musiała stanowić wielki magnes dla żywych i.... dla umarłych.

– Ilość mumii - mówi Profesor – na jakie natrafiliśmy tu już w czasie pierwszego sezonu archeologicznego w 1996 roku, była dla mnie wielkim zaskoczeniem. Z czymś takim nigdy dotąd się nie spotkałem. Nawet jak na Egipt, było w tym coś zaskakującego i dającego do myślenia... Z dnia na dzień stało się jasne, że jako ekipa stajemy przed niezwykle trudnym wyzwaniem. Lecz także - że od czasu odkrycia fresków w Faras, polska archeologia nie stała jeszcze, być może, przed tak wielką szansą.

**Prehistoria – tym razem prywatna**

Wspomnienie fresków w Faras jest jak najbardziej na miejscu. Profesor Karol Myśliwiec jest bowiem (jak już wspominałem) uczniem i wychowankiem ich odkrywcy – profesora Kazimierza Michałowskiego. Gdyby nie on, Profesor pewnie nigdy by nie został ani egiptologiem, ani archeologiem.

– Muszę się przyznać – mówi – że studiując w Warszawie, ani przez moment nie myślałem, że kiedyś będę zawodowo zajmował się wykopaliskami. Owszem, dziedzina ta bardzo mnie interesowała, pasjonowały mnie także starożytne języki, geografia, historia sztuki - a więc to wszystko, co archeologowi potem jest bardzo pomocne, ale nie sądziłem, że - w konfrontacji z tyloma wspaniałymi kolegami, jakich miałem na roku - taki skromny przybysz spod Jasła będzie miał jakąś szansę, żeby się przebić. Właśnie dlatego, oprócz archeologii śródziemnomorskiej, równolegle studiowałem romanistykę. To raczej z tym kierunkiem wiązałem jakąś bardziej praktyczną przyszłość. I gdy na archeologii napisałem pracę magisterską, byłem przekonany, że będzie to zamknięcie tego fascynującego, lecz krótkiego rozdziału.

Tak naprawdę jednak ten rozdział dopiero się zaczynał. Bo zaraz potem prof. Michałowski zaproponował mu asystenturę, w ślad za czym przyszło dziewięciomiesięczne stypendium na wyjazd do Egiptu. Owe dziewięć miesięcy zmieniły się jednak w dziewięć lat, ponieważ stypendium stale było odnawiane. Wtedy miało też miejsce pozornie odległe wydarzenie, które spowodowało dla niego dalekosiężne, pozytywne, archeologiczne konsekwencje: Polska nawiązała stosunki dyplomatyczne z Niemcami, a on na studiach zawsze był – jak to powiedział w jednym z wywiadów – „tym od języka niemieckiego". Toteż gdy do odwilży doszło też na linii polsko-niemieckiej archeologii, nie było wątpliwości, kto w niej odegra ważną rolę: kiedy od znanego niemieckiego egiptologa, prof. Rainera Stadelmanna - późniejszego dyrektora Instytutu Niemieckiego w Kairze, nadeszła propozycja, żeby ktoś z polskich egiptologów wziął udział w jego wykopaliskach w świątyni faraona Setiego I, wybór padł właśnie na Karola Myśliwca, wtedy jeszcze magistra.

– To był decydujący moment w mojej karierze - ocenia dziś. – Od tego momentu nie

było już w zasadzie odwrotu od egiptologii. Choć, paradoksalnie, pierwszą stałą pracę w Polsce dostałem dopiero w wieku lat 38! Do tej pory cały czas żyłem i pracowałem w zasadzie w nieustannym zawieszeniu, nie wiedząc, czy za kilka miesięcy zostanie mi przedłużone stypendium. Byłem wolnym, swobodnie latającym ptakiem! Teraz sobie nieraz myślę - może właśnie tak miało być? Może tak właśnie było dobrze?

Po pierwszej kampanii archeologicznej pod kierunkiem prof. Stadelmanna trafia do Monachium, gdzie powstaje jego praca habilitacyjna na temat boga Atuma czczonego szczególnie w starożytnym Heliopolis. Dopiero potem - dzięki staraniom prof. Michałowskiego, dosłownie kilka miesięcy przed jego śmiercią - otrzymuje etat w Polskiej Akademii Nauk. Wkrótce później zostaje dyrektorem Zakładu Archeologii Śródziemnomorskiej PAN, gdzie pracuje do chwili obecnej. Ma już wtedy za sobą m. in. wykopaliska w Palmyrze w Syrii, w Kadero w Sudanie i w Nea Pafos na Cyprze.

Zebrane w tylu różnych miejscach doświadczenia w pełni docenił dopiero wtedy, gdy w 1996 roku stanął twarzą w twarz z nekropolą w Sakkarze.

**Cień Imhotepa**

– Naszym największym problemem w Sakkarze od samego początku był... nadmiar znalezisk – opowiada. – W związku z tym, postęp prac nie mógł być zbyt szybki. Każdą mumię, na którą tam natrafialiśmy, musieliśmy zdokumentować i dokładnie przebadać. Dopiero potem można było kopać dalej. A mumii – tak jak mówiłem – były setki, z czasów Starego Państwa i późniejszego o dwa tysiąclecia Okresu Ptolemejskiego. Dwa tysiące lat na przestrzeni kilkuset metrów kwadratowych!

Było jeszcze coś - nad wykopaliskami Polaków cały czas unosił się... cień Imhotepa! I choć Profesor opowiada o tym dosyć niechętnie i bardzo powściągliwie, nie sposób w tym miejscu o tym nie wspomnieć.

– Najpierw zaczęli o tym szeptać nasi robotnicy - fellachowie wynoszący piach z wykopów - mówi - Potem sprawa ta nam samym zaczęła dawać o myślenia. Bo takie skoncentrowanie pochówków na tak niewielkiej powierzchni wskazywało na to, że w pobliżu musiał znajdować się grobowiec kogoś bardzo ważnego. A jeśli w kontekście piramidy Dżesera mówić o kimś ważnym, rzeczywiście na myśl nie mógł nie przyjść Imhotep.

Imhotep to bez mała postać mityczna. To główny architekt faraona Dżesera – można powiedzieć: „wynalazca" egipskich piramid. To właśnie on wzniósł pierwszą egipską piramidę schodkową i w dolinie Nilu jako pierwszy z kamienia uczynił główny materiał budowlany. Był też naczelnym lekarzem faraona oraz jego wezyrem. Z czasem - po jego śmierci - Egipcjanie uznali go za świętego i oddawali mu boską cześć. Kult Imhotepa w Sakkarze żywy był jeszcze nawet po czasach Aleksandra Wielkiego. Rzecz w tym, że do dnia dzisiejszego nie odkryto grobowca Imhotepa, który - zważywszy na jego pozycję i wielość sprawowanych za życia funkcji - w splendorze powinien być porównywalny z grobowcem niejednego faraona.

**Dwa dziwne imiona: Meref-nebef i Nianch-Nefertum**

– Wniosek, że mnogość pochówków w Sakkarze może mieć coś wspólnego z Imhotepem i że pod piaskiem, po którym codziennie chodziliśmy, może znajdować się jego nie odkryty grobowiec, na pewno braliśmy pod uwagę - wyznaje Profesor. - Sprawa ta jednak nigdy nie spędzała nam snu z powiek. To oczywiste, że każdy egiptolog chciałby odkryć jego grób, a być może nawet jego mumię, ja jednak - jako, że jestem przesądny - staram się nad tym nie zastanawiać. Wiem, że gdybym głośno wypowiedział takie życzenie, natychmiast pogrzebałbym swoje szanse na takie odkrycie.

Już dwa razy wydawało się, że to może być właśnie ten grobowiec. W 1997 roku, gdy we wrześniu archeolodzy wchodzili do grobowca wezyra i w 2003 roku, w październiku, gdy przed archeologami otworem stanął grobowiec nieznanego kapłana. I mimo, że ani za pierwszym, ani za drugim razem nie był to grób Imhotepa, każde z tych odkryć zapisało się złotymi zgłoskami w annałach archeologii: Pierwsze dlatego, że jeszcze nigdzie w Sakkarze nie natrafiono na tak piękne polichromie; drugie - bo w jeszcze żadnym innym miejscu w Egipcie nie odkryto grobowca, który tak jak ten, ilustrowałby poszczególne fazy obróbki rzeźbiarskiej dekorowanych ścian.

– Drugi grobowiec – grobowiec kapłana Ni-anch-Nefertuma – był niewykończony – mówi Profesor. – W tym wypadku nie jest to jednak jego wadą, lecz - paradoksalnie! – zaletą. Na jego ścianach można bowiem bezbłędnie rozpoznać, w jaki sposób Egipcjanie przygotowywali swoje malowidła. Jakie były poszczególne etapy wykonywania płaskorzeźb i nakładania farby. To miejsce, które – jak sądzę – w przyszłości na pewno trafi do podręczników historii sztuki.

– Podobnie jest z grobowcem pierwszym – z przygrobową kaplicą wezyra Meref-nebefa. Są w niej najpiękniejsze polichromie, jakie kiedykolwiek widziałem w Egipcie. Ich odkrycia zazdroszczą nam i Francuzi, i kopiący w pobliżu Anglicy. A i jedni, i drudzy w egiptologii są prawdziwymi gigantami.

– Sprawa jest jeszcze po innym względem fascynująca – kontynuuje Profesor. – Dopóki nie dotarliśmy do tych miejsc, nikt nie miał w ogóle pojęcia o tym, że kiedykolwiek istniał ktoś taki jak wezyr Meref-nebef, ani kapłan „opiekun dwóch piramid" Nianch-Nefertum. Dziś natomiast, dzięki odczytywaniu odnalezionych w grobowcach hieroglificznych inskrypcji i interpretacji odnalezionych tam malowideł, wiemy na ich temat coraz więcej. Jak najbardziej dosłownie wypełniania jest kolejna biała plama w historii starożytnego Egiptu.

**Na progu?**

– Co więc może się jeszcze zdarzyć w Sakkarze? - pytam Profesora.

– Nie wiem – na to pytanie na razie nikt nie jest w stanie odpowiedzieć. Ponad wszelką wątpliwość będzie to jednak coś istotnego, nowego. Pomoże nam to, iż Egipcjanie, chcąc ułatwić nam dostęp do grobowca, zezwolili na rozebranie platformy pochodzącej z okresu Nowego Państwa. Na coś takiego zezwala się tylko wyjątkowo.

Nie daję za wygraną:

– Czy może tam spoczywać Imhotep?

– Rachunek prawdopodobieństwa mówi, że raczej nie - że szansa jest naprawdę znikoma.

– Ale ten sam rachunek prawdopodobieństwa stwierdza, iż mimo wszystko nie jest to wykluczone...

– Już bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że może to być na przykład faraon, o którego istnieniu do tej pory nie mieliśmy zielonego pojęcia. Albo jeszcze jeden nieznany wezyr. Cierpliwości. Nadejdzie chwila, gdy się o tym przekonamy się przekonamy. Pracy w Sakkarze mamy jeszcze na co najmniej pięćdziesiąt lat.

Obecnie kontynuatorem prac prof. Myśliwca w Sakkarze jest jego uczeń prof. Kamil Kuraszkiewicz. Pogoń za Imhotepem, lub co najmniej jego cieniem, trwa nadal.

***Roman Warszewski***

*Autor pracuje w tej chwili nad biografią prof. Karola Myśliwca, która ma nosić tytuł „Skorpion w grobowcach faraonów. Niezwykłe życie polskiego Indiany Jonesa – prof. Karola Myśliwca".*

*Tytułowy skorpion, to Profesor, który urodził się właśnie pod tym znakiem zodiaku. Na razie jednak żaden wydawca nie zdradził zainteresowania wydaniem takiej pozycji. Autor szuka wydawcy.*

OMÓWIENIA

Urszula M. Benka

# PASTERZE DOLIN

*Epoka leży niby brytan* – takie zdumiewające skojarzenia należą do rzadkości nawet w sztuce, która wręcz się znęca nad toksycznością kultury Zachodu, tymczasem wybrzmiało ich mnóstwo w spokojnych wersetach *Pasterzy nocy*, najnowszego tomiku Elżbiety Juszczak. Samym wylewnym splotem ruchu (pasterstwo) z pasywnością (dolina) dotknęła Juszczak sedna: żyjemy wszyscy, my kamienni, my błotniści, my szemrzący strumykiem i my schnący na gorzki pył, i pierzaści na niebie. I tak jak czas, spsiały, może zezwierzęcony. Oraz jak nasz Pan, *runiemy w przepaść*.

Elżbieta Juszczak unika, mam wrażenie, ideologizacji oksymoronu. Jeden ze swoich zbiorków poetyckich nazwała: *Świecąca ciemność* (Koszalin 1992) – były to wiersze z lat 1984-1987, kiedy pogłębiała się rysa w organizmie poezji polskiej jako głosu świadomości kulturowej w kraju. Dojrzewał wtedy bunt generowany (jak się później okazało) pragnieniem dobrobytu, skrótowca, zarazem intelektualizmu lecz w jego funkcji przywódczej, duszpasterskiej. Oksymoron bywał żałosnym unikiem, może wręcz zdradzał brak buntowniczego charakteru, a bez takiego żaden twórca nie udźwignie sprzeczności, nie ukaże ich precyzyjnie. Przynajmniej, dopóki nie uszanuje własnych sprzeczności – otóż niniejsi *Pasterze* wolą tautologie:

> Tam, gdzie jest Knossos, rodzą się legendy,
> Kamienny kamień ze snu się wyrywa
> (…)
> Ile kamienia pod fontanną nieba,
> Tyle miłości w twojej wąskiej dłoni.

Bo tautologia wzmacnia. Tworzy plamy barwne, prologi – Krzysztof Szymoniak przy promocji *Pasterzy dolin* zauważył: „klasyczna poetyka – pełen, daleki od skrótów myślowych język oraz rzekoma bukoliczność, zasygnalizowana w tytule zbioru. W rzeczywistości prezentują pełen niepokoju i zagrożenia duchowy stan mieszkańców Europy. Tu i teraz na Zachodzie i Wschodzie skonfrontowane jest z wydarzeniami historycznymi kontynentu – od średniowiecza, przez wojnę trzydziestoletnią, życie codzienne aż po dzień dzisiejszy ludzi i zwierząt." Ale prawem właśnie prologu, prezentują lub po prostu doznają uwolnienia jak gdyby takich *pośrednich wzmacniaczy*, choćby w zdaniu, iż

> Jedyną rozkoszą zaglądanie w oczy żonkilom

z dosłownym potraktowaniem wyrazu „rozkosz", bo uczynić z niego przenośnię to w rzeczy samej autodestrukcja. Zastrzegę, to jest raczej mowa samotnicza, bez świadków, bez jakiejkolwiek potrzeby mrugania i samousprawiedliwień, pomimo że poetka oczywiście oddaje ciemność świecącą, ale nie światłość mroczną – to różnica. Nadzieja tchnie już choćby z wiary w sens pójścia, czucia „od deski do deski". Światłość mroczna w ogóle zniosłaby nam te nasze „deski" jako szanse, jako argumenty. Bukoliczność? Raczej błogość, a ta wszak nie jest maską: dotykanie pewnych klawiszy ciała świata wywołuje ją mimowiednie. Wraz z nieodłączną rubasznością, a niekiedy hańbiącym, rozdzierającym wstrząsem.

A zatem, epoka leży, waruje, powarkuje na jakimś progu, lub przykuta łańcuchem zrywa się na ściśle wyznaczoną odległość – łańcuch to przecież promień zataczanego koła. Tyle, że ciężki. Owszem, nasza przemysłowa epoka dysponuje żeliwnymi promieniami, plastikowymi promieniami (setki ludzi zarabiają na chleb kontrolując normy jakości wykonania) – tak jak religiami plastikowymi i plastikową wyobraźnią usuwającą z widnokręgu nawet piękno poezji. Wiersze z *Pasterzy dolin* wymijają te krótkie promienistości, wędrują poza ich zasięg gdzieś, w barbarzyństwo *o wilczych oczach*, które wyczekuje cudu a słyszy, że: *pochwalone niech będą ból i rozpacz, co nigdy nie miną*. I pochwalone niech będzie to, że cud jest i pozostanie niejasny, i że ziemia wstaje albo skłania swój stary łeb choćby i przed księdzem dobrodziejem, i przed politykiem ze złotym breloczkiem na brzuchu. U Juszczak ten panteizm bowiem nie ogranicza się do słusznych konkluzji w rodzaju „bronimy Matki Ziemi" względnie „Czcimy ją, męskiemu Bogu na pohybel", nie dzieli istnień i zjawisk na godne przetrwania i niegodne. Pozwolę sobie rozwinąć jeszcze o kilka kroków to myślenie – świat bez patologii byłby chory, równie chory i pokraczny jak baśń, w jakiej chłop miałby tylko mądrych synów lub najmłodszy z nich byłby najmądrzejszy.

Juszczak dokonała jakiegoś odwiecznego odkrycia, że naprawdę ostatni – pogardzani i znienawidzeni jak tłusty pleban i cwany polityk – będą wywyższeni, co przecież rozumowi urąga. Literatura od najdawniejszych czasów umiała posługiwać się pospolitym wyobrażeniem, aby mówić o świętości, o metafizyce. U nas wirtuozami takich „spięć" byli Słowacki, Leśmian, Wojaczek, Styczeń, jednak ci dwaj ostatni (a Słowacki zapewne też) zapatrzeni byli w człowieka raczej niż w istnienie, które by sobie istniało bez powodu. Powód nadawał sens ich myślowym horyzontom. Juszczak zdaje się zastrzegać, że daleka jest od kreowania kolejnych arkadii, gdyż i piekło, i raj mamy tuż przed oczami, a może nawet tańcują sobie one w strażackiej remizie, bynajmniej niegotowe na cnotliwe a uroczyste zaślubiny, jak u Blake'a.

W przestrzeni, gdzie paść można doliny jak konie albo owce, krajobrazy to istoty a miasteczka to dusze. Dusze ciepłe kluski. Czuł Chagall, że dusze choćby krową wzlatywały ponad rogatki; cała reszta takiej duszy taplała się na niebrukowanej drodze, wyglądając za płot drapała się pod chustką, bo też za płotem wszystko jakieś takie inne, cudze, niepojęte. Można więc doliny gnać, zaganiać do zagrody, strzyc, zarzynać, okiełznać, tresować. Pasterzowi wolno wszystko. Agresywną a wręcz szczekliwą epokę wolno mu zresztą głaskać, ucząc cierpliwie swoich znaków, a siebie jej znaków. Co za ulga, kiedy

> otwiera się nam życie jak brama
> do wiejskiej obory.

Bo właśnie tu, w oborze pasterz poczuje, że

> Powietrze nakarmi go nienasyceniem
> A ciała kobiet i mężczyzn otoczą
> go płomieniem

- mówi Juszczak, a mówi tworząc jakby kolaż ze wspomnień, snu, wiedzy o świecie – jest pracownikiem naukowym na Wydziale Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Politechniki Koszalińskiej; podejmuje badania z zakresu historii regionalnej, prasy i propagandy. Chodzi tutaj o wiedzę co do pytań, o finezję ich formułowania. O poczucie, jak bardzo a częstokroć pokrętnie technika, historia, media i propaganda kształtują nam gotowość-niegotowość do szczęścia, do przyjmowania piękna.

Zatem brama – co brzmi dumnie, zaczepnie. Lecz obora to doprawdy miejsce tajemnicze, romantyczne a mistyczne. Kiedy piszę te zdania, kończy się już Adwent, św. Mikołaj Coca Coli zniósł post i ascetyczne standardy, zamieniwszy je w kolorową paczuszkę na kokardkę albo może dostarczaną przez Allegro, wszędzie świecą już choinki, nawet na Ukrainie (tam artystycznie wykonane z wojskowych siatek maskujących i przybrane miniaturkami min przeciwczołgowych), i omal nie ma miejsca na ciszę, w jakiej na wsi przez chrupiący śnieg niosło się krowom do obory opłatek z wigilijnego stołu, a o północy nastawiało ucha, bo wśród nocnej ciszy bydło w tę noc mówi ludzkim głosem. Oborę zamieniono w stajenkę zapewne w czasach, kiedy stajnią w gospodarstwie mógł poszczycić się tylko pan, on miał konie; chłopi orali zaprzęgając wołu, o ile stać ich było na pług. Wyraz *rycerz/rycerstwo* w Europie tworzono od jeźdźca i konnicy. W antycznej jednak Grecji „oborą" nazywano najświętsze miejsca świątyń. Zapomnieliśmy o tym, tak jak to, że smrodliwy amoniak, składnik szczyn, nazwano od boga Amona, stwórcy świata i pana ładu we wszechświecie, władcy bogów, ludzi i państwa zmarłych, przedstawianego jako król w koronie z dwoma wysokimi piórami (jako Amon-Ra), człowiek z głową barana o zakrzywionych rogach, pod postacią gęsi a także węża, niekiedy w formie bezosobowej, jako obelisk. Taki więc obelisk, falliczny symbol, cuchnął jak obsikany przez kundle przydrożne.

Obora była czymś odmiennym a zarazem prawdziwszym niż dom: czas w niej biegł po zwierzęcemu, w cieple, jakiego nikt nie krzesał sztucznie, bo pochodziło z samych, także metaforycznie pojętych, wnętrzności, w organicznych wyziewach i niezakłamanej ani niczym nie usztucznionej mowie ciała. Hierarchie istot były „boże", bez nalotu czy zrakowacenia powodowanego przez obrazy wyobrażeniowe, jakie ludzie nadali płci, dostatkowi, charakterowi zajęć a nawet archetypom swojej psychiki. Tutaj właśnie rodzi się Zbawiciel, Bóg współistotny Ojcu, przez którego wszystko się stało. Położony w żłobie na sianie, narodzony zaś w noc szczególną, „właśnie tę", kiedy od paleolitu czy jeszcze grubo dawniej świętowano Śmierć. W zimowe przesilenie zlatywały się duchy a ludzie setkami kilometrów zdążali do rozrzuconych z rzadka po planecie sanktuariów, kamiennych wieńców zorientowanych w Kosmos. Stąd cisza Wigilii: duchy łatwo spłoszyć, łatwo rozeźlić. Kosmos też. Kosmos się płoszy, wścieka, zwala na kark. Świat uznawano wtedy za dostatecznie zły, niegościnny – albo wymagający – by dorzucać doń jeszcze swary i kłótnie, perory i kwękanie, rękoczyny i autoagresję. Cisza była brzytwą Ockhama, eliminowała zbędne byty. Ta ci-

sza Wigilii, dodam, przypomina poniekąd to, że wszelkie obrazy i obrazki z traktatów o Kamieniu Filozoficznym, jak podkreślił Henryk Waniek, „jednomyślnie uchylają się przed unaocznieniem tego szczytowego kamienia, mimo że bezustannie do niego nawiązują. Pozostaje niewidoczny, jakby istniał poza wszelką materią i formą".

Dotyczy to wszakże i bramy, i obory, i pastwiska, i wszystkiego, co się zjawia i porusza po pastwisku. Możliwe, że i formy są zbędnymi bytami? – tak przynajmniej utrzymują różne wyrafinowane szkoły duchowe, jakie wydają się nęcić nas, obolałych od tej nadskwapliwej pieczy epoki-brytana, w jakiej ugrzęźliśmy (bo gdy o tym myślę, widzę scenę z Piotrusia Pana Disneya: dzieci za Piotrusiem i Dzwoneczkiem lecą ku Nibylandii, a wierny pies-niania też obsypany magicznym pyłem, fruwa nad swoją budą, wciąż na łańcuchu). Człowiek przez niecierpliwość stracił Raj i przez niecierpliwość nie umie wrócić do Raju.

Czyli do obory…

Błękit rozgwieżdżonej wigilijnej nocy w śniegu miał się łagodnie stopić z izbą, z całą tą kosmiczno-ziemską menażerią stworzeń, fantastycznych doprawdy form, gdyby na ciała krowie, bycze, męskie, kobiece, psie i sucze, włącznie z ich wyrazem oczu, patrzeć przez okulary Czystej Formy. Na domiar każdy egzemplarz w tej kolekcji jakiś niepowtarzalny, nie do podrobienia.

Jeśli Juszczak pragnie gładzić wysokie czoło lub wzruszać się wyzłoceniami światła na łysinie (tyle miejsca do całowania!), to każde przecież w innym kształcie, z inną *historie d'une âme*. Ale każdą błogosławioną!

> Grządkami chadza wiatr i nagie nogi moczy.
> Owiewa różę – niech jej starczy pąsu,
> W gumiakach ja wyruszam niby w świat
> Na swoim mózgu – pomyleńcu.

Wiersze te, jeśli nawiązują do tradycji, to – autorka przyznaje – Walta Whitmana „a nawet nadziei Osipa Mandelsztama". Juszczak dała sobie prawa odstąpienia od nowo i po-nowoczesności poetyckiego produktu **ekstazy w celu perswazji**: całe szczęście. Oddała nastrój urzeczenia, ukojenia. Czy to bólem, czy śmiercią, czy to strachem, czy odwzajemnioną namiętnością. Bo wiersze, to zresztą uwaga ogólna, nie są tylko dającymi się kwalifikować rozwiązaniami na poziomie tekstu; są przede wszystkim doświadczeniami i problemami mającymi wewnętrzny sens: właśnie on spowodował to, że autor tworzy swoje „coś", tworzy właśnie tak, a nie inaczej. Razem stanowią one całość i są stwierdzeniami prawdziwymi – Juszczak nie dzieli zresztą uczuć ani stanów na złe bądź dobre. Ani losów na złe bądź dobre. Ponieważ chodzi o ich unikalność, o ich uwolnienie z grupowości, jaka kusi, aby zewnętrznie podobnym losom różnych ludzi przypisywać jakąś jedną przyczynę, jak wojna albo choćby „tylko bezkrwawa" zmiana paradygmatu kulturowo-cywilizacyjnego. Tym sposobem unieważnia się życie rzeczywistej psychiki, zastępuje się je z pozoru tylko racjonalnym *konsensusem*. Juszczak mogłaby rzec, że jej brytan (epoka) to raczej sam w sobie czas, czwarty wymiar. Wyraziła to z przejmującą intuicją w dystychach *Radości*:

> Obudziłam się dzisiaj w środku życia i losu,
> Nie było za późno ani też za wcześnie.
>
> Dzwon nieba wysoki, rozległy, szeroki.
> Kołysały się łódki słoneczne na rzece.
>
> Piesek biegał aleją ciemny i nieznany
> (…)
> Dni ruszyły jak kra na pociętej toni.

Ciemny, nieznany piesek – Juszczak zderzyła zdrobnienie z powiewem tej drugiej, ciemnej strony rzeczywistości, gdzie faktycznie imaginacja egejska dostrzegła psa. Cerbera. Pasterze dolin przywołują takie psy: *Przeżyjemy życie od deski do deski.*

***Urszula M. Benka***

Elżbieta Juszczak, *Pasterze dolin*, Wydawnictwo Polimer, Koszalin 2022

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Mateusz Wabik

# TRZY POETKI Z PÓŁNOCY

## ZAANGAŻOWANA PRYWATNOŚĆ

## BOŻENA PTAK – „LĘKI NIEOSWOJONE")

Bożena Ptak urodziła się w Gdańsku w 1952 roku. Zadebiutowała tomikiem wierszy pt. „Zabawa woskiem", który ukazał się w 1979 roku nakładem warszawskiej Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Wcześniej swoje wiersze publikowała w prasie m.in. w „Dzienniku Bałtyckim", „Litterariach", „Nowym Wyrazie". Jednak w jej przypadku trzeba wspomnieć o jednym wierszu popełnionym w młodości. W czasie dramatycznych wydarzeń w grudniu 1970 będąc uczennicą II Liceum Ogólnokształcącego w Sopocie, Ptak napisała wzorowany na XIX-wiecznej pieśni rymowany wiersz ze słowami: „Gdy naród do boju wyruszył bez broni/partyjni w obronie radzili", który był anonimowo kolportowany w podziemiu jako „Pieśń strajkujących stoczniowców Trójmiasta – Grudzień 1970 r.". Także włączano ten wiersz później bez podania imienia i nazwiska autorki, do różnych historycznych publikacji o latach komunizmu w Polsce, np. został przedrukowany w książce Zbigniewa Branacha pt. „Grudniowe wdowy czekają" w 1990 roku w nieco zmodyfikowanej wersji. Bożena Ptak była członkiem Zarządu Regionu Gdańskiego „Solidarności" i pracowała w Biurze Informacji Prasowej „Solidarności", m.in. w czasie dwóch tur I Zjazdu „Solidarności" w 1981 roku. W latach 1976-1979 związana była ze studencką Grupą Sytuacyjną Poetów i Artystów „Wspólność", która sprzeciwiała się doktrynerstwu literackiemu, skostnieniu życia literackiego, mass mediom, a opowiadała się za koncepcją sztuki jako tajemnicy, także za świadomym wyborem drogi życiowej i indywidualizmem nie sprowadzającym się jedynie do życia społecznego jak można było przeczytać w leksykonie „Grupy literackie w Polsce 1945-1989" Ewy Głębickiej. Założenia „Wspólności" były sprzeczne z postawą społeczną poetów „Nowej Fali". Poezja grupy „Wspólność" często była zaliczana do pokolenia „Nowej Prywatności", złożonej z autorów urodzonych we wczesnych latach 50-tych, młodszych od uczestników nowofalowego ruchu. Karol Maliszewski w swoich szkicach o poezji współczesnej z książki „Zwierzę na J.", która ukazała się w 2001 pokazał podobieństwo niektórych pomiędzy założeniami poetów „Nowej Prywatności" i tzw. roczników 60-tych – wiązało się to z przywiązaniem do sfery prywatnej i indywidualistycznej. Jednak wiersze poetów związanych z „brulionem" według mnie wiele zawdzięczały także poetom „Nowej Fali", np. sprozaizowany zapis, dosadność sformułowań, większe skupienie się na działaniu wiersza niż poetyckiej autonomii.

Zanim ukazał się ósmy tomik wierszy Bożeny Ptak pt. „Lęki nieoswojone" w 2021 nakładem krakowskiego oddziału SPP, wcześniej ukazywały się m.in. takie jej książki jak „Dyktatura lustra" w 1982, wybór wierszy, którego dokonał Krzysztof Karasek pt. „Scena zbiorowa i inne wiersze" w 1991 roku, czy „Resocjalizacja znaczeń" w 2010.

W „Lękach nieoswojonych" znalazło się trzydzieści dziewięć wierszy. Przeważnie ich zapis obywał się bez znaków przestankowych co odziedziczyła poetka po doświadczeniach awangardowych. W wielu wierszach duża litera znajdowała się tylko w pierwszym słowie rozpoczynającym wiersz. Zapis wierszy Ptak z „Lęków nieoswojonych" to w wielu wypadkach lekko zmodyfikowany przez np. mniejszą ilość słów w niektórych wersach, słupkowy zapis różewiczowski. Wiersz „Sen dyktatora" nie należał do tego typu poetyki, mimo, że ilość sylab nie zgadzała się w każdym wersie odwoływał się do klasycznego zapisu sylabicznego wiersza. W wierszu pojawiły się w wygłosie wersów rymy dokładne.

Jeśli chodziło o tematykę wierszy Ptak w „Lękach nieoswojonych" to nie wiązała się ona z wieloma założeniami grupy „Wspólność", gdyż nie pojawiała się w niej tylko sfera prywatna. W jej tomiku można było znaleźć kilka wierszy autotematycznych dotyczących życia literackiego i pisania wierszy. Także poetka poświęciła sporo wierszy różnym fazom życia – dzieciństwu, dorosłości i starości. Poetka w wierszach także przywoływała oboje rodziców. Niektóre jej utwory dotyczyły spraw codziennych. Ale także sporo poświęciła miejsca w tomiku na tematy polityczne związane z wydarzeniami na Ukrainie w 2013 i 2014 roku, dyktaturze na Białorusi, czy związane z przemianami polityczno-społecznymi w Polsce po 1989 roku. Także znalazłem w „Lękach nieoswojonych" wiersze na abstrakcyjne tematy np. dotyczące pojęcia „idealizmu".

Do wierszy dotyczących pisania poezji i współczesnego życia literackiego należały m.in. „Do pana redaktora" i „*** Poeci nadal schodzą się w kawiarniach…". W pierwszym z nich podmiot liryczny, będący alter ego poetki polemizował z redaktorem zamawiającym u niej wiersze. Nieco przekornie poetka dawała do zrozumienia, że według niej poezja nie była tylko tworzeniem w słowach, ale wiązały się z jej stanami uczuciowo-emocjonalnymi:

„moje wiersze
panie redaktorze
obywają się bez kartki papieru
szuflady
wyją do księżyca nocą
jak demony
przewracają się z boku na bok
zasmarkane zaryczane"

*(„Do pana redaktora")*

Ze zwykłej sytuacji znanej wielu poetom zrobiła coś przewrotnego, jakby chcąc ukazać, że sformalizowana relacja poety i redaktora nie była na miejscu. Według niej zamawianie wierszy do pisma, przeczyło spontanicznej naturze poezji. W jej rozumieniu poezja dużo miała wspólnego z demonicznymi siłami zła, albo złym samopoczuciem. Pisanie wierszy na zamówienie, kiedy nie czuła się źle, albo zły daimonion nie podszeptywał jej tekstów wydawało się zajęciem bezcelowym, albo wypaczonym. Sprzeciwiała się mechanicznym wierszom pisanym bez powodu.

W wierszu „*** Poeci nadal…" Ptak pisała o poetach w kawiarni. Drwiła nieco z twórców, którzy tylko we własnym gronie stawali się ważni, kiedy sylabizowali „peany/od kielicha do kielicha" na temat własnej twórczości. Wydaje mi się, że Ptak nie drwiła jak Gombrowicz z samego zwyczaju schadzek twórców w kawiarni, ale z powstawania towarzystw wzajemnej adoracji twórców, których wiersze nic nie znaczyły poza ich gronem. Na pewno każdy poeta znał z doświadczenia takie sytuacje i na pewno wiersz nie był bezpodstawny.

W wierszach dotyczących sytuacji politycznej na wschodzie Europy, czyli w Ukrainie i Białorusi – do tej grupy należały cykl „Ukraińskie refleksje" i wiersze „Chwila milczenia", „I na co światu Białoruś", „Sen dyktatora", „*** Dzisiaj jestem białoruską matką", Ptak ukazywała zapomniany przez Polaków i Europejczyków strach przed totalitaryzmem i dyktaturą.

W pierwszej części „Ukraińskich refleksji" Ptak ukazywała, że wydarzenia na kijowskim Majdanie dla wielu Europejczyków były jedynie alternatywą w wyborze kanałów telewizyjnych, z którymi konkurowały sporty olimpijskie i te były częściej wybierane. Jednak trzeba zauważyć, że kraje zachodniej Europy zawsze przystępowały z ociąganiem się do wojny, czy do pomocy, tylko kiedy były do tego zmuszone. Gdyby człowiek przejmował się każdą wojną na świecie, długo by nie wytrzymał. Dla Polaków ataki terrorystyczne w Londynie i Paryżu – przynajmniej dla mnie – także były tylko zdarzeniami znanymi z mediów, które wydarzały się w jakichś odległych od Polski miejscach. I też wolałbym zmienić kanał na sport, gdybym miał się zatruwać indoktrynacją medialną, która te wydarzenia relacjonowała jednostronnie bez ukazania kontekstu historycznego.

Podobnie w czwartej części „Ukraińskich refleksji" Ptak zestawiła błogi nastrój ferii wśród narciarzy wybierających się w Alpy z obrazami zabitych i okaleczonych na Ukrainie. W tym wierszu jednak mocniej zabrzmiało zachodnioeuropejskie przymykanie oczu na wydarzenia na Majdanie i ograniczanie się jedynie przez mieszkańców Europy Zachodniej do symbolicznych gestów solidarności, poparcia walczących, złożenia kwiatów:

„europa załkała
złożyła kwiaty
pomodliła się za spokój
udręczonej duszy
spisała apele deklaracje protesty
i wróciła do faktur
zimnych kalkulacji"

*(„Ukraińskie refleksje 4")*

Kraje zachodniej Europy przyzwyczajone od lat do kapitalizmu, zrzucania odpowiedzialności za porządek światowy na USA i Wielką Brytanię, wychowane na koncepcjach o końcu historii, powszechnym zwycięstwie liberalizmu, z trudem chciały się z zaangażować w sprawy Ukraińców. Jednak dla wielu ludzi z Zachodu Ukraina i Rosja to byłe kraje ZSRR. Na Zachodzie oprócz historyków nikt nie znał historii Ukrainy i trudno się było dziwić polityce uników. Czy ktoś z Polaków chciałby umierać za Basków i Katalończyków, gdyby wybuchły jakieś separacyjne tendencje w Hiszpanii na

większą skalę? Nie sądzę.

Tym bardziej dziwił ton Ptak, gdyż przypominał lamenty historyków i redaktorów czasopism powojennych w Polsce dotyczące braku interwencji sojuszników Wielkiej Brytanii i Francji w Polsce po ataku na Polskę hitlerowskich Niemiec. Przez lata historycy i redaktorzy gazet urabiali w Polakach przeświadczenie, że politycy z Zachodu nas oszukali, opuścili dbając przede wszystkim o bezpieczeństwo własnych krajów. Też tak myślałem dopóki nie przeczytałem pracy „Blitzkrieg Hitlera" napisanej przez Edwarda Kospatha-Pawłowskiego, Piotra Matusaka i Tadeusza Rawskiego (wydanie z 2015 roku). Otóż współcześni historycy, jak dobrze zapamiętałem, ukazywali interwencję Francji i Wielkiej Brytanii za nie możliwą do wykonania. Francja została pokonana szybciej niż się spodziewała, gdyż strategia dowódców wojsk francuskich okazała się błędna, a okazało się, że dysponowali sprzętem o bardzo niskiej wartości bojowej. Wielka Brytana dopiero musiała stworzyć dywizje piechoty, rozwinąć lotnictwo. Sam udział marynarki Wielkiej Brytanii na nic by się zdał. Wspomniani historycy dali do zrozumienia, że interwencja naszych sojuszników w 1939 nie spowodowałaby zmiany losu Polski. Dziwna wojna i polityka uników pozwoliły rozwinąć brytyjską armie. Tak też wydało mi się po lekturze ukraińskiego cyklu, że po pierwsze wyciągano wnioski na podstawie powierzchownych zdarzeń, po drugie ton był przesadzony, po trzecie wojna totalna NATO z krajami komunistycznymi na pewno w momencie pisania wiersza nie była po myśli Zachodu.

Ciekawszy niż wiersze o Ukrainie okazał się wiersz dotyczący Białorusi „Sen dyktatora", gdyż ukazano w nim kompletne odizolowanie Łukaszenki od spraw narodu:

„W uszy zatyczki jeszcze tylko panu włożę,
by nie dochodził tu uliczny wrzask."

*(„Sen dyktatora")*

Ta izolacja dyktatora od spraw narodu została podkreślona komicznym obrazem włożenia zatyczek do jego uszu. Ba także można się doszukać w tym fragmencie groteski, gdyż wielki i silny dyktator nagle wkłada zatyczki do uszu, nie mogąc zapanować nad władanym przez siebie krajem. W następnych zwrotkach uspokajano despotę by mógł dobrze spać pigułkami, wiadomościami, że to tylko młodzi rozrabiają, a ta zbierająca się gromada na ulicach „to tylko baby, nic takiego". W końcu życzono mu takiego snu, by się nie obudził i dał „spokój wymęczonej Białorusi".

„I na co światu Białoruś" przypominał nieco „Ukraińskie refleksje", gdyż ukazywano w nim, że państwa Zachodu nie były zainteresowane wspieraniem opozycji na Białorusi. A w ciekawszym wierszu „*** Dzisiaj jestem białoruską matką…" dedykowanym Kaciarynie Andriejewej i Darii Czulcowej, w którym wykorzystano lirykę maski ukazano codzienność na Białorusi w 2020 roku. W wierszu matka obserwująca wybierającą się do pracy córkę nie zapomniała dać jej do torby:

„trochę chleba
kawałek kiełbasy
coś do picia i coś na osłodę"

*(„*** Dzisiaj jestem białoruską…")*

Jedzenie i picie, które matka dała córce do torby nie było drugim śniadaniem, tylko prowiantem na wypadek jej uwięzienia. Poetka ukazywała, że na Białorusi jak w każdej komunistycznej dyktaturze wszyscy byli podejrzani i każdy mógł zostać wepchnięty do więzienia pod byle pretekstem. Artykuły jakie

Bożena Ptak

pojawiały się na łamach polskiej prasy np. w „Akancie" o wspaniałym Łukaszence i dyktatorze z ludzką twarzą, o białoruskim cudzie socjalistycznym przypominającym PRL, gdzie wszyscy mieli pracę okazały się fikcją.

W wierszach o dzieciństwie „Strach genetyczny", „Wyrzuć mnie rzeko" i „Pierwsza młodość", poetka ukazywała, że jej ojciec był ostoją i stwarzał poczucie bezpieczeństwa, np. kiedy na ulicy słychać było strzały. Tęskniła za młodością, bliskością matki, widokiem rozbitego taboru cygańskiego nieopodal domu. Także wspominała szkolne zabawy, psoty, wpisywanie się do pamiętnika i przyjaciół z młodości. Dziwiła się, że jej koleżanka wyszła za milicjanta.

W tomiku Ptak znalazły się także wiersze o idealizmie – „Słowa wymazane" i „Idealiści" – jeden był napisany z punktu widzenia osoby wierzącej w idealizm, utyskującej na to, że tego słowa może zabraknąć niedługo w słownikach. W drugim ośmieszano idealistów, którzy płynęli pod prąd i nie rozumieli współczesnego świata zdominowanego przez cwaniaków walczących o równość, ekologię itp. W tym drugim wierszu jednak dokonała zabiegu napisania tekstu ironicznie i á rebours. Pochwałę idealizmu prawdopodobnie zawarła przez negację jego, gdyż nie wyobrażałem sobie by wiersz „Idealiści" był na poważnie i znalazł się w jej książce przez nieuwagę.

Jeśli chodziło o nurty współczesnej poezji w Polsce zauważyłem, że były wielorakie. Jednakże ostatnio po lekturze tekstu Ryszarda Nycza „Zaangażowani i niezrozumiali" i namyśle nad czytanymi ostatnio tomikami i współczesnymi czasopismami doszedłem do wniosku, że najgłośniejsze wydawały się ostatnio w polskiej poezji dwa nurty klasycystyczno-religijny i marksizująco-awangardowy. W pierwszym ukazywano świat przez pryzmat wierzącego, cytującego mądrości Jana Pawła II, albo nawiązującego do „Biblii". W drugim młodsi poeci ukazywali wykluczonych, biedę, bezrobocie, własne zrezygnowanie i trudności w świecie przesiąkniętym mediami i informatyką. Bożena Ptak kontynuowała wątki opozycyjne z PRL-u, albo oddawała się refleksji na temat swojego życia, dzieciństwa, młodości, starości. Nie była związana z oboma nurtami, przez co „Lęki nieoswojone" były ciekawe w lekturze. Nie zawsze do mnie przemawiały jej wiersze, ale pod względem warsztatowym nie znalazłem w jej tomiku jakichś tekstów chybionych. Słowem władała bardzo dobrze i pod względem formalnym jej wierszom nic nie brakowało, co przy dzisiejszym obniżeniu jakości poezji wydało mi się na plus. Szczególnie dobrze radziła sobie w poezji z zabiegami wziętym z prozy, kiedy od opisu sytuacji, przechodziła do stylu języka kogoś kogo ukazywała w poezji. To się chyba w nauce o literaturze nazywało się zmediatyzowaniem. →

# TOPOGRAFIA GDAŃSKA I JEGO MIEJSCE W HISTORII (KRYSTYNA LARS - „ŚWIATŁO W ZATOCE")

Krystyna Chwin (z domu Turkowska) pisząca pod pseudonimem Krystyna Lars urodziła się w 1950 roku w Ełku. Zadebiutowała tomikiem „Ja, Gustaw" w 1981 roku, który ukazał się nakładem gdańskiego Wydawnictwa Morskiego. Jej poezja ukazywała się w czasopismach literackich i kulturalnych m.in. takich jak „*Poezja*", „*Nowy Wyraz*", „*Odra*", „*Twórczość*", „*Tytuł*", czy „*Topos*". *Krystyna Lars była w latach 1988-1990 sekretarzem redakcji pisma „Autograf", w latach 1991-2002 członkiem redakcji „Potopu" oraz w latach 1991-2002 redaktorem naczelnym pisma literacko-artystycznego „Tytuł". W 2000 roku została szefową wydawnictwa „Tytuł". Oprócz wydawanych samodzielnie przez siebie książek poetyckich, wydała wraz z mężem Stefanem Chwinem „Rozmowy Tytułu", książkę* „Miłosz. Gdańsk i okolice. Relacje. Dokumenty. Głosy" oraz zbiór literackich miniatur pt. „Wspólna kąpiel".

Zanim ukazał się nowy tomik poetycki Krystyny Lars pt. „Światło w Zatoce. Wiersze gdańskie" w 2021 wydany przez „Wydawnictwo Tytuł", po wspomnianym debiucie ukazywały się m.in. następujące tomiki wierszy poetki: „Chirurgia mistyczna" w 1981 roku, „Zaprosimy do nieba cały świat" w 2014, czy „Proste wiersze o szczęściu" w 2015.

W „Świetle w Zatoce" znalazło się czterdzieści wierszy, które zostały podzielona na osiem rozdziałów. Części „Otwarcie oczu", „Ulica Długa", „Wody i rozlewiska", „Wiersze znad brzegu Zatoki", „Park i Katedra" wypełniały notatki ze spacerów samotnych lub z wnuczką, dziećmi, czy mężem, opisy gdańskich zabytków, plaż i widoków miasta. Rozdział „Gdańskie miesiące" wypełniała liryka patriotyczna i historyczna związana z ważnymi wydarzeniami w historii Polski. W tym rozdziale znalazły się wiersze dotyczące agresji Niemiec na Polskę i pierwszych jej dni na terenie Wolnego Miasta Gdańska, lat powojennych związanych z walką z partyzantami w okolicach Gdańska. Także w tej części znalazły się wiersze dotyczące wydarzeń grudniowych w 1970 roku, porozumień sierpniowych w 1980 roku zawartych w „Stoczni Gdańskiej im. Lenina", stanu wojennego w 1981 roku. W rozdziałach „Gdańskie zaduszki" i „Pożegnanie przy ujściu Wisły" znalazły się wiersze dotyczące odwiedzin na cmentarzu w czasie Święta Zmarłych i historią Gdańska. Wspominano w nich zamordowanego prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, także Marię Janion, siedemnastowiecznego gdańskiego piwowara i astronoma Jana Heweliusza oraz opisywano obraz „Sąd ostateczny" Hansa Memlinga, który znajdował się w Muzeum Narodowym w Gdańsku.

Lars unikała w „Świetle w Zatoce" znaków przestankowych oprócz pauz, choć nie zapominała o dużych literach. Poezja sytuacyjno-opisowa z tomiku Lars odznaczała się kunsztownością, dbałością o wyraz. Można z tego wysnuć wniosek, że korzystała zarówno z tradycji awangardowej, ale i klasycystycznej. Poetka często w tych wierszach wykorzystywała w opisach pejzażu miejskiego, czy przemieszczania się rozbudowane i nietuzinkowe porównania jak np.:

„widzimy nasz betonowy dom
na ulicy Amundsena
mały jak
pudełko zapałek."
(„Podchodzimy do lądowania")

Krystyna Lars

czy,

„Tramwaj nas niesie na
wzgórza Moreny
jak łódź, która umie płynąć
pod prąd"

***(„Dworzec w Gdańsku")***

W pierwszych pięciu rozdziałach tomiku Lars można było podziwiać wraz z autorką panoramę Gdańska z samolotu („Podchodzimy do lądowania"), z przystanku tramwajowego zabytkowy budynek dworca w Gdańsku z wieżą zegarową („Dworzec w Gdańsku"). Z wieży Pachołek w Gdańsku Oliwie podziwiać można było Stary Rynek, który „zaginał się łukiem/wśród dachów/ secesyjnych kamienic", ulicę Grottgera z domem profesora anatomii Hanemanna, o którego dziejach pisał Stefan Chwin w „Hanemannie" („Wieża widokowa na Pachołku"). Lars opisywała także Kościół Mariacki („Kościół Mariacki"), zabytkową Fontannę Neptuna („Długi Targ") i wiele innych miejsc związanych z Gdańskiem, jak plażę w Jelitkowie, którą odwiedzała niegdyś z dziećmi, a potem z wnukami („Plaża w Jelitkowie. Seebad" i „Wieczór w Jelitkowie").

Najistotniejszym rozdziałem w książce Lars wydawała się jednak według mnie część „Gdańskie miesiące", gdyż dla kogoś kto nigdy nie był w Gdańsku, a tylko w Gdyni i Władysławowie, opis przechadzek po nim - mimo zawartego w nim kunsztu - nie był zbyt inspirujący, choć czuć było w tych rozdziałach zachwyt poetki. Nie mając planu Gdańska, ani żadnego przewodnika, siedziałem w internecie i sprawdzałem nazwy miejsc i czytałem o nich nieco. Na pewno było to miasto warte zwiedzania.

W wierszach „Polacy bronią się na poczcie" i w „1 września. Victora Schule" poetka ukazywała pierwszy dzień II wojny światowej na terenie Wolnego Miasta Gdańsk zamieszkałego przez Niemców i Polaków. Z historii wiadomo, że już pierwszego dnia wojny Wolne Miasto Gdańsk zostało opanowane przez miejscowe bojówki hitlerowskie. Wysoki komisarz Ligi Narodów musiał opuścić miasto. Załoga Poczty Pol-

skiej broniła się w swym gmachu pierwszego września do wieczora i Niemcy musieli użyć przeciw niej artylerii i wozów pancernych. Siedem dni bronili się żołnierze w polskiej placówce na Westerplatte przed atakiem pancernika „Schleswig-Holstein" zaopatrzonego w kilkanaście dział. Zbombardowano dwa największe polskie okręty wojenne – stawiacz min „Gryf" i niszczyciel „Wicher". Trzy polskie niszczyciele nie mogąc podjąć równorzędnej walki z lotnictwem niemieckim schroniły się na Oceanie Atlantyckim. Tuż przed rozpoczęciem agresji na Polskę, Adolf Hitler depeszował do prezydenta Francji Deladiera z wiadomością, że Niemcy muszą odzyskać Gdańsk i zbudować korytarz do Prus Wschodnich. Już 19 września w gdańskim Dworze Artusa niemiecki przywódca wygłosił zwycięskie przemówienie i odgrażał się Wielkiej Brytanii, która wraz z Francją wypowiedziały Niemcom wojnę.

Krystyna Lars, która na pewno dobrze znała historię swojego miasta, nie mogła poprzestać tylko na znanych fragmentach polskiej historii. W pierwszym wierszu pt. „Polacy bronią się na Poczcie" ukazała niemieckie zakłamanie. Kiedy sześcioletni Kurt Kaufmann obserwował atak samochodu pancernego na pocztę, matka kazała mu się odsunąć od okna i Lars do wiersza wprowadziła fragment dialogu matki z dzieckiem:

„- Odsuń się od okna – powtarza Hildegarde –
Polskie świnie strzelają
Mogą nas zabić

- Tatuś – Kurt patrzy na matkę – powiedział wczoraj
Że oni chcą nam odebrać Danzig"

*(„Polacy bronią się na Poczcie")*

Wiadomo, że dziecku nikt nie tłumaczył zawiłości wojny, polityki, ale przez słowa Hildegarde Kaufmann i wspomnianych słów jej męża przebijało bezdyskusyjne przekonanie o niemieckich racjach. Kłamstwa zaczerpnięte zapewne z niemieckiej propagandy o tym, że Polacy chcieli odebrać Niemcom Gdańsk, przypominały współczesne przemówienia Władimira Putina, który nakazał rosyjskim wojskom wkroczyć na Ukrainę w lutym 2022, z podobnym tłumaczeniem, obrony Rosji przed agresją Ukrainy. Jak tłumaczył prof. Eugeniusz Cezary Król w wywiadzie z redakcją „Newsweeka. Historia" w 2021 roku od propagandy w mediach „w państwie Führera nikt nie był (…) wolny" i „odwoływała się ona do zmysłów i emocji, nigdy zaś do rozumu". Spokój Niemców w kamienicy w wierszu Lars zestawiono z krzykiem poparzonych polskich listonoszy i obrazem płonącego polskiego dziecka. Ludzi, którzy jeszcze kilka dni temu mogli liczyć na siebie w razie kłopotów, którzy się znali, nagle rozłączyło piekło wojny. Jednak propaganda spowodowała wśród Niemców znieczulenie, niemiecka matka mogła uratować dziecko, ale nie była w stanie racjonalnie myśleć. To dziecko wg Niemców z wiersza Lars było wrogim dzieckiem, nie należało do wybranej rasy panów i nie mogło ocaleć.

W wierszu „1 września. Victoria Schule" poetka ukazała nasilenie ksenofobicznych odczuć Niemców wobec Polaków, które nasiliły się wraz z agresją Niemiec na Polskę. Niemcy, nie tylko hitlerowscy bojówkarze, zaczęli maltretować Polaków, wyzywać, bić na śmierć pałkami, wywozić do obozów koncentracyjnych ciężarówkami. Chyba Gdańsk był pierwszym z miast, w którym mieszkali Polacy, gdzie mordowano Polaków z powodu nienawiści na tle narodowym. W wierszu ukazano także agresywne zachowania wobec ludności żydowskiej Gdańska.

W kolejnym wierszu pt. „Bohaterowie walki o Polskę idą przez lasy pod Gdańskiem" z rozdziału „Gdańskie miesiące" ukazała już nową, komunistyczną rzeczywistość w powojennej Polsce i okolicach Gdańska. Mimo, że pierwszy powojenny przywódca Polski, Bolesław Bierut obiecał partyzantom z AK i innym, że przeżyją kiedy się poddadzą, a byli torturowani i mordowani. W wierszu poetka ukazała Polaków omamionych tak jak Niemcy w latach panowania Hitlera przez ideologie nienawiści – antysowiecką i antyaliancką:

„Zabij komunistę,
płatnego pachołka Rosji –
mówi żołnierz wyklęty do żołnierza wyklętego

Zabij bandytę z lasu,
płatnego pachołka Anglii i Ameryki –
mówi komunista do komunisty"

*(„Bohaterowie walki o Polskę idą przez lasy pod Gdańskiem")*

W późniejszych wersach poetka kpiła z tego, że przez tą nienawiść wzajemną, jedni mordercy albo drudzy w zależności od zmieniającej się władzy trafiali do podręczników historii jako bohaterowie lub budowano im pomniki. Nie zrozumiałem tego jak Lars mogła zrównywać w jednym wierszu morderców z totalitarnego reżimu z bohaterami z AK! Zabijanie komunistów przez partyzantów wiązało się z walką z sowieckim najeźdźcą i ich polskimi współpracownikami, było powinnością żołnierza walczącego z agresją innego państwa i jego kolaborantami. Importowany z ZSRR aparat bezpieczeństwa nie pozostawiał partyzantom żadnych złudzeń po czyjej stronie mieli się opowiadać. Także nazywanie partyzantów „żołnierzami wyklętymi" było niestosowne, gdyż podlegali oni jedynej legalnej ówczesnej polskiej władzy na uchodźctwie, a nie tej pochodzącej z wrogiego ZSRR. To słowo „wyklęci", które rozpropagowało w XXI wieku PiS, miało ukazywać partyzantów na wzór „poetów wyklętych", że byli wykolejeni i aspołeczni. Dzisiaj PiS wspierało Ukrainę i bardzo dobrze, ale w Krakowie byli i tacy co uciekli przed Zełenskim np. handlarz pamiątek po ZSRR. Być może Lars w opisywanym wierszu odeszła od zapisku autorskiego, na rzecz liryki maski i po prostu dała przemówić jakiemuś podmiotowi lirycznemu kpiarsko nastawionemu do historii Polski. Zważywszy na jej wiersze dotyczące wydarzeń 1970 roku i z lat Solidarności było to możliwe.

Wspomnienie wydarzeń grudniowych z 1970 roku znalazło się wierszu „Brama Stoczni Gdańskiej. Pierwsi zabici". Mimo, że ówczesny pierwszy sekretarz PZPR Władysław Gomułka zalecił aby do strajkujących robotników „strzelano nie ogniem bezpośrednim, ale odbitym od ziemi" jak wspominał Edward Gierek w rozmowie Januszem Rolickim w książce „Edward Gierek: Przerwana dekada" zginęło podczas protestów w Elblągu, Gdańsku, Gdyni i Szczecinie 41 osób. Lars opisała wydarzenia w Gdańsku i wyjście ludzi przez bramę ze stoczni, w kierunku czołgu i żołnierzy, którzy stali pod tą bramą. Także i w jej wierszu pojawiła się informacja o tym, że oficer wydał rozkaz „Strzelać pod nogi!". Mimo rozkazów wtedy zginęło w Gdańsku dwie osoby. Znowu jak w wierszach o Wolnym Mieście Gdańsku podczas agresji Niemiec na Polskę, Lars ukazała niepokój robotników i dramatyczne wydarzenia, ale także spokój tych, którzy byli przedstawicielami totalitarnej władzy, dysponowali uzbrojeniem, czyli żołnierzy z PRL-u:

„Na asfalcie leżą dwa ciała

Żołnierze przeładowują broń
Potem coś mówią
Jeden wyciąga z kieszeni
paczkę papierosów
Częstuje kolegów"

*(„Brama Stoczni Gdańskiej. Pierwsi zabici")*

Po oddaniu strzałów, strajkujący tłum wrócił za bramę stoczni, a żołnierze w służbie Polski Ludowej spokojnie palili papierosy, co przypominało obrazy z obozu koncentracyjnego w Auschwitz znane z prozy Tadeusza Borowskiego. W opowiadaniu „Ludzie, którzy szli" zestawił mecz piłkarski pomiędzy więźniami z gazowanymi w tym czasie w krematorium innymi więźniami: „Między jednym, a drugim kornerem za moimi plecami zagazowano trzy tysiące ludzi". Jednakże spokój i znieczulica więźniów obozu wynikała z chęci przeżycia obozowego piekła, a w wierszu Lars spokój żołnierzy, nie wynikał z tego, że musieli przeżyć. Polska Ludowa także jak Niemcy za Hitlera stosowała propagandę. Żołnierze byli przekonani o swoich racjach jak Niemcy podczas drugiej wojny światowej. Mimo, że rozmiary mordów były różne, to także grudniowe ofiary nie stawiały władz PRL-u w pozytywnym świetle, a Władysław Gomułka, niegdysiejszy, polski bohater więziony za Bieruta musiał ustąpić. Ten spokój żołnierzy częstujących się papierosami przypominał także obrazy z reportażu białorusko-ukraińskiej pisarki Swietłany Aleksijewicz pt. „Wojna nie ma sobie nic z kobiety". W czasie agresji Niemiec na ZSRR w 1941 roku, naziści po wykonaniu zadania, czyli spalenia wioski i zamordowaniu jej mieszkańców oddawali się beztroskim rozmowom przy alkoholu. Te trzy teksty Lars, Borowskiego i Aleksijewicz ukazywały, że władza totalitarna zniekształcała odniesienie się człowieka do aktu, bezprawnego mordu przez znieczulenie. Także bycie po stronie totalitaryzmu jak w wierszu Lars i w reportażu Aleksijewicz dawało poczucie wszechmocy, strzelanie do ludzi było strzelaniem do zdehumanizowanych, wrogich kukieł, czy marionetek. Zarówno protestujący robotnicy i rolnicy radzieccy nie byli zagrożeniem ani dla wojska ludowego, ani nazistowskiego. Z tego wynikało, że jedno ze zniekształceń systemu totalitarnego było takie, że pozwalało cieszyć się z odniesieniem zwycięstwa nad słabszymi i bezbronnymi.

Gdyby wiersz „Brama Stoczni Gdańskiej. Pierwsi zabici" Lars zestawić z filmem Paula Greengrassa pt. „Krwawa niedziela" z 2002 roku, to można było jednak wyciągnąć inne wnioski niż kiedy zestawiało się go z tekstami dotyczącymi totalitaryzmu. Każda władza kiedy nie radziła sobie ze strajkami i protestującymi zawsze sięgała po broń. Było tak za Józefa Piłsudskiego w Polsce, ale także za Elżbiety II w Wielkiej Brytanii jak w tym filmie, kiedy do maszerujących w pokojowym marszu Irlandczyków w Londonderry 30 stycznia 1972 roku w Irlandii Północnej brytyjscy żołnierze z 1 regimentu Spadochroniarzy zaczęli strzelać, gdyż podejrzewano maszerujących o terroryzm i chęć oderwania Irlandii Północnej od Wielkiej Brytanii. Zginęło wtedy 13 osób. W kraju obrońców demokracji i kapitalizmu nie wyciągnięto żadnych konsekwencji wobec strzelających, ba dostali medale od królowej, będącej →

także głową kościoła anglikańskiego. Ustrój Wielkiej Brytanii i jej mentalność trudniej byłoby zmienić Irlandczykom, niż Polakom totalitaryzm. Nic dziwnego, że szkocki socjolog Steve Bruce w swojej książce „Fundamentalizm" za powstanie terroryzmu na świecie obwiniał politykę Wielkiej Brytanii na przestrzeni dziejów (np. wobec Turcji i Iranu). Jednakże Wielka Brytania nie była krajem totalitarnym i panowała w niej wolność słowa i dlatego szkocki badacz nie został rozstrzelany. Także warto pamiętać, że opozycyjne niegdyś wobec PZPR-u siły polityczne, po objęciu władzy – kiedy Lech Wałęsa był prezydentem, a Tadeusz Mazowiecki premierem już w 1992 przeciwko protestującym rolnikom blokującym drogi wysłały policję. Na szczęście wówczas nie było ofiar. Tak też używanie siły wojskowej i policyjnej przeciwko protestującym odbywało się często i w krajach totalitarnych i demokratycznych.

Wiersz „Wspomnienie sierpnia" nawiązywał do wydarzeń w Gdańsku, w 1980-ym roku, kiedy ówczesne władze PRL-u osiągnęły porozumienie z komitetem strajkowym w Stoczni Gdańskiej. Lars wspominała w wierszu tłumy ludzi pod stocznią, symbole religijne używane przez robotników, przywoływała hasła z tamtych lat i ukazywała jakim szacunkiem Lech Wałęsa wówczas cieszył się wśród Polaków. Opisała w wierszu Wałęsę będącego symbolem przemian w Polsce. Zapamiętała jego charakterystyczne odważne gesty i wypowiedzi odnoszące się do poczucia solidarności międzyludzkiej:

„Nie dadzą nam rady!
Zwyciężymy!".

*(„Wspomnienie sierpniowe")*

Także w wierszu „Lech Wałęsa na bramie", poetka chciała ocalić od zapomnienia wspomnienie człowieka, którego potem oskarżono i o współpracę z SB i storpedowanie reformatorskiego rządu Olszewskiego. Była bezkrytyczna wobec niego, może dlatego, że sądziła, że nigdy nie było idealnych przywódców. I akurat te sceny kiedy szły za nim tłumy chciała zapisać w wierszu.

W swoich wierszach Lars wspominała także kordony ZOMO otaczające Pomnik Poległych Stoczniowców w Gdańsku podczas drugiego dnia stanu wojennego („14 grudnia 1981. Tłumy w środku Gdańska") a w wierszu pt. „Śmierć prezydenta" także bezsensowny mord dokonany 14-ego stycznia 2019 na prezydencie Gdańska Pawle Adamowiczu, będący wynikiem bezpardonowej walki politycznej W XXI pomiędzy partiami wywodzącymi się z opozycji PRL-u, dokonany przez byłego więźnia.

W tomiku „Światło w Zatoce. Wiersze gdańskie" ukazano i wspaniałość gdańskiej, zabytkowej architektury i związek miasta z historią własną z lat miasta-państwa, Niemiec, ale też Polski. Jej wiersze często nie narzucały czytelnikowi jednego rozumienia historii, poprzez zestawienie różnych obrazów kazały czytelnikowi samemu się zastanowić nad nią i wyciągnąć wnioski, co było chyba największą zaletą jej poezji. W ostatnich latach kiedy media nie zostawiały suchej nitki na dawnym liderze „Solidarności", Lechu Wałęsie ona ukazywała go z lat największej chwały, ukazywała Gdańsk jako miejsce walki Niemców z Polakami, partyzantów z totalitarnym reżimem, Gdańszczan w służbie milicji, zmieniające wykładnie dziejów Polski na przestrzeni jednego życia Polaka. Pokazała, że dzieje Gdańska nierozerwanie były związane z Polską, a w XX wieku to miasto było jakby synekdochą „pars pro toto" całej Polski. Same dzieje Gdańska, ukazywały dzieje Polski w zeszłym stuleciu.

## PRZEKOMARZANIE SIĘ ZE ŚWIATEM – (ANNA CZEKANOWICZ – „SZELEST SUKIENKI…")

Anna Czekanowicz przyszła na świat w 1952 roku w Sopocie. Zadebiutowała tomikiem wierszy „Ktoś kogo nie ma" w 1976, który ukazał się nakładem wydawnictwa związanego z Państwową Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Jej wiersze ukazywały się na łamach takich czasopism i gazet jak mi.in.: „Litteraria", „Delta", „Gazeta Bałtycka", „Gazeta Wyborcza", „Migotania. Przejaśnienia" Podobnie jak Bożena Ptak związana była ze studencką Grupą Sytuacyjną Poetów i Artystów „Wspólność". W latach studiów brała udział w seminariach prof. Marii Janion, co doprowadziło do tego, że jej tekst pt. „Literatura – stręczycielka snu" znalazł się w tomie pt. „Odmieńcy" z serii „Transgresje". W 1990 spędziła kilka miesięcy w USA na stypendium International Writing Program Uniwersytetu w Iowa. W latach 2001-2005 była prezesem Gdańskiego Oddziału SPP, była także zastępca dyrektora w Operze Bałtyckiej w latach 2005-2007.

Zanim w 2021 roku ukazał się wybór wierszy Anny Czekanowicz pt. „Szelest sukienki… Listy do przyjaciół" nakładem wydawnictwa Słowo/obraz terytoria z posłowiem Stanisława Rośka, w latach po debiucie książkowym wydała m.in. takie tomiki jak „Więzienie jest tylko we mnie" w 1978 roku nakładem Wydawnictwa Morskiego, wspólnie ze Zbigniewem Joachimiakiem i posłowiem Marii Janion „Pełni róż obłędu" w 1983 roku także nakładem Wydawnictwa Morskiego, czy „Śmierć w powietrzu. 21 wierszy podróżnych" w 1991 roku nakładem Oficyny Wydawniczej Graf.

Stanisław Rosiek w „Po-słowiu po latach" określił wybór wierszy Anny Czekanowicz „poetyckim dziennikiem". Poetka sama wybrała swoje wiersze do antologii przy czym Rosiek doradził jej, żeby dołączyła także kilkanaście wierszy do antologii, których pierwotnie postanowiła nie zamieszczać. Także poprosił ją żeby podpisała każdy wiersz datą jego napisania, albo przynajmniej zbliżoną datą. Pierwotnie tylko niektóre wiersze miały na dole pod tekstem podaną datę powstania. Nie podano w wyborze informacji z jakich książek pochodziły dane wiersze. Mimo, że można było dzięki internetowi i obszernej bibliografii poetki w nim zamieszczonej przypisać do książek każdy wiersz, postanowiłem tego nie robić, gdyż w intencji Rośka było chyba to, żeby wybór wierszy Czekanowicz potraktować jako osobną książkę – „poetycki dziennik", mimo, że powstał z wierszy już wydrukowanych gdzieś indziej.

Po lekturze „Szelestu sukienki…" doszedłem do wniosku, że bardziej niż Bożena Ptak, Czekanowicz była przywiązana do dawnych, wypracowanych przez nią w Grupie Wspólność poetyk i podejmowanej tematyki poetyckiej, gdyż w wyborze wierszy z różnych lat nie było słychać w wierszach Czekanowicz jakichś zmian stylu. Zajmowała się estetyką, podziwiała artystów, nie dążyła za modami kreowanymi przez mass media, miała także nasłuch na sprawy prywatne i codzienne, rozmyślała nad istotą kobiecości, zajmowała się także odtrąconymi. Tylko w nielicznych wierszach ukazywała swój stosunek do współczesnej polskiej polityki.

Wiersze Czekanowicz miały proweniencję awangardową, gdyż nie było w nich znaków przestankowych, rzadko pojawiały się w nich duże litery, ale także teatralną, gdyż często były one pisane w trybie monologów jakichś przywołanych postaci z historii i kultury, ktoś do kogoś się zwracał i nie zawsze to była liryka zrozumiała. Można by też te wiersze porównać do listów. Często w jej wierszach słychać było język potoczny, może nie wulgarny, ale bardzo zwykły, pozbawiony ozdobników. Także jej wiersze często były emocjonalne i wyrażały zmącone uczucia… podmiotu lirycznego.

Najciekawsze jej wiersze w antologii dotyczyły różnych wersji kobiecości lub były pisane jako wypowiedzi różnych postaci z historii i literatury. Niektóre wiersze z podróży także należały do tych bardziej udanych. Ciekawie pisała także o śmierci.

Jeśli chodzi o wizje kobiecości w drugiej połowie XX wieku, to Czekanowicz przywoływała motywy czarownicy, kobiety zazdrosnej, spokojnej staruszki, matki Polki, albo wróżki.

W wierszu „czarownica", który zaczynał się od wypowiadania formułek zaklęcia przez podmiot liryczny:

„wysmukła sosno czarny dębie
pieczaro mroczna na trzęsawiskach
zaklinam was"

*(„czarownica")*

Czekanowicz starała się ukazać portret współczesnej czarownicy, czarownicy lat PRL-u. Podobne do czarownic były kobiety pracujące jako gospodynie domowe, matki wśród „niezliczonych garnków" i „czyszczonych parkietów", które usługiwały mężczyźnie nazwanym w wierszu „królembykiem". Byk mógł się kojarzyć z Apisem, jednakże w Egipcie był uważany za boga podziemi i minerałów. Bliżej królowi-bykowi Czekanowicz było do astrologicznego byka, biegającego za komfortem i zmysłowymi przyjemnościami.

Do czarownic także Czekanowicz porównywała te kobiety, „które co roku chcą innego kochanka" i które rywalizują o mężczyzn, spiskują przeciwko sobie, rozpaczają zranione. Jednakże czarownica w swoim monologu była świadoma niechęci tych kobiet wobec prawdziwych czarownic i ukazywała siebie jaką płonącą na „stosie nienawiści" budowanym przez te kobiety.

Dobromiła Agiles w tekście „Czarownice, guślarki, cyruliczki… - ewolucja wizerunku" wydrukowanym w „Czwartym Wymiarze" w maju 2022 pisała, że dla kobiet zarezerwowano magie niską, gdyż w dawnych wiekach nie mogły studiować, a kiedyś nauka i magia szły z sobą w parze. „Kobietom pozostawała wiedza o ziołolecznictwie, proste ludowe zaklęcia i receptury, praktyczne, codzienne czary, często związane z płodnością, przyjmowaniem na świat dzieci lub leczeniem chorób i powszechnych dolegliwości" twierdziła Agiles. Przez rozwój inkwizycji w średniowieczu, czarownice kojarzyły się z byciem na uboczu, gdzieś z dala od cywilizacji. Wtedy też zrównano czarownictwo z kultem diabła, złem, z czym mógł się kojarzyć wiersz Czekanowicz. Jednak kulty starych pogańskich bogów nie zostały wykarczowane do końca w Europie w średniowieczu. Litwa była ostatnim państwem, w którym jeszcze kilka stuleci wstecz otaczano kultem pogańskich bogów.

W „Zazdrosnej kobiecie" Czekanowicz ukazywała jak kobieca zazdrość mogła prowadzić do samobójstwa. Opisała sytuację, kiedy maż kobiety jechał na spotkanie z kochanką, podczas kiedy ona została sama w domu zajmując się sprzątaniem i przyjmując kochanka. W kpiarskim i przewrotnym

tonie znanym choćby z wierszy Andrzeja Bursy, opisała, że właśnie to dręczące kobietę uczucie zazdrości doprowadziło do samobójstwa. W „zaklinaniu" ukazała kobietę, która ślubowała zachowanie dziewictwa. W „Kochanej starszej pani..." Czekanowicz ukazała katoliczkę, będącą na starość pogodzoną z wiarą w chrześcijańskie „powołanie kobiety" bycia matką i opiekunką domu. Taka chrześcijańska staruszka była uczuciowa, niewykształcona, ale także przywiązana do „myśli o pięknym starzeniu się". W „matce polce" zwracała się do opuszczonej przez mężczyznę kobiety, że sama była sobie winna swojego losu, bo nie chciała być wyrozumiałą żoną, przymykającą oko na wybryki ukochanego.

Jeśli chodziło o przywoływane osoby z historii i kultury, które opisywała Czekanowicz w swoich wierszach w trzeciej osobie lub dawała im przemawiać to np. ukazała skazaną na śmierć żonę chińskiego despoty Mao Zedonga – Ciang Cing w wierszach: „lady macbeth XX wieku" i „ułaskawienie", opisywała Blaise Cendrarsa, autora „najpiękniejszego wiersza o miłości" w wierszu zatytułowanym imieniem i nazwiskiem twórcy „Blaise Cendrars". Taki zabieg nazywania wierszy imieniem znanych postaci kultury pojawił się w polskiej poezji wcześniej w twórczości takich twórców jak Leopold Staff i Tadeusz Różewicz.

W wierszu „Maryna Cwietajewa" rosyjska poetka narzekała na rewolucję, która zabrała jej najbliższych, także „zabrała jej resztki urody". Cwietajewa zmarła na emigracji. Czekanowicz poświęcała utwory także Jeanowi P. Sartre'owi, Dylanowi Thomasowi, Marii Komornickiej, która czuła się seksualnym odmieńcem i zaczęła uważać się za mężczyznę, przez co ją określano jako chorą psychicznie. W wierszu Czekanowicz „casus komornicka" poetka twierdziła, że „była źle wykastrowana". W wierszu „wyprzedaż" Czekanowicz przywołała amerykańskich twórców epoki Beat Generation – Allena Ginsberga i Williama S. Burroughsa, podczas licytacji rękopisu Ginsberga. Kpiła z tego, że jego bunt wyceniono na milion dolarów.

W wierszu „Natascha Kampusch śni" Czekanowicz przywołała ofiarę austriackiego psychopaty Wolfganga Přiklopila, który ją porwał w młodym wieku, uwięził i przez osiem lat gwałcił. Przywołana ofiara psychopaty nieco różniła się od innych postaci, których wymieniała w swoich wierszach Czekanowicz, gdyż raczej nie była ona ważna postacią z historii, ani kultury, tylko ofiarą zwyrodnialca. Polska poetka dała przemówić w swoim wierszu Austriaczce:

„budzę się nocą
zlana zimnym potem
widzę tylko ciemność

czy wszystko co złe
stało się już wtedy
gdy urodziła mnie matka"

***(„Natascha Kampusch śni")***

Przerażona i bezradna dziewczynka zastanawiała się w wierszu nad tym dlaczego została uwięziona. Raz dochodziła do wniosku, że może ona była zła i dlatego ją spotkał zły los, a raz, że zło pochodziło od człowieka, który ją uwięził. Wiadomo z psychologii, że czasem dzieci kiedy dochodziło do jakiejś tragedii mogły się obwiniać o to, że one do niej doprowadzały. Po jej ucieczce psychopata popełnił samobójstwo.

W wierszach podróżnych pisanych podczas pobytu w USA, np. „iowa iowa iowa"

Anna Czekanowicz

opisywała swoją przechadzkę ulicą w jakimś małym amerykańskim miasteczku. W małej księgarni przekomarzała się ze sprzedawcą, który dziwił się temu, że czytała książki na miejscu, ale ich nie kupowała. Wmawiała mu, że nie miała domu i polubiła karaluchy, które były wszędzie wokół białych, małych domków Amerykanów. W „detroit city" opisywała strajkujące amerykańskie kobiety, które paliły długie papierosy i rozmawiały o polityce wschodnioeuropejskiej. Ich lunche podczas strajków na pewno różniły się od tych znanych z polskich strajków z lat 70-tych i 80-tych, gdyż w USA debatowano przy winach. W wierszu „w san francisco bez ciebie" ukazywała swoją samotność i przejawy nudy w hotelu zestawione z widokiem biednych śpiących na ławkach.

Czekanowicz w swojej poezji lubiła szokować, wyciągając zapomnianych ekscentrycznych twórców i dając im przemawiać, albo ukazując sytuacje, w których zachowywała się przewrotnie i śmiało. Jej poezja pełna była mrocznych uczuć, ale też tęsknoty. Ukazywała świat odrzuconych, zwyrodnialców, rozterki żony despoty, sprzeciwiała się też Polsce rządzonej przez obóz katolicko-narodowo. Lubowała się wprost w zaskakiwaniu i wytrącaniu z równowagi czytelnika. Jednakże nie budowała jakiejś ideowej wizji świata jaki powinien być, bardziej nastawiona była na wiersz dziejący się na zasadzie happeningu, który byłby skierowany przeciwko peerelowskim i późniejszym polskim filistrom i kołtunom. Przewrotna niczym Andrzej Bursa przygotowywała Polskę na przyjście różnych form alternatywnej kultury, czy antyestetyki punk rocka. Wiersz o Nataschy Kampusch przypominał teksty niektórych zespołów death metalowych takich jak Pungent Stench, czy Cannibal Corpse opisujących zwyrodnialców i psychopatów. Jednak wykorzystanie motywu czarownicy w „czarownicy" różniło się od tekstów metalowych, tym, że nie polemizowała w nim z kulturą chrześcijańską zabraniającą zabijania, ale która w wielu krajach świata mordowała pogan, czarownice, czy kobiety posądzonych o magię. Nie nawoływała do odradzania się kultury pogańskiej, tylko ukazywała zbieżność kobiet lat 70-tych z czarownicami, ale nie tymi zielarkami, ale rzucającymi zaklęcia na inne i oddającymi się rozkoszy. Co oczywiście było skrzywioną wizją czarownictwa przez kościelną propagandę, która w Europie ukazywała czarownice nie jako zielarki i akuszerki, ale jako rozpustnice kopulujące z Szatanem.

Na pewno Czekanowicz podobnie jak Urszula Benka uprzedzały wiele współczesnych poetów i poetek polskich, którzy po 1989 roku jakby zapomnieli, że w PRL-u także istniała poezja zajmująca się sprawami nie akceptowanymi przez moralność mieszczańsko-komunistyczną. Jeżeli ktoś myślał, że Świetlicki był pierwszym poetą co przeklinał w wierszach mylił się (wcześniej przeklinał np. Zagajewski), który opisywał zdrady mylił się, który przekomarzał się z Ameryką także się mylił. Na pewno poezja Czekanowicz, bardziej jeszcze niż Ptak, tak jak proza Antoniego Pawlaka poruszała wcześniej wiele spraw w Polsce, które przez lata krytyka literacka wiązała z „brulionem", czy nawet „rocznikami 70-tymi". Naprawdę w Polsce Ludowej poza głównym nurtem wychodziły dobre książki i pisali ciekawi i odważni twórcy. Mimo, że Karol Maliszewski upominał się w swoich esejach o docenienie poetów „Nowej Prywatności" nie stało się to na szerszą i ogólnopolską skalę. Może dlatego wydawało mi się podczas lektury wyboru wierszy, że poezja Czekanowicz, w niektórych przypadkach była jakby żywcem wyjęta z niektórych współczesnych wierszy. Np. Konrad Góra pisał o odrzuconych przez kapitalizm, jak poetka w 1990, kiedy podczas wizyty w USA ukazywała bogaty hotel, a obok niego śpiących biednych na ławkach.

***Mateusz Wabik***

*Bożena Ptak, Lęki nieoswojone, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Kraków, 2021*

*Krystyna Lars, Światło w Zatoce. Wiersze gdańskie, Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2021*

*Anna Czekanowicz, Szelesty sukienki… Listy do przyjaciół, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2021*

Andrzej Wołosewicz

# O POEZJI ZBIGNIEWA JERZYNY

## I.

Będę pisał dokładnie o tym i tylko o tym, co jest w tytule, czyli o poezji. Podkreślam to, dlatego, że twórczość Jerzyny obejmuje też dramaty, słuchowiska radiowe i widowiska telewizyjne, wstępy do książek i antologii, recenzje i felietony. Chciałbym więc, aby czytelnik znał ograniczenia, jakie sobie narzuciliśmy. Piszę w liczbie mnogiej, bo jestem tu skromnym dodatkiem do tytanicznej roboty, którą wykonał Marcin Jerzyna przygotowując niniejszy wybór poetyckiej twórczości ojca.

Ważne odniesienie do minionego wieku – tak Zbigniew Jerzyna rekomendował swój tomik „Mówią i inne wiersze", który ukazał się w 2003 roku, dokładnie 40 lat po poetyckim debiucie książkowym („Lokacje", 1963). Korzystam z tej autoprezentacji poety, bo chcę aby od razu wybrzmiało to, co wszyscy, którzy znają tę twórczość wiedzą, że jest to wyraz głębokiej samoświadomości literackiej a nie na przykład braku skromności czy czegoś podobnego, bo jeżeli Jerzyna czymś „grzeszył" i jako poeta i jako człowiek, to akurat nadmiarem skromności zupełnie nie przystającym do rangi jego twórczości. Taki już Zbyszek był. Pozwalam sobie i na tę poufałość, bo miałem przyjemność, honor i zaszczyt znać Jerzynę prywatnie, i literacko przyjaźnić się z nim.

Mówić o poezji Jerzyny, to mówić o rozciągającej się na ponad półwiecze aktywności twórczej. Ostatni tomik, „Saneczki", ukazał się jesienią 2012 roku, w ostatnich tygodniach życia poety. Niestety nie doczekał zaplanowanego z tej okazji a przekładanego ze względu na stan zdrowia spotkania autorskiego. Pamiętam ten czas dość dokładnie. Wczesnym rankiem dostałem wiadomość od Leszka Żulińskiego, że Zbyszek nie żyje. Zapisałem to w swojej pamięci wierszem:

* * *

Zmarł Zbyszek
i spadł pierwszy śnieg

Jego „Saneczki"
wiozą Go teraz

do Nieba

Czas zatem przejść do poezji.

## II.

Przyznam się, że w pewnym momencie ogarnął mnie strach, by cokolwiek dopisywać do tak dużego zbioru (wstęp?, posłowie?, wprowadzenie?, rozprawkę?). Strach mnie ogarnął nie z powodu wierszy Zbyszka, bo jakoś je znam, ale z powodu tych dwóch krótkich wstępów („Mój debiut" i „Na początku"), które Marcin pomieścił na początku zbioru. Dlaczego? Bo mam pisać o wierszach a w tych dwóch tekstach znajduję najważniejsze co możn,a o twórczości wielkiego poety powiedzieć, więc co ja mogę dodać? A przecież Zbyszek tu pisze ledwie o początku swego pisania: „Zacząłem pisać mając dziesięć lat." Wspomina też – w tym samym tekście – że debiutował w 1957 roku, choć dodaje „za swój duchowy debiut uważam wiersz pt. „Pióro" zamieszczony w debiutanckim tomie „Lokacje" z 1963 roku". Zwracam uwagę na te daty, bo przyszło mi pisać o wierszach Zbigniewa Jerzyny w czasach, gdy każdy debiutuje kiedy chce, najpierw na swoich stronach internetowych a potem (albo równolegle) drukuje płacąc drukarzowi, więc będąc sam sobie sterem, wydawcą, recenzentem. Papier jest cierpliwy, drukarz jeszcze bardziej. Tymczasem Jerzyna pisze o autorskiej samoświadomości. Przypomina mi się w tym miejscu myśl Tołstoja: „Człowieka można przedstawić w postaci ułamka, w którym licznikiem są jego właściwości, a mianownikiem – mniemanie o sobie. Im większy mianownik, tym mniejszy ułamek." Mógłbym je zastosować do wielu debiutantów, których *ego* odrywa się od Ziemi. U Jerzyny-debiutanta jest odwrotnie. A w tekście „Na początku" otrzymujemy świetną charakterystykę i samego siebie i poezji (sztuki) w ogóle. Te dwa, bardzo fragmentaryczne w końcu teksty są tak gęste, impulsywne, będące nie występującą już w poezji - w takim stopniu – kondensacją treści, że trudno coś do nich dodać. Stąd ów strach. Spójrzmy, jak klarownie i trafnie spiął Jerzyna klamrą całą drogę twórczą pisząc „*Na początku musi być niczym nie zachwiana wiara, wątpliwości przyjdą później same. Na początku musi być entuzjazm i pewność – wtedy każdy fragment świata staje się symbolem i każdy nasz gest. Na początku żyjemy w niebie i w piekle, ale na początku jesteśmy centralnym punktem nieba i piekła. Na początku chcielibyśmy być mądrzy i starzy. Mądrzy, aby zastygać w bezruchu, starzy, aby zrozumieć wszelką tajemnicę*." Zwracam na to uwagę, bo warto od razu wiedzieć - myślę tu o czytelniku, który dopiero będzie odkrywał Jerzynę dla siebie – że jest on poetą potęgi słowa mającym pełne zaufanie do języka polskiego wiedząc, ze w jego prostocie i zwyczajności tkwi niewyobrażalna siła. Trzeba ją tylko umieć wydobyć, jak czynili to staropolscy antenaci, do których poeta otwarcie się przyznaje. Słychać to już w wierszu inicjującym zbiór (*** „*Śmiertelny, chcę cię ukryć śmiertelna w ramionach*…").

Strach strachem, jednak trzeba, skoro zadania się podjąłem. I warto, skoro poezja, która mam się zajmować jest najwyższych lotów.

## III.

Teks poniższy nie jest – chcę to mocno zaznaczyć – rozprawką ani klasycznym wprowadzeniem do zbioru. Jest raczej próbą delikatnego muśnięcia poezji, która w swej delikatności jest głęboka a swej głębi delikatna, bo Zbyszek potrafił właśnie tak obchodzić się ze *słowem*. Nie jest rozprawką dlatego, że wybór, którego dokonał Marcin Jerzyna jest zbyt obszerny i ważny i należą mu się raczej potężne eseje i opracowania, warto więc zachować stosowny umiar komentatorski i dać się wypowiedzieć samym wierszom. Nie jest też wprowadzeniem, bo w moim najgłębszym przekonaniu wiersze Jerzyny żadnego wprowadzenia nie potrzebują, one same najlepiej w siebie wprowadzają swojego czytelnika i nic tego bezpośredniego kontaktu nie zastąpi. Traktuję swoją wypowiedź jako chęć podzielenia się z czytelnikiem kilkoma refleksjami i przeżyciami, jakich poezja Jerzyny dostarczyła mi przez dziesięciolecia i nadal dostarcza, także dlatego, że „Wiersze" zawierają niemal 70 nieznanych dotąd utworów, którym Marcin Jerzyna nadał zbiorczy tytuł „Wiersze ostatnie".

Zarysujmy przestrzeń, w której *dzieją się* Zbyszkowe wiersze. Robię to odwołując się z jednej strony do wiersza „Bruno Schultz", którego w „Wierszach" nie ma a z drugiej do pomieszczonej tu „Magdaleny". Czynię tak celowo, aby pokazać swoistą nieograniczoność wymykającą się – z konieczności – pojemnościowej ograniczoności wszelkich wyborów podkreślając przy okazji niezwykłą w dzisiejszych czasach postawę Instytutu Literatury, który zdobył się na wysiłek i udźwignął realizację tak obszernego wydania wierszy Zbigniewa Jerzyny. Nie wątpię, że zostanie to docenione tak dzisiaj jak i przez kolejne pokolenia czytelników, tym bardziej, że jest to p i e r w s z y wybór z twórczości wybitnego poety. Spójrzmy zatem na sugerowane poetyckie „ramy" – z jednej strony:

**Bruno Schultz**

Wysoko
uniosłem Drohobycz.

Prowincja
stała się światem.

To miasteczko
jest esencją.

Tu
wszystko się zaczyna
i kończy.
---
Tylko
bliskość
pokrewnego człowieka.

Mój świat,
moje istnienie
domaga się
poręki.

Dopiero
w czterech oczach
staje się
rzeczywistość
---
Ja
potrzebuję
dobrej ciszy

i pożywnej radości.

Nie umiem
cierpieć.
---
Ach,
moje marzenia.

Czasami
rysuję palcem
w powietrzu
taki mały domek
---
O, gdybym mógł
ufnie
położyć głowę

i
choć przez chwilę
odpocząć
w swoim losie.
---
Aby
rozszeptać ściany
próbowałem
rozpusty

o świcie
zobaczyłem
brudne okna
---
Ja
tylko pragnę

dojrzeć
do dzieciństwa
---
Moje sny
skutecznie
oszukują czas.

Więc,
ogłaszam bankructwo
szarej
realności.
---
Jak
zjadać czas,
aby to wyszło
na zdrowie?
---
Są rzeczy,
które
przekraczają
swoją miarę.

Nie ma w nas
pojemności
na świat.
---
Moja wiara
lubiłem
Chrystusa
Byłem
wiedzącym

i
nie wierzącym

Jeszcze
zacisze Synagogi
i
moja Księga
---
Kobieca pełnia
i nadmiar –
to pogardliwe
nasycenie
sobą

A my
pielgrzymi
do świątyń Pomony
przed
pantofelkiem
nagle wywyższonym
padając
na kolana
---
Koń
i dorożka
z nastawioną budą
to był
autentyk.
W każdej rzeczy
jest ukryty
żart.
---
Na co
na grób

Po ulicach
miasteczka
nosiłem w walizce
kamienie

nikt
mi nie pomógł

nikt
nie mógł
mi pomóc
---
Nie umiałem
opisać wojny.

W tym czasie bez ciszy
tęskniłem
do uspokojonego
wahadła.
---
Gestapowiec
Feliks Landau,
dla którego
robiłem portrety,
był stolarzem
z Wiednia.
Opiekun
Holderlina,
w jego
samotnej wieży
też był stolarzem.

Ale,
Jaka różnica.
---
Nie powiedział mi ojciec
ty, nigdy nie uciekaj!

to do mnie
strzelano

nie ja

upadło
moje palto,
z którego kieszeni
wysunął się
chleb

a z drugiej

Magdalena

Rzuć we mnie
kamieniem

nie ma
takiego kamienia
---
Panie
nie spychaj mnie
do płonącego krzewu
we mnie
jest moja prawda

musnęły mnie
skrzydła anioła

jest we mnie
dobroć

jest we mnie
mokro
---
Pan wie o tym
i wyjął
ze mnie strach

otworzyłam ramiona
dla zbiegów
rozchyliłam uda

włosami
zasłoniłam śmierć
---

Rzuć we mnie
Kamieniem

nie ma
takiego kamienia

Jesteśmy tu rozpięci między szarą ulicą, na której zastrzelony zostaje Bruno Schultz a metafizyką rozmowy Magdaleny z Chrystusem, ale to jest jeden i ten sam świat, nasz świat, nasza ulica, nasza metafizyka. To jest poetycki świat, w którym bohater, człowiek XX wieku w swych różnych, obecnych w wierszach Jerzyny postaciach, od Simone Weil, ojca Pio, poprzez Iwana Groźnego, św. Franciszka czy Abrahama – nie dajmy się zwieść historycznym czy biblijnym nawet odległościom, zawsze chodzi o wiek XX – mówi o sobie szczerze, do bólu, bez zafałszowań, niepotrzebnych skromności, zbędnych metafor i zasłon. Ale ten bohater nie mówi ot, tak sobie, bo wiek się skończył, bo dobrze jest podsumować, nie, on został „do mówienia" zmuszony mocą ascetycznej poetyki Jerzyny: rzadko kiedy w dzisiejszej poezji, często rozgadanej ponad miarę, takie minimum słów brzmi tak silnie i donośnie o naszej ludzko-nieludzkiej historii minionego wieku. Czytając Jerzynę, powiedzieć by się chciało – poetę ledwie! – konstatuję nie tylko z literacką, ale i filozoficzną satysfakcją głębię proponowanych przez niego podsumowań naszego dwudziestowiecznego Losu. Jerzyna spiął w swoich wierszach – myślę o całości „Wierszy" – czasy i światy, których dostępności strzeże Czas i Ziemia. Swoista kosmiczność takiego ujęcia przywołuje najlepsze tradycje wpisania człowieka, wpisania każdego z nas w harmonię wszechświata, tradycje jońskich filozofów przyrody, zanim uczyniliśmy kosmos zupełnie sobie obcym. U Zbyszka dokumentują to wiersze takie jak „Horacy", „Ogród – przebudzenie" czy „Czuwanie". Człowiek jest u Jerzyny wpisany w kosmos. Jest gwiazdą na Ziemi lub ku Gwiazdom zmierza. I to wpisanie dzieje się dziwnie naturalnie. Piszę *dziwnie naturalnie*, bo na takie wpisanie naszego ziemskiego żywota nie natkniemy się często, a ja nie znajduję go poza poezją Jerzyny w ogóle. Po wtóre dzieje się ono w tej poezji gładko, naturalnie, bezszmerowo. W tych wierszach poeta dotyka tajemnicy – a niewielu to dane.

Poza Kosmosem znajdujemy w poezji Zbigniewa Jerzyny inne jeszcze cykle albo ryty. Wymieniam je według dowolnej kolejności, bo wiersze do nich przynależne (mocą czytelniczej percepcji) rozrzucone są niemal po całej twórczości: Historia, Matka, Przemijanie, Metafizyka.

Historia. Historia przetacza się przez poezję Zbyszka, jak przetoczyła się przez jego życie. Historia przez duże „H" odbija się w każdym człowieku, w jego małej historii, w ludzkiej historii przez małe h". Wiersze „Zamojszczyzna 1942", „Lament matki", „Wielkie zdarzenie", Nokturn", „Naród nasz bardzo lubi kamienować", „Polskie cmentarze" czy „Ballada o cmentarzu Służewieckim" są pierwszymi z brzegu tego przykładami. Inne możemy równie łatwo znaleźć. Dla zobrazowania mocy tych wierszy wybieram „Rejtana":

Po raz drugi,
nie rzucę się na próg.

Nie rozerwę koszuli.

Nie zobaczycie
mojej
tragicznej piersi.

Nie powtórzy się
ten gest.

Więc z uwagą
spójrzcie –

na Wschód
i na Zachód.

Zobaczcie Polskę
w dalekich
horyzontach.
---
Po raz drugi,
nie rzucę się na próg.

Brzmi to niemal jak profetyczne memento! Podobnie jak wiersz „Wojna jest wesz".

Przemijania doświadczymy czytając choćby „Czas", „Elegię dziewiątą" czy „Elegię dziesiątą". Tę ostatnią polecam jako dowód na to, że poezję, język, który poezją włada traktuje Jerzyna bardziej niż serio – najkrócej jak umiem nazywam to *ocaleniem przez język*. Przemijanie zahacza o Metafizykę. Spójrzmy choćby na wiersz „Taniec z gwiazdami":

Do mnie,
który ma już tyle lat,
Którego
boli noga,
i jeszcze inne rzeczy:
przyszli ci z Telewizji
i mówią
- „czy nie wziąłby pan
udziału
w naszym programie
„Taniec z gwiazdami?"
---
Młoda dziewczyna
odsłoniła
niebotyczne nogi.
I blisko poczułem
Jej kipiące ciało.

To nie mój czas
- odpowiedziałem.
To nie moja Epoka.
---
Potem,
gdy już przyszła noc,
spojrzałem w zimne niebo:
i tam
zobaczyłem
mój
coraz bliższy
taniec z gwiazdami.

Mamy tu wiersz pisany - zdawać by się mogło, bez wysiłku! – łączący popkulturę z metafizyką śmierci i nieba, witalność tańca i kobiety z własnym przemijaniem. Warto jeszcze wspomnieć o poczuciu humoru, bo to nie jest tak, że poezja wysoka musi być koturnowo poważna aż do znudzenia czy mdłości. Jerzyna potwierdza każdym swoim wierszem, że komunikowanie się z drugim człowiekiem jest skuteczniejsze, łatwiejsze i przyjemniejsze nawet przy poważnych tematach, gdy wykorzystuje naturalną ludyczność swego języka. Ale nie tylko ludyczność. Język, nie będąc osobnym *przedmiotem* poetyckiej refleksji, jest bardzo uważnie przez Jerzynę „obserwowany", bo to przecież j e d y n y „materiał" wiersza. Cokolwiek – myśl, uczucie, artyzm przychodzi później, przejawia się przez język. To dlatego Poeta wypowiada w jednym ze swoich wierszy taką frazę: „Nie znajdziesz mostu -/ Jest tylko molo na przymorzu mowy". To jest poetycka przypowieść o języku, która długo nie mogła znaleźć swojej filozoficznej reprezentacji w dualistycznym „podziale" naszej rzeczywistości na *świat* i *język*. Dopiero Josef Mitterer, Stanley Fish i Bruno Latour (by wymienić najważniejszych współczesnych podążających ścieżkami wytyczonymi przez Ludwiga Wittgensteina) zakwestionowali ten zbyt mocny pozór, narzucający się filozoficznemu myśleniu przez stulecia. „Nie znajdziesz mostu", bo nie ma mostu, bo nie ma dwóch „osobnych" ontologicznie zakresów naszego doświadczenia. Nie miejsce tutaj na dłuższe rozważania, powiedzmy więc tylko tyle, że poezja jest, potrafi być taką nie biegunową (świat – język), nie dualistyczną penetracją świata. I u Jerzyny to doskonale widać, jeśli umiemy patrzeć.

Matka. Nasze relacje, nie będę tu oryginalny, z matkami są nieopisywalne, zbyt zindywidualizowane a jednak możemy czasami znaleźć w czyichś wyznaniach na ten temat archetypiczne ryty. Ja widzę je, co oczywiste, we wszystkich wierszach z matką w tytule (dla przykładu: „Matka", „Do matki") oraz choćby w tym bez tytułu:

***

Kiedy matka miała umrzeć, w głąb jej oczu
odchodziła wielka równina,
która szedłem…
coraz mniejszy…
Równina byłą oświetlona, cała w tarczy zachodzącego
słońca. Moje wołanie ginęło w jego pulsującej
czerwieni.

Znaleźć taki obraz i utkać go ze słów, cóż więcej można powiedzieć…. A w pierwszym z przywołanych (cały wiersz proszę sobie przeczytać samemu, swoim sercem) znajdziemy wers: „Miłość matki to nigdy nie kończący się poród." Czy można krócej i piękniej przekazać to, z czym – a jakże – często mamy problemy i nazywamy to „nadopiekuńczością'? Jerzyna pokazuje głęboką prawdę nigdy nie kończącej się relacji matki z dzieckiem, pokazuje prawdę nigdy nie zerwanej pępowiny.

## IV.

Osobne miejsce należy się erotykom Jerzyny. I dobrze – Marcinie – żeś takie miejsce w swoim wyborze dla nich znalazł. Są ponadczasowe, jak miłość. Ja w nich widzę staropolskie umiłowanie ciała (zanim romantycy go nie odrealnili). Ja w nich słyszę leśmianowski zaśpiew z jego tak charakterystyczną nutą. Ale w tych pogłosach i powidokach nie ma nic wtórnego – wszędzie Jerzynowe pieszczoty, westchnienia, napięcia i spełnienia. Nie znam w polskiej literaturze XX wieku piękniejszych! Tu się nie powstrzymam i nie będę w cytowaniu skąpy.

**Tobie**

Słońce pasie mą rozpacz. Morze ból przemienia.

Promień gwiazdy mnie spala – żłobi fakt istnienia.
Krew moja się przesącza do strumienia nocy.

Idę tak, jakbym patrzył – patrząc – stracił oczy.

Głowie mojej lecący ptak poskąpił cienia.
Więc mnie dziś zakryj ramion chłodną falą.
Nogami mnie zatrzaśnij, bym czuł: to jest ziemia.

Piersi twoje dwa źródła mojego pragnienia.

***

Żono, usnęłaś – rozrzuciłaś włosy.
Jaki wiatr je dotyka, w jakie splata dale?
Rzuciłaś włosy przed ogromną falą,
która przed tobą nocą się spiętrzyła.

Żono, usnęłaś – o czym sen twój mówi?
Jakie się niebo przed tobą otwiera?
Po bólu, który razem ze światem umiera,
jak lekkie, jakże słodkie są skrzydła oddechu.

Żono, usnęłaś – całuję twe oczy.
Nad nami gwiazd drgając, rozświetlone ule.
Już nocy szept miłośny wokół krąg zatoczył.
Ciemnym ogniem twe imię wypowiada czule.

**Kiedy wygasa niebo miłości**

Kiedy wygasa niebo miłości
to gwiazda płacze.

Więc trzeba podnieść głowę wysoko,
by ją zobaczyć.

Po łzach co spłyną z gwiazdy gorącej
popiół zaświeci.

Spróbujmy miła spojrzeć na siebie,
jak patrzą dzieci.

Bo nie ma grobu takiej miłości,
co jest z płomienia.

Nawet gdy wokół chcą ją przymusić
do upodlenia.

Takim miłościom, o których mówią te erotyki na pewno nie ma żadnego grobu zapomnienia.

## V.

Wiersze, którymi Marcin Jerzyna zamyka swoją serdeczną pamiątkę po Ojcu, „Wiersze ostatnie" mają podwójny ciężar gatunkowy. Po pierwsze i najważniejsze są przejmującym dokumentem odchodzenia, któremu autor dał świadomy poetycki wymiar. Po wtóre – to już zasługa Marcina Jerzyny – mamy do nich dostęp.

***

Mam mało czasu.

Zawsze

jest mało czasu.

Kiedyś młodość

spacerowała po plaży.

Tylko miłość

uczyła mnie

mądrości.

---

Teraz nie mogę

doszukać się

ziarenka piasku

w kieszeni.

---

Każdego dnia

obłoki

przypominają nam

o śmierci.

W „Wierszach ostatnich" najłatwiej dostrzec to, co dla Jerzyny zawsze było charakterystyczne: słowa-klucze. Słowa-klucze, które budują strukturę poetyckiego świata Jerzyny to: kołyska, krew, ziemia, słońce, oddech, twarz, kropla, kości, dłoń, gwiazda, kamień, drzewo, ciało, nasienie, sen. W wierszach ostatnich są to już – najczęściej – słowa graniczne, takie jak: istnienie, cierpienie, tajemnica czy tajemne uczestnictwo. Co to są słowa graniczne? Są to słowa, które t ł u m a c z ą, gdy docieramy do granicy rozumienia czy odczuwania, ale których już wytłumaczyć nie umiemy, których – chyba – wyjaśnić nie sposób (z logicznego punktu widzenia nie byłyby wtedy słowami granicznymi). O tym jest przecież – w moim najgłębszym przekonaniu – wyżej zacytowany wiersz, który otwiera cały cykl. On najlepiej wszystko definiuje. Poezja Zbyszka zatacza swoje koło – od kołyski (narodzin) po jego już u-kołysanie się pośród Gwiazd. Myślę, że ta Zbyszkowa jest w nieskończonym niebie poezji jedną z jaśniejszych. Należy jej się To Miejsce.

Dokumentacja odchodzenia ma swoją dramaturgię. Oto przykłady:

***

Cały kosmos
przeniósł się do mojej czaszki.

Wszystkie gwiazdy
we mnie mnie bolą.

Zapomniałem o duszy –
mam tylko
samotne ciało.

Brakuje już lekarstwa
na mój krzyk.

Modlę się
aby moje ciało
odeszło ode mnie.

No to tak się stało, Zbyszku. Możesz teraz już rozmawiać z Innymi Wielkimi, którzy odeszli. Jest tu jak u innego cierpiętnika, Kazimierza Ratonia, gdy ból dochodzi do głosu. Zobaczmy:

***

Nie rozpoznaję świata

Mój ból
już nie nazywa się bólem.

Ślepnę, ale nie mogę odejść

Oślepło całe moje życie
i ból
gasi światło we mnie

Patrzę na drzwi
i błagam

Niech otworzy je śmierć

W „Wierszach ostatnich" Jerzyna jest już tylko Mędrcem. Jako poeta spełnił się dawno. Teraz dopisuje komentarz do życia i świata niczym Demiurg Słowa.

**Wyznanie**

1

Nie wykołysałem w sobie harmonii.
Zrobiłem tyle,
na ile było mnie stać.

Teraz patrzą na mnie
oczy w rozterce.

Chyba zdradziłem świat,
w pogoni
za utrwalaniem kształtu.

Byłem bolesną groblą,
na rzece życia.

→

Ale przemijanie,
też przemija.

Często nocą
byłem sam na sam

I mnie zjadała

2

Przestraszyłem się
Znaków miłości.
I kobiety
zostawiły mnie
pośrodku drogi.

Jakże wszystko
kruche jest i nietrwałe

Nawet przemijanie
przemija

Zawsze
byłem gotowy
na przymierze
jak łuk
na obłoku

***

Ten świat jest taki jaki jest

Moje wysiłki są dokładaniem ciężaru
Moja nadzieja jak skrzypiące koło

A jednak
nie można ustać w tym
daremnym ruchu

Glina glinę wypiera
żebyś było ś w i a t l o

Kiedy on to pisał widzę Zbyszka samego ze światem, w którym nie szuka rozgrzeszenia - on raczej świat rozgrzesza.

## VI

Ogarnąłem już jakoś swój lęk przed potęgą Zbyszkowego słowa, mogę więc przytoczyć dwa wiersze, które są, a raczej być miały, klamrą moich rozważań, bo pierwszy z nich chciałem uczynić mottem i właśnie czynię (kto powiedział, że motto musi rozpoczynać tekst?) a drugi czynię głosem pożegnalnym Zbyszka.

**Kolęda 1977**

Żywym zostaniesz choć w światła drobinie,
które dziś z gwiazdy stół wspólny oprósza.
Żywym zostaniesz choć czas twój przeminie.
Bo ten zostaje, kto drugich porusza.

Kolędo, pomyśl, o tym miejscu pustym,
które przy gwarnym stole mówi ciszą.
Niech towarzyszy nam odruch serdeczny,
I głos prawdziwy – ten wszyscy usłyszą.

**Coś się kończy**

„Coś się kończy” – to tytuł
opowiadania
Ernesta Hemingwaya

Dwoje,
kobieta i mężczyzna
siedzą na brzegu
jeziora

Przyszli tu
i milczą:

Nagle on mówi:
„Coś się kończy”.

„Tak” – odpowiada ona.

Patrzą na jezioro,
w którym
odbijają się obłoki.

Tylko to jedno zdanie,

I nie ma już tu nic
do dodania.

*Andrzej Wołosewicz*

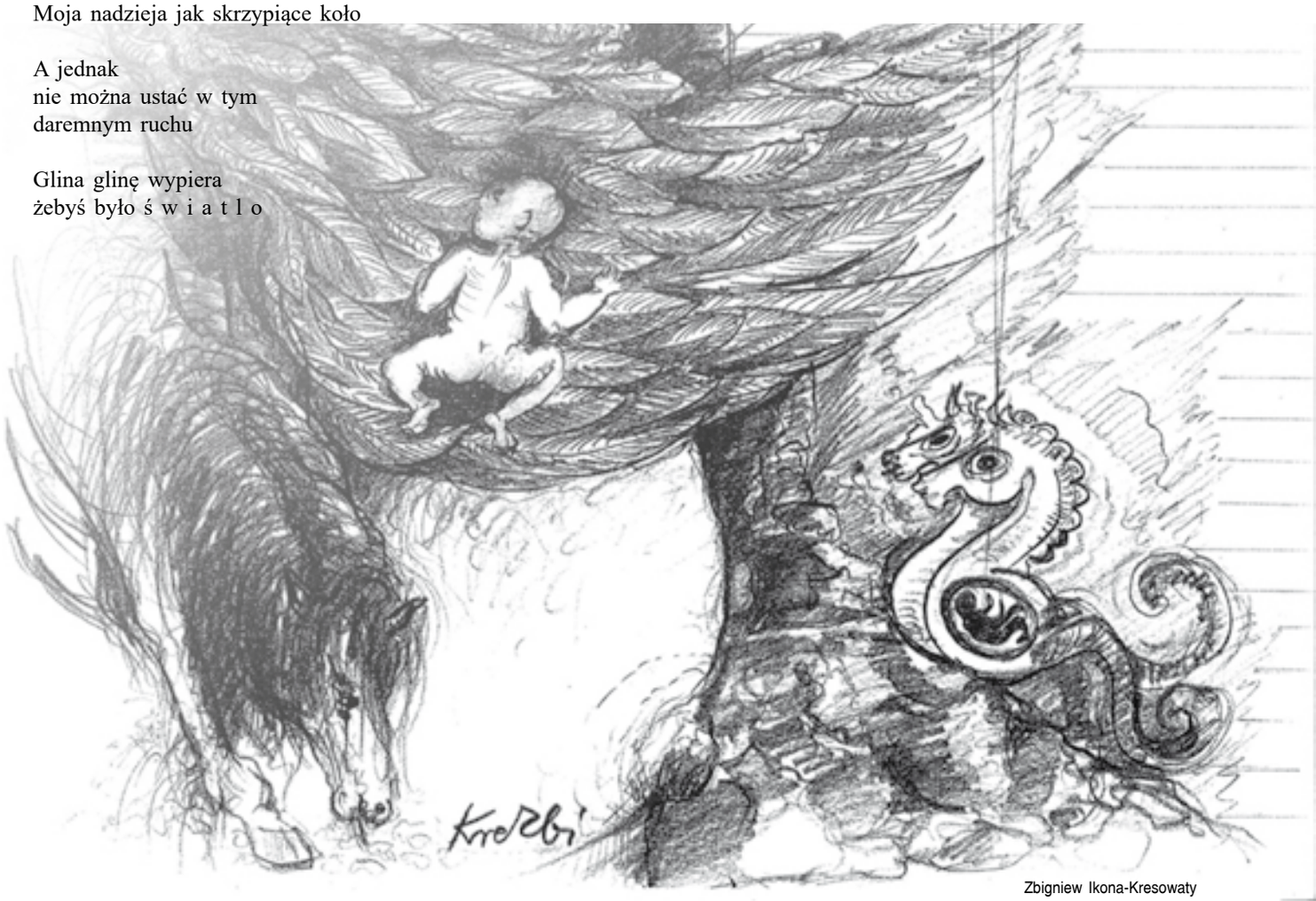

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Mateusz Wabik

# RZEKI, MORZA, UPADEK RZYMU PRZY AKOMPANIAMENCIE PŁYT JAZZOWYCH



Pisarz, poeta i dramaturg Bohdan Wrocławski urodził się w 1944 roku w Milanówku. Debiutował w prasie literackiej w pierwszej połowie lat 60-tych, a jego pierwszy tomik poetycki pt. „Linia Krat" ukazał się w 1967 nakładem Wydawnictwa Morskiego. Poeta wydał jeszcze siedem tomów wierszy, zbiór opowiadań pt. „Poker", a także prowadził kabaret literacki „Ostatnia Zmiana".

W 2022 roku ukazały się nakładem Wydawnictwa Pisarze.pl jego „Wiersze wybrane". W książce Wrocławskiego nie podano żadnych informacji biograficznych i bibliograficznych, nie wiadomo z jakich książek pochodziły jego wiersze, które były spoza tomików itp. I przez to czytało się jego wiersze jakby od nowa tworzyły nową książkę, kiedy wcześniej się nie znało jego twórczości. Można było zauważyć, że pod koniec zbioru wierszy pojawiły się utwory dotyczące upadku komunizmu w Polsce, a także katastrofy smoleńskiej i przez to można domniemywać, że układ wierszy w „Wierszach wybranych" mógł być chronologiczny.

Przeważnie wiersze Wrocławskiego były długie, przez co wiele z nich było poematami. Po doświadczeniach awangardowych Wrocławski odziedziczył niechęć do znaków przestankowych, duże litery pojawiały się nie tylko w pierwszym słowie wiersza. Rozpoczynały często jakąś część wiersza. Jednak daleko wierszom Wrocławskiego było do dewizy Przybosia „jak najmniej słów".

Najczęściej wiersze Wrocławskiego były wielowątkowe, przechodzono w nich od jakichś obserwacji przyrodniczych, czy informacji o sytuacji, w której się rozmyślało do dywagacji na tematy historyczne, osobiste i dotyczące istnienia świata i w nim człowieka, sensu istnienia, stanów uczuciowych. Często poeta przywoływał w swoich utworach motywy literackie lub historyczne. Częściej obserwacje lub własne myśli kazały mu przypomnieć jakiś motyw literacki lub przywołać twórcę z nazwiska, raczej nie polemizował z innymi autorami.

Najczęstszymi motywem w jego poezji było odwoływanie się do historii starożytnej głównie związanej z istnieniem i upadkiem Cesarstwa Rzymskiego i podboju Europy przez barbarzyńskie plemiona Germanów. Często pojawiały się w utworach Wrocławskiego motywy związane z pływaniem po wodzie - morskie, rybackie, obserwacje plaż i przyrody. Poeta przyznawał się do fascynacji jazzem i muzyką poważną, stronił od rock and rolla. Pojawiały się w jego poezji motywy przechadzania się po mieście i powrotu na doceniane peryferia, z którymi się identyfikował.

Oprócz wierszy związanych ze starożytnością, niekiedy poeta odwoływał się do historii współczesnej – przemian społeczno-politycznych w Polsce po 1989 roku i tragedii smoleńskiej. Przed 1989 rokiem raczej nie wiązał swojej poezji z ówczesną polityką, nie interesowały go eksperymenty językowe, ani nowofalowe zaangażowanie w odkłamywanie rzeczywistości. Mimo, że jego poezji nie wydawała się stricte klasycystyczna podziwiał Zbigniewa Herberta i uwspółcześnianie przez niego motywów klasycznych.

W pierwszej monografii pokolenia „brulionu" pt. „Chwilowe zawieszenie broni", Jarosław Klejnocki i Jerzy Sosnowski przywoływali wiersz Konstantinosa Kawafisa pt. „Czekając na barbarzyńców", w którym pojawiło się „bezowocne czekanie na inwazję w umierającym z kulturalnego przesytu mieście". Barbarzyńcy według monografistów swoją inwazją mieli uratować skostniałą kulturę. Tym według nich było pojawienie się pokolenia trzydziestolatków w latach 90-tych. Pierwsza antologia poezji brulionowców nosiła tytuł odnoszący się do wiersza Kawafisa – „Przyszli barbarzyńcy".

We wcześniejszej od twórczości pokolenia „brulionu" poezji Wrocławskiego barbarzyńcy byli tymi, którzy próbowali siebie zrozumieć jak wierszu „List, który pisałem", w którym barbarzyńcy siedzieli w bibliotece nad książkami. Jeśli chodziło o rzymskie motywy to w wierszu „Ostatni list Pilniusza Młodszego" w nieco postmodernistycznym stylu przenikania się różnych epok Pilniusz Młodszy pisał list do Tacyta i wspominał o współczesnej Bretanii, zapraszał go do Warszawy i pisał, ze mimo wszystko byli obecni we współczesności. W wierszu „Wciąż powracamy do tych samych miejsc" szukał: „równowagi między obojętnością/I szaleństwem/Dzikich okrzyków barbarzyńców atakujących/Mury Rzymu". Rzym oznaczał wysoką kulturę i cywilizację europejską, której upadek opisywał Tadeusz Różewicz w swojej poezji po doświadczeniach II wojny światowej. W poezji Wrocławskiego cywilizacja europejska nadal trwała, ale była atakowana przez barbarzyńców, których w żaden sposób nie określał Wrocławski. Czy byli to komuniści, czy przedstawiciele kultury masowej nie wiadomo. W wierszu „Odczytanie na brzegu" Rzym symbolizował politykę, do której dochodziły skargi. W wierszu „Mój stary dom" pojawił się motyw wodnej podróży po Europie, w której nie było już pozostałości rzymskich, a barbarzyńcy rozpalali ogniska. W „Miejscu odwiedzin" upadek Rzymu opisywano jako zdarzenie mało ważne dla współczesności, mniej niż wypadek samochodowy. W jakiejś niemieckiej miejscowości poeta opisywał ulice, na których słychać było bluesa i kogoś grającego na saksofonie. W „Skazanym na peryferie" poeta pisał: „rozumiem/zawsze chmary barbarzyńców otaczając Rzym/ wyznaczają/koniec cywilizacji". Tęskniąc za starym porządkiem – sprzed wojny?, z dawnych epok? – poeta wybierał bycie „wiecznym tułaczem" pochodzącym z peryferiów, gdyż podbijający Rzym barbarzyńcy byli przez niego nie do przyjęcia, gdyż charakteryzował ich krzyk i nieakceptowalne zachowania. W tym wierszu podbicie Rzymu przez Wizygotów było metaforą końca epoki kultury wysokiej, wszechogarniającej lata powojenne kultury masowej. Ale też metafora zmierzchu każdej epoki. W wierszu pt. „Urodzony w nocy" podmiot liryczny wiersza zaczął się identyfikować z barbarzyńcami, gdyż jak pisał nie miał innego wyjścia. W tym wierszu „barbarzyńskość" jak w poprzednim oznaczała współczesność. W „Na schodach rzymskiego senatu" walka pomiędzy Rzymianami i Germanami oznaczała walkę o demokrację w ustrojach totalitarnych. Barbarzyńcy byli bojownikami o demokrację. Wieśniacy martwiący się o swoje zbiory stawali się natchnieniem filozofów i poetów i symbolizowali życie zgodne z natura, z dala od politycznych walk. W „Kartce z podróży" poeta przybrał maskę wodza rzymskiego. W tym wierszu Rzym mógł oznaczać wspaniałą przeszłość – mimo, że opisywano w wierszu czasy starożytne np. rzymskie kobiety, to owa historyczna przeszłość była symbolem dawnych czasów także w wymiarze osobistym.

W wierszach „Pamięci Allena Ginsberga" i „Cyrograf Milczenie" poeta kpił i z przemian politycznych i z propagandy mówiącej o takich przemianach, gdyż „komuniści przyjęli chrzest święty" i przemienili się w demokratów, w kinach „pojawiały się filmy-/z amerykańskim herosami", a w dziedzinie literatury po 1989 pojawiły się według niego pewne oznaki powrotu do lat socrealizmu – „trwało nadal posiedzenie politbiura". Jak pisał niegdyś w „Dzienniku Polskim" Janusz Korwin-Mikke owe rozsławione na cały świat Obrady Okrągłego stołu z 1989 roku były pierwszym, oficjalnym w Polsce przyzwoleniem na komunizm. W pierwszym wierszu przemiany polityczne zostały skonfrontowane z zabawami dzieciaków na podwórku i na trzepaku, które przed i po 1989 roku były takie same. Poeta dawał do zrozumienia jak np. w swoich opowiadaniach Bronisław Wildstein, czy Andrzej Skrzypek w swojej książce historycznej „Zamachy stanu w Polsce w XX wieku", że rzeczywistość lat 90-tych z punktu widzenia opozycjonistów PRL-u daleka była od wizji sprzed 1989 roku. Wg Skrzypka dawny lider Solidarności – Lech Wałęsa obalając demokratyczny rząd Tadeusza Olszewskiego dokonał zamachu stanu, wg Wildsteina w rywalizacji o władze komuniści korzystali z pomocy rosyjskich wpływów i biznesu, a solidarnościowa młodzież nie miała żadnego wsparcia i zaplecza do prowadzenia swojej działalności. To wszystko można zrozumieć, że polityka w po 1989 była pełna błędów i wypaczeń. Ale wg mnie nie można było wszystkich sfer rzeczywistości zrównywać. Trudno się zgodzić z poetą, kiedy pisał o amerykańskich filmach. Filmy z amerykańskimi herosami pojawiały się raczej w obiegu nielegalnych taśm video VHS w latach 80-tych, po 1989 kino amerykańskie właśnie odchodziło od tych wizji herosów i utartych schematów. Pojawiły się latach 90-tych wiele udanych filmów amerykańskich jak np. widowiskowy horror „Dracula" Coppoli, krytykujący przemoc w mediach a rebours „Urodzeni mordercy" Stone'a, ukazujący lata hippisów „The Doors" Stone'a – czy takie filmy jak dramatyczny „Fortepian", ukazujący psychopatycznego mordercę jako geniusza „Milczenie owiec", czy mroczne „Siedem", w którym psychopata odwoływał się do katolicyzmu i karał za grzechy woje ofiary. To w polskiej kinematografii doszło do dziwnego zjawiska, próby uzwyczajnienia dawnych funkcjonariuszy państwowych. Pozytywnym bohaterem – bo koleżeńskim, walczącym o sprawę i honorowym został były funkcjonariusz SB Franz Maurer w „Psach i „Psach II" Władysława Pasikowskiego. Do tego grał go ceniony aktor Bogusław Linda. „Psy" zastąpiły „Przesłuchanie" i „Zabić księdza" z lat 80-tych, w których ukazywano peerelowskich funkcjonariuszy jako morderców i katów. Może dochodząca do władzy opozycja po 1989 nie miała żadnej atrakcyjnej wizji polskości dla obywateli i młodych wstępujących w dorosłość ludzi, a polscy wyborcy pokazali głosując na nieznanego

biznesmena Stana Tymińskiego, który przeszedł do II tury, że mają dość walki politycznej w Polsce i politycznych znajomości i zależności. Porażka Mazowieckiego z Tymińskim wywołała w obozie dawnej opozycji oburzenie… Po 1989 roku pojawił się prywatny biznes, zniesiono cenzurę (która także była w muzyce rockowej i metalowej), pojawiły się prywatne wydawnictwa, potaniały instrumenty, a rockowy muzyk nie musiał przechodzić egzaminów państwowych by dostawać honorarium za koncerty. Także skinheadzi Jaruzelskiego przestali bić młodzież. A SB przestało swoich funkcjonariuszy wysyłać na koncerty i festiwale rockowe.

W „Zdjęciu z autografem" i „Kwiatach magnolii" pojawiły się nawiązania muzyczne. W pierwszym wierszu podmiot liryczny pisał o słuchaniu w samochodzie kasety z nagraniami Elli Fitzgerald and Her Famous Orchestra. Przypominał fakty z jej biografii i kupienie jej zdjęcia z autografem w latach 70-tych już po jej śmierci. W drugim jak już wspomniałem pisał o niechęci do rock'n'rolla i wymieniał także Ellę Fitzgerald, Louisa Armstronga jako swoje fascynacje muzyczne, a także muzykę Szopena, Schumanna i Schuberta. Pisał o swojej kolekcji płyt gramofonowych z muzyką wykonywaną przez Drezdeńską Orkiestrę.

Przywiązanie do klasyki literatury i motywów z historii starożytności współistniało w wierszach poety z przyrodą, podróżami, spacerami, a także z zastanawianiem się nad kondycją ludzką w XX wieku i sensem istnienia. W jego wierszach pojawiali się także Mikołaj Kopernik będący symbolem bezkompromisowości i walki o prawdę, Adam Mickiewicz, Marcel Proust, Robert Lowell, czy Cyprian Kamil Norwid.

Trudno poezję Wrocławskiego było zakwalifikować do jakiejś starej jednej szkoły – mi przyszło do głowy takie porównanie, że jego poezja była tworzona na styku zestawienia klasycyzmu i surrealizmu (szczególnie chodziło mi o zapis automatyczny), tylko nie po to by wytwarzać jakieś nierealne obrazy i wspierać się logiką snu, a przede wszystkim dlatego by wywoływać z pamięci zdarzenia i opalizować ich znaczenia z motywami z kultury. Tylko w jednym wierszu „Na Koszykowej" pojawiły się senne motywy. Podmiot liryczny zgubił się w mieście, w którym nie świeciło słońce. Podmiot liryczny obserwował ślub, który zakończył się tragedią. Pan młody został zabity. Także w niektórych wierszach poety pojawiały się odniesienia do przedwojennego katastrofizmu. Mimo prowadzenia kabaretu przez Wrocławskiego w jego wierszach nie było ani odrobiny humoru, co mnie bardzo dziwiło. Myślę, że taka swoboda przepływu skojarzeń, motywów mogła być podpatrzona u poetów amerykańskich związanych z bitnikami jak Allen Ginsberg, czy Jim Morrison, którzy także uwielbiali długa formę. Ale to tylko przypuszczenia.

***Mateusz Wabik***

Bohdan Wrocławski, Wiersze wy-

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Jerzy Lengauer

# „HISTORYCZNO-ANTROPOLOGICZNE PEREGRYNACJE CZŁOWIEKA ORŁA"

## ROMAN WARSZEWSKI, „PIERWSZA WOJNA POLSKO-INDIAŃSKA (AMERYKA ŁACIŃSKA W PÓŁ DROGI)"

Wczasach, kiedy prawie już zapomniano o „El Cóndor Pasa" w wykonaniu duetu „Simon and Garfunkel", a miejsce młodzieżowej literatury przygodowo-podróżniczej zaczęły zajmować powoli nowo odkryte powieści, nagle peruwiańska ballada za sprawą zespołu Varsovia Manta stała się jednym z songów kojarzonych z subkulturowym buntem, ale także niezwykłym tłem dla fascynującej lektury książek Gabriela Garcíi Márqueza i Julio Cortázara. Jednak selwa, pampa, płaskowyże, Andy i wioski, po których piaskiem co rusz zawiewa wiatr, po latach zniknęły za horyzontem wyobraźni i pamięci. Czasami obrazy z Ameryki Łacińskiej i jej historię przywraca nowe wydanie Mario Vargasa Llosy, pojawienie się kolejnej powieści Roberto Bolaño czy seria „Las Américas – Nieznana Klasyka Literatury Latynoskiej". Ale dzieje się tak tylko przez chwilę, ot, kilkudniowa, choć wstrząsająca i paraliżująca, podróż do jednego czy dwóch miejsc, do kilku zdarzeń, pewnych ważnych lat w dziejach splecionych w literackich wątkach. To nie jest zatem wieloletnia podróż po Ameryce Łacińskiej, zanurzenie się w niej tak mocno i głęboko, żeby poczuć piasek i kamienie pod stopami, pot spływający po plecach i widzieć kątem oka przechadzające się obok wielkie cykady. Żeby stało się odwrotnie, należy przystanąć, zapatrzeć się, zamieszkać, zapamiętać, przeżyć historię, zboczyć ze szlaku podręcznika i na nowo przeczytać. I ten ogromny kontynent, i wywodzących się stamtąd wielkich pisarzy. Potrzebny jest jakiś prolog, wstęp czy może przewodnik, który niekoniecznie będzie chciał opowiadać o Machu Picchu, Cuzco, Tenochtitlán i Palenque. Tak, wspomni, wymieni, odeśle do bibliografii i skieruje uwagę w całkiem inne strony. Te, które przemierza od trzydziestu pięć lat, mając tam wielu znajomych i przyjaciół, od przygodnych kierowców po sławnych naukowców, ulubione pensjonaty i hotele, z których uciekał z poczuciem obrzydzenia, szczyty, na które wspiął się podczas ostatniej podróży, rzeki, które działały na niego jak koka albo ayahuasca.

Roman Warszewski lubi przystawać w pół drogi. W „Pierwszej wojnie polsko-indiańskiej" robi to dwadzieścia dziewięć razy. Owe przerwy wynikają albo z przygotowań do nadzwyczajnej, trudnej, fascynującej wyprawy, albo ze spotkań z historią, która zaczęła się kilka tysięcy lat temu, gdzieś pod piramidą wyglądającą dziś jak pagórek o zbyt regularnym kształcie, albo w końcu z zaplanowanych bądź całkiem przygodnych rozmów z ludźmi. Oczywiście wszystkie te opowieści, wydarzenia i spotkania nawzajem się przenikają, wynikają jedno z drugiego, są i przyczyną, i skutkiem, w zależności od tego, jak toczy się podróż samego autora.

Autor nie przedstawia czytelnikowi jednej własnej podróży po Ameryce Łacińskiej. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że książka stanowi wyselekcjonowany zbiór esejów, opisujących nie tyle najciekawsze miejsca kontynentu, ale kompendium wyjątkowych przeżyć podróżnika, w trakcie których w jakiś niezwykły sposób pobudziła go historia, człowiek lub zdarzenie. A wokół nich narosły opowieści z mnóstwem dygresji, wspomnień, przemyśleń i ekscytacji. Czytelnik nie znajdzie w książce poukładanych historycznie wydarzeń ani z podróży autora, ani dziejów Ameryki Łacińskiej. Nie ma tutaj wyraźnego szlaku, po którym porusza się podróżnik, nie da się go wyznaczyć na mapie. Każdy z kolejnych rozdziałów jest niespodzianką, tajemnicą. Podobnie jak kontynent, na którym tajemnica czai się za zakrętem rzeki, załomem skalnym, na ścieżce wyciętej w dżungli, czy w spotkanym człowieku. Opowieści zdają się być obrazami Ameryki Południowej, pojawiającymi się, gdy człowiek-orzeł krąży nad ziemią głową w dół, przewiązany w pasie długim, mocnym powrozem, który zastępuje pasek, zataczając coraz szersze, coraz powolniejsze, coraz bardziej dostojne kręgi. „Ludzie chcą wiedzieć, jak było tam na górze i co stamtąd widzieli…" [1]. Roman Warszewski też chce wiedzieć, ba! on chce widzieć!

Pisarz-podróżnik rozpościera wielką mapę kontynentu albo otwiera powoli kolejne karty atlasu. Poszczególne miejsca zaznaczone są przez odkrycia archeologiczne, konkwistę, dziewiętnastowieczną emigrację z Europy, dwudziestowieczny terroryzm, indiańskie plemiona stroniące od cywilizacji, wioski bez prądu i doprowadzonych dróg, najwyższe szczyty Andów, ślady największych kultur Ameryki Południowej i Środkowej, pisarzy tutaj urodzonych albo tworzących na kontynencie, znajomych spotykanych podczas wieloletnich podróży autora i osób, które tylko zagościły w życiu Romana Warszewskiego, anonimowych i znanych z imienia.

Opowieści zawarte w „Pierwszej wojnie polsko-indiańskiej" przypominają trochę bajki. Morał z nich płynący bywa czasami głęboko ukryty, niejasny, osnuty tajemnicami, wymagający od czytelnika wysiłku, swojego rodzaju walki ze zdziwieniem w trakcie odkrywania meandrów Ameryki Łacińskiej. Innym razem pojawia się już w trakcie opowiadanej historii, bądź jest nieodłącznym towarzyszem podróży samego pisarza. Bywa też ich kilka, ponieważ Warszewski często snuje jednocześnie wiele opowiadań. Wyprawa pisarza nagle potrafi zmienić bohatera i wokół niego toczyć fabułę czy wątek. Wówczas dygresje zamieniają się z nimi miejscami. Owe puenty, prawie sentencje, konkluzje i refleksje tworzą przed czytelnikiem niezwykle szczegółowy obraz kontynentu, choć wydaje się z pozoru bardzo poszarpany, jakby w kawałkach. Często niezwykle smutnych i krwawych.

Wydaje się, że autor specjalnie odrzuca i omija powszechnie znane trasy wycieczek, wiadomości z przewodników turystycznych. Chyba tylko trzykrotnie poświęca swój czas, żeby odwiedzić takie okolice. Dwukrotnie pojawia się na literackim terytorium. Odwiedza wybrzeże, szukając w Callao baru „Katedra" Maria Vargasa Llosy. Zaczepia przechodniów, rozpytuje, w końcu otrzymuje instrukcje i krąży taksówką po placach i odbiegających od nich ciasnych uliczkach, w których kierowca boi się wysiąść z samochodu. „Katedrę" pokazuje palcem miejscowy: „- Został zlikwidowany. Był tam na rogu. Wiele razy spotykałem się tam z przyjaciółmi i piłem piwo. Teraz jest tam parking" [2]. Za drugim razem jest w Hawanie. Pieniądze otwierają kłódkę, odwijają łańcuch. Jednak strach przewodnika jest tak ogromny, że Finca Vigia tonie w ciemnościach, a zadośćuczynieniem za nie, bezpłatnym, jest chwila, której nie doświadczy nikt ze zwiedzających obecne muzeum: „- Jak chcesz, możesz jeszcze usiąść przy biurku, przy którym pisał listy. Bez dopłaty. Na nic innego nie ma już czasu" [3]. Ostatnia wyprawa, której cel jest znany nawet niespecjalnie zainteresowanemu Ameryką Łacińską czytelnikowi, dotyczy płaskowyżu Nazca. Ależ nie, Warszewski poprawia wielokrotnie, Nazca to równina. Do rysunków czytelnik dociera dopiero przez opowieść o Paulu Kosoku i Marii Reiche. Tam zatrzymuje się przy Erichu von Dänikenie i wysłuchuje rozmowy pisarza z Jorge o lataniu.

A potem zostają już tylko najwyższe szczyty, kultury sprzed pięciu tysięcy lat, petroglify, do których trzeba się przedrzeć selwą lub dostać po rzecznej mieliźnie najpłytszą z łódek, konkwistadorzy, demony w jeszcze niedawno niedostępnych górskich wioskach, Polacy karczujący lasy, Che Guevara i Świetlisty Szlak.

Peru sprzed blisko pięciu tysięcy lat to miejski ośrodek, położony ćwierć tysiąca kilometrów na północ od Limy. To tam późniejsza profesor na Uniwersytecie San Marcos w stolicy Peru konfrontuje się z mizoginizmem na gruncie odkryć archeologicznych, a opowieść o najstarszych piramidach w Ameryce Południowej przeradza się w historię peruwiańskich walk o koncesje na badania naukowe. Schodząc z tęczowego pięciotysięcznika, Warszewski kieruje się aż do Ayacucho, gdzie pod murami poprzedzającej Inków kultury Wari przypomina o walkach z konkwistadorami, co jest z kolei przyczyną do dwudziestowiecznej opowieści o wolności Ludzi Kamienia, młodej partyzantce i zemście Świetlistego Szlaku w postaci ośmiu tez wbijanych gwoździa-→

mi w ciało „wyzyskiwacza" i „kapitalisty". Spotkanie z demonem niepamięci miłośników literatury złości i przeraża. Jednakże o wiele groźniejsze złe duchy mieszkają w górskich wioskach. Dorosłe już dzieci ojców odpowiedzialnych za krwawe wydarzenia milczą, nie chcą pamiętać, ledwie wychylają się zza drzwi. Mimo tego aparaty fotograficzne w dłoniach przyjezdnych drżą a palce dziwnie blisko do siebie przywierają. Literatura i Sendero Luminoso poświęcone zostają na ołtarzu stanowiska archeologicznego sprzed czterech tysiąca lat. Ale fascynacja to tylko bardzo krótkie odwiedziny i szybkie strzelanie migawek. Dla autora i czytelnika niezwykłością jest podróż, którą zapewnia peruwiański rząd, przypominająca wyprawę z „Ceny strachu" Henri-Georgesa Clouzota, z tym że eksplozjom towarzyszą uderzenia głazów w karoserię samochodu, a pasażerom wydaje się, iż słyszą wystrzały z karabinów. Wytrwałość białego człowieka w przekraczaniu granic anekumeny doprowadza go wkroczenia na świętą górę w poszukiwaniu lodowca i współczesnych Indian najbliżej spokrewnionych z Inkami, z którymi spotkanie zaaranżowane zostaje podstępem.

Wędrówka przez Andy doprowadza do najwyższego szczytu w kolejnym kraju, Ekwadorze. Tam religią jest hiperwentylacja. Zamiast tęczy i oikoumene największą rolę odgrywa zmęczenie, wysiłek. Podróżnik nie zamierza składać w ofierze ani siebie, ani swoich okularów... Podobna historia przydarza mu się kilka tysięcy metrów niżej, po drugiej, wilgotnej stronie Andów, gdy szuka Warszewski szuka swojego El Dorado, największego petroglifu w peruwiańskiej Amazonii, docierając tam, gdzie nie stanęła stopa nawet Jana Kalinowskiego, założyciela parku Manú.

W Hawanie obok literatury leży drewno balsa. A raczej szybko znika, ponieważ „na Kubie (...) słowo balsa już dawno zaczęło oznaczać także nadzieję. Nadzieję pisaną przez wielkie N" [4]. Znika wraz z beczkami i wielkimi oponami, które ledwie mieszczą się w wąskiej uliczce prowadzącej do warsztatu, garażu, skąd przez wiele dni i nocy będzie słychać stukanie, piłowanie, wiercenie. Dla gringo z amerykańską wizą nadzieja nie zaczyna się od wielkiej litery, ciekawość zaś spada wprost proporcjonalnie do przechyłu tratwy.

Trzeciego wielkiego pisarza spotykamy w stolicy Kolumbii, Bogocie, gdy prawie traci maszynę do pisania, ale w nagrodę za strach Gabi zdobywa przyjaciela, El Commandante. Ale w Kolumbii, chociażby w piwiarni w Cartegenie de Indias, można posłuchać o wiele ciekawszych opowieści o literatach. Chociażby bardzo pikantnych plotek o sporze dwóch noblistów.

Pamiętajmy, że jesteśmy w Ameryce Łacińskiej, gdzie katolicyzm przyjął pod swoje opiekuńcze ramiona prekolumbijskie wierzenia. Albo odwrotnie. „(...) dla Latynosów jest tym samym, czym dla Europy Lourdes, Fatima czy Częstochowa. Jest miejscem najświętszym, osadzonym (...) w lokalnej historii i tradycji. To miejsce nieustających pielgrzymek i modlitw; miejsce, do którego w każdej godzinie zwracają się myśli i westchnienia milionów Latynosów" [5]. Nie trzeba tłumaczyć, kto jest tam Królową. Legendę, mit założycielski opowiada, jak przypowieści biblijne, sześcioro dzisiejszych apostołów. Ale w Meksyku władzę pełni nie tylko Matka z Guadelupe. Tam brakuje Tęczy z Kamienia, lodu i szczytu malowanego na biało. W czterech i pół tysiąca lat zamkniętych w drewnie władzę sprawują Quetzalcoatl, Tlaloc, Kukulcán, Tezcatlipoca, Coatlicue – bogowie i boginie, wojny, deszczu, śmierci. W Meksyku dwudziesty wiek to także malarka, jej Trocki i jej malarz w Błękitnym Domu z portretem Stalina. Jednak to krótka opowieść. Historię tworzą wojny, bitwy i rewolucje, masakry ludności cywilnej, rdzennych mieszkańców. Od Choluli, meksykańskiego Wounded Knee, po studencki październik roku 1968. Ale nie tylko Meksyk można zobaczyć w stolicy prekolumbijskiego ludu Totonaków, krążąc głową w dół, będąc „w połowie drogi, gdzieś pomiędzy, w podróżniczym bardo" [6].

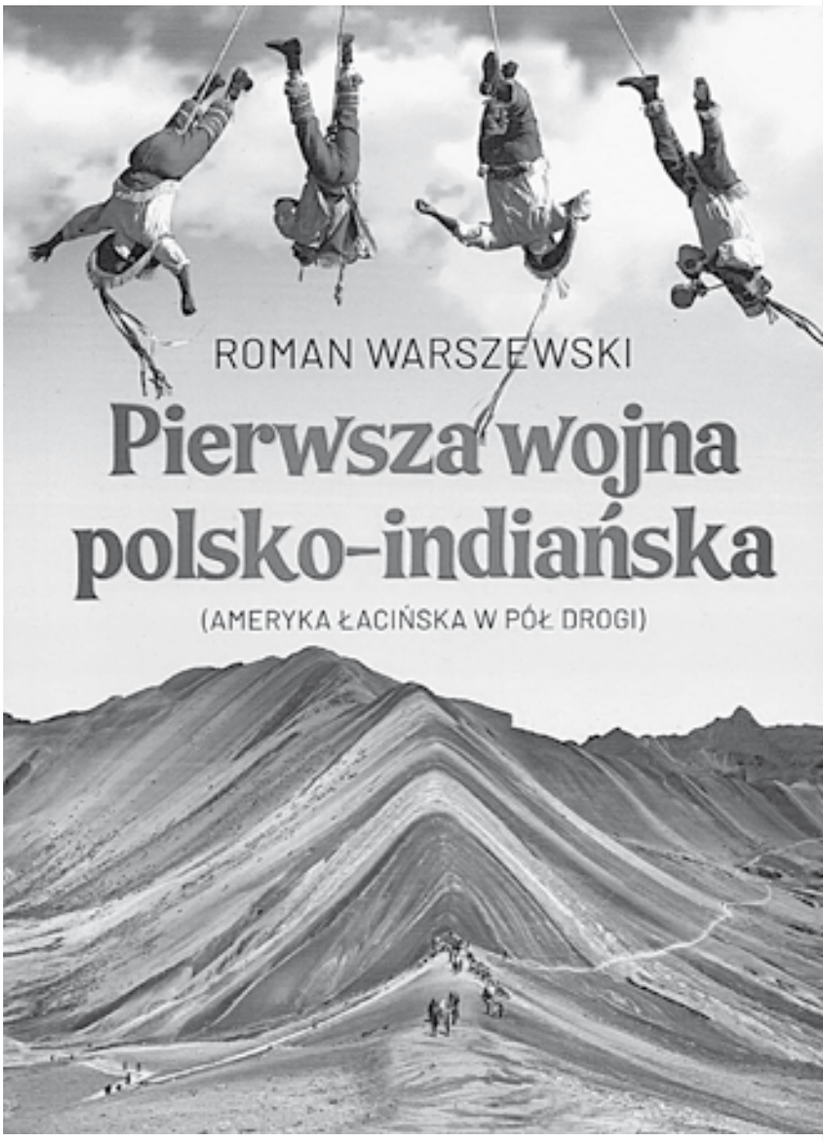


Przesmyk Panamski jest w „Pierwszej wojnie polsko-indiańskiej" drogą do Brazylii, tytułowego eseju książki Warszewskiego i Tomka Wilmowskiego „U źródeł Amazonki". Same cytaty z powieści Alfreda Szklarskiego są znamienne. Wpływają na zrozumienie, tolerancję, pewien wysiłek szukania argumentów po obu stronach konflikty, ale także na smutek związany z nieuchronnością losu Indian. Pojawia się więcej cytatów z literatury pięknej, wspomnieniowej i popularnonaukowej. Jak na opowieść, z której wynikł tytuł książki, należy podziwiać jego wnikliwość, ilość źródeł. Znakomity ukłon w stronę pierwszych polskich osiedleńców w Ameryce Południowej. Czy jednak złożony z absolutnym, bezgranicznym szacunkiem? Podwójny boliwijski esej poświęcony został rewolucjonistom Che Guevary, którzy umykając spadochroniarzom z selwy, trafiają wraz Romanem Warszewskim do Chile, gdzie Matilde, Matildita, Matildilita przedstawia Pablo Nerudę, tutaj - ironicznie i złośliwie udzielającego wywiadów. Chile jest także rozmodlone, konserwatywne, religijne i zamyka w domach seksualność. Na początku ostatniego roku dwudziestego wieku Arturo Torres i Jorge Cristi, a przede wszystkim odważna Daniela Tobar, udowodnili na sześć lat przed śmiercią Pinocheta, że Chilijczycy „chcą, by inne kwestie w ich życiu stały się równie jawne i przejrzyste, jak to, co działo się w szklanym domku. Powiedzieli w ten sposób, że chcą, by w ich kraju w końcu rozstąpiły się ciemne ściany, kurtyny i zasłony, które nadal skrywają tajemnice z czasów dyktatury" [7]. Niestety Argentyna również rozlicza się z dyktaturą. Warszewski nie wymienia z nazwiska generała i prezydenta. Tutaj przemawia ofiara i ona decyduje, kto jest najbardziej winnym, a komu przebacza.

Tak jak spod warstw ziemi, piasku, kamieni i roślinności wyłaniają się południowoamerykańskie zabytki archeologiczne, tak państwa kontynentu odsłaniają swoją mroczną przeszłość i wyciągają na światło dzienne przerażające epizody, które stały się podwalinami do powstania demokracji. Ofiary, kaci, przypadkowi świadkowie, podżegacze i otumanieni sprawcy zaczynają przemawiać, jeszcze cicho i nieskładnie, nie patrząc w stronę mogił, jeszcze widząc w zainteresowaniu przybyszów wtrącanie się w sprawy, które dotychczas nie oglądały światła dziennego. Następne pokolenia czasami nie potrafią albo nie chcą wskazać miejsc, które budują historię lokalną, kraju i kontynentu. Duma dopiero się budzi wraz z odsłanianiem kolejnych petroglifów i otwieraniem muzeów sławiących artystów, literatów, poetów, którzy się tutaj urodzili bądź postanowili zamieszkać. Granica ekumeny przesuwa się coraz dalej, obszary bez ingerencji cywilizacji stają mniejsze, podróżnicy i turyści spotykają się z bosymi Indianami na zboczach świętych gór. Roman Warszewski nie tylko z pokładu awionetki ogląda kontynent. Chce być jak orzeł-mewa Totonaków, przeżyć swoją „ El Cóndor Pasa" i później opisać to, co widział, usłyszał i odczuł całkiem już innym zmysłem w meksykańskiej Papantli.

***Jerzy Lengauer,***

„Historyczno-antropologiczne peregrynacje człowieka orła"

Roman Warszewski, „Pierwsza wojna polsko-indiańska (Ameryka Łacińska w pół drogi)"

Ryszard Biberstajn

# Dialog z cieniem

Rozmowy z tymi, którzy odeszli, mają w poezji długą tradycję, ugruntowaną i „zadekretowaną" ostatecznie przez romantyzm. Otwarcie na rzeczywistość zaświatów było przecież wpisane w jego program. Praktyka taka okazała się atrakcyjna z artystycznego i „duchowego" punktu widzenia. Ksiądz Józef Tischner powiedział, że *To wielka, piękna rozmowa: żywi rozmawiają z umarłymi. W tej rozmowie okazuje się, że ci, co umarli, często są bardziej żywi, niż ci, którzy pozostali przy życiu*.

Rzeczywiście coś w tym jest niezwykle ponętnego; owa próba, wcale nie beznadziejna, przekraczania granic – wydawałoby się – ostatecznych. Czyż potrzeba lepszego potwierdzenia tezy o zbawczej roli poezji?

Z takiego założenia zdaje się wychodzić Izabela Fietkiewicz-Paszek, prezentując czytelnikowi najnowszy zbiór wierszy *Koniec srebrnej nitki*. W głównej części tomu to 22 sonety, utrzymane w bardzo osobistym tonie, z wkomponowanym *ja* lirycznym, „przenikającym" poszczególne wiersze, i rzeczywistym bohaterem, z którym poetka toczy ów szczególny dialog (a raczej monolog kierowany do adresata). Otwiera się przed czytelnikiem galeria postaci blisko związanych z Kaliszem (często jako miejscem urodzenia). Sama autorka jest zresztą kaliszanką i widać, że z tym „miastem średniej wielkości" (jak pisał w jednym z utworów Marek Brymora) się utożsamia. A przecież nie jest to relacja łatwa. Poetka dotyka historii i bolesnych spraw w nią wpisanych. To pożar miasta, lata okupacji… Typowe dla miast pogranicza rozdarcie kulturowe, ale i bogactwo wynikające z mieszania się różnych tradycji i obyczajów.

Na kartach tomu *Koniec srebrnej nitki* spotykają się postaci znane powszechnie, jak oczywiście Adam Asnyk, Maria Dąbrowska czy Maria Konopnicka, ale także osoby znane nieco mniej, a przecież współtworzące kulturową i historyczną tożsamość Kalisza. Literaci, dziennikarze, malarze, dramaturdzy, animatorzy kultury, regionaliści, lekarze, prawnicy itp. Są wśród nich Żydzi, którzy wraz z całą społecznością żydowską stanowili o kulturowym kolorycie miasta (Łucja Gliksman – poetka pisząca w języku polskim, tłumaczka, historyk literatury; Roza Jakubowicz – poetka pisząca w jidysz, redaktorka gazety „Jidisze Wochenblat"; Meir Pakentreger – poeta i pisarz tworzący w jidysz; Herszel Solnik – poeta i żydowski działacz społeczny). Wszystkich łączy wspólny mianownik; to ludzie pióra, jakkolwiek pretensjonalnie to brzmi.

Dialog Fietkiewicz-Paszek z tymi, którzy odeszli, jest pełen szacunku dla wkładu, jaki wnieśli w klimat i rozwój miasta. Stąd liczne przywołania (fragmenty ich tekstów, wypowiedzi, dzieł) inkrustujące wiersze i zaznaczone kursywą. Razem z autorskimi „komentarzami" tworzą „wręcz portrety psychologiczne z celną diagnozą!" – jak pisze Jarosław Trześniewski-Kwiecień. Dlatego zawsze w tym dialogu obecna jest – jakże wyraziście – ona, poetka współczesna, czuła obserwatorka, empatyczna współuczestniczka losów i wyborów życiowych swoich „rozmówców". Kreatorka ani przez chwilę niezapominająca o tym, że to ona właśnie przywraca pamięć i niejako stwarza swoich bohaterów na nowo. W ślad za tym idzie perspektywa – szczególne wiecznotrwanie, wplecione w cykl życia. Nie bez powodu o Tadeuszu Petrykowskim poetka mówi: *widzę, jak spaceruje pochylona postać. / Uśmiecha się, pozdrawia, choć wiem, że za chwilę / zniknie. Wróci, znów zniknie. I tak już bez końca*.

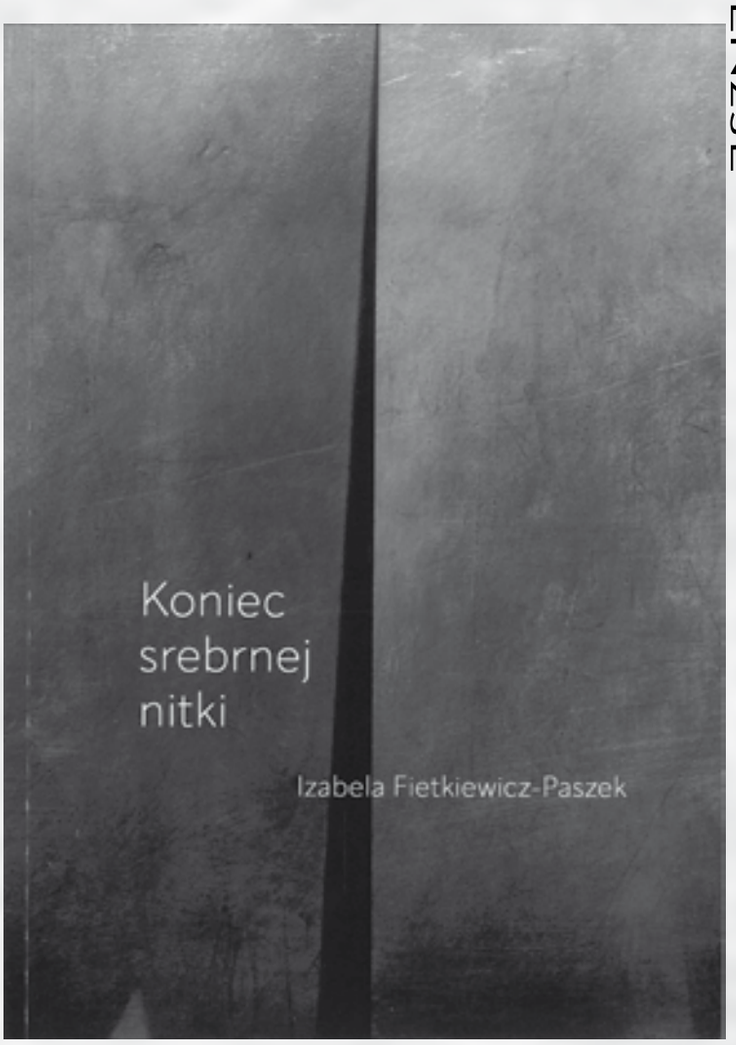


Ten niespieszny dialog wyznaczany jest przez rytm snu, na co zwraca uwagę autorka posłowia. Chociaż dramatyczne były losy wielu bohaterów tych sonetów, zostały one owiane somnambulicznym tchnieniem. Anna Tabaka pisze, że *Sny dla tego cyklu są bardzo ważne. Zakreślają czasoprzestrzeń, otulają słowa, wyznaczają miejsce spotkania za wodami Lety*. Zatem śnić Kalisz to nie to samo, co stawiać pomniki. Wręcz odwrotnie; jeśli nie ma logicznego dowodu, że sny są mniej prawdziwe od tzw. rzeczywistości realnej, wówczas można spojrzeć na sonety Fietkiewicz-Paszek z perspektywy ocalającej roli poezji, przywracającej pamięć – owszem, jednostkową, bo tylko taka jest dostępna poetom, ale też taka okazuje się najistotniejsza. To, co nazywamy pamięcią zbiorową, jest przecież tej pierwszej implikacją.

Tom zamyka Aneks, zawierający 8 sonetów, napisanych do spektaklu *Najtrudniej podobno pisać o samym sobie. Adam Asnyk do Franciszka Kvapila*. Poezja roli w czystym wydaniu, kierowana do Asnyka. Matka, ojciec, syn, Helena Modrzejewska, Lucyna Kotarbińska, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Jerzy Jarnuszkiewicz, wreszcie Adam Asnyk do Jarnuszkiewicza. Wszystko utrzymane w rygorach gatunku, rzadko obecnie uprawianego (swego rodzaju wyjątkiem jest tu Krystyna Konecka, poetka z Białegostoku).

Pomimo autorskiej dbałości o formę tych wierszy, nie ma się wrażenia gorsetu. Przeciwnie – przy gatunkowych wymogach (wszystko napisane trzynastozgłoskowcem), Fietkiewicz-Paszek z lekkością (zapewne okupioną sporym trudem) prowadzi czytelnika po meandrach życia swoich bohaterów. Poetycki dialog odbywa się z jednej strony z oczywistym dystansem, a z drugiej – z czułością w takim sensie, jaki nakreśliła Olga Tokarczuk w swej mowie noblowskiej: *Pojawia się tam, gdzie z uwagą i skupieniem zaglądamy w drugi byt, w to, co nie jest „ja"*. Taka postawa wydaje się konieczna, by stworzyć cykl o właściwej temperaturze. Bo też wiersze te emanują ciepłem, także próbą zrozumienia uwarunkowań historycznych i biograficznych. W takim zakresie, w jakim jest to tylko możliwe.

Całość tomu Izabeli Fietkiewicz-Paszek opatrzona została w niemal bibliofilską szatę edytorską. Trudno tu mówić tylko o ilustracjach Jarka Wójcika. Reprodukcje jego obrazów stanowią przecież równorzędną (w stosunku do tekstu) wartość książki. Mieszkający w Australii artysta i poetka z Kalisza spotkali się w *Końcu srebrnej nitki* jak partnerzy, a to za sprawą Marii Kuczary, która jest sprawczynią projektu typograficznego, opracowania graficznego i składu. Dzieło zatem jest skończone w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Może też jest dowodem na to, że w literaturę warto inwestować, bo teksty tu pomieszczone powstały w ramach Programu „Goście Radziwiłłów", a sfinalizowanie ich wydania było możliwe dzięki stypendium Marszałka Województwa Wielkopolskiego i finansowemu wsparciu Urzędu Miasta Kalisza.

Dorobek literacki Izabeli Fietkiewicz-Paszek jest dość skromny (cztery wydane książki), lecz bardzo znaczący. Autorka to laureatka kilku ważnych nagród, w tym w 2021 r. została finalistką Orfeusza – Nagrody Poetyckiej im. K. I. Gałczyńskiego za tom *Lipiec na Białorusi*.

***Ryszard Biberstajn***

Izabela Fietkiewicz-Paszek, *Koniec srebrnej nitki*. Zaułek Wydawniczy „Pomyłka", Tanowo 2022, ss. 68.

# Wujek Maks – czyja to rodzina?

Andrzej Wołosewicz

Porównania są niedobre a delikatniej mówiąc – bywają niedobre, czasami fałszywe a nawet niebezpieczne. Piszę o tym na początku mojej lektury „Wujka Maksa i tajemnicy czasu" Cezarego Sikorskiego, książki wydanej wspólnym staraniem Wydawnictwa Zaułek Wydawniczy Pomyłka i Fundacji Światło Literatury (Gdańsk-Tarnowo 2022), bo… porównanie od razu przyszło mi do głowy. Od razu tzn. po pierwszych dwóch akapitach! I co ja mam począć skoro przyszło? Muszę je objaśnić, ale najpierw dajmy te dwa akapity:

„W całej tej historii najmniej ważne jest nazewnictwo. By jednak nie pomniejszać wagi prostych słów, które mogą prowadzić do sedna, należałoby przypomnieć, że brata babki jeszcze niedawno określano niezbyt poważnym terminem *wielki wuj* lub *stary wuj,* a zaraniej powiadano o nim - za przeproszeniem – *przedwieć*.

Tak też – mało elegancko – należało nazywać Maksa, gdyby nie to, że jego przynależność do czasu, który poddaje się zrozumieniu, jest mało prawdopodobna, jak i wszelaka pospólność przestrzeni. Lepiej zatem pozostać przy takiej formie, która wnosi niewiele, lecz przynajmniej nie razi. Z tej to właśnie przyczyny niechaj mu będzie *hic et nunc* po prostu – wuj."

Dlaczego zaczynam od porównania? Oczywiście dlatego – najprościej pisząc – ze mi przyszło do głowy, ale także dlatego, że jest… dość „puste", bo dopiero wypełniam je treścią. To pierwsze porównanie dotyczy dziwnej *gęstości* tekstu, dziwnej, bo właściwie nic się jeszcze nie zdarzyło a poczułem się wprowadzony w jakąś plątaninę dwóch porządków: fabularnego/literackiego i jakiegoś filozoficznego/metafizycznego odsyłającego od słów do rzeczy, gdzie „rzeczami" są osoby ledwo przywołane:

- brat matki/wuj Maks,

- no i – skoro – „brat matki", to ktoś, kto o nim to mówi. Kto?

Zobaczcie Państwo, dwa akapity a ile już pytań! A to nie wszystkie, jeśli idzie o zasygnalizowaną *gęstość*, bo oto mamy zdanie otwierające opowieść: „W całej tej historii najmniej ważne jest nazewnictwo.". To jakże to, słowo, tekst, literatura właśnie nazywają! I jeszcze to; „Tak też – mało elegancko – należałoby nazwać Maksa, gdyby nie to, że jego przynależność do czasu, który poddaje się zrozumieniu jest równie mało prawdopodobna, jak i wszelaka pospolitość przestrzeni." „Otrzymujemy" Maksa, jeszcze go nie znając, w przedziwnej konfiguracji czasu *„poddającego się zrozumieniu" i „przestrzeni" o cechach…. pospolitości. Myślał ktoś kiedyś tak o przestrzeni?* Ja nie przypominam sobie, chyba, że Maks albo Sikorski.

Ta *gęstość*, by dać chwilowo sobie i czytelnikowi od niej odpocząć, przywodzi mi na myśl „Zaślubiny" i „Lato", dwa zbiory esejów - tak przynajmniej nazwane przez wydawcę – Alberta Camus. Odsyłam do nich. Odsyłam tez do pierwszych dwóch zdań „Józefa i jego braci" Thomasa Manna: „Głęboka jest studnia przeszłości. Czyż nie należałoby nazwać ją bezdenną?" Tu tylko podstawiam w miejsce mannowskiej *przestrzeni - czas* Sikorskiego. Mało to jak na dwa akapity otwierające „Wujka Maksa i tajemnicę czasu"? To czytajmy dalej.

Co jest tak wciągające w opowieści Sikorskiego? Nie fabuła, przynajmniej nie teraz, bo jestem ledwie na 11 stronie i fabuła niewiele się rozwinęła i nie wiem, czy się rozwinie, i – prawdę pisząc – przestało mnie to interesować, bo wciągnięty zostałem nie przez fabułę a przez swoje odkrycie „lepiszcza", czyli tego, co mnie do czytanego tekstu przyspawało – otóż Cezary w ł a m a ł s i ę między swoich bohaterów, między występujące postaci a i c h ś w i a t. O czym myślę? O tym, że na ogół bohaterowie są w jakimś świecie, działają, doznają itd., i my się o tym dowiadujemy a tu ten świat jest jakoś od nich… odsunięty! Są w pewnym trudnym do nazwania i wysłowienia terytorium między sobą a swoim światem. Cokolwiek tutaj się dzieje, dzieje się w większości nie w realnym (dla nas realnym, rzeczywistym świecie) tylko jest filtrowane przez świat bohaterów: dowiem się o tym, że Maks przemieścił się z Ameryki do Europy albo z Antwerpii do Heidelbergu (a potem dalej), czy, że przespał się z Klarą, wiem, dowiaduję się nie z opisu narratora tylko z sytuacji jak ją widzi Maks, choć to wszak narrator (Sikorski) prowadzi nas przez stronice książki. Włamanie się do przestrzeni między swoich bohaterów a ich świat dokonuje się u Sikorskiego poprzez c z a s o w o ś ć (nie mam na nie lepszego określenia). To tu usadowił się Sikorski ze swoim u c z a s o w i e n i e m: tak jakby między mnie-czytelnika i swoich bohaterów wstawił ów filtr c z a s o w o ś c i przez co niejako spowolnił, a w pewnych sytuacjach czy w pewnym sensie nawet te losy, całą fabułę unieważniał a przynajmniej czynił wtórną wobec innej tkanki, z której tka tę swoją opowieść – wobec tego, co słychać w tytule: tajemnica czasu. Cokolwiek się tutaj dzieje, mniej dzieje się w warstwie fabularnej a bardziej w owej c z a s o w o ś c i, przez która autor przepuszcza fabularne losy bohaterów i moje czytanie. Może właśnie są bardziej w czasie niż w przestrzeni? Może to jest ta tajemnica sygnalizowana w tytule?

Dla mnie są tu jakby dwie narracje, ale nie na poziomie tekstu (który jest cholernie spójny), lecz na poziomie mojego odbioru. Przypomina mi się Tzvetan Todorov ze swoim powiedzeniem, że literatura to piknik, na który autor przynosi słowa a czytelnik sens, więc - pisząc szczerze – mało mnie interesuje, co Cezary tu przyniósł (jak by to paradoksalnie nie brzmiało), bo szybko o tym zapominam zagłębiając się w to, co ja tu wyczytuję. Być może teraz jaśniejsze są te moje początkowe deliberacje nad pierwszymi dwoma akapitami. Żeby podać jeszcze jedne ilustracyjny przykład, przykład tytułowego c z a s u. U Sikorskiego czas jest oderwany od przestrzeni a właściwie jej przeciwstawny albo nawet uwolniony od przestrzeni i to się świetnie czytelniczo absorbuje, czyta, nawet, gdy ja jestem bardziej przestrzenny a nie czasowy: moje dzieciństwo jest smakiem zupy mlecznej z ziemniakami (jedliście coś takiego?) na biednym pograniczu polsko-litewskim, a pierwsze inicjacje seksualne… no nie, za dużo chcielibyście wiedzieć, akurat o seksualności piękniej poczytacie w „Wujku Maksie i tajemnicy czasu". Wróćmy jednak do samego czasu. Trochę jest tu jak u św. Augustyna, gdy rozciągnięty czas (przeszłość *versus* przyszłość) właściwie nie istnieje albo zostaje w wiecznym *teraz*, więc gdy Sikorski wszystko tu robi, że tak powiem, wbrew mnie (czasowość a nie przestrzenność), to mi się…. wspaniale czyta, myśli. To mnie fascynuje , inspiruje. Choćby scena spotkania Maksa z Ezechielem na dworcu kolejowym we Lwowie przy rozładunku węgla gdy Maks udziela mu wyjaśnienia, jak to „porcjami" węgla policzyć…. nieskończoność! Ich dialogi niczym rozmowy Settembriniego z Naphtą w *Czarodziejskiej górze*. Tu – w moim czytaniu, cały czas to podkreślam, w moim układaniu słów z przyniesionych przez Cezarego Sikorskiego – znajduję przesłanie, odpowiedź dla św. Augustyna, który nie mógł sobie z *czasem* poradzić twierdząc, że gdy nikt go oń nie pyta, to wie, co to jest, ale zapytany, nie umie wyjaśnić, odpowiedzieć. Otóż św. Augustynie, poczytaj sobie Sikorskiego, jeśli możesz, bo Cezary nazywa i pokazuje to, czemuś się zdumiewał zapytany o *Czas*.

Mówiłem o dwóch narracjach. Teraz rozszerzam swoją opowieść o narrację trzecią ponieważ jestem mądrzejszy o lekturę kolejnej części książki zatytułowanej „Ojciec albo o niczym". Jeśli od tej części dominuje – w pewnym sensie – punkt widzenia ojca (ojciec to, ojciec tamto), to czy narratorem jest syn? Chyba tak, bo gdyby był to ktoś zewnętrzny, choćby Sikorski, to (częściej) mielibyśmy formę *ten a ten* itd. Czyli są partie tekstu, w których narratorem jest ktoś z *wewnątrz* tekstu, to on domaga się uwagi.

I oczywiście jest narracja tej enigmatycznej postaci jaką zawsze jest autor widniejący na okładce każdej książki, ów w tym wypadku Cezary Sikorski, który – jako autor – trochę przypomina *Ojca* ze swojej książki, a przypomina w tym, że opis ojca, jego pojawienie się, jest charakteryzowane – zobaczmy jak – „Wiele dróg prowadzi od słowa do słowa. Jawnych i skrytych. Ponętnych i prostych – trudnych i zawiłych. Nie inaczej łączy się proste słowo *ojciec* ze studnią pojęć życia. Ojciec jest płodny. Ojciec kreuje. Nie tylko nas. Wszystko, co żyje. Cały świat, jego dobro i zło, porządek i rozgardiasz. A potem wciąż walczy, by ochronić przed chaosem swoje jestestwo. Ma to, na co zasłużył."(s. 69) I nie bez znaczenia jest tu owo pierwotne *Ojcostwo*, to znane nam z *ceratio ex nihilo*.

Oczywiście nie znam psychologii pisania tekstu, który tu omawiam (choć na spotkaniu w dniu 18 stycznia b.r. autor odsłonił ją nieco, ale to był przywilej dla nas tam obecnych), podejrzewam jednak - dlatego piszę o *enigmatyczności* autora z okładki – że mam(y) trudność z jego tekstową identyfikacją: jest, a jakoby go nie było! Pisać więc o autorze, to jakby pisać o *niczym*! Doprawdy zawiłe to wszystko. Na tyle zawiłe, że trzeba pokazać trzecią narrację. Mam na myśli „drzewo genealogiczne" postaci występujących w tekście. „Drzewo genealogiczne" daję w cudzysłowie, bo idzie w nim nie tylko o faktyczne więzy krwi ale i o genealogie intelektualną, w której ważni są wujek Maks, Ezechiel. Klara czy inni powiązani więzami rodzinnymi.

Skoro jesteśmy przy występujących postaciach, to może coś o fabule? O fabułę zapytajcie Maksa albo Sikorskiego, jeśli zechcą wam ja opowiedzieć, a warto jej posłuchać – to powłóczyste spojrzenie Sikorskiego od Europy do Ameryki i z powrotem, spojrzenie rozciągnięte na kilkadziesiąt lat, ten nie wymieniony z nazwy Wrocław, o którym warto czytać z mapą ulic w ręku i te opisy powojnia! Czytajcie, rozkoszujcie się, bo nie wiem kiedy i gdzie znajdziecie lepsze.

Jeszcze słowo o samej l i t e r a c k o ś c i, o języku Sikorskiego. Nie ma tu dłużyzn, zgrzytów językowych, pułapek, w które wpadający czytelnik pytałby – ale o co chodzi? Tu jest p o r a ż a j ą c a doskonałość językowa, leksykalna, fonetyczna, brzmieniowo-uczuciowa, że aż wierzyć się nie chce, że można w ten sposób przez ponad 200 stron pisać! A – po kolejne – ta wartkość, bezbłędność jakoś współgra z wcale nie łatwą intelektualną nicią tekstu, który błyszczy wyrafinowaną filozoficznością, który tą filozoficznością jest przesiąknięty od początku do końca, a właściwie na niej jest w całości zbudowany. Nie ma tu połączenia filozofii z literaturą – tu jest ich wzajemne przenikanie. Ale jak mu się to udało – pytajcie samego autora czytając książkę. Sami szukajcie swojej układanki ze słów przyniesionych przez Cezarego. Tym tekstem warto też pobawić się, dać sobie radość, po to w końcu jesteśmy do lektury zapraszani: aby radować się, zaciekawiać. Inaczej nie warto zajmować się literaturą. „Wujek Maks i tajemnica czasu" daje do tego znakomitą okazję, choć mieliśmy – na wieczorze autorskim - kłopot z identyfikacją samej formy: saga to?, esej?, opowiadanie?, powieść?, a może przypowieść? Marek Wawrzkiewicz nie odpowiedział choć to on postawił te pytania. I nie zgodził się z moja sugestią, że to rozmowa Cezarego Sikorskiego z samym sobą, bo… nie ma takiego gatunku. No to teraz już jest!

***Andrzej Wołosewicz***

Elżbieta Musiał

# Nieco o prowokacjach artystycznych Szczęsnego Wrońskiego Czyli co zaczynił Wroński

Szczęsny Wroński. Jest w nim więcej poety, prozaika czy performera? Zapracował też na miano kreatora kultury. Żadnej z tych dyspozycji twórczych nie sposób umniejszyć, wszystkie budują jego artystyczną osobowość. Ba, wzajemnie się przenikają. Temperament performera daje się zauważyć nie tylko w scenicznych działaniach, a tych ma na koncie wiele, ale też w jego prozie, a nawet w wierszach. Tak operuje słowem, by uobecniało spontaniczny ruch wynikły z niepokornego ducha i niepodległego. U Wrońskiego jest ono równoważne z zebranym doświadczeniem i jednoczesnym doświadczaniem słowa w chwili jego działania się, gdyż stanowi narzędzie obserwacji nakierowane między innymi na rozumienie i odnalezienie siebie i własnej rzeczywistości. Ale słowo to również tworzywo i świetne pole do prowadzenia doświadczeń; *„jakby róża / miała wyniknąć / spomiędzy palców / zaistnieć / w porach skóry / zasilić sokami / krew" (wiersz „39" z t. „Zaczyn", s. 63)*. Słowo – czy to pisane, czy artykułowane – w założeniach tego twórcy ma potencjał aktu, więc aktem się staje.

twardym być
jak komin
Mount Blanc
z monologiem
na przekór
ze środka trzewi
trzasnąć by
się rozeszło
w grzmot ulewę
lawy skowyt
przetaczający się
w litery schody
do

***(„43", z t. „Zaczyn", s. 69)***

Ileż w tym wierszu nagłości, ruchu i buntu. Zupełnie jakby sam wiersz miał ruszyć z posad i ruszyć bryłę z posad świata, jak w *„Odzie do młodości"* A. Mickiewicza. Jednak, aby zaistniał ruch, muszą pojawić się czynniki inicjujące, czyli jakieś – nazwijmy to – performery. Typuję, że polot twórczy Szczęsnego Wrońskiego rozbudziły (w bardzo ogólnym ujęciu) niezgoda na zastany porządek, negacja narzuconych wzorców, bunt i wolnościowe ciągoty. Uzmysłowiła mi to jego powieść „**Wolna miłość**" z 2000 roku (wchodzi w skład trylogii, obok „Praktyk" i „Konsultantów"). Wyraźnie zaakcentowany został tam młodzieńczy bunt Piotra, bohatera, który wynikał ze sprzeciwu wobec peerelowskiej rzeczywistości, w której wolność jednostki była pragnieniem. Postać Piotra naznaczona jest buntem. Piotr jest chodzącym buntem. Gdy prześledzimy ciąg zdarzeń „od czynu do czynu", w całej jaskrawości zobaczymy niepohamowaną chęć wolności, której bohater szukać będzie w hippisowskiej wspólnocie, bo taka stanęła mu na drodze.

*Przecież nic złego się nie dzieje. Niech panowie popatrzą, wszyscy są zadowoleni i trzeźwi. Czy nie takich obywateli potrzebuje Polska Ludowa? – Na pewno nie takich obszarpańców.*

*– Ubóstwo nie jest przestępstwem*

*– Ale to jest manifestacja.*

*– Przeciwko czemu?*

*– To my jesteśmy od zadawania pytań.–*

*Tak, to jest manifestacja – szczebiotała Mara – przeciwko temu smutnemu faktowi, że ludzie nie dostrzegają na co dzień drugich ludzi, odwracają się od siebie. A przecież zgodzicie się panowie, że najważniejsza w życiu jest miłość, ale dlaczego jej tak mało? Moglibyście nam trochę pomóc, użyć swojego autorytetu i namówić ludzi, a nawet im nakazać, żeby się bardziej kochali… Najlepiej zacząć od dzisiaj […] byłby to najnowocześniejszy styl milicyjnego działania, pionierski w skali światowej. Wtedy ludzie pokochaliby was jeszcze bardziej…* („Wolna miłość")

Już choćby powyższy cytat ukazuje złożoność zapętleń jednostki w systemie i jej niezgodę na jarzmo systemu. Ale ten passus jest niezwykle poukładany w „rozpędzonej" powieści. Takich urywków porządkujących treści i trzymających w ryzach całość w utworze jest oczywiście więcej. Zbierają sensy, urealniają i scalają przekaz oraz czuwają nad komunikatywnością. Są niezwykle pomocne, jako że powieść najeżona jest dynamicznie biegnącymi zdarzeniami, a niektóre z nich dzieją się na „peryferiach życia" i jakiegoś obłędu. Oczywiście ów obłęd sugeruje pogubienie się młodego człowieka w pędzie po wolność, ale też obnaża twórczą ekspresję autora. Podskórnie czujemy ją też w narkotycznych wizjach i halucynacjach bohatera utworu. Czytelnik wraz nim wpada w wir uporczywych fragmentarycznych przywidzeń i zmieniających się jak w kalejdoskopie przeskoków doznań. Sam Szczęsny Wroński ten rodzaj narracji nazwał myślowirami (w rozmowie ze Stanisławem Nyczajem). I choć w literaturze znajdziemy mniej lub bardziej podobne sposoby „upamiętniania psychodelicznych chwil", które wymykają się zwykłemu opisowi (choćby „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną" D. Masłowskiej) – to te Wrońskiego należą do szczególnie uderzających, pisanych „ze środka trzewi".

*Coś uniosło go do góry – świetliste oszalałe świdry zbliżyły się do rozkrzyżowanych rąk, przeszywający ból targnął ciałem i z ciemności wyłoniła się szkarłatna trupia twarz i … ręka…Ból jakby zelżał… Piotr podniósł głowę i dotknął językiem popękanych warg… Może to Bóg Ojciec albo któryś z jego sług. Wyszeptał błagalnie:*

*– Daj mi choć odrobinę wody, Panie.*

*Trupia twarz wżerała się w niego oczami jak świdry, Piotr chciał splunąć w te ślepia, ale język miał suchy jak wiór i jeszcze te nogi, jakby je ktoś poobcinał i… broczące krwią ręce… ten straszny dochodzący nie wiadomo skąd śmiech, który dobijał…* („Wolna miłość")

Myślę, że takie obrazowanie już samo w sobie jest przejawem performerskich inklinacji. Owej chęci przesuwania funkcji słowa leżącego na papierze w kierunku „coś się dzieje" i to bez mała na oczach widzów. Dodam, że niektóre wątki powieści

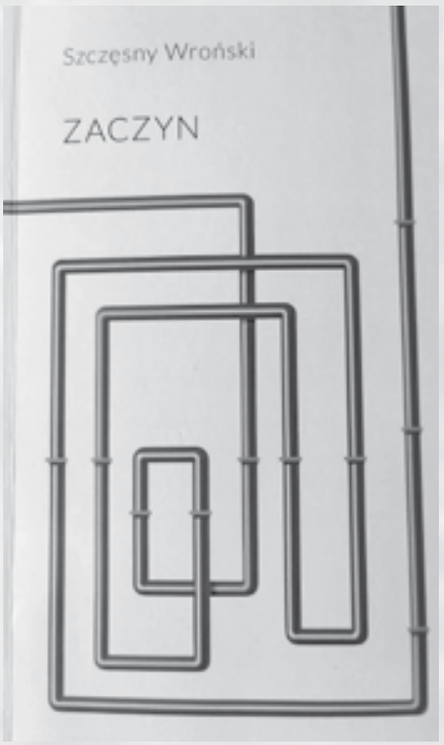


są autobiograficzne, co przyznaje sam autor. To może kojarzyć się z „życiopisaniem" Stachury. Wroński również konfrontuje życie ze słowem pisanym i robi to nie tylko z pobudek twórczych, ale też dla uporania się z emocjami i uporządkowania doświadczeń. Pomocne w tym są praktyki poetyckie i powieściopisarskie prowadzące do przewartościowania postaw; *„potrzeba wymiany noża na słowo"*.

przejść
do siebie
od siebie
gdzie jeszcze
jest
potrzeba
wymiany
noża
na słowo

to
co
jest

***(„27", z t. „Zaczyn", s. 50)***

Puentą wiersza, a raczej otwarciem na głębię rozmyślań są trzy słowa „to co jest" – oznaczają po grecku *onto*. Dostajemy więc wyraźny sygnał, jakich wymiarów sięgają rozważania (ontologia). Wroński eksploruje słowo na różnych płaszczyznach i polach. Filozoficznym i czysto ludzkim dociekaniom o istocie bytu towarzyszą jeszcze prowokacje językowe. W „Wolnej miłości" stany nieopowiadalne (psychodeliczne wizje) chce uwolnić od przykładnych opisów i akcenty kładzie na odczuwanie. W wierszach najnowszego tomiku **„Zaczyn"** wstuchuje się→

w słowa, jakby rozbrajał je do pojedynczych liter. Albo rozsypywał i na nowo po swojemu organizował. Widać to nawet w samym zapisie. Z upodobaniem stosuje dekonstrukcje – a nuż ujawnią się utajone sensy. I znajduje je, i podaje w oprawie konceptualnej, bez metaforyzacji; *„to może szansą ocalenia jest zrozumieć „z" które scala"* („Z", z t. „Zaczyn", s. 58).

stawiam litery i słowa
wychodzą ze mnie obce

nie zdążyły się oswoić
we mnie ani poza mną

bo co to właściwie znaczy
i gdzie jest ta granica

bo jeśli jej nie ma
to cały ten ruch jest fikcją

która nawet nie boli
***(„II", z t. „Zaczyn", s. 10)***

Jaką „granicę" miał na myśli poeta? Warto się nad tym zastanowić. Wtedy siłą rzeczy zadamy sobie pytanie: czym w ogóle jest granica i gdzie ona jest, we mnie czy poza mną? Kto mi ją narzuca? Czy granica ogranicza? A może prowokuje do czynu, ruchu? Można rzec, niezły „zaczyn" uczynił nam autor. I otóż dochodzimy do wniosku, że „granica" dla każdego z nas może być czymś innym. Wystarczy, że każdy użyje swojego „szkiełka i oka" lub spojrzy na postawiony problem a to przez pryzmat polityczny, a to moralny albo ontologiczny. Tak więc znów Wroński użył z premedytacją performerskiego chwytu, a nasze „wstąpienie w wiersz" jest niczym innym jak intelektualnym uczestnictwem w wierszu i indywidualnym. I jest to bez wątpienia kolejna wartość tego utworu, oprócz – rzecz jasna – niebagatelnej problematyki, jaką wnosi.

Szczęsny Wroński w działaniach twórczych często wykorzystuje prowokację artystyczną. Ten manewr wykształcił na tyle dobrze, że gotowi jesteśmy uznać, iż prowokacja leży w jego naturze. Oczywiście jedno drugiego nie wyklucza. Co by nie powiedzieć, artysta obrał kierunek kreatywności performatywnej. A trend ten (ku medialności) coraz powszechniej stosowany jest w rozwoju sztuk. „Zwrot performatywny" to dziś znak czasu.

a może to ja
jestem
zacierką dnia

Powyższy wiersz o tytule „43" również pochodzi z tomiku **„Zaczyn"**. Poeta nie pyta, co go spotka danego dnia. On chce zobaczyć w sobie sprawcę dnia. Tak zinterpretowałam przekaz, bo nie trudno zauważyć, że i tym razem miejsce bohatera lirycznego zajął performer.

W internecie znalazłam ślad dającej do myślenia prowokacji artystycznej, kiedy to autor i aktor Wroński sprawdzał, jak słowo przylega do pewnych okoliczności. Podczas swojego spotkania autorskiego w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach skandował wiersz. Oczywiście to nie stanowiłoby sytuacji nadzwyczajnej, gdyby nie fakt, że wcześniej zachęcił publiczność do powstania z miejsc i luźnych rozmów, a sam wtopił się w tło i budował to tło. Poezję wyprowadził tym samym ze sceny i wmontował w „gwar foyer". Zdjął ją z piedestału i zbliżył do „zwykłości". Działanie artystyczne jak najbardziej łamało konwencję i kazało się zastanowić nad motywacją takiego przekazu. Czyli? Słowo poetyckie jako jedno z wielu słów? Słowo, które zgromadziło ludzi i jest narzędziem nie tylko komunikacji, ale i „dziania się"? Słowo, które „z" ciałem się staje?

fot. Aga Sabat

Gdy już weźmie się pod lupę poczynania artystyczne Szczęsnego Wrońskiego, wtedy da się zauważyć, że na jego postawę artystyczną miało wpływ wiele czynników i zależności. Od uwarunkowań społeczno-politycznych po „kształt wewnętrzny", który jest nie do przecenienia. Ale bez pielęgnowania zasobów twórczych nie byłaby możliwa cała ta artystyczna sprawczość sceniczna i językowe kreacje z osobistym piętnem. Spektrum działań jest spore. Dla porządku dodam, że Szczęsny Wroński nie ograniczał się do uprawiania poezji, powieściopisarstwa i dramatopisarstwa, sprawdzał się między innymi jako asystent reżysera w Teatrze STU w Krakowie, współtworzył też Teatr Dialog (kierownik literacki, aktor i reżyser). Był leaderem formacji teatralnych i rockowych, stąd wziął się przydomek „poeta o duszy rockmena". Jako artysta multimedialny znany jest w środowisku krakowskim i kieleckim, gdzie promuje literaturę, realizuje spektakle i wydarzenia pod szyldem Teatru Promocji Poezji. W ramach tego Teatru również moje poematy „Mówię pochyloną cambrią" poddał dramaturgicznej próbie. Nie miałam okazji oglądać tego z pozycji widza, gdyż byłam na scenie, nawet Barbara Wrońska, współgrająca w tym spektaklu, malowała danaidy na moich gołych plecach. Nie mogło być inaczej, ot, twórca i tworzywo w jednym – wypełnienie założeń performerskiej sztuki. Przepraszam za tę prywatę, ale dla mnie jest to sposobność, by powiedzieć, że ze Szczęsnym Wrońskim dobrze się kreuje i dobrze wychodzi na zdjęciach.

Osobowość twórcza tego artysty oraz jego dokonania, ale potraktowane przekrojowo, mogłyby być ciekawym przyczynkiem do wnikliwych opracowań. Mam nadzieję, że ktoś to kiedyś uczyni. Ja, w niniejszej analizie, skupiłam się tylko na jednym kontekście, gdy tymczasem można wyszukać ich więcej i znaleźć też wiele odcieni. Widać je też w najnowszym tomie „Zaczyn". Polecam.

***Elżbieta Musiał***

**Szczęsny Wroński, „Zaczyn"; Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Kraków 2022, s. 69.**

Szczęsny Wroński, „Wolna miłość"; Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 2000, s. 170 (1998 – pierwsza Nagroda w Ogólnopolskim Konkursie im. Mikołaja Reja z Nagłowic).

**Inne książki:** „Nadzieja matka głupich" (1980), „Praktyki" (1984), „Przenikanie" (1998), „Potwór nie opisany" (1999), „Smak ciemności, smak światła" (2006), „Poręcze" (2006), „Nie pozwól milczeć sercu. Wiersze z lat 1977–2007" (2008), „Pogwarki o Kaczmarku" (2013), „Konsultanci" (2014), „Czas rozpocząć" (2015), „Piszę poemat" (2017), „Czas się weselić" (2021).

Mateusz Wabik

# Trup poety spotyka Szarika nosącego kość Julianowi Przybosiowi

Urodzony w 1953 roku we Wrocławiu, poeta, krytyk teatralny, ale także pracownik naukowy Collegium Medicum w Bydgoszczy i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu Grzegorz Bazylak zadebiutował tomikiem wierszy w 1974 roku pt. „Dwóch śpiących braci". Po wydaniu kilku następnych tomików, w 2022 roku ukazała się jego ostatnia książka poetycka pt. „Rewolwery Poli Negri", która ukazała się nakładem gdańskiej Fundacji Światło Literatury.

Poezja z książki Bazylaka, mimo, że poeta był starszy od twórców Totartu i pokolenia „brulionu" raczej wyrastała z polskiej alternatywnej literatury z lat 80-tych i 90-tych, niż wpisywała się w jakieś współczesne głośne prądy poetyckie. Bazylak stronił zarówno od neoklasycystycznej ewangelizacji czytelników i głoszenia dobrej nowiny, ale także nie wpisywał się w neomarksizm tak chętnie wykorzystywany przez roczniki 80-te i 90-te, pomimo swojego krytycyzmu wobec współczesności. W jego poezji było czuć swobodę twórczą, długi oddech frazy, bazowanie na wypracowanych przez Totart i pokolenie „brulion" technik swobodnego przepływu myśli, skojarzeń, łączenia swoich przemyśleń nie z uniwersum kultury narodowej, ale z zagranicznym, także z popkulturą. Nieobcy był mu humor, czy wykorzystywanie motywów z fantastyki i literatury kryminalnej. Nawiązanie do kultury alternatywnej z dawnych lat było wyrażone m.in. zmianą czcionki w spisie treści na Courier New, będącą odpowiednikiem cyfrowym czcionki z maszyny do pisania, a artziny redagowane dawniej na maszynie do pisania wydawane w trzecim obiegu mieściły się w przestrzeni kultury alternatywnej. W tekstach poetyckich można było znaleźć także mnóstwo odwołań do dzieł kultury – do muzyki Led Zeppelin, malarstwa, filmu.

Technikę skojarzeń, nawiązania do popkultury i swobodnego przepływu myśli można zauważyć m.in. w wierszu „Rewolwery Poli Negri", w którym poeta w pięciu strofach opisywał czynności wykonywane przez naiwną „Manię z manufaktury Lucky Strike" i każda z nich zaczynała się od ukazania Manii w działaniu. W pierwszej strofie „z ręki do ręki przekładała dwa rewolwery", w drugiej ze sznurem pereł stała przed lustrem, w następnych popełniła samobójstwo i ukazywano jej umieranie w czyichś ramionach. W każdej ze strof dobudował poeta porównania i skojarzenia do czynności z pierwszych wersów jakie wykonywała Mania. Odwoływał się także do figury peryfrazy, gdyż zamiast poinformować czytelnika o samobójstwie kobiety, opisywał to innymi słowami. Wg wiersza samobójstwo to porzucenie „na zawsze ontologicznego statusu kobiety/rodzicielki Marii od dzięciątka…" Mania było zdrobnieniem od imienia Apolonia, prawdziwego imienia Poli Negri, sławnej, amerykańskiej aktorki okresu kina niemego o polskich korzeniach. Być może wiersz Bazylaka odwoływał się do jakiegoś filmu z Polą Negri w roli głównej, ale niestety nie znałem się za dobrze na filmach z Polą Negri, więc nie mogłem podać tytułu filmu, do którego odwoływał się Bazylak. Mimo pisania o śmierci Bazylak nie odwoływał się do tonu elegijnego, ale trzeba pamiętać, że pisał o śmierci na niby w filmie i mógł sobie pozwolić na sarkastyczny humor.

Humor i nawiązanie do estetyki horroru, ale także do ezoteryki można było zauważyć w wierszu „Za(s)kazane ciało poety", w którym ciało zmarłego poety błąkało się po świecie i zaświatach – „zrewitalizowanym czyśćcu", po którym jak okazało się także błąkało się ciało Jana Kasprowicza mówiącego bluźniercze poematy i innych twórców. Odwołanie się do ezoteryki polegało na tym, że wielu spirytystów uważało, że dusza człowieka, kiedy nie mogła przebić się do wyższych astralnych światów z powodu dokonania złych czynów, musiała błąkać się po ziemi stąd np. można było z nią porozmawiać na seansach spirytystycznych. Te niższe zaświaty religia katolicka nazywała czyśćcem. Bazylak jednak unikał słowa „dusza" robiąc ze zmarłego poety i innych spotykanych przez niego osób po śmierci, nieumarłych, zombich, ale zachowujących się niczym duchy zmarłych, gdyż nie rzucali się na żyjących by odgryźć im ręce lub nogi. Antyreligijne nastawienie Bazylaka zostało podkreślone tym, że w tych zaświatach zmarły poeta przede wszystkim spotykał twórców bluźnierców, satanistów i ateistów, co na pewno było także jakimś humorystycznym odwołaniem do „Boskiej komedii" Dantego.

W wierszu „Weekend w Sopocie" poeta sparodiował dawne wiersze „brulionowców", banalistów i poetów polegających na epifaniach, w których ukazywano drobne czynności wykonywane przez podmioty liryczne, małe zdarzenia, i te ważne i te mniej. W „Weekendzie w Sopocie" podmiot liryczny wiersza nudził się i tylko krążył po mieście, w którym mu się nic nie przytrafiło – mijał molo, latały mewy i nic więcej się nie działo. Trudno było z takiego krążenia napisać wiersz, ale się udało.

Największą zaletą tomiku „Rewolwery Poli Negri" było to, że autor pisał z dala od często uczęszczanych dzisiaj poetyk i to, że wykazywał się dużą dozą humoru, który dzisiaj wyparował z poezji. Jednakże jego tomiku wypełnionego długimi wierszami o szerokich wersach nie dało się przeczytać za jednym razem, gdyż można było się zgubić w gąszczu wielopoziomowych porównań. Poeta nie starał się odpowiedzieć na pytania związane z współczesną kondycją świata i człowieka, gdyż to nie mieściło się w poetyce jego wierszy i tradycji, z której one wyrastały.

***Mateusz Wabik***

Grzegorz Bazylak, Rewolwery Poli Negri, Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2022

Zbigniew Ikona-Kresowaty

Jerzy Lengauer

# „Fragmenty ciała w uśpieniu" (Daria Klimek, „Zaśnięcie Darii")

Daria zasnęła w liceum. Może jeszcze wcześniej. Nie wiadomo, kiedy pojawiły się pierwsze senne obrazy. Jej osobisty, własny Morfeusz nadał im kształty, gdy Daria stawała się kobietą, dziwiącą się nie tyle kształtom fizycznym, co uwypukleniom emocjonalnym, pulsującym, drgającym, nie mogącym odnaleźć właściwego miejsca, koryta dla płynących niczym wezbrana rzeka uczuć, zdaje się, że już zbyt często popadających w bagienny marazm lub niknących, zamieniających się w wąski strumień za sprawą długo trwającej suszy.

Bezruch jest niepokojący. W cuchnących plamach przybrzeżnych torfowisk zbierają się siły, które z czasem zostają wzruszone. Opary, wonie znajdują swoje ujście na powierzchnię. Brudna strużka wody ledwie widoczna spod hałd piasku, w których zalegają naniesione przedmioty: wspomnienia, zdarzenia, smutki, żale, zdziwienia, tęsknoty. Poszarpane, potłuczone, rozbite, rozdarte. W częściach, w strzępkach, rozczłonkowane.

Daria pochyla się, wyciąga je, otrzepuje z piasku. Delikatnie, skrzętnie, eterycznie wręcz, w jakiś mgielny, subtelny, amorficzny sposób przenosi skrawki siebie na polanę pośród Szyszkinowego lasu, łąkę babci Marysi, gdzie wspomnienia zamieniają się w jaśniejący stożek efektu Tyndalla.

Jakież są te tęsknoty, sentymenty, erotyki, dramaty, zdziwienia porozkładane na trawie, gdy słońce grzeje Darię siedzącą na rozłożystej sośnie, jakby była złotym bochenkiem chleba, gdy przygniata ją duszność zieleni, jakby była jej częścią, gdzie las drga nienazwanymi dźwiękami? To fragmenty życia kilkunastoletniej dojrzewającej dziewczyny, młodej kobiety, w końcu dorosłej, niezwykle wrażliwej osoby, umiejącej oddać poetycko nie tylko subtelności osobistych przeżyć, ale opisać lirycznie uchodźcze dramaty na polsko-białoruskiej granicy w „dla Issy Jerjos" („Innego jakoś tak inaczej boli / inaczej żrą wszy gniją stopy dławi strach / chcącemu nie dzieje się krzywda / mogłeś umierać kilka centymetrów dalej / na sferze globusa // a tam gdzieś twoja Matka / niefizyczna pieta / zamykająca w złamanym życiu powietrze / zamiast Twojego ciała" [1], czy samotność pandemii w „lockdownie" („pani stoi na balkonie / z czwartego piętra podlewa z konewki ogródek / to ładne / orientuję się że znowu przygryzam usta / to niełądne" [2]). Siedząca wśród drzew bosa Daria ogląda cząstki siebie. Każda z nich leży osobno. Wydawać się może, że ta osobność jednocześnie do kogoś niedawno należała. Jakby Darię chciano przyciągnąć, rozciągnąć, zabrać z niej jak najwięcej dla siebie. Albo dziewczyna, czy może wówczas jeszcze dziewczynka, rozpadła się, rozeszła sama pod naciskiem, ciężarem, bezwolnie, nie rozumiejąc. Dziwiąc się temu, że ciało przestało być jej: „moje ciało / będzie jeszcze śmieszniejsze / kiedy straci swego pana // pozostanie mu na chwilę / kilka odprysków fizjologii / która będzie wtedy jeszcze śmieszniejsza" [3].

Wiersze zamknięte w ramach czasowych od liceum, o czym dowiadujemy się ze wstępu Justyny Artym „Kruche ciało", do ubiegłorocznego kryzysu migracyjnego na granicy z Białorusią epatują konsekwencjami rozdarcia. Rozkawałkowana dusza, emocjonalność, psychika pod piórem Darii Klimek ma postać fizyczną. To paluszki, które się rozbiegły, szukając dotyku czegoś miłego, wydzieliny, kończyny, które odpadły, zwłókniałe wnętrze, drgająca tkanka, sucha kościana klatka. Autorka zbierając w jedno kawałki swojej psyche przypomina, że bez połączenia z nią ciała nie będzie kompletnego, wiarygodnego, żyjącego w poczuciu choćby odrobiny komfortu człowieka. Jednak wymaga to pozbycia się odrobiny wstydu, obejrzenia siebie w trakcie aktu miłosnego, spojrzenia oczami mężczyzny pożądającego ciała młodej kobiety, wsłuchanie się w lodowate drżenie cierpnącej skóry, wyobrażenia sobie czerwonego mięśnia szaleńczo pompującego krew do opierających się temu policzków, dotknięcia spoconych z tęsknoty włosów, włosków, grudek, koniuszków, w końcu odrzucenia bezpodstawnego poczucia winy i poniżenia w spływających z ciała i po ciele wydzielinach.

Najpierw młoda dziewczyna się dziwi, nastrój dramatu jeszcze się nie pojawia, choć mimowolnie szuka, łaknie, czuje się bezradna. Doświadcza siebie kruchej i zdaje sobie sprawę, że właśnie tak przychodzi jej poznawać świat: „moje żyły wyrosły / widocznie jestem ich pestką / kiełkują przez moją skórę / rozwijają soczyste gałęzie / na poznanie świata" [4]. Wraz z dostrzeganiem własnej fizjologii przychodzi poczucie winy, co widać szczególnie w tytułowym „Zaśnięciu Darii", gdy autorka pisze, że jej ciało obraża, a w kolejnym utworze pod tytułem „kobiety mojego ojca" winą za rozdzielenie, czyli rozdartą psychikę nastolatki obarcza konkretne osoby: „dużo cennych obserwacji / że człowiek rozdzielony / na mężczyznę i kobietę / pozostaje zawsze rozdzielony" [5], ponieważ przedmioty, zdarzenia, rzeczy, drobiazgi pozostaną już na zawsze z Darią, niczym atrybuty oskarżenia. Cóż zatem pozostaje, jeśli nie oddzielić się, wyrwać, wyruszyć w drogę, żeby poszukać uspokojenia, kochania, czułego miejsca. Wędrówka nie jest jednak pewna, z jasno wyznaczonym celem. Poetka robi kilka kroków naprzód, potyka się, ogląda za siebie, cofa w końcu. Jednocześnie pragnie umrzeć i na nowo się urodzić: „zakopię się żywcem / wyrosnę na sobie / zapylę się i pofrunę" [6]. Wydaje się, że natura i najdalsze dziecięce wspomnienia zdają się najlepszymi schronieniami. Także od pragnień młodości i wczesnej dorosłości, udręk tęsknot i kochania, głodu doskonałości w ramionach i marzeń, które mają się spełnić za wszelką cenę: „zróbmy sobie / w tym pokoju / gniazdo dziecko pracownię melinę / baldachim posiłek / dobrze często / śmierć" [7], lecz dojrzałość i wnikliwe oglądanie siebie, skóry, tkanek, włosków, żyłek wcale nie daje równowagi: „kiedy wyrastasz z miejsc okazuje się / że nie mogą już dać ci schronienia" [8], ponieważ jest to miejsce, „gdzie nie dosięga niczyja miłość / oprócz miłości matki / ale ile można zarzynać tę biedną matkę / trzeba znaleźć inne źródło / odrobiny ukojenia / ululania przerażenia /" [9] i „pomaga mi Miłosz / przykładam sobie jego wiersze" [10].

Utwory Darii Klimek pisane są wierszem białym i wolnym, bez przywiązania do podziału na strofy. Większość z nich ma tytuły .. Odbiera się je jako krótkie historie, powstałe w wyniku potrzeby wypowiadania emocji i uczuć, które z pewnej, czasem dłuższej, innym razem krótszej perspektywy łagodniejąc, by paradoksalnie stać się wyraźniejszymi dla czytelnika, nie zmieniając absolutnie siły wyrazu; historie, gdzie kłębią się dramaty, niepokoje, eksplodują kochania i boleśnie zacierają jedne wspomnienia, zaś krwawią inne. To skondensowane opowieści o dojrzewaniu, emocjonalnej burzy niemającej końca, bo targającej także wczesną dorosłością. Jej skutki odbiorca widzi w kolejnych wierszach - etapach życia czy raczej emocjonalnych rozdziałach, gdzie turpizm przeplata się z prawie że romantyczną nostalgią, fizjologia z niezwykle delikatną erotyką, potrzeba miłości (nie tylko fizycznej) z tęsknotą za bezpiecznym ciepłem dzieciństwa, a wręcz powrotem do łona matki w kojącym otoczeniu wód płodowych. Wyraźnymi, niezwykle raniącymi fragmentami owej opowieści są wyrzuty skierowane do konkretnych, bliskich osób, wzmocnione wyrzutem konsekwencji: „a ja jestem z wami na tym samym paragonie" [11]. Gdzieś pod koniec tomiku nawałnica się uspokaja, bo Daria Klimek jakby nieznacznie odwracała wzrok od siebie i przenosiła go za okno, na ekran smartfona, do Internetu, zwracając uwagę swojej wrażliwości ku dramatom współczesności.

***Jerzy Lengauer***

*[*
*1] Daria Klimek, „Zaśnięcie Darii", Signi Zygfryd Slapik, 2022, str. 62.*
*[2] Tamże, s. 57.*
*[3] Tamże, s. 10.*
*[4] Tamże, s. 9.*
*[5] Tamże, s. 11-12.*
*[6] Tamże, s. 13.*
*[7] Tamże, s. 39.*
*[8] Tamże, s. 41.*

Mateusz Wabik

# Sprawy najprostsze w nowych czasach pogardy

Poeta, prozaik i krytyk literacki Czesław Sobkowiak zadebiutował tomikiem wierszy w 1970 roku, który nosił tytuł „W białej koszuli". Jego wydawcą było Lubuskie Towarzystwo Kultury z Zielonej Góry. Twórca także współpracował z „Odrą", „Nadodrzem" i „Gazetą Lubuską". Przez wiele lat Sobkowiak wydawał tomiki, było ich prawie dwadzieścia, a ostatni z nich „Zanim spadnie śnieg" ukazał się w 2022 nakładem Firmy Reklamowej Graf Media z Zielonej Góry. W tej ostatniej książce znalazło się siedemdziesiąt wierszy.

W wierszu „Na pożegnanie" Sobkowiak nawiązywał do śmierci brytyjskiej królowej Elżbiety II. Królowa zmarła 8 września 2022 roku. Wspominał, że podczas jej panowania mimo odnoszonych politycznych zwycięstw, przydarzały jej się także klęski. Jednak zauważał, że Wiela Brytania podczas jej panowania cieszyła się stabilnością polityczną i silnie oddziaływała na światową historię. Trochę sentymentalnie poeta zauważył, że „nad imperium nie zachodziło słońce" podczas jej panowania, gdyż przecież Kanada, Australia i wiele innych państw zrzeszonych co prawda było we Wspólnocie Narodów, ale były jednocześnie autonomicznymi państwami. Ale fakt była to wspólnota krajów odmienna od innych wspólnot, zrzeszeń i nie była targana wielkimi konfliktami za jej panowania (poza krótkotrwałą wojną z Argentyną, i wojną z IRA) na miarę np. tego co działo się w krajach socjalistycznych, arabskich czy afrykańskich. Wspólnota Nardów rozwijała się, a jej mieszkańcy cieszyli się dostatkiem, co symbolizować miało owo niezachodzące słońce. Mimo, że królowa miała wpływ na politykę wielu krajów i na wydarzenia na świecie, to zmarła jak każdy inny człowiek. A epoka, w której żyła minęła. W dalszej części wiersza poeta patetycznym i elegijnym pisał: „Niech zabrzmią ważne słowa i powaga/Po wszystkim co wryło się w pamięć" jakby jednoczył się w bólu z zebranymi bliskimi na jej pogrzebie transmitowanym przez wiele telewizji na świecie. Także zaakcentował ważność tej postaci dla siebie i świata. Dla mnie to trochę nie zrozumiałe, gdyż wg mnie śmierć Elżbiety II była tym samym co każdego innego władcy, kraju w którym na porządku dziennym – mimo wielu imigrantów była ksenofobia i rasizm. Wystarczy niekiedy porozmawiać z Polakami, którzy pracowali w Londynie, czy innym mieście w Anglii. A przypadek Irlandii Północnej, był podobny do przypadku zagarnięcia Krymu przez Rosję Putina. Dla kogoś bojownicy z organizacji IRA byli terrorystami, a mi się kojarzyli z powstańcami listopadowymi i styczniowymi. Zresztą wcześniej niż w nazistowskich Niemczech, w koloniach brytyjskich powstawały obozy koncentracyjne. Także naloty dywanowe w czasie II wojny światowej na niemieckie miasta pozbawione obrony przeciwlotniczej i spowodowały masową zagładę cywili, ale te zdarzenia nie miały wpływu na to, że to brytyjscy sędziowie sądzili nazistów za ludobójstwo. Jednakże faktycznie Wielka Brytania była postrzegana jako kraj bliski Polakom, a te zdarzenia, o których przypomniałem rozgrywały się przed panowaniem Elżbiety II. Powojenni władcy Wielkiej Brytanii nie robili problemu z rozpadu supermocarstwa kolonialnego i także pomagali tym krajom rozwijać się.

W wierszu „Proza" poeta opisywał, że w ostatnich latach nie potrzebna była poezja wzniosła i nowe koncepcje językowe, pisanie na stare jak świat tematy poetyckie, tylko zwykła poezja wyrastająca z prozy codzienności i z namysłu na temat kondycji przyrody i miejsca człowieka świecie, próbująca zrozumieć zwykłe sprawy. Nie wypierał się poezji, ale chodziło mu o to by rozmawiać z ludźmi na tematy im bliskie i ukazywać w poezji sprawy najzwyklejsze dotyczące ludzkiej egzystencji. Poezja miała „pytać bez pośpiechu o to jak się żyje". Te wydarzenia z ostatnich lat, które niweczyły wysiłki poetyckie niewskazane w wierszu łatwo było nazwać z dzisiejszej perspektywy – pandemia covid-19, Brexit, konflikt graniczny z Białorusią, wojna na Ukrainie, zdemistyfikowanie Niemiec jako lidera Europy, na którym nie można było polegać, polityczne konflikty w Unii Europejskiej, nie zrozumienie historii i polityki państw, które późno dołączyły do unii przez kraje Zachodu. Sobkowiak określał tą niepotrzebność poezji słowami: „przyszła do poetów proza ciemnych godzin". Ton tego wiersza przypominał stylem ton wierszy Czesława Miłosza, w których przyszły Noblista pouczał, doradzał, czy zwracał uwagę na rzeczy ważne w latach powojennych. Sobkowiak powtarzał niegdysiejsze pytanie filozofa Martina Heideggera „Cóż po poecie w czasie marnym?". Jedyne co mógł pisać obecnie twórca to wiersze dotyczące zwykłych spraw ludzkich i pytać o nieodgadnioną przyszłość: „niewiadomego trzeba się spodziewać". Kiedy zawiodły wszystkie wypracowane w przeszłości środki, które mogły załagodzić konflikt na Wschodzie, a wiele państw Europy nie wykazało zrozumienia spraw Europy Wschodniej, to trudno oczekiwać, że po zakończeniu wojny za rok, dwa, albo dziesięć lat, polityka europejska powróci na stare tory. I możliwy był rozpad Unii Europejskiej, jak i większe zacieśnienie współpracy, wzrost znaczenia strategicznego byłych państw Układu Warszawskiego, ale tez powstanie nowych, mniejszych unii regionalnych, czy na przykład dołączenie do konfliktu mocarstw jądrowych jak Chiny czy Korea Północna, które rozszerzą komunizm na więcej państw. Można mieć też obawy o lojalność Europy Zachodniej wobec byłych państw RWPG i można się też spodziewać najgorszego, naprawy relacji Moskwy z Berlinem i Brukselą, na rzecz oddania Wschodu znowu dla stabilizacji ekonomicznej Zachodu pod zarząd Rosji.

Poeta nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że żyjemy w okresie przemian w gospodarce i polityce na świecie i to co przyjdzie będzie niespodziewane. A czy takie zdarzały się niespodzianki w przeszłości? Nie raz – rozpad ZSRR na mniejsze państwa był bardziej nieoczekiwany niż rozpad bloku socjalistycznego w Europie, czy też Brexit, albo wzrost znaczenia Unii Europejskiej, bez pomocy USA. Niewielu Polaków w latach 80-tych wiedziało jak wielkie były sympatie lewicowe w Europie Zachodniej, nikt też się nie spodziewał pandemii światowej i tego, że zanim opracowano szczepionkę, że będą w krajach europejskie stosowane metody średniowieczne – zamykanie ludzi w domach, patrole policyjne i wojskowe na ulicach miast w kilku krajach w Europie. Że Europa będzie areną totalnej głupoty wypływającej z upowszechnienia internetu – powstania ruchów antyszczepionkowych podważających istnienie epidemii. Nie można się było spodziewać po Łukaszence – „dyktatorze z ludzką twarzą" sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Łukaszenka dbał podobno o polskie pozostałości na Białorusi bardziej niż Litwini na Litwie jak pisał niegdyś w „Akancie" Stefan Pastuszewski. Sporo racji miał Sobkowiak w swoich przestrogach.

W „Biegnie życie" Sobkowiak dobrze zrealizował własny postulat odwołania się do prostych spraw w świecie, którego bieg nie wiadomo do czego zmierzał. Pojawiły się w tekście urywki rozmów ludzi, którzy już mieli dość interesowania się współczesną polityką, wojną na Ukrainie, niesnaskami w polskim sejmie i parlamencie UE. Ocalało ich od strachu właśnie rozmawianie o barszczu, o zgrabianiu liści, wiośnie, srokach i zmieniających się cenach. Podmiot liryczny wiersza jednak miał poczucie bezradności i tchórzostwa: „takie bezradne i kłamliwe nasze unikanie strachu", ale zupełnie niepotrzebnie. Jak wiadomo nadmiar stresu mógł prowadzić do powikłań chorobowych, a gdy nie ustawał to nawet do śmierci. „Biegnie życie" wydawał się odwoływać do powojennej poezji Miłosza, który po czasach pogardy wojennej w „Poemach naiwnych" proponował powrót do spraw najprostszych i podstaw ludzkiej egzystencji w przeciwieństwie do Różewicza, dla którego II wojna światowa uczyniła wyłom w historii cywilizacji i zagładę europejskiej kultury

W wierszu pt. „W notatce" zainspirowany notatką prasową Sobkowiak ukazał bezradność jednego z liderów religijnych, papieża Franciszka wobec polityki Rosji. Jego odwiedziny rosyjskiej ambasady nie spowodowały zaprzestania działań wojennych. Dzisiaj inaczej niż w XIX wieku Watykan podchodził do polityki Rosji, jak każdy pamiętał z „Kordiana" Juliusza Słowackiego, ówczesny papież Grzegorz XVI potępił powstanie listopadowe i nakazał Polakom w rozmowie z Kordianem „Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą". W XX wieku Kościół miał wpływ na przemiany społeczno-polityczne w Polsce, jednak od lat nie był postrzegany na świecie jako siła mogąca mieć szerszy wpływ na politykę światową. Zresztą organizacja odpowiedzialna w dawnych wiekach za torturowanie innowierców i heretyków, pogan i Indian, mordowanie bezbronnych zielarek zwanych czarownicami i oskarżanych o kopulację z Szatanem, nie mogła być brana na poważnie jako instytucja mogącego cos pozytywnego uczynić na świecie. Nam Kościół pomógł wyzwolić się z wpływów rosyjskich, ale także stać się tanią siła roboczą w Europie. W latach 80-tych Jean Baudrillard w swoich esejach pisał, że nie możliwa była przyszła integracja europejska Zachodu i Wschodu, ale tereny państw byłego RWPG mogły być dobrą ziemią pod supermarkety krajów zachodnich.

Ciekawsze były pisane językiem dostojnym wiersze Sobkowiaka kiedy realizowały postulat o pisaniu na najprostsze tematy, i które zwrócone były ku codzienności. Jednak gdy poeta zajmował się wydarzeniami na świecie wydawały się może nie naiwne, ale zbyt jednostronne, ale dobrze, że Sobkowiak zajmował się w swoich utworach sprawami polityki ważnymi dla spraw współczesności, gdyż można było samemu zastanowić się na wieloma sprawami z dala od zgiełku medialnego. Nie można było lekceważyć intuicji Sobkowiaka, że świat zmierzał ku nieznanemu. Sam w 2019 roku słyszałem na giełdzie książkowej i staroci w Krakowie od jednego handlarza, ze „starzy ludzie mówią, że będzie wojna", a potem w 2020 roku podczas obostrzeń, kiedy pomyliły mi się godziny stałem w kolejce ze staruszkami, słyszałem także, że „zbliża się wojna". Zlekceważyłem te intuicje i niebawem okazało się, że intuicja emerytów nie była bezpodstawna. Jednakże na postrzeganie spraw Wielkiej Brytanii miał wpływ głos mojej cioci, która była także w podeszłym wieku, kiedy zrównywała Anglików z Rosjanami i kazała im nie ufać. Sama była w armii Andersa i nie była bezkrytyczna do polityki Wielkiej Brytanii i też tego głosu z przeszłości nie można było lekceważyć.

***Mateusz Wabik***

Czesław Sobkowiak, Zanim spadnie śnieg, Zielona Góra 2022

Andrzej Walter

# Pogodzić życie z podarowanym czasem

Dobrze jest czasem podążyć szlakiem myśli człowieka zdystansowanego do świata i okoliczności. Powędrować wraz z Nim ze słowami zapisywanymi: dostojnie, godnie, łagodnie, z wytrawną i właściwą oceną przypadków czy rzeczywistości, ale i z piołunem tego dojmującego echa wydarzeń i z całą rwącą rzeką czasu, który jest przecież jedyny i tylko nasz. Jedyny jaki znany i jedyny nam podarowany, właśnie tutaj i właśnie teraz.

Taki jest najnowszy tom poezji Pawła Kuszczyńskiego, autora czternastu już książek poetyckich, uznanego recenzenta poetyckiego, ale i aktywnego działacza literackiego i żywiołowego miłośnika literatury. Ten poznański twórca już nieraz zaskakiwał nas świeżością swoich przemyśleń i poszukiwań poetyckich, intelektualnymi i filozoficznymi dociekaniami, wartościowymi konkluzjami oraz inspiracją nieoczekiwanych metafor na kartach swoich utworów.

Otrzymaliśmy oto kolejny Jego dobry tom ciekawych tekstów, w których zaprasza nas do wielu refleksji nad życiem, przemijaniem i miejscem piękna we współczesności. Wiersze Pawła Kuszczyńskiego zawsze są impulsem do przemyśleń i dyskursu. To swoiste artystyczne credo stanowiące wyzwanie dla ludzi: nieobojętnych, myślących i poszukujących. Tom zatytułowany adekwatnie do zawartości – „Mądrość dobra" jest po prostu … dobry. To też i dobry tytuł, a całość fantastycznie uzupełniają dyskretnie osadzone monochromatyczne grafiki Józefa Petruka, które szlachetnie pobudzają naszą estetykę wyobraźni podczas tej wartej swojego czasu lektury.

Ten tom zatem, edytorsko znakomity, dopracowany, uszlachetniony, również treściowo dobrze się komponuje z nurtem i dylematami współczesnej polskiej poezji, która próbuje przecież jednoznacznie odszukać sens życia człowieka w nowym czasie, coraz bardziej stężonym czasie aktualnej i chaotycznej rzeczywistości świata deprecjonującego wszelkie dawne wartości i znaczenia. Pytania stawiane przez poetę są tutaj: niebanalne, głębokie, mądre właśnie i przez to czynią ten tom ciekawym w odbiorze, wartym lektury i wespół z poetą powinniśmy podążyć drogą tych wciągających wątpliwości. Przy czym ważny jest też ten pokorny i subtelny punkt wejścia w rozważania. Ta potężna i jakże mężna deklaracja doświadczonego przez życie i czas poety, który otwarcie się przyznaje:

„Ciągle jestem tamten mały chłopiec
ukryty między regałami książek,
oddaję się ciszy, nie pochłania mnie
nachalna rzeczywistość"

Taki powinien być punkt początkowy - zaczynający nasze dociekania. Osadzony głęboko w dziecięcym pokoju, świadomy narodzin i nawarstwiania życiowych doświadczeń, ale na zawsze pozostającym też w tej dziecięcej wyobraźni i świeżości spojrzenia, łaknienia i umiejętności zachwytu najprostszym pięknem tej ziemi. Tej ziemi, powtórzę z sentymentem. Jedynej nam znanej, jedynej darowanej. Nieważne dokąd zmierzamy, choć to ostatecznie przecież bardzo ważne, ale pozostające poza wpływem naszego ja ulepionego z przeszłości, pozostające poza możliwością sterowalnych narzędzi. Jedyną busolą przyszłości są: nasze intelektualne bogactwo, marzenia oraz dążenia wytworzone na gruncie zaczerpniętej wiedzy – a skąd zaczerpniętej? Z przeczytanych książek, z obejrzanych filmów, ze spotkań z drugim człowiekiem, z tej odwiecznej pełnej empatii przygody rodzaju ludzkiego zwanej światem w jego pełni.

Dziś dotarliśmy do czasów wyszydzających tę pełnię, do czasów niwelujących duchowość, karcących poszukujących i odstawiających ich na jakiś boczny, podrzędny tor. Dziś w świetle reflektorów stawia się: krzykaczy, podżegaczy, ludzi jarmarku i sensacji, ludzi bez właściwości. Na piedestały osadza się szokujących pospólstwo skandalistów i klaszczących im ćwierćinteligentów wraz urągającym poczuciem kpiny i pogardy wobec: intymności, subtelności, nostalgii i … poezji właśnie, nawet z poezji czyniąc swoistą prostytucję słowa, w stopni czasami przekraczającym wszelaką percepcję.

Paweł Kuszczyński jawi się tu jako poeta starodawny. Klasyczny wręcz. Z właściwym sobie Herbertowskim dociekaniem oraz Różewiczowskim spokojem nienachalnie i łagodnie wykłada nam swoje wizje świata i dyskretnie namawia do zamyślenia się. Kto chce skorzysta, kto nie chce jego decyzja. To tom dla ceniących „mądrość dobra". Żeby jednak cenić taką mądrość dobra, trzeba najpierw zrozumieć czym jest samo dobro. Cóż jeszcze znaczy to pojęcie, jak go rozpoznać pośród fałszu i uzurpacji, jak go uszanować i cenić pośród krzyków i hałaśliwej propagandy, jak go poczuć i samemu uczynić uwznioślonym wbrew regułom i zasadom tego świata, w którym normą stało się raczej zdziczenie i wynaturzenie w miejsce: prawdy, piękna i dobra.

Co po nas zostanie? Przeczytajcie wiersz „Rachunek wyników". Nie będę go tutaj celowo Wam na tacy wykładał. Przeczytajcie sobie sami, ten i inne wiersze poety.

Bóg będzie nadal milczał. Jedyne co mamy, to odezwanie się bliskiego człowieka. Istota tej najprostszej prawdy życia i rozważania nad duszą ludzką to esencja tego tomu. Tomu ważnego, ciekawego, tomu dla intelektualisty. Tomu eleganckiego jak „niezapisany życiorys"(…)

Za szybko z dzieciństwa wygnany,
ciągle pytam czy było ono naprawdę,
nawet w snach nie znajduję odpowiedzi.
Często ukazuje się obraz:
na łące pełnej dmuchawców
czułem się jak pan, domniemany władca.
Ja decydowałem, kopiąc butami,
którego pozbawić puchu,
zostawała mu żółta główka,
jakby łysina podstarzałego mężczyzny.
Wtedy odnajdywałem się w chwili:
sam ze swoim niedostatkiem i zagubieniem.
To los gra z naszym przywiązaniem do życia.
Nic nie jest tak ważne jak czas –
zderzamy się z paradoksem:
dopiero pojmujemy czas
gdy najmniej go mamy.
Każda emocja wypiera poprzednią,
żadna nie chce trwać długo.
Nastała pora na rzeczywistość
w wielkim skrócie i dotkliwie.
Zabawne jest to nasze milczenie.

Oj zabawne, zabawne. Bóg milczy, my milczymy, milczy świat – milczymy wobec siebie i swoich bliskich, bo czasami nawet nie potrafimy sami sobie powiedzieć, czy chociażby odpowiedzieć, właściwie dobrać słowa, wyrazić myśli, a do tego ten czas, czas zmora, klatka, przesłanie, paradoksalnie pojęcie względne, ale dojmująco wyznaczające rytm życia, trwania i przemijania. I jakby dotrwania do… Takie wiersze znajdziecie właśnie w tym tomie. Nieraz wiersze zagadki, do czytania kilkukrotnego, do namysłu, zastanawiania się, do dyskursu wewnętrznego, pytań stawianych wręcz samemu sobie, niekoniecznie, tak jak poeta, acz są to tożsame pytania, pytania logicznie uzasadnione, pytania właściwe z perspektywy drogi, jedynej drogi, z jedynym celem i przeznaczeniem.

Kogo spotkamy na szczycie i czy prawdą jest, że Ktoś nas tam osądzi? Tam, czyli gdzie? Tego nie wiemy i się przecież nie dowiemy. Może po to jest ta poezja? Tylko dlaczego tak nas uwodzą: mądrość dobra i słowa tej poezji? Gdzie w naszym ciele ukrywa się ten samolubny gen słowa zmierzający do: prawdy, dobra i piękna? Może ukrywa się on w samym życiu, które jako takie samo w sobie jest …
cudem cudów?

***Andrzej Walter***

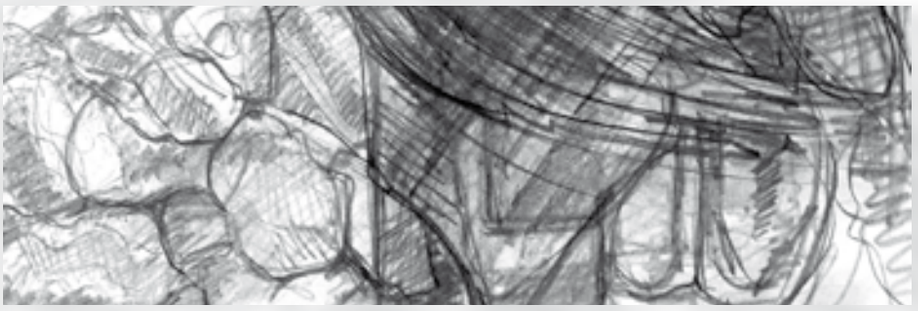

Zbigniew Ikona-Kresowaty

# Człowiek którego nie było
## - pamięci Leszka Żulińskiego

Mirosław G. Majewski

*Jesteś człowiekiem którego nie było, którego nie ma...*

Otwierasz oczy, rozglądasz się po swojej mansardzie, jakbyś widział ją po raz pierwszy w życiu...

W życiu? W życiu...

Życie, czyli co?

A może wszystko jest po raz pierwszy, może sam jesteś po raz pierwszy, po jakiejś nieopisanej tragedii, osobistym armagedonie, który rozmył przeszłość, rozbił na miliony kawałków uwalniając cię od tych wszystkich obrazów w muzealnej sekcji twojego jestestwa, obrazów których lepiej nie pamiętać!

Jesteś świadomy faktu, że masz teraz carte blanche, ale gdzieś w jej niezdefiniowanym tle, w otchłani niezmierzonych głębin, kotłuje się w popiołach bezkształtna przeszłość, z której za każdym razem otrząsasz się niczym pies wychodzący z wody.

Wstajesz. Dotykasz bosymi stopami zimnej podłogi. Zastanawiasz się, czy jesteś u siebie, i co to znaczy być u siebie? Świat jak to świat. Może być twój, kogoś innego i niczyj jednocześnie.

Wmawiasz sobie, że to twój świat, twoja pidżama, twoje ciało! Wszystko wydaje się być bezdyskusyjne, ale czy aby na pewno? Może to nic innego jak tylko wizualizacja zrozpaczonego umysłu nagle wyrwanemu ciału?

Na wszelki wypadek prawą dłonią dotykasz swojej twarzy, opuszki palców wyczuwają kilkudniowy zarost, a gdzieś z tyłu czaszki pojawia się pojęcie, abnegacja...

Twój wzrok pada na znoszone kapcie, abnegacja na krótko rozbłyska pojęciem abnegata, po czym gaśnie.

Wsuwasz swoje stopy w znoszone kapcie abnegacji i ciężko wzdychając wciskasz się w 177 centymetrów swojego wzrostu.

Nazywasz się Zbigniew Leszczyński, lat 61, oczy szare, nos prosty, głowa trójkątna, włosy mocno przyprószone siwizną. Ble, ble, ble... Widzisz to zanim przejrzysz się w lustrze.

Jesteś literatem, poetą, parasz się też krytyką. Jakie to ekscytujące odkrywać tę wiedzę.

Wiedzę o sobie, czyli o kim?

Co to znaczy być literatem? Nie potrafisz znaleźć odpowiedzi. Prawdę mówiąc wcale jej nie szukasz, wiesz tylko tyle, że ta cała literatura jest jakimś twoim przekleństwem, fatum, czymś tak bardzo niekomercyjnym, że aż pasożytniczym. Przez chwilę próbujesz rozgryźć dlaczego w tym siedzisz, dopóki nie zrozumiesz, że jest to bez sensu.

Literatura i jej pochodne nieodwołalnie odcisnęły swoje piętno na twojej mentalności. Ale jakkolwiek by na to nie patrzeć to tylko stan mentalny, przejściowy, być może jakiś nie do końca zatarty ślad z poprzednich wcieleń, lub prolog tych, które dopiero mają nadejść. Dlaczego myślisz o reinkarnacji? Dlaczego teraz? Nie wiesz, nie wiesz....

Egzystencja. Czyżby literatura stanowiła kręgosłup twojej egzystencji? Była jej esencją?

Zawsze chciałeś być pisarzem, chociaż nie było ku temu najmniejszej przesłanki, no, może poza tą....

Wrzucasz kamyk w zastygłą toń twoich wspomnień, kręgi powiększają się w nieskończoność...

Widzisz kilkuletniego chłopca, który dopiero co nauczył się czytać. Chłopiec wyciąga z szuflady staromodnej toalety z trzema lustrami, książkę, jest to podrzędny, amerykański kryminał z listą bohaterów na pierwszej stronie, czytasz ich obcobrzmiące nazwiska, kapitan policji Arthur Mekjakiśtam, komisarz Brown, pani Taylor, podobają ci się te nazwiska, są z innego świata w którego istnienie nawet nie starasz się uwierzyć. Słyszałeś już co prawda o Ameryce, ale pojęcie to maszeruje w tym samym szeregu co Atlantyda. Bo tak naprawdę w twoich spostrzeganiu rzeczywistości, Ameryka nie istnieje, a twój wszechświat kończy się na rogatkach miasteczka w którym przyszedłeś na świat. Zapamiętujesz tylko kapitana Arthura Mekjakiegośtam, jako herolda innego świata i póki co, to najstarszy obraz, który wyłonił się z niebytu.

Odkładasz książkę, ustawiasz dwa skrzydła lustra toaletki tak, aby były naprzeciw siebie i odbijały twoją postać w nieskończoność. Zastanawiasz się, czy ten najdalszy „ty" to nadal ty? Czy żyjesz w tej najbardziej zanurzonej w lustrzanym odbiciu rzeczywistości?

Kręgi już dawno zniknęły, toń jest niezmącona niczym blat marmurowego stołu z epoki Ludwika XVI. Pamięć kryje się w niepamięci. A ty ponownie jesteś w swoim zakurzonym, zawalonym książkami pokoju. Ile tu tych książek? Prześlizgujesz wzrokiem po ich grzbietach. Tysiące...

Czujesz... No właśnie, co teraz czujesz? Niepokój? Święty niepokój, który obezwładnia każdego profana rzuconego w sam środek życia! Profana odzyskującego przytomność, odzyskującego pamięć w jego Sanktuarium, w miejscu Najświętszym! Co to za miejsce? To twoje mieszkanie, twoja mansarda, twój wszechświat, twoja złota klatka, twój chory umysł!?

Wszystko wiruje! Wirują regały, szafki, stoliki, a na szafkach, stolikach, półkach wirują tygodniki i miesięczniki społeczno – kulturalne! Wirują białe kartki papieru, wirują drukowane litery, wirują ściany, a na ścianach zamiast wirujących14 stacji drogi krzyżowej wirują reprodukcje artystów pop – artu, Richarda Hamiltona i Andy Warhola!

STOP!

Przez chwilę zastanawiasz się, czy nie zażywałeś wczoraj jakiejś nielegalnej substancji. Cóż za niedorzeczne pytanie, jakby nie z twojego umysłu. Ale dzięki Bogu wszystko się uspokaja. To dobrze. To bardzo dobrze...

Nie wiadomo dlaczego przypomina ci się zdanie kolegi po piórze: Artyści to pijacy, narkomani i zboczeńcy... To Chyba powiedział Sławek, a może tylko kogoś cytował... Nie wiesz...

Czujesz się jakbyś był w cudzej skórze, więc zadajesz kolejne, banalne pytanie na które nie wymyślono odpowiedzi: Czy to moje życie?

Umywalka, kran, zimna woda na twojej twarzy. Nieznaczna ulga. Podnosisz wzrok, nad umywalką lustro, na szklanej półeczce pod lustrem pędzel do golenia, wyciśnięta do połowy tubka taniej pasty do zębów, obok mydło do golenia w sztyfcie. Takie mydło można kupić tylko w specjalistycznych sklepach dla koneserów. Dostałeś to kiedyś na urodziny od Heleny...

Uruchomiłeś jakiś proces.

Helena.

W lustrze widzisz twarz zmęczonego życiem mężczyzny. Mężczyzny, który w tej chwili zastanawia się, gdzie podziało się jego 61 lat?

A ty wraz z tym obcym mężczyzną z lustra zastanawiasz się nad odpowiedzią.

Cholera jasna! Kiedy próbujesz ogarnąć to wszystko co pamiętasz, możesz to upchać do 5-cio minutowego życia. W takim razie, co zresztą? Przecież te 61 lat to naprawdę szmat czasu, który nie powinien konkurować z tubką pasty do zębów w której mogłoby się pomieścić.

Wyciskasz resztę pasty do zębów chcąc zilustrować bezsens dywagacji nad sensem życia.

Nie ma nic gorszego niż nadawanie czemukolwiek sensu!

Nie było cię, nie ma i nie będzie. I żadne miejsce w którym byłeś, nie będzie pamiętało o tobie...

Odkręcasz kran, pozbywasz się pasty.

Trzymasz w dłoni wyciśniętą tubkę...

W takim razie czym jest życie? Iluzją, teorią strun, pustką, bezsensownym pędem w czasoprzestrzeni? Po kolejnej porcji banalnych pytań zdajesz sobie sprawę, że zawsze je zadawałeś. To twoja obsesja. Pomimo tej wiedzy nie potrafisz się uwolnić od pewności, że już cię nie było. Ale znów zaistniałeś. Dziwne to... Depersonalizacja?

Skąd do diabła biorą się takie pojęcia jak: „ja", „moje"? Nie potrafisz przestać, uwolnić się od irracjonalnego zadręczania samego siebie.

Milczysz chwilę zastanawiając się co zrobić z pustą tubką po paście do zębów. Gdzie jest kosz? Dostrzegasz go przy zawalonym papierami biurku, postanawiasz zabawić się w koszykarza i rzucasz tam tubkę. Trafiasz! Jesteś z siebie dumny. Trafiłeś w sam środek kosza, wyczyn ten nadaje sens twojemu istnieniu, możesz przecież specjalizować się w rzucaniu pustej tubki po paście do zębów do kosza. Możesz napisać o tym pracę magisterską, albo powieść, a może nawet... Nie. Nie zapędzaj się w absurd, w groteskę, w tragifarsę, życie mimo wszystko jest reglamentowanym towarem...

I wtedy mówisz do swojego odbicia: Jestem człowiekiem, którego nie było, którego nie ma i którego nie będzie. A to, co definiuje twoje życie to zaledwie dym z gasnącego ogniska. I tyle!

Patrzysz na mydło do golenia w sztyfcie i nie potrafisz uwolnić się od myśli, że posiadasz świadomość istnienia mydła do golenia w sztyfcie. Zwykłe spostrzeżenia są takie niezwykłe.

Wyrzucona tubka taniej pasty do zębów przypieczętowuje twoje istnienie, ale czy aby to nie sztuczki jakiegoś kosmicznego demiurga, znanego również jako architekt wszechświata, albo Bóg?

Bóg? Słowo, które tak bardzo się zdewaluowało.

Skąd o tym wszystkim wiesz? Kto cię zaprogramował?

W górnym, prawym rogu lustra dostrzegasz odbicie zegara z wahadłem i dopiero teraz zdajesz sobie sprawę, że słyszysz jego charakterystyczne „tik-tak", a może bardziej „bim – bam", które odmierza upływ czasu. Brakuje tylko leniwego brzęczenia tłustej muchy aby podkreślić spleen sytuacji w której nie wiadomo z jakich powodów zostałeś umieszczony.

Umieszczony wbrew swojej woli.

Nie urodziłeś się, urodzono cię!

Wzdychasz...

Odchodzisz od lustra z przeświadczeniem, że jednak miałeś wpływ na swoje zaistnienie. Jakież byłoby to okrucieństwo rodzić bez zgody rodzonego!

Reinkarnacja...

Okno. Otwarte okno. Otwarte okno wpuszczone w dach. Okno tak typowe dla wszystkich mansard świata. Na parapecie doniczka z czerwono kwitnącym kwiatem, którego nazwy nie znasz i nigdy nie znałeś. Nawet nie wiesz dlaczego tu stoi. Podchodzisz do okna, wychylasz się. Zdumiony kontemplujesz świat zewnętrzny z wysokości trzeciego piętra. Na dole wije się klaustrofobiczna uliczka, widzisz markizy sklepików z owocami, pamiątkami, parasolami i nakręcanymi sprężyną zabawkami z epoki →

której nie ma. Bruk lśni wodą. Padał deszcz lub przecisnęła się tędy przed chwilą miejska polewaczka. Jest południe lub północ, lub każda inna pora pomiędzy południem a północą Kocie łby lśnią niczym diamenty. Mleczarz wiezie bański z mlekiem. Bańki tłuką się o siebie. Kot płoszy parę gołębi. Z kamienicy naprzeciw dochodzi dźwięk harfy albo cytry...To gra żona tego zapijaczonego Walijczyka zakochana w celtyckiej muzyce. Helena...

Stare Miasteczko już dawno przestało być endemicznym miejscem. Martwi cię to odkrycie, chociaż nie wyrywasz sobie z tego powodu włosów z głowy.

A jednak to świt, Słońce z trudnością przebija się przez miejski smog zawieszony nad czerwonymi dachami naznaczonymi smukłymi kominami z których wydobywają się szare strużki dymu. Gdzieś, jakby z innego wymiaru dochodzi dźwięk przejeżdżającego tramwaju, jakieś strzępy rozmów, klakson samochodu. Ta kakofonia dźwięków jest jednocześnie w tobie i poza tobą, ponieważ możesz wygenerować z nich ciszę, ciszę w której można się zatopić, aby odpocząć od myśli - insektów, na które nie wynaleziono żadnego środka, aby się od nich uwolnić. Uwolnić raz na zawsze.

Nobla dla tego, który wskaże drogę do zbawiennego bezmyślenia!

Kawa. Poranna kawa. Ta myśl uwalnia cię od quasi filozofii. Przypominasz sobie prost rytuał jej parzenia. Z górnej szafki wyjmujesz pojemnik na kawę. Jest pusty. No tak, przypominasz sobie, że miałeś wczoraj rozpocząć nową paczkę arabiki. Kawa jest w dolnej szafce, jej półkilogramowa zawartość lśni czerwienią sześcianu. Z ociekacza wyciągasz potrzebny do rytuału mały nożyk którym nakłuwasz sześcian w którym uwięziona jest zmielona drobno kawa. Sześcian protestuje mdłym „pssss", po czym flaczeje. Teraz, zgodnie z rytuałem próbujesz rozciąć brzeg, niestety, nie jesteś zbyt uważny i jakaś część kawy wysypuje się na podłogę. Odkładasz sflaczały sześcian na szafkę, rozglądasz się za kuchennymi nożyczkami, są tam gdzie być powinny, w drewnianym bloczku na noże. Tniesz równo, starannie, zgodnie z codziennym rytuałem, który trochę zepsułeś odchodząc od ustalonych reguł, próbując zastąpić nożyczki nożykiem.

Teraz przesypujesz kawę do pojemnika. Koniec. Tylko jedna wpadka, których śladów za chwilę się pozbędziesz. Sięgasz po zmiotkę i szufelkę, dokładnie sprzątasz brązowe drobinki, niestety, wiaderko na śmieci, te pod zlewozmywakiem jest pełne, z tak zwanym czubkiem, większość śmieci to byle jak zmięte, zapisane kartki papieru, na jednej z nich, tej niczym wisienka na torcie widzisz litery, czytasz, człowiek, którego nie było.

Nie chcesz tego widzieć, (czyżby jakieś traumatyczne przeżycia) wyciągasz wiadro i wkładasz w nie swoją prawą nogą, papier poddaje się bez oporu, historii pozostałych śmieci nie pamiętasz. Wyciągasz nogę, ale wiadro więzi znoszony kapeć, próbując go wyciągnąć, drugą nogą stajesz na odłożoną na bok szufelkę, ta podnosi się i wysypuje się z niej przed chwilą zmieciona kawa. Klniesz, bo co masz innego zrobić w takiej sytuacji. Uwalniasz zakleszczony kapeć, (do którego czujesz jakąś magiczną empatię) jeszcze raz zamiatasz kawę, którą wsypujesz do ubitego wiadra. Uf!

*Człowiek, którego nie było...*

Nie chcesz sobie zadawać więcej banalnych pytań, wiesz, że tam gdzie nie zadaje się pytań, nie udziela się też odpowiedzi. A ty, jak zawsze masz więcej tych pierwszych.

Odkręcasz wodę, namydlasz dłonie mydłem w sztyfcie. Chyba nie masz innego mydła oprócz tego. Przynajmniej nie ma go teraz pod ręką. Wycierasz dłonie w ściereczkę wiszącą na plastykowym haczyku przylepionym do szafki. Po czym nalewasz wody do czajnika. Jesteś oszczędny ponieważ nalewasz odrobinę więcej niż wypijesz, niż mieści się w szklance, do której sypiesz teraz dwie łyżeczki aromatycznej kawy. Woda zagotowuje się błyskawicznie i po kilkunastu sekundach twoja mansarda przepełniona jest aromatycznym zapachem tak charakterystycznym dla wszystkich kafejek świata.

Szklanka z kawą, niczym kadzidełko uwalnia przyjemny aromat. Czasem odnosisz wrażenie, że to przedsionek nieba, ale tylko czasem, tylko wtedy, kiedy budzisz się zresetowany, kiedy przeszłość nie obszczekuje cię niczym wiejskie kundle.

Przenosisz wzrok na wiadro ze śmieciami, przydałoby się wyciągnąć worek i założyć nowy, a stary wystawić za drzwi, potem, kiedy pójdziesz błądzić w labiryncie uliczek Starego Miasteczka wyrzucisz go na śmietnik. Ale najpierw poranny rytuał picia kawy? Śmieci wyrzucisz później. Tak, zrobisz to później, pewne czynności trzeba odłożyć na później, choćby takie, jak umieranie... Przyklejasz wzrok do szklanki z kawą, no tak, zapomniałeś przykryć ją szklanym spodkiem jak to robiła twoja mama, szybko naprawiasz swój błąd i teraz kawa zaparza się jak należy. Patrzysz jak fusy powoli opadają na dno. Na dno... Dno? Boisz się tego słowa. Wypierasz je ze swojej świadomości. I nie zadajesz więcej pytań, poza tym ostatnim, paradoksalnym – po co w ogóle zadawać pytania?

Nie wiadomo czym kierowany rozglądasz się po mansardzie, jakbyś szukał jakiegoś zagrożenia ukrywającego się gdzieś w jej zagraconych kątach, za uginającymi się pod ciężarem książek regałami, albo w lustrze, kiedy na nie nie patrzysz. Tego ostatniego boisz się najbardziej, że zobaczysz obcą twarz tuż obok twojej. Skąd ten nagły niepokój? A jednak nie uchronisz się od pytań na które nie ma odpowiedzi.

W takich chwilach dobrze jest podejść do otwartego okna, aby zaczerpnąć świeżego powietrza tak potrzebnego dla uspokojenia. Podchodzisz. Kamienica w której mieszkasz jest na najwyższym wzniesieniu Starego Miasteczka. Słońce na dobre muska już swoimi promieniami czerwień dachów, dachów pokrytych wypalanymi z gliny dachówkami. Ten widok ma na ciebie kojący wpływ i jeszcze ta bryza z pobliskiego jeziora. Jest dobrze. Oddychasz głęboko zapominając o demonicznym odbiciu w lustrze.

Nie ma czego się bać oprócz wspomnień.

Żona... Helena. Dwie żony. Dwie Heleny. I trzecia, żona Walijczyka. Pierwsza Helena urodziła ci syna, druga Helena córkę. Trzecia gra na harfie. Widzisz ich twarze, pamiętasz głos swoich dzieci, dzieci, które nie chcą pamiętać ciebie. Muzyka cichnie...

To zabolało. Zabodło! W ogóle skąd się wzięło? Może bezpieczniej skonfrontować się ze swoim demonem w lustrze niż bolesnymi wspomnieniami?

Może...

Za oknem ciemnieje, wiatr przygnał ciężkie chmury, nieprzespane noce, zmięte kartki zapisane drobnym maczkiem i mnóstwo dymu z wypalonych papierosów.

O czym tak namiętnie piszesz po nocach? O swoim nieudanym życiu? O psie, którego znalazłeś na skraju drogi przywiązanego do drzewa? Tak, o psie. O tym zwierzaku, który wzbudził twoją litość, zupełnie nieświadomy tego, jak bardzo się z nim utożsamiłeś, z tą różnicą, że ciebie nikt nie przygarnął, że nad tobą nikt nie okazał współczucia...

Być może słusznie! Gdybyś był psem, zapewne skończyłbyś w lesie przywiązany do drzewa.

A więc stoisz przy oknie miksując wspomnienia zapachem kawy. Dedalus, bo tak dałeś mu na imię odwdzięczył ci się niespotykaną wśród ludzi wiernością...

Kolejne westchnienie, kilka kroków po kawę, upity łyk po drodze i ponownie stoisz przed oknem. Przyglądasz się parze gruchających gołębi na dachu sąsiedniej kamienicy, która wydaje się być na wyciągniecie ręki.

Stare Miasteczko jest ścieśnione do granic absurdu niczym dębowe deski w beczce. Pamiętasz jednego bednarza, ale nie pamiętasz jego imienia, jego twarz przypominała twarz Lenina. Uśmiech zapijasz kolejną porcją kawy. Lubisz takie wspomnienia, neutralne, nawet ciepłe... Jakiś czas temu nawet cię odwiedził... Edward! Przypominasz sobie jego imię. Był zdziwiony sposobem w jaki zaparz kawę... Powiedziałeś, że ten rytuał przejąłeś od swojej mamy. Mama... Wydaje ci się teraz dwa razy większa niż była w rzeczywistości, ma niebiesko – szare oczy nie wyrażające niczego poza kolorem. Nigdy nie odczułeś od niej nadmiaru ciepła, wręcz przeciwnie. Pamiętasz jej wykrzywioną twarz nad sobą i słowa, które zabiły w tobie coś ważnego, zabiły ciebie samego. Żadna matka na świecie nie powinna wypowiadać takich słów:

**Gdybym wiedziała, że będziesz tak się zachowywał to bym cię udusiła, kiedy byłeś jeszcze niemowlakiem!**

A więc jesteś niedopatrzeniem, pomyłką, kimś kto zajmuję przestrzeń komuś lepszemu, zdolniejszemu. Zostałeś urodzony do zadań, których nie jesteś w stanie zrealizować, do celów, których nie osiągniesz. Jesteś, ale tak, jakby cię nie było. Twój wzrok podąża za matką, która nie jest już twoją matką, a może nigdy nią nie była. Ale ty, jako kilkuletnie dziecko tak bardzo potrzebujesz matki, matki o piwnych, ciepłych oczach. Idziesz za nią do kuchni i obserwujesz jak nigdy dotąd, jak dzieciak, którego nie ma. Matka gotuje wodę, sypie do szklanki dwie łyżeczki kawy, od czasu do czasu patrzy na ciebie z góry. Nie wiesz co teraz sobie myśli ta 26-cio letnia blondynka, i nie możesz o tym wiedzieć. Czajnik gwiżdże, mama zalewa kawę, szklankę nakrywa szklanym spodkiem, patrzysz jak fusy opadają na dno. Mama zapala papierosa, dorośli ludzie palą papierosy i piją kawę, to przywilej dorosłych, ty też chcesz być dorosły, też chcesz pić kawę i palić papierosy. Mama zdejmuje zaparowany spodek ze szklanki, odkłada na zlew. Zlew jest stary, mosiężny, brzydki. Brzydki jak cały wystrój waszej kuchni, waszego mieszkania, które służy jedynie do spania, picia kawy i palenia papierosów. Zahipnotyzowany całą tą sytuacją, tymi słowami, których nie powinieneś nigdy usłyszeć suniesz za matką, dla której już nie jesteś synem, do dużego pokoju. Duży pokój zawiera w sobie trzydrzwiową szafę, bukowy stół otoczony sześcioma tapicerowanymi krzesłami. Między oknem a balkonowymi drzwiami stolik z lampą z olbrzymim abażurem, na stoliku telewizor. Mama nie zwraca na ciebie uwagi, tak, jakbyś przestał dla niej istnieć, prawdę mówiąc to początek twojego bezistnienia, właśnie zacząłeś być człowiekiem, którego nie było.

Kolejny raz poddałeś się wspomnieniom, które zalały cię niczym fale tsunami. Kolejny raz otrząsasz się z nich niczym pies wychodzący z wody, uwalniasz się od nich jak od misjonarzy organizacji świadków Jehowy.

Nie chcesz wspomnień. Niczego nie chcesz wspominać. Nie chcesz też patrzeć w przyszłość, gdyż tacy jak ty, nie mają przed sobą żadnej przyszłości, żyjesz teraźniejszością, tym czymś pomiędzy było a będzie, chcesz tak tkwić w tym martwym punkcie zwanym teraźniejszością, chcesz skryć się w kącie pomiędzy życiem a śmiercią, niebem a piekłem, między tą trzypiętrową kamienicą a Starym Miasteczkiem.

Mansarda w której trwasz jest jednocześni łonem matki i całym twoim wszechświatem, i niech już tak zostanie. Nie ma jak to na swoich śmieciach. Kolejne westchnienie resetuje wspomnienia. Podchodzisz do biurka, przydałoby się posprzątać tę stajnię Augiasza! To tak przy okazji śmieci.

Pijesz kawę. Przez chwilę chodzisz po pokoju ze szklanką w ręku budząc w sobie kolejną po-

trzebę. Potrzebę palenia. Głód nikotyny jest silniejszy od łaknienia. Możesz nie zjeść śniadania, ale papieros do porannej kawy to wypełnienie rytuału. Jesteś już przy marynarce, wolną ręką przetrząsasz kieszenie. Aby zapalić potrzebujesz obu rąk, dopijasz kawę, przez chwilę zastanawiasz się gdzie odłożyć pustą szklankę. Nie ma jej gdzie odłożyć, odwracasz się na pięcie i robisz trzy kroki w stronę kuchennego aneksu, widocznie odczuwasz dziś niesamowita potrzebę porządku, tego tak egzotycznemu zjawisku w twoim mieszkaniu. Ale tak to już bywa w życiu samotnego człowieka, że nachodzą go różne, podejrzane stany i potrzeby. Szklanka jest już w zlewozmywaku, to bardzo ważna informacja, bo mogła być w każdym miejscu, tylko nie tym. I znów przez chwilę jesteś dumny ze swojego małego zwycięstwa. Nie jesteś aż takim abnegatem na jakiego wyglądasz. Wracasz do marynarki, wyciągasz sponiewieraną paczkę papierosów i zapalniczkę, która zapala się za trzecim razem. Zaciągasz się z lubością myśląc o kolejnym gwoździu do twojej trumny. I I cóż z tego, jakiż to absurd umrzeć zdrowy! Wkurzasz się na tych wszystkich mądrali nawołujących do zdrowego stylu życia, jakby życie w tym obumierającym z każdym dniem ciele było tego warte! Masz 61 lat, które minęły jak jeden dzień, tak, jakby ktoś otworzył drzwi i zaraz je zamknął. Miliony przed tobą dywagowały na ten temat. Największym zagrożeniem dla człowieka nie jest śmierć, lecz życie!

Ta naprędce sklecona sentencja paradoksalnie podnosi cię na duchu!

Podniesiony na duchu zabierasz się za porządkowanie regałów z książkami i tymi wszystkim szpejami walającymi się po biurku i pod biurkiem. Schylasz się, podnosisz jakąś książkę. Czytasz, Makary Hanuszkiewicz „Wiosna". Co ona tu robi? Prawie o niej zapomniałeś, kilka lat temu napisałeś gościowi posłowie, Hanuszkiewicz cieszył się jakby wygrał na loterii, nie przypuszczając wtedy, że może to być niedźwiedzią przysługą. Przypominasz sobie, jak żalił się w jednym z listów, że znalazł wydawcę, który uzależnił wydanie „Wiosny" od zrezygnowania z twojego posłowia, odpisałeś mu, że niech zrezygnuje, niech wyda bez posłowia, wszak liczy się jego powieść a nie posłowie stetryczałego krytyka. Ale Hanuszkiewicz się zawziął i postawił sprawę jasno, napisał do wydawcy, że albo wydaje z posłowiem, albo niech się w dupę całuje! Dosłownie! Jak na debiutanta było to bardzo nierozsądne postawienie sprawy. Łapiesz się ma tym, że lubisz wspomnienia, ale tylko te, które są przyjemne. Stajesz się ostrożny, ponieważ bogaty w doświadczenie, wiesz, że wspomnienia chodzą stadami, i za jednym przyjemnym kryje się dziesięć nieprzyjemnych. W każdym bądź razie Hanuszkiewicz znalazł w końcu wydawcę, któremu nie przeszkadzało twoje nazwisko. I to jest właśnie to niechciane, przylepione do chcianego wspomnienie. Jak je segregować, jak je podzielić na dobre i złe? A może te złe są jak dłuto rzeźbiarza, które nadaje właściwy rys twojej osobowości. Dobre wspomnienia, przyjemne rzeczy mogłyby zniekształcić obraz, zamknąć w banale nijakiej osobowości, takiej z inkubatora, niezdolnej do zmierzenia się z życiem!

Ach ten twój relatywizm!

No tak, zawsze byłeś czcicielem relatywizmu, ofiarowując z taką lekkością swoje życie na jego ołtarzach. Uznawałeś za dobre to, co uznawałeś za dobre w obowiązującym kontekście , a czego teraz za dobre nie uznałbyś na pewno. I co dziwne, nie widzisz w tym żadnej sprzeczności, żadnego paradoksu. Widzą to tylko ci, którzy teraz plują na ciebie i którzy, jak niczego na świecie boją się swoich, zamiatanych pod dywan wątpliwości, bo gdyby ich nie zamietli, gdyby chcieli się z nimi zmierzyć ich fundament jestestwa runąłby w gruzy. No dobra, pies ich drapał, to nic, że jadali kiedyś przy twoim stole, wypijając przy tym hektolitry wódy! Ach, jakie po imprezy, i jakie gorące dyskusje, które toczyłeś z twoją pierwszą Heleną „Prawdomówną" czcicielką Boga Jahwe i jego syna Jezusa, z jaką pasją, z jaką wiarą udowadniałeś jej, że lepiej byłoby kłamać jak pies, gdybyś ukrywał Żydów, że ich nie ukrywasz, niż mówić prawdę panom okupantom, którzy ich szukają, że ich ukrywasz, bo tak trzeba, bo nie wolno kłamać, bo sam Jahwe zatroszczy się o swój lud. I to była ta Helena za którą nie tęsknisz i po której nie rozpaczasz. Niech Jahwe się z nią teraz użera! O ile istnieje, gdzieś tam po ciemnej stronie Księżyca.

Dlatego zamknąłeś się w tej mansardzie, aby nie szukać odpowiedzi na pytania, których nigdy sobie nie zadasz. A więc nie zadajesz sobie pytań, kiedy i jak poznałeś Makarego Hanuszkiewicza, co cię skłoniło, aby napisać posłowie do jego książki, i czy rzeczywiście to mogła być niedźwiedzia przysługa? Ale jedno pytanie musisz sobie zadać, co ty byś zrobił na miejscu Makarego? Odpowiedź przychodzi szybciej, niż byś się jej spodziewał, i jest odpowiedzią pragmatycznego oportunisty. To tak, jak z tym pierwszym milionem w biznesie, który trzeba ukraść. Kiedy będziesz już milionerem możesz tam sobie zostać filantropem. Ale najpierw trzeba wejść na szczyt, inaczej na całe życie zostaniesz malkontentem wiernym swoim mrzonkom, ideom, które nigdy nie zostaną ziszczone.

No dobra, stajnia Augiasza czeka, stoisz przed regałem zastanawiając się gdzie umieścić książkę Hanuszkiewicza, pomiędzy jakie nazwiska je wcisnąć, a może najlepszym dla niej miejscem jest ten kawałek podłogi pod biurkiem? I wtedy przypominasz sobie o wiadrze ze śmieciami które stoi od pewnego czasu przed zlewozmywakiem. Jesteś pewny, że to słuszna decyzja, wrzucasz powieść Hanuszkiewicza do wiadra, wyciągasz worek, wiążesz supeł i wystawiasz za drzwi, i wtedy słyszysz telefon o którym istnieniu całkowicie zapomniałeś, zostawiasz worek, zamykasz drzwi, odbierasz: Słucham...

Zbyszek? - słyszysz niepewny głos.

Leszczyński, słucham – jesteś trochę skonfundowany.

Witaj Zbyszku! Z tej strony Makary Hanuszkiewicz? Kojarzysz?

Makary! Jasne, że kojarzę... Cześć... Nawet nie wiedziałem, że masz mój numer.

Sam mi go dałeś dobrych sześć lat temu...

I dopiero teraz dzwonisz?

Wiesz, tyś człek zajęty, więc... sam wiesz.

No, co tam u ciebie? - przejmujesz inicjatywę.

Chciałem z tobą pogadać, jestem przejazdem przez Stare Miasteczko, stoję właśnie przed twoim domem, ale tu mieszka ktoś inny.

Stoisz przed moim domem? - podchodzisz do okna, rozglądasz się – Gdzie?

Jak to gdzie? Pod twoim domem... Stoję.

Nie widzę cię.

Jak to mnie nie widzisz?

Jestem w oknie mojego mieszkania na trzecim piętrze.

Na jakim trzecim pietrze? Tu są dwa piętra!

A co to za ulica?

Jak to co to za ulica. Ta, którą mi podałeś Rejtana 3

Ja ci podałem Rejtana, niemożliwe, 3 się zgadza, tylko, że przy Remarque'a 3.

Aha, widocznie źle usłyszałem, a gdzie to jest?

Po drugiej stronie miasta, przy jeziorze.

To co? Mogę wpaść na chwilę?

Skoro już jesteś w Starym Miasteczku to głupio by było, gdybyś nie wpadł. Wpadaj więc, pogadamy.

Dzięki.

Telefon zamilkł. Ty stoisz jeszcze przez chwilę sparaliżowany nagłym obrotem spraw. To jakiś absurd, facet pojawia się znikąd w momencie, kiedy ty wyrzucasz jego powieść na śmietnik! Wyłazi z przeszłości niczym brudny paluch z dziurawej skarpety. Nie chcesz go widzieć, ale nie powiedziałeś mu tego, bo jak to tak odmówić? Zawsze miałeś problem z asertywnością. Nie potrafiłeś odmówić współpracy ze służbami specjalnymi, kiedy poprosili cię oto grzecznie przed trzydziestu z okładem laty. W sumie nie za bardzo mogłeś odmówić, ale czy warto teraz do tego wracać? Nie warto. Ale może trzeba? Może trzeba... Zakładasz ręce do tyłu. Może trzeba. Dobrze, że pomylił ulice i musiał do ciebie zadzwonić, no właśnie, dlaczego nie zadzwonił. Co by było, gdyby cię nie zastał? Pocałowałby klamkę i tyle. Więc dlaczego nie zadzwonił? Może chciał cię zaskoczyć, zabrać czas do namysłu, do obrony, do pokazania faktów w innym świetle. W ostatnich listach zmienił trochę ton, był bardziej oficjalny, chwalił się swoim wujem opozycjonistą. No tak, jawnie coś sugerował, chociaż nie bezpośrednio. Być może ktoś mu coś szepnął na ucho w tajemnicy? To całkiem prawdopodobne. Wyobrażasz sobie Węgrzyna, który ogłasza Makaremu, że jego mentor, pan Leszczyński, to zwyczajny Judasz. Konfident. Skurwysyn. Kto wie, może właśnie tak było. Dziś na cokołach króluje Bóg, honor, ojczyzna. Nie masz nic do honoru, ani tym bardziej do ojczyzny, uważasz, ba, zawsze uważałeś się za patriotę, często o tym dawałeś wyraz w swojej twórczości. Problem był z Bogiem. Był? Jest do dziś. Mierzi cię na samą myśl o byłych kumplach agnostykach, którzy przy zmianie warty u steru władzy stali się tak religijni, że przy nich sam Jezus z Nazaretu wypada blado! Czyżby i ta religijna histeria udzieliła się Makaremu? Być może. Chyba miał ku temu inklinacje... Zdajesz sobie sprawę, że nadal jesteś w pidżamie. Musisz się trochę ogarnąć, wziąć prysznic, a przede wszystkim ogolić, przywrócić samego siebie życiu poza mansardą. Rozbierasz się do naga, wchodzisz do klaustrofobicznej kabiny z natryskiem. Uf! Regulujesz temperatury wody, przy okazji odnajdujesz mydło leżące na podstawce przymocowanej do rurki prysznica. Jest i żel, i szampon. Woda ma w sobie coś mistycznego, oczyszczając ciało, oczyszcza też ducha, w świeżym ciele, świeży duch. Myślisz sobie. Nadstawiasz twarz pod strumyki wody. Jest jak jest i jest to najlepsze i najgorsze zarazem „jest"! Ale inna wersja „jest", nie byłaby ani gorsza, a ni lepsza, ani inna. Bo to ta wersja „teraz", wersja z prysznicem jest inna, dlatego „jest". Jest tak, jak jest, bo tak musiało się stać, musiało tak być, zdarzenia rządzą się swoim, niekoniecznie logicznymi ciągami, a człowiek powinien żyć tak, jak życie ściele się pod stopami nie zważając na opinie innych. Wychodzisz z kabiny, sięgasz po ręcznik, wycierasz się, długo masując plecy. Odkładasz ręcznik, z szuflad komody wyciągasz bieliznę i czyste skarpetki. W slipach, skarpetkach i podkoszulku podchodzisz do lusterka, sięgasz po mydło w sztyfcie, rozprowadzasz je po twarzy po czym za pomocą pędzla tworzysz piane, podchodzisz do okna, lustrujesz uliczkę mając nadzieję, że nie wypatrzysz Makarego. Zakładasz, że zarost namiękł już wystarczająco i z małej szufladki wyciągasz nieco już staroświecką maszynkę na wymienne żyletki, którą dostałeś od Heleny w komplecie z mydłem w sztyfcie i jeszcze czymś, czego już nie pamiętasz. Przypomnisz sobie co to było, kiedy wlezie ci to w ręce. Teraz tylko obmyć twarz, spryskać kolońską wodą, ubrać się do końca i w nogi. Wychodzisz z domu z workiem pełnym śmieci. Na parterze wisi automat telefoniczny, wrzucasz monetę i wykręcasz numer.

Hanuszkiewicz, słucham?

Zbyszek z tej strony – meldujesz – Słuchaj Makary, muszę na chwilę wyskoczyć na miasto, sprawa gardłowa. Zostawiam klucz pod wycieraczką... Żadne ale! Czuj się jak u siebie w domu. Myślę, że w godzinę obrócę. No...

***Mirosław Majewski***

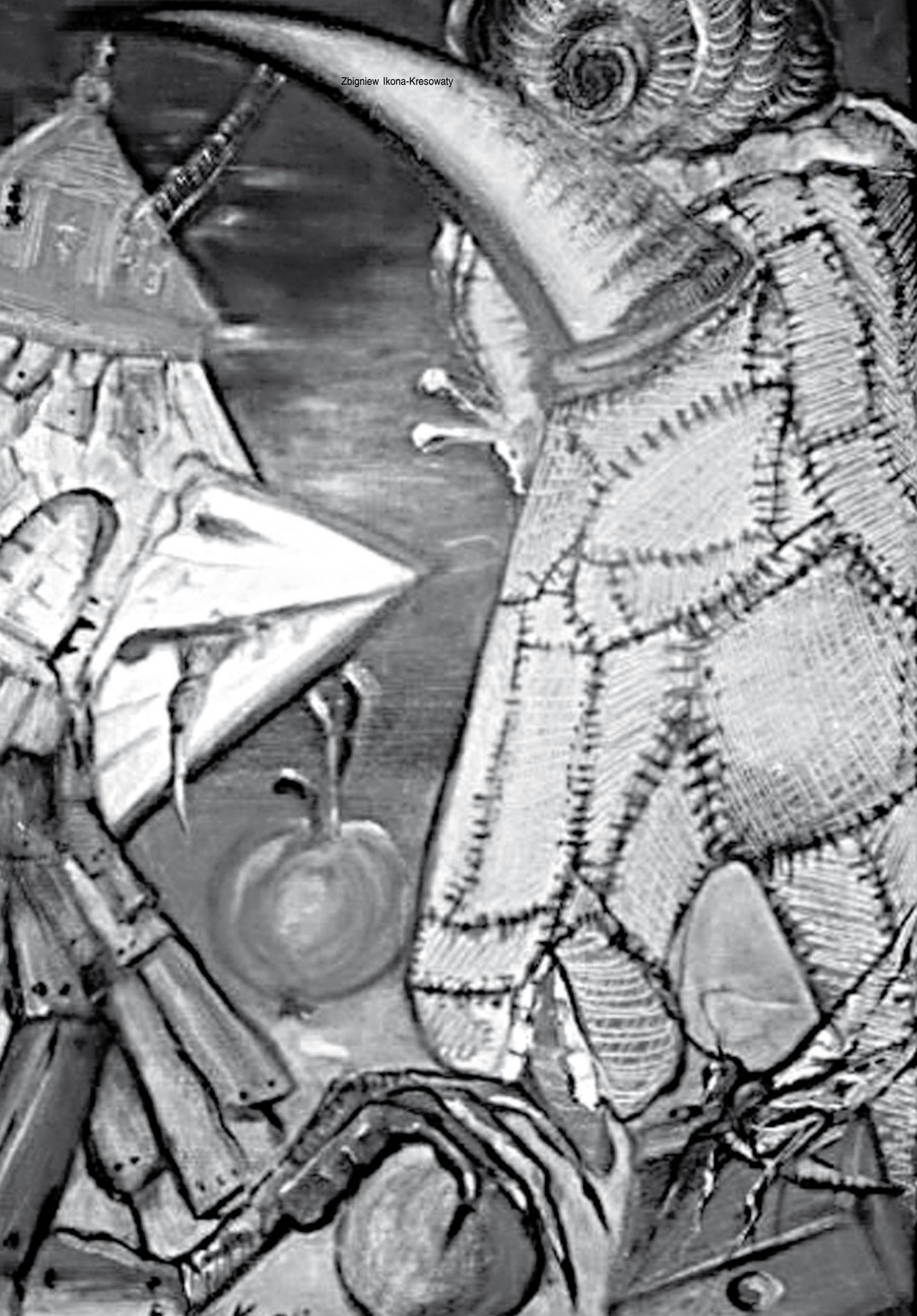
Zbigniew Ikona-Kresowaty

## W numerze prezentujemy prace Zbigniewa Ikony-Kresowatego

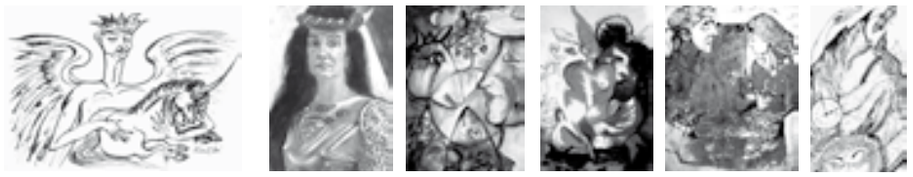

gazeta literacka

**Migotania**

www.migotania.pl

ISSN 2083-2494

**numer 1 (78) 2023**



Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**,
**Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)**
**Roman Warszewski (Gdynia)**,
**Małgorzata Dorna (Wendrychowska)**,
**(Piła - Sopot)**

Stale współpracują:
**Anna Frajlich (Nowy Jork)**,
**Grzegorz Musiał (Bydgoszcz)**,
**Leszek Szaruga (Warszawa)**,
**Olga Śmiechowicz (Łódź)**,
**Marek Wawrzkiewicz (Warszawa)**,
**Krystyna Śmiechowicz (Łódź)**,
**Aleksandra Naróg**,
**Urszula M. Benka**,
**Leszek Żuliński (Warszawa)**
**Andrzej Wołosewicz**

Dział fotografiki: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
**Agata Foltyn**

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
**Baltox Artur Rakowswki**



Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302
**joa@migotania.pl,**
**joalike@gmail.com**

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

**Migotania**.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
**joa@migotania.pl**

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO


**Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":**

– Przekazując materiały do redakcji Pisma:
– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
– autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań" zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.
Dziękujemy za pomoc! Redakcja

**Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.**

**Jak zamawiać kwartalnik? Proste:**

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Leszek Szaruga

# WYPRASOWANIE (42)

„Plus Minus" (nr 8/2023), dodatek do „Rzeczpospolitej", publikuje obszerne fragmenty dzieła kawalera Orderu Orła Białego, Bronisława Wildsteina, zatytułowanego Wobec wojny, zarazy i nicości, w którym to wyimku opatrzonym etykietą Bezalternatywna ideologia transformacji ów mąż uczony i jako prozaik laureat literackiej Nagrody Kościelskich rozprawia się z łże-elitami III Rzeczypospolitej stanowiącymi sojusz części dawnej opozycji określanej przez autora jako lewicowa z (wiecie Państwo, o kogo chodzi, prawda?) z tą częścią aparatu władzy komunistycznej, która przy pomocy okrągłego mebla zaprowadziła w Polsce przemiany nie pozwalające narodowi rozsmakować się w odzyskanej suwerenności własnego państwa, lecz oddały to państwo w jasyr gnijącego Zachodu zniewalając go obrzydlistwem liberalnej ideologii i skazując na utratę należnej mu dumy i potęgi, które obecnie, w ciężkich warunkach egzystencjalnych i dysząc z wysiłku próbuje ratować ekipa zjednoczonej prawicy narodowej. W zakończeniu cytowanej partii owego dzieła pisze autor: „Uderzenie w polską historię i tradycję, którego głównym instrumentem byłą pedagogika wstydu, relatywizacja historii najnowszej i czasów komunizmu, wszystko to były przejawy tego samego procesu, a jego celem miało być odrzucenie polskiej tożsamości i transformacja w nowoczesnych, choć zupełnie mitycznych „Europejczyków". Liberalna kuracja, chociaż wypływała z ideologicznych założeń, miała także specyficzny, neokolonialny wymiar. Otwierała polskie rynki dla dużo potężniejszych europejskich przedsiębiorstw w sposób, który w ich wypadku nie byłby tolerowany. Polska stała się także obiektem połączonego z tym specyficznego „najazdu", jak to określił Zdzisław Krasnodębski, ze strony zagranicznych fundacji, NGO czy innych instytucji „społeczeństwa obywatelskiego", które stawały się zaprzeczeniem swojej nazwy, narzędziem zagranicznych wpływów i ubezwłasnowolnienia społeczeństwa polskiego. Odbywało się to pod hasłami „praw człowieka", które traktowano zupełnie arbitralnie, stały się narzędziem nowej ideologii i redukowały demokrację do nieznaczących procedur. Trzeba przyznać, że wychodziliśmy z komunizmu w wyjątkowo niekorzystnym czasie". Pełna zgroza, horror i zdrada, Panie i Panowie, zdrada!

Czy da się z tym polemizować? Bez trudu, ale czynić tego nie warto, bo to strata czasu – polemizować opłaca się jedynie z kimś, kto na polemikę jest otwarty, tu zaś mamy do czynienia z klinicznym przypadkiem postawy typowej dla płaskoziemcy, który swoje wie i nie ma żadnej możliwości przekonania go o tym, że może choć w części się myli, bo aż tak głupi nie jest, by nie wiedzieć, że podważenie choć jednej tezy, jaką wygłasza, oznacza, że cała teoria musi się zawalić. Ważne jest natomiast co innego – to mianowicie, że obok swych towarzyszy tworzących „nowe elity", prawdziwie polskie i odporne na jakiekolwiek wpływy, może Wildstein, Bronisław Wildstein, występować w roli obrońcy zagrożonej przez wraże zastępy liberałów narodowej tradycji i tożsamości. Zwłaszcza ta ostatnia wydaje się interesująca. Swego czasu czytałem był, bodaj w zbiorze szkiców Tadeusza Micińskiego Do źródeł duszy polskiej domniemania, że prawdziwie polską duszę zatruła inwazja chrześcijaństwa, które skutecznie kolonizowało nasz kontynent. Nie mnie dochodzić, kto w tej sprawie ma rację. Mnie natomiast interesuje kwestia obrony owej „narodowej tożsamości". Jak bardzo trzeba być jej niepewnym i za jak słabą się ją uważa, by mniemać, że ktoś obcy może nią zawładnąć? Myślę, że im bardziej ktoś swej tożsamości niepewny, tym silniej o nią się upomina. Zapewne ma Wildstein jakiś taki osobisty wzorzec owej tożsamości, którego by z chęcią użył jak Prokrust swego łoża, by zbadać, kto do niego pasuje, kto zbyt mizerny, a kto, przeciwnie, zbytnio przerośnięty. Ja jednak, póki co, pozostanę przy swoim przekonaniu o tym, że tożsamość nie jest czymś niezmiennym, nie jest czymś danym, lecz raczej czymś zadanym i podlegającym czasem, tak – naprawdę użyję tego słowa! - transformacji. To się już zdarzało w historii i raczej anomalii nie stanowi, a stosunkowo często wychodzi na dobre.

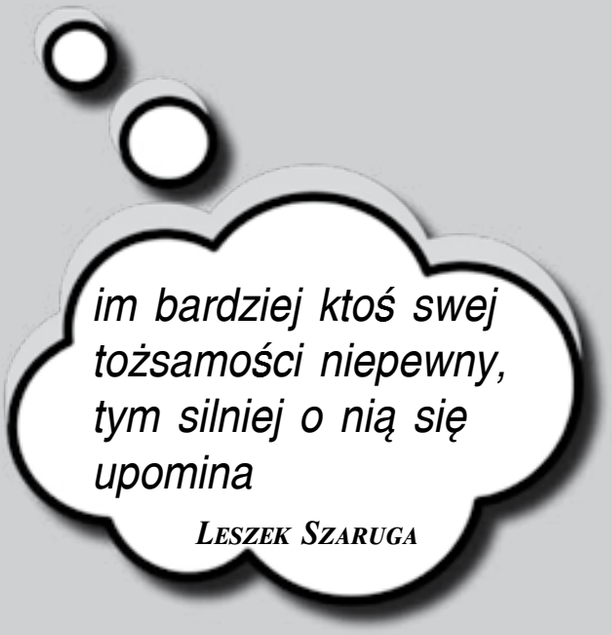


Ale nie ma obaw, ratunek jest tuż za rogiem, czego można się dowiedzieć z pisma „Do Otóż na jego (k)łamach ukazała się rozmowa z dziennikarzem i pisarzem, a nawet poetą Witoldem Gadowskim zatytułowana Pęknięty portret Polaka, w której ów twórca, krytykując w czambuł „kompletnie niewolniczą pseudoelitę, mieniącą się elitą władzy lub elitą opozycji" podkreśla: „To całkowicie niewolnicze umysły, bardzo sformatowane i bardzo miałkie. Brak elity z prawdziwego zdarzenia jest tragedią Polski. Mamy ludzi z wielkimi kompleksami, którzy nie potrafią jak równy z równym artykułować polskich interesów na arenie międzynarodowej". Cóż więc nas czeka? Gadowski wie: „Niestety wielkich nadziei nie upatrują ani w egzotycznych sojuszach, ani w sojuszach z sąsiadami. Możemy tylko cofnąć się w głąb samych siebie, czyli cofnąć się w głąb jedynego polskiego nurtu politycznego, który jest autentycznie polskim wkładem w światową myśl polityczną, czyli mesjanizm". Hurrra!!! I jakże tu nie cieszyć się ze zdrowego podejścia Lisickiego, Pawła Lisickiego, który swój wstępniak no kolejnego (9/2023) numeru swego magazynu kończy, komentując przemówienie prezydenta Bidena: „Otóż jeden z polityków opozycji, uchodzący za specjalistę od spraw międzynarodowych, ogłosił (…), że Biden postawił w swym przemówieniu jasny warunek: rząd musi przywrócić w Polsce demokrację. Przeczytałem i padłem. Po prostu istny cyrk Monty Phytona". Miejmy nadzieję, że po tym szoku Paweł Lisicki już się nie podniesie. Choć jednak nigdy nie wiadomo. Od czasu, gdy polskie służby wszelkiej możliwej płci – a jest ich, owych płci, wedle polityków zjednoczonej prawicy bez liku: od wyboru do koloru -zaczęły prowadzić w kraju hodowlę Pegazów, co jak wiadomo w ojczyźnie poetów nie powinno być zaskoczeniem, jednak nic mnie nie zdziwi. Póki co przypomnieć by należało – lub tylko uświadomić – panu poecie Gadowskiemu, że z tym mesjanizmem to trochę bardziej skomplikowana sprawa, przynajmniej od kiedy program mesjanistyczny dla Rosji Putina ogłosił niejaki Aleksander Dugin. Zdaje się, że Lisicki z Gadowskim namawiają Polaków do startu w ważnej konkurencji – ale już pan Morawiecki zapowiadał, że ma w programie ewangelizację Europy….

LESZEK SZARUGA

Andrzej Wołosewicz

## Modlitwa do szklanki, kłamliwa

*Markowi Wawrzkiewiczowi z przyjaźnią*

Karmię się wierszami jak chlebem
karmię się wierszami
- wybacz mi Panie –
jak opłatkiem
Twojego Ciała

tyle mi zostało
gdy coraz nachalniej
gapi się na nas odchodzących
Oko Wieczności
które różnie nazywamy

Kłamię
podejrzewam że nauczyłem się kłamać
zanim nauczyłem się mówić
to pozwala przetrwać
choć nie wiem czy i to nie jest kłamstwem

Kłamię, jak kłamią rzeczy
osaczając naszą skórę swym nadmiarem
na przykład słynna Zbyszkowa szklanka

która
choć się rozbiła
to nie rozbiła się ostatecznie
wciąż wypadając nam z rąk
przy kolejnej lekturze
rozmowie
milczeniu

to ona jest dowodem kłamliwości świata
i naszych wierszy

te jej rozpaczliwe próby
kurczowego trzymania się życia
doprawdy są żenujące

Roman Warszewski

# IM WYŻEJ, TYM LEPIEJ

1.

To, w jakim kraju miało to miejsce, nie ma znaczenia. Ale dla porządku powiem – w Panamie. Podróż postanowiłem zacząć od podgórskiej miejscowości El Valle. Dzięki temu udało mi się uciec od gęstego upału wybrzeża i stolicy. Ale nie tylko dlatego byłem zadowolony ze swojej decyzji. El Valle chowało dla mnie w zanadrzu cenną niespodziankę.

Pojechałem tam autobusem, który najpierw musiał się wspiąć na szczyt Los Llanitos, aż na osiemset metrów nad poziom oceanu, a następnie zjechać w dolinę, bo El Valle – jak sama nazwa wskazuje (el valle po hiszpańsku znaczy po prostu dolina) leży w głębokiej niecce i zewsząd otoczone jest wzgórzami. Miejscowi te wzniesienia nazywają górami, choć one na to miano z pewnością nie zasługują. Wznoszą się ledwie dwieście, trzysta metrów ponad miasteczko. – Ale co z tego? – odpowiadają na to tubylcy.

Krajobrazy są tu przepyszne – łagodne, ale jednak jakieś inne niż gdzie indziej. Zaskakujące. Chwytają za serce, twarz, ręce, nogi – za wszystko. Nie one sprowadziły mnie jednak w to miejsce. W stolicy usłyszałem, że w El Valle znaleźć można śpiącą Indiankę, która – jeśli ktoś na nią spojrzy, lub do niej się zbliży – spełnia życzenia. A że niedawno byłem w Nepalu, gdzie pokazywano mi śpiącą i oddychającą mumię buddyjskiego mnicha (momentami, uwierzcie, naprawdę można było odnieść wrażenie, że mumia oddycha), ową śpiąca Indiankę natychmiast skojarzyłem z tamtym zjawiskiem i postanowiłem, że to co widziałem w Azji koniecznie muszę skonfrontować z tym, co do zaoferowanie ma El Valle.

2.

Miasteczko niegdyś słynęło z jarmarków, bo w okolicy znajdują się pokłady świetnej, pomarańczowej gliny. Co ma jednak jedno wspólnego drugim? Ma. Bo z tej gliny można wyrabiać dosłownie wszystko, a następnie to sprzedawać. Zręczne palce miejscowych Indian potrafiły formować z mlaszczącej masy wazony, doniczki, krokodyle, żaby, kury, sowy, iguany, a nawet słonie – choć słonia nie ma nawet w zoo w stolicy, w Panamie! Z pomarańczowej gliny są tu wykonywane nawet hydranty; jak ktoś chce może sobie nawet taki hydrant kupić i zabrać ze sobą do domu, żeby w zazdrość wbić sąsiadów. Choć jeśli taki hydrant miałby lecieć za ocean, problemem może okazać się… opłata za nadbagaż. Skórka może okazać się niewarta wyprawki.

Dopełnieniem tego jarmarcznego asortymentu były malowane tykwy, słomiane ptaszki, koraliki z nasion, różnokolorowe wisiorki i bransoletki oraz miniaturowe kapelusze typu panama z czerwonymi pomponikami – miejscowe „koguciki na patyku". Wszystko to (może za wyjątkiem kapelusików) można odnaleźć na innych indiańskich *mercados* w całej Ameryce Łacińskiej. Miejscowym atutem było jednak to, że większość rzeczy była o kilka kreseczek tańsza niż w innych miejscach. To do El Valle przyciągało ludzi, którzy w targowe dni (wtorki i piątki) tłumnie tu zjeżdżali.

Wszystko to jednak straciło na atrakcyjności, gdy w El Valle odnaleziono *La India Durmiendo* – Śpiącą Indiankę. To ona natychmiast stała się dla przyjezdnych główną atrakcją i najważniejszym magnesem. Bo kto nie chciałby ujrzeć śpiącej indiańskiej staruszki (najpewniej w jakimś kolorowym stroju), która potrafi spełniać życzenia? Już samo złudzenie, że tak może się stać, warte było przejazdu przez grzbiet Los Llanitos, a następnie zjazdu w dolinę, w której leżało El Valle.

Dla mnie, autora wtedy jeszcze nieopublikowanej książki „Pierwsza wojna polsko–**indiańska**" miało to szczególne znaczenie. Bo oto, bez zahamowań i jakichkolwiek wahań używano tu nazwy, w której skład wchodziło słowo – *India*, czyli Indianka. Co ważne wypowiadali je nie tylko biali, ale także Metysi i właśnie tubylcy. A w Europie od pewnego czasu trwała dyskusja, czy nazwy Indianie można w ogóle używać. Czy nie jest ona obraźliwa? Czy ma pejoratywne znaczenie? Czy nie lepiej – zamiast o Indianach – mówić i pisać o ludach autochtonicznych? Śmieszyło mnie to. Bo co, należałoby zmienić tytuły takich klasycznych książek jak „Spotkałem szczęśliwych Indian" Arkadego Fiedlera, czy „Księga Indian" Ewy Lips? Należało słowo to wyrugować z całej twórczości Karola Maya? Wszak w Polsce Indianie od dziesięcioleci kojarzyli się z męstwem, odwagą i szacunkiem dla przyrody, którego tak bardzo nam teraz potrzeba. Czy w imię źle pojętej politycznej poprawności z nazwy o takiej tradycji i z tyloma pozytywnym konotacjami mielibyśmy zrezygnować?

3.

– Bez Śpiącej Indianki bylibyśmy biedni – powiedział gospodarz hoteliku, w którym się zatrzymałem. (Liczyłem się bowiem z pobytem w El Valle dłuższym niż jeden dzień, „bo po pierwszej wizycie u śpiącej Indianki, na pewno, tak myślałem, będę chciał ją zobaczyć po raz drugi, a może i trzeci"). – Bez niej nikt by tu nie przyjeżdżał. Jarmark już się wszystkim znudził. Nikt by już grosza nie uronił.

– Ona naprawdę cały czas śpi – zapytałem.

– Jasne.

– Nie udaje?

– Skądże.

– Przepowiada przyszłość?

– Nie, spełnia życzenia.

– Naprawdę?

– Tak wielu twierdzi…

„To ci dopiero", pomyślałem. – A gdzie ją znajdę?

– Tam – pokazał przed siebie. – Cały czas trzeba iść prosto. Będą tam na pewno ludzie, którzy przyjechali chcąc ją zobaczyć.

4.

Poszedłem, szybko poszedłem, aż dotarłem na skraj miasteczka. Była tam furtka, przez którą za jakieś ogrodzenie wchodził spory tłumek. „Więc to tu", pomyślałem, „w sumie nietrudno było znaleźć. Jeśli sądzić po liczbie osób, które ją odwiedzają, śpiąca Indianka ma pełne ręce roboty". Nie byłem zachwycony, bo miałem nadzieję, że przynajmniej przez chwilę będę mógł sam jej się poprzyglądać. Wiadomo, tłum rozprasza, nie daje się odpowiednio skoncentrować. „Czekać, czy wrócić za godzinę?", zastanawiałem się. Wtedy podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zapytał, czy chcę kupić bilet.

– Bilet? – zdziwiłem się. – Do śpiącej Indianki trzeba kupić bilet?

– Do Indianki nie. Indianka jest gratis, ale obok jest wodospad. To za wstęp do wodospadu trzeba zapłacić.

Kupiłem bilet i przeszedłem przez furtkę obrośniętą bugenwillami (wiadomo – tropik, Panama), a potem przez kilkanaście minut szedłem w dół, aż znalazłem się w dżungli. Zaraz potem stanąłem przed wodospadem – okazałym, kipiącym wodną piana, jednym z takich, jakich w Ameryce łacińskiej jest bardzo wiele. Obok był jakiś punkt widokowy, który za bardzo mnie nie zainteresował. Rozglądałem się za Indianką. Gdzieś tu powinna być jej siedziba. W jakimś szałasie? W chacie na palach? W ziemiance? Namiocie? Nic takiego jednak tu nie było. Nadal się rozglądałem. Dlaczego? Pomyliłem ścieżkę? Czy droga, która tu przyszedłem, gdzieś się rozgałęziała, a ja tego nie zauważyłem? A może była jeszcze inna dróżka, niż ta, którą wybrałem? Nie było kogo zapytać, bo w grupce, za którą szedłem, byli sami obcokrajowcy, którzy bardzo zachwycali się selwą i na moje pytania nie reagowali.

5.

Jak niepyszny, ze zwieszoną głową, wróciłem do miasteczka. Ze złości kopałem, co większe kamienie, które leżały na drodze. Przy furtce nie było już człowieka sprzedającego bilety, którego mógłbym zapytać, gdzie jest chata śpiącej Indianki. Pamiętałem, że jak byłem w Gwatemali nad jeziorem Atitlan i chciałem odnaleźć czczoną przez miejscowych kukłę, niejakiego Maximona, natrafiłem na nią dopiero w jakiejś niepozornej suterenie. Może tu było podobnie?

W centrum odnalazłem niezdarnie nabazgraną tablicę wskazującą kierunek „Do Śpiącej Indianki". Jak na złość strzałka pokazywała tę drogę którą wróciłem do miasteczka. Jeszcze raz zajrzałem do przewodnika, który miałem w plecaczku, choć wiedziałem, że tam na temat Indianki nic nie znajdę (wcześniej już tam zaglądałem kilka razy). Wtedy podszedł do mnie sprzedawca, oferujący piękne, żółte, prawdziwie panamskie banany.

– *Quieres?* Chcesz? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem. – Szukam śpiącej Indianki. Wiesz, gdzie ją znajdę?

– Jasne. Masz ją przed sobą.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Czy mężczyzna handlujący bananami może być kobietą?

Indianką?

Na dodatek śpiącą i spełniającą życzenia?

On też był zaskoczony – tym, że ja byłem zdumiony. – Jest przecież tam, popatrz. To ona – wyciągnął przed siebie rękę w tym samym kierunku, który pokazywała koślawa strzałka. – Leży i śpi.

„Leży? Śpi? Na ulicy?"

Nie mogłem się bardziej mylić. Nie na ulicy. Bo gdy podniosłem wzrok na pasmo selwy w tle i jeszcze trochę wyżej na wzgórza udające góry, zobaczyłem, że linia horyzontu do złudzenia przypomina sylwetkę leżącej, śpiącej kobiety, zapewne Indianki. Miałem przed sobą słynną La India Durmiendo!

Teraz nie pozostało mi nic innego, jak wypowiedzieć w myślach jakieś życzenie. „Tylko które?" Albo, zamiast życzenia, myśl, na przykład taką: „Jak jesteś w dolinie, gdzieś na samym dole, zamiast kopać kamienie na drodze, zawsze patrz w górę. Im wyżej, tym lepiej". To bardzo pomaga.

***ROMAN WARSZEWSKI***



ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

# TO DZIAŁO SIĘ W LISTOPADZIE (FRAGMENTY DZIENNIKA Z 2004 ROKU)

Jan Stanisław Smalewski

**7 listopad** – sobota

Czytałem po południu nową powieść Pilcha „Z głowy". Było po dziewiętnastej, gdy zadzwoniła moja przyjaciółka Lusia. Zapytała czy mam czas i mogę wyjść po nią za godzinę na przystanek. Ubrałem się więc ciepło i wyszedłem, zastając ją idącą aleją wzdłuż wiaduktu kolejowego. Przyjechała „Trzynastką" do Bydgoskiej.

Zrobiłem kolację, wypiliśmy po kieliszku wina, a potem toczyliśmy gorącą rozmowę o kulturze. Przed ulokowaniem się na zasłanym łóżku w pokoju, wzięła gorącą kąpiel i owinięta w ręcznik zabrała się do przeglądania moich lektur. Była jednak tak zmęczona, że krótko po tym usnęła przed telewizorem. Gdy zapanowała błoga cisza, położyłem się koło niej, budząc ją, bo zasnęła w pozycji gotowości (jak ją znam) do działania. Szczytowała bardzo szybko i równie szybko ponownie usnęła. Chwilę potem zadzwonił Janek, sąsiad z parteru, czy może wejść? Janek w czasach PRL-u był ważną figurą w strukturach SB. Teraz na bocznym torze. Nawet przy wódce woli o tym nie rozmawiać.

- Mam kobietę, ale… mogę zejść do ciebie – wyjaśniłem. Janek chciał się dowiedzieć, czy może ode mnie dostać pierwszy mój tomik poezji „Opowiem ci o miłości", dla siostry z Głogowa, która rzekomo jest moją fanką i brakuje jej akurat tego. Przejrzałem zasoby i zdecydowałem się jeszcze jednej książki pozbyć. Za... - postawisz wódkę. - Na co on od razu zaprosił mnie na kieliszek miodówki. Zszedłem pół godziny później i przegadaliśmy do północy; jego żona zrobiła po kanapce i herbatę. Wypiliśmy flaszeczkę.

**10 listopada** – wtorek

Przeczytałem Pilcha „Narty ojca świętego". Chciałbym przeczytać jego nową powieść „Miasto utrapienia". Dramat tak do końca dramatem nie jest, bo zawiera elementy komiczne, szydercze, a nawet kontrowersyjne co do życia kapłaństwa. W bibliotece pożyczono mi dwie nowe pozycje Kosmowskiej „Niebieski autobus"i Clarissy Pinkoli Estes „Biegnącą z wilkami" – światowy bestseller.

Od kilku dni trwają spekulacje o śmierci palestyńskiego przywódcy tamtejszego ruchu wyzwoleńczego Jasira Arafata, który jest w „stanie śpiączki", przebywa w wojskowej klinice we Francji. Wiadomości o jego stanie zdrowia są ściśle chronione.

Przeglądam poradniki. Jakiś rosyjski doktor w jeszcze jednej książce nastawionej na komercję, zapewne z przesadzoną informacją, że to bestseller, pyta tytułem „Czy można żyć 150 lat?". Wbrew oczekiwaniom, wewnątrz znajduję entą koncepcję „zdrowego odżywiania" i zaskakującą informację o szkodliwości mleka. Doktor przekonuje, że to trucizna, pyta czy pijący latami mleko nie zauważyli, że ich paznokcie u dużych palców stóp są grube, te u dłoni łamliwe? Przekonuje, że ta biała trucizna utrudnia przyswajalność zdrowych pokarmów przez organizm, osadzając się w kiszkach w postaci białego sera i oblepiając wszystko. Ciekawe; rozum także?...

**15 listopad** – niedziela

Siostra Hania pyta mnie o Jankowskiego. Ostatnio cicho o nim. Nie oglądała wieczornych dzienników w niedzielę; prasowcy zorganizowali w Gdańsku akcję wyjaśniania wiernym, że kościół to nie polityka. Jankowski ma czas na podjęcie decyzji; jego zwierzchnik dał mu przecież do zrozumienia, że jest już na parafii persona non grata, nie ustąpi. Hania pyta kto; Jankowski czy biskup? Oczywiście, że biskup. Ma poparcie papieża; ostatni pobyt prałata w Rzymie był podróżą donikąd, papież nie udzielił mu audiencji, a to niechybny znak, że nie zamierza brać go w obronę.

Przypomina mi się Pilch i jego Granatowe *Góry* z *Nart Ojca Świętego*.

**17 listopad** – wtorek

Noc na podsłuchu; nieregularne dudnienie ciężkich kropel deszczu po blaszanym parapecie jednoznacznie wyjaśnia okoliczność (sytuację): nadal pada i wieje. To wiatr pisze dla moich uszu tego niesamowitego morsa splątanego z brajlem.

Poranek rozpoczęła śnieżyca. Zamieć, nie zawieja. Zamieć to opady śniegu zamiatane wiatrem, zawieja następuje wówczas, gdy wiatr zamiata śnieg, który spadł wcześniej. Atak, pierwszy atak zimy rozgrywa się na moich oczach, ale poza cielesnym doświadczeniem. Temperatura gwałtownie obniża się do 0,5 stopnia Celsjusza i zatrzymuje, na cały dzień. Nie wyjdę z domu, ale czas najwyższy zlikwidować na balkonie lodówkę dla jabłek w zapasowych torbach, czas wnieść do mieszkania kwiaty, które ułaskawię; nie sparzy ich nocny mróz, a zapewne nadejdzie; będą kwitły na parapecie w chłodnej kuchni, przypominając mi krople jesiennego słońca.

Wczoraj cały dzień spędziłem z książką Głowackiego „Z głowy". Można by dyskutować, czy tak powinno się pisać książkę, to znaczy czy opowiadanie o sobie ciekawostek, jest wystarczające dla dzieła. Zapewne z punktu widzenia jego biografii, tak, ale rzecz taka nigdy nie będzie do końca czysta, szlachetna i pozbawiona subiektywizmu. Na przykład nie podoba mi się jego punkt widzenia, gdy z perspektywy doświadczeń po Ameryce, piciu, ćpaniu, łajdaczeniu się, próżniaczym życiu i ciągłych zabiegach o pozycję w literaturze, ot tak po prostu od niechcenia kreśli pewniki dotyczące ludzi, z którymi los go zetknął. Tak, to ciekawe, wiedząc to wszystko co przeszedł, spojrzeć na życie jego oczami. Tylko czy poza zainteresowaniem i ciekawością, może to jeszcze być dobra literatura? Z punktu widzenia warsztatu, częściowo, gdyż wypracowany przez lata styl nie szwankuje, ale z punktu spojrzenia na wartości, nie, ponieważ przesłania zeń płyną mylne: a to że życie traktować należy jak burdel, a to że świat jest podły i cwaniacy w nim potrafią znaleźć miejsce dla siebie, a to że niekoniecznie trzeba być dobrym, żeby być wielkim, no i to wreszcie, że o powodzeniu decyduje los, przypadek, szczęśliwy traf, a nie wiedza, praca i wartości ogólnoludzkie; tylko cwaniak żre dobrze i ma się w pogardzie dla innych, a zwłaszcza tych, co są naiwni i wierzą w uczciwość.

Dzisiaj, mimo deszczu, poszedłem najpierw na drobne zakupy, później do biblioteki oddać książki. Wypożyczyłem nową Gretkowskiej, „Europejka". I tu też zaskoczenie, ale dopiero w domu, bo książka okazuje się jakimś pamiętnikiem. Gretkowska spokorniała i pokazuje zapis swojego codziennego życia w Polsce, po (też) wyszumieniu się za granicą, zrobieniu szumu wokół siebie, pisując o pruderyjnym seksie. Pisze cichą książkę o szarości życia(?) Ciekawe, co to jest?

Rozmawiałem telefonicznie z Lusią; narzeka na szkołę; ciągłe hospitacje, kolejne weryfikacje nauczycieli, bo jej szkoła (odzieżówka) kurczy się i nie można wszystkim zapewnić pracy. Ona też zaczyna obawiać się o jej utratę. A poza tym trudna rozmowa, bo... nie potrafi się wyzwolić z dodatkowych obowiązków po śmierci rodziców, i... nie ma jak jej spenetrować, mimo iż też ma ochotę. U mnie zresztą zupełny zastój; odczuwam po przejściu fali andropauzy wyciszenie i... to nawet dobrze, że myślenie o seksie nie zajmuje mi już tyle czasu co kiedyś, a ciągoty seksualne nie zakłócają sposobu życia.

**18 listopad** – środa

W nocy rozhulał się silny wiatr, a po ósmej zaczęło padać, momentami mocno. Po przebudzeniu obserwowałem z balkonu szalejące w wichurze wrony.

Po przeczytaniu retrospektywnego dziennika Głowackiego (książki autobiograficznej), nieźle jest zderzyć ją z „Europejką" Gretkowskiej (po przeczytaniu ¼ nie znajduję jeszcze uzasadnienia dla tytułu). To też dziennik, tylko jakby pisany na bieżąco, z dnia na dzień. Pierwsze co mi się nasuwa to, że autorka nie miała ciekawszego tematu na książkę, a drugie, że przy dziecku to ona już taka samica jak w poprzednich nie jest.

Na siedemnastą pojechałem do biblioteki. Mimo brzydkiej pogody, od piątej moje dzieciaki przyszły na prowadzone przeze mnie warsztaty literackie, a maturzystka Ania dodatkowo przyprowadziła koleżankę. Prowadziłem zajęcia do 18.40. Najciekawiej pisze Kamila (opowiadanie jej czytałem głośno, nanosząc drobne poprawki), a nowa uczestniczka (Kasia) próbuje sił w poezji; jeden tekst jej poprawiłem, drugi był zbyt mocno skopany; wskazałem co powinna zmienić. Zachęcałem młodzież do pisania pamiętnika, jako formy zbierania doświadczeń później przydatnych do pracy literackiej oraz podstawy doskonalenia warsztatu, zwłaszcza ćwiczenia pióra.

**19 listopad** – czwartek

Gretkowską można, a nawet należy czytać po kawałku; tak jest napisana. To nic innego jak recenzja własnej codzienności. A że o sobie nie pisze się złych recenzji, Manuela wspina się na swój własny cokół kobiecości, misternie budowany z krzątaniny wokół własnych spraw domowych i spóźnionego macierzyństwa. W tle, jakby wciąż pod ręką, na wszelki wypadek, żeby postument się nie zawalił, krząta się jej mężczyzna. Ten postument trwałością jednak nie odbiega znacznie od przywołanych w książce, pod datą 26 kwietnia, postumentów nowej polskiej elity intelektualnej uczestniczącej w aferze Rywina, budowanych – zdaniem autorki – z własnego gówna.

Europejka to książka dla pań; i tylko w określonym wieku, według moich szacunków pomiędzy dwudziestym a czterdziestym rokiem życia. Zwłaszcza starszym paniom bym jej nie polecał. Jak napisała w swoim pamiętniku w Internecie Krystyna Janda po→



** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

puszczały by im szwy po liftingach. Poza tym książka droga; czterdzieści złotych. Ładnie za to wydana, ale za te same pieniądze można mieć pamiętnik Krystyny Jandy. I nie stresuje; relaksowy, wrażliwy, sentymentalno – romantyczny z bogactwem wspomnień o kulturze na wysokich obcasach. W lakierkach także.

Przed północą znajduję informację dnia w Internecie: Polka porwana w Iraku Teresa Borcz uwolniona. Pojawiła się na konferencji prasowej przy boku premiera Belki, który w imieniu rządu święci sukces jej uwolnienia. Ani słowa o tym w jaki sposób odzyskała wolność; akcja sił specjalnych, wysoki okup (jeśli tak, kto dał i ile?), czy może przypadek sprawiony kolejną akcją wojsk amerykańskich podczas zdobywania All-Falludży?

**21 listopad** – sobota

Podano, że lider opozycji uzyskał przewagę około 5 %, a w Gdańsku prałat dostał sraczki, wierni zaś, jak mają nie grzeszyć wobec Boga, skoro nie słuchają swoich pasterzy, bunt. Na Słowacji wichura, Janek mówi (wieczorem wypiliśmy razem u mnie flaszeczkę), że lodowiec w Himalajach cofnął się (a może skurczył) o 8 kilometrów.

Czytam *Europejkę*; przekroczyłem połówkę. Owszem w tym tempie książkę pisać można, ale żyć nie. Manuel dokąd Ci tak spieszno? Chcesz zwariować? Rozumiem, podpisałaś kontrakt, wzięłaś zaliczkę i jakoś trzeba z umowy się wywiązać. No i okey; książkę się czyta z zaciekawieniem, ale czy Twoje życie, Manuel musi być takie poszarpane? Nie daj się, Manuel. Spowolnij go. I zejdź niżej. Jeszcze niżej, ale nie za nisko, wystarczy poziom dzieciństwa. Pola powinna Ci to ułatwić. Zobacz, jak widać go z piszczącej od ludzkich brudów trawy, jak go widać z niesprzątanego latami podwórka, jak wygląda ze strychu babci Sabci z wsi Kozia Wólka Dolna... Zresztą co ja Ci będę doradzał, Ty wiesz lepiej, z której strony jest w nim Ci do twarzy. Do twarzy, nie do książki, Manuel. Do książki najlepiej Ci z poziomu wysokiej oktawy; słyszę pohukiwanie nokturnów, pobrzękiwanie Bacha, przyśpieszony rytm ciała cichodajki, udawany orgazm kobiety ze źródła o niewiadomym pochodzeniu; podjętej w podróży przez życie z przyleśnej ścieżki, ale jej przypadkowość miejsca jest sumą przypadkowości długich kuszących nóg i chłodu października. Tajga!

Albo tundra, tyle że na Wschodzie Świata, gdzie biel kojarzy się jednoznacznie z zimą. Z żadną cipą, Emanuel z żadnym seksem, a jeśli, to z cip, cip kurki moje, kogutki Kochutki, cip cip, Emanuel.

Po *Polce Europejka*, po *Europejce*?... *Światówka*? A potem? Co potem? Ciało stygnie, dusza wietrzeje. Oj dzieje się, dzieje. Zapisać. Zapisać, zapleść warkocze światłu, chwycić za łeb los, obnażyć go, spenetrować, ale na to trzeba być mężczyzną, a tak... można jedynie mu dać dupy, nic więcej.

Gretkowska była razem z Głowackim na targach książki w Moskwie. Zupełnie o tym zapomniałem. Teraz to przywołanie, gdy czytam Europejkę, nota bene zohydzające przy okazji Moskwę, nasuwa mi myśl, że Ona miała wpływ na „Głowę" w tych epicentrach, gdy pisarz skandalizuje, zwłaszcza w seksie. Gdy dziennik staje się obsceniczny, a jego autor skłania się w kierunku ukazywania ludzkiego piekła i jego językiem operuje; są więc w niej i ćpanie, chlajstwo, pijaństwo i łajdactwo w dosadnym ujęciu, językowym także. Chciałbym sprawdzić, wiedzieć dokładnie, kto swoje dzieło ukończył wcześniej.

**22 listopad** – niedziela

Co świat zrobi, co zrobi wolna Europa, Zachód, Polska? W Kijowie kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców od godzin porannych wyległo na ulice miasta, pokazuje światu i nam prawdziwy rozmiar ukraińskiej opozycji, pokazuje prawdziwe intencje mieszkańców; ich nieodpartej i być może do granic wytrzymałości doprowadzonej dążności do demokracji i wolności. Świat obiega wiadomość, że wybory prezydenckie wygrał przedstawiciel klasy rządzącej, aktualny premier Janukowycz. Lider opozycji rzekomo zdobył o trzy procenty głosów mniej. Nie ulega wątpliwości, wybory na Ukrainie zostały zmanipulowane.

**23 listopad** - poniedziałek

Czekam na nocne wiadomości telewizyjne, o drugiej, by dowiedzieć się czy na Ukrainie nie dzieje się coś nieoczekiwanego; nie podjęły interwencji siły bezpieczeństwa. Juszczenko ostrzegł wieczorem, że w nocy władza zamierza uderzyć. Nie uderzyła, byłoby to zbyt niebezpieczne dla niej. Dzisiaj na ulicach Kijowa jest już setki tysięcy ludzi. Wśród manifestujących liczni dziennikarze z Polski, i były premier Buzek (z ramienia komisji UE) wraz z żoną. Publicznie zapewniał na wiecu o poparciu Europy i Polski dla ukraińskiej demokracji, chwalił Ukraińców za to, że biorą los kraju w swoje ręce. Opozycja Ukrainy zaapelowała o pomoc do Polski, zaprosiła też do siebie Lecha Wałęsę; podano, że pojutrze wybiera się do Kijowa.

Prezydent Kwaśniewski zaapelował do Leonida Kuczmy o pokojowe rozstrzygnięcie sporu i podjęcie rozmów z Juszczenką i Janukowyczem. Od dzisiaj Ukraina ma trzech prezydentów; Kuczmę, elekta, który wygrał sfałszowane wybory i Juszczenkę, który został rano zaprzysiężony przed opozycyjną częścią parlamentu ukraińskiego. To się nieciekawie zapowiada. Będąc u fryzjera żartowałem, że źle jest w kraju, gdzie społeczeństwo jest podzielone na połowy, w razie konfliktu nic nie zostaje; racje mogą się zsumować, niebezpiecznie zsumować.

W kraju też wrze. Część parlamentarzystów na znak poparcia dla Ukraińskiej opozycji ozdobiła klapy marynarek pomarańczowymi wstążkami. Przywódcy ugrupowań opozycyjnych wzięli wieczorem udział w półtora tysięcznym wiecu poparcia, jaki się odbył w stolicy.

Złoty medal olimpijski Otylii Jędrzejczak licytowany od niedzieli w Internecie osiągnął kwotę 100 tysięcy złotych; licytacja toczyć się będzie jeszcze ponad dwa tygodnie.

Niemcy, Słowacja i Polska powołują wspólnie grupę (siły) szybkiego reagowania zdolne wystąpić samodzielnie w razie konfliktów zbrojnych na całym świecie(?)

W piątek **Pierwszy atak zimy!** Zrobiło się biało. W nocy budziło mnie stukanie deszczu o parapet okna, ale w innych regionach kraju spadł śnieg. W lubuskim było najgorzej, najwięcej szkód. Teraz po dziesiątej wieczorem mówi się o dziewięciu osobach zabitych podczas wichury w kraju i ponad piętnastu tysiącach ludzi pozbawionych prądu tylko w lubuskim. W Legnicy u nas było kilka awarii energetycznych. Przez Słowację przeszła niesamowita wichura w piątek czyniąc straty gorsze niż w Polsce.

Wczoraj nie wychodziłem z domu; wietrzyłem się na balkonie. I kończyłem Gretkowską; moje reime – za dużo jadu, za mało obiektywizmu.

Gorąco było w Gdańsku; prałat Jankowski w piątek zasłabł i znalazł się w klinice gastrologicznej, a wierni podjęli protest w jego obronie; wychodzili podczas czytania listu biskupiego z katedry i pomścili, pisali hasła na biskupa, że jest masonem.

**24 listopad** – wtorek

Wyciągnąłem z szafy stare dzienniki i zastanawiam się, czy nie zrobić połączenia współczesnego z tym z początku lat dziewięćdziesiątych? Tym bardziej, że skłania do tego sytuacja na Ukrainie.

Rywin dzisiaj był w sądzie; apelowano wyrok 2,5 roku więzienia i 100.000 zł grzywny. Ku zaskoczeniu wszystkich sąd apelacyjny zmienił kwalifikację z usiłowania płatnej protekcji na usiłowanie oszustwa w stosunku do Angory, za co grozi o pół roku więcej, ale nie to ważne, lecz by z odpowiedzialności pojedynczego człowieka (miecza) przejść do odpowiedzialności grupy sprawującej władzę (dłoni trzymającej miecz), do której zaliczają się m.in. Miller, Jakubowska, Kwiatkowski i inni.

Jadę na wieś; tam me korzenie. Odcięcie od nich pozbawiłoby mnie życiodajnych soków, uschnę; z tęsknoty, z braku wilgoci i światła. Jeśli chcesz zobaczyć prawdziwe życie, jedź ze mną – mówię do dziennika i wrzucam go do podróżnej torby. Dobrze, że nie potrafi mówić, zawołałby: Pipi Dówa! Nie, nie pipidówa tylko odkrywka; geologiczna: warstwa po warstwie narastająca we mnie. Zejdę do jednej z najniższych, poszukam rajskich jabłek. Odwiedzę cmentarz i mogiłę ojca. Mój ojciec... przy rajskiej jabłoni wyglądał jak sam stwórca. A może bluźnię? Wystarczyłoby go widzieć mężem Ewy? Jak Adama.

W podróży czytałem Pilch. Trochę go nie lubię. Ma ciekawą manię powtarzania w tekście członów zdaniowych, która daje efekt łopatologiczny.

Postęp Jerzego Pilcha w pisarstwie zaznacza się głównie w tym, że potrafi korzystać z zebranych doświadczeń. W „Nartach Ojca Świętego" Kochutek ma już trzecią żonę, zatem od czasu „Innych doznań" zdążył się dwukrotnie rozwieść.

**28 listopad** - sobota

Rozpoczął się sezon na skoki narciarskie w Kuusamo; Polacy są słabi, nikt nie wszedł do trzydziestki prócz Małysza, a Małysz zajął dopiero 19 miejsce.

Wróciłem do domu, ale mama została w Sycowie w szpitalu, mam z nią kontakt przez siostrę. Skończyłem Pilcha. Smak ogólny „potrawy" nie zmienił się. – No widzisz „Głowa". Poleciało. Czy zleciało Ci? Raczej, minęło. Polska Ludowa, Londyn; zamglona Anglia z Cicerone także po zwycięstwach i luksusie, z mglistą zapowiedzią dalszego sukcesu, z gorączką oczekiwania. Stąd ten Nowy Jork i Nowa Jersey, pociągająca tajemniczość scen teatrów, przedsmak ludzkiego bogactwa i biedy, bez świętości. – O święte łajdactwo świata zmysłów: sprzedać! O święte łajdactwo cielesnej pokuty: doznać! I zrozumieć! O bogowie ciekawości, o łotrzykowie zdrady! Bez snu, ale z halucynogennym marzeniem sławy. I te dręczące obrazy z przeszłości: Warszawa dzieciństwa, Warszawka wieku średniego, Łódź z Piotrkowską (I ja tam byłem, piłem, grzeszyłem). Polska rozebrana, Polska pijana, Polska skołtuniona, zapchlona, skundlona, Polska odebrana, Polska znów sprzedana...

No i widzisz, „Głowa", po komunie tylko wspomnienia, totalitarne barachło uczuć; występek goniący występek. A Tobie się udało, w słusznej sprawie piłeś, w słusznej nie poszło Ci z tą filmówką. Szkoda mi tylko Bożenki Wahl, lubię jej malarstwo. Ciekawy to musiał być kolaż; pisarz i malarka. To już lepiej brzmi poeta i malarka, może dlatego? Ja bym jednak nigdy nikomu jej obrazu nie sprzedał, ja bym... nigdy nie dał się wyrzucić z wysokiego piętra, nagi, na daszek przed wejściem w Mariocie, ja bym..., ale co ja



ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

plotę? Ja bym zarzygał się w tym świecie ułudy i umarł w nowojorskiej taksówce jak żona Tomasza Mana, albo dawałbym się okradać arabom. Ty to miałeś fart, „Głowa". I poszło Ci jak z płatka, gratuluję, masz to za sobą, opowiedziałeś o tym wszystkim. I dzięki. Dzięki za pocieszenie: nic w tym kraju, niczego w tym kraju uczciwie nikt nigdy się nie dorobi! Tylko co z postępem? Obszedł Cię bokiem, a teraz, na co czekasz, „Głowa"? Na lepsze czasy? Nie będzie. Tu, w tym kraju, nie będzie ich. Ale nie martwmy się, „Głowa" do góry...

**30 listopad** – poniedziałek

Do 12.50 spędziłem w bibliotece, rozmawiałem z bibliotekarkami o nowych książkach. Będąc w rynku, podpisałem deklarację poparcia dla Juszczenki; podeszła do mnie dziewuszka z grupy młodych osób, popierających Ukraińską opozycję. Rosja obwinia Polaków za wtrącanie się w sprawy Ukrainy, W Doniecku górnicy pod wodzą Janukowycza straszą demonstrantów w Kijowie; istnienie zagrożenie pęknięcia Ukrainy na dwie części; wschodnią i zachodnią.

Na spóźniony obiad zrobiłem pierogi z mięsem. I zdrzemnąłem się. Po dwudziestej zadzwoniłem do Hani. Siostra wyjaśniła, że mama jest w dobrym nastroju, dostała kroplówki; myślę, że z płynem wielofunkcyjnym. A dzisiaj miała mieć badanie jelit. Przekonsultowałem tę historię z moim przyjacielem poetą doktorem Wiesiem Prastowskim. Powiedział, że to może być związane ze starzeniem się – zatykanie się jelit, głównie cienkiego. Wysycha śluz, obsychają też naczynia krwionośne, co powoduje obumierania jelita. Z tego powodu występują wielodniowe zaparcia, a potem biegunki. W takiej sytuacji często lekarze proponują udrażnianie operacyjne, ale to niebezpieczne, bo jelita są kruche, źle się goją. Najlepiej byłoby podać leki przeciw zakrzepowe na krew i krążenie. To dzisiaj Hani powiedziałem, prosząc, żeby z tą jej znajomą panią doktor o tym porozmawiała. Bo diagnoza zdaje się to potwierdzać. Dzisiaj mieli kłopot z badaniem, bardzo ją bolało. Hania nie wie jeszcze, co jest w opisie, ordynator będzie dopiero oglądała to jutro.

O siedemnastej zadzwoniła Lusia. Powiedziała, że przyjdzie do mnie wieczorem. Jest już 19.30, a jej nie ma.

***Jan Stanisław Smalewski***

Zbigniew Ikona-Kresowaty

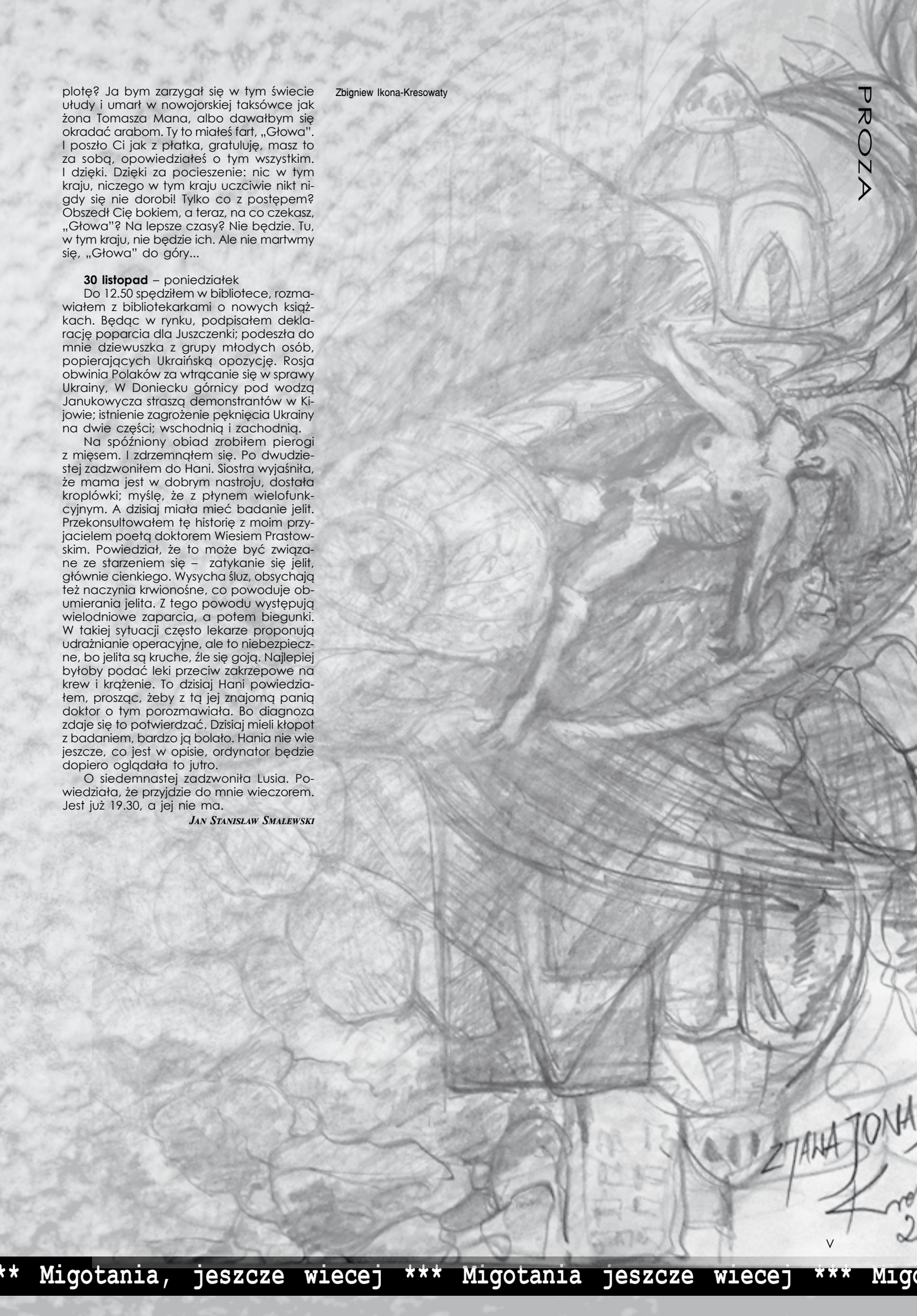




** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

## Przemysław Znojek

### Wena

Spotkamy się na praskim bruku
nierównym
szarawym
Pod pomnikiem świętego Wacława
przodem do budynku muzeum
odwrócę się
popatrzę w dół
czerwony neon BATA przykuje moją uwagę
Zaczekam jeszcze kwadrans
zanim się nie pojawisz
zawsze na CIEBIE czekam
O tej samej porze

### Hrabal na Bulovce

Gołąb przystanął na parapecie
ołowiany
dumny
patrzy w moją stronę
widzę go wyraźnie
zbliżam się powoli
chwytam białą, drewnianą klamkę
czuję drażniące powietrze
przeszywa mnie
olejna, szpitalna zieleń
niepokój
sypę garść starego chleba
wspomnienia
każdy okruch
słyszę dźwięki
głosy
wychylam się
balansuję
akrobata na Bulovce
tracę równowagę
spadnę, a może mnie złapiecie?

## Rafał Hille

### konstelacja urazowa wczesnej jesieni

jesienią piszę pierwszy list pożegnalny do
świętego Mikołaja chcę na święta
jeszcze jedną butelkę tego samego
oraz bawełniane skarpetki dla całego świata

ostatni komar niech zdycha w konwulsjach
umazany krwią niewinnych; obok żona z
dziećmi powalczą jeszcze o życie zatruci
tanią chemią w sprayu na owady latające

jesienią jesienią gdy sady się znów rumienią
wino czerwone opada tak szybko we krwi
bezpiecznie jest tylko w Pijalni Wódki i Piwa
barman podłączy bezboleśnie kolejną kroplówkę

ale najlepszych przyjaciół robię z kasztanów
śmiejemy się razem z dowcipów cienkich
jak spinacze i prostych jak zapałki; nikt nie
marudzi na trujące suchary i jadowite pointy

w piecu napalę rachunkami za ogrzewanie
kilka razy przeczytanymi gazetami; krzyżówek
nie dało się rozwiązać a supergwiazdy bledną
tak szybko że nie nikt nadąża ich kochać

bezdomna żebraczka gra na piszczałce
tą samą melodię ciszej niż roku temu
mgła chłonie dźwięki bardziej wieczorami
nad ranem mróz zamienia serca w lód

### ogień

ta historia dzieje się na kartce papieru
dwoje narysowanych długopisem ludzi
tak długo patrzyło na siebie bez jednego
grymasu aż zaczęli się w końcu uśmiechać

leżącą obok woskową kredką dorysowali
domek z nierównym płotem przy lesie
psa przy budzie i leniwego kota w oknie
skrzynkę z nigdy nie odebranymi listami

a potem namalowali ognisko domowe
które miało ogrzać naszkicowany dom
oraz ich kredkowego psa z leniwym kotem

ale ogień okazał się zbyt prawdziwy
spalił papierową kartę wraz z nimi



ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

# REGUŁA SKRĘTU. CZĘŚĆ 2



Zbigniew Wilczyński

(3). Losy dwóch ludzi, którzy jechali w srebrzystym lanosie, również nie mają dla tej opowieści znaczenia, raczej ważny jest samochód, jego pojawienie się w tym właśnie miejscu o tej porze, a więc poniekąd również ten, kto go prowadził. Mężczyzna nazywał się Leszek Kostecki, miał trzydzieści pięć lat, żył i pracował w Gdańsku, a znalazł się na tej drodze, ponieważ żona wymogła na nim, by odwiózł do domu do Piły jej bratanka, Olafa Duneckiego. Kostecki należał do tych szczęśliwych średniaków, na których przez całe życie sypią się małe sukcesy i związane z nimi drobne profity. Niczym szczególnym się nie wyróżniał, może jedynie tym, że był meteopatą i szczególnie źle znosił nagłe skoki ciśnienia atmosferycznego. Front burzowy, który przetoczył się nad okolicą, sprawił, że Kostecki miał obniżoną sprawność fizyczną, a jego refleks byłby przydatny bardziej szachiście niż kierowcy.

(4). Tymczasem w przechylonym na bok gimbusie z szoku spowodowanego kolizją z topolą najszybciej ochłonęły się dzieci; względnie całe i niezwykle żywotne, po prostu nie mogły zbyt długo pozostać w milczeniu i w bezruchu. Najpierw zaczęło pokrzykiwać jedno dziecko, potem drugie, a chwilę później wszystkie podniosły rejwach natężeniem porównywalny do tego, jaki zawsze podnosiły w szkole na przerwach. Minutę później – pewne, że już nic im nie zagraża – otrzepały się z okruchów szyb i zaczęły wędrówki po autobusie; mokra trawa, która zajęła na lewej burcie miejsce okien, zapraszała, by postawićna niej stopę.

Hałas i ruch, świadczące o tym, że dzieciom w wypadku nic się nie stało, otrzeźwiły dwójkę nauczycieli. Tak to już bywa z ludźmi, na których pełnione obowiązki nakładają odpowiedzialność za bezpieczeństwo, a więc często i za losy innych, choć nie zawsze jest to zależne od ich postępowania czy od podejmowanych decyzji. Ludzie ci zdają się nie zauważać, że oni także znaleźli się w zagrożeniu. Ci o silniejszej psychice potrafią wtedy działać tryskając wręcz niewiarygodną energią, ci słabsi popadają w odrętwienie sparaliżowani jedną myślą: Zawiedliśmy!

Szymon Stasiuk, trzydziestoletni matematyk, widząc dzieci swobodnie spacerujące po przechylonym autobusie, poczuł ulgę. Chwilę później przebadał całe swoje ciało i jego ulga wzrosła do poziomu zadowolenia, bo nikły ból w stłuczonym kolanie świadczył, że on też jest cały. Dopiero wtedy z pewną troską spojrzał w bok, na sąsiedni fotel, w którym siedziała młodsza od niego o 3 lata Iwona Mirkowska, polonistka. Przechylona w fotelu, kurczowo wczepiona w oparcie, z wyrazem oszołomienia na twarzy, już powoli zaczynała się uśmiechać. W Szymonie Stasiuku od dzieciństwa kształtowała się pewność, że na tym świecie najważniejszy jest właśnie on, więc teraz bez specjalnego zdziwienia stwierdził, że Iwonie też nic się nie stało. Był Iwoną zainteresowany, więcej, zdołał już przekonać siebie, że ją kocha, zdołał również zyskać wzajemność Iwony, więc nie mógł jej teraz tak głupio stracić. Po prostu los nie miał prawa wykręcić mu takiego numeru. I już.

Kierowca, Alfred Skórski, gdy tylko ocknął się z chwilowego odrętwienia, czujnie nadstawił uszu. Choć jeszcze nigdy nie miał żadnego wypadku, a nawet nie znalazł się w pobliżu ludzkiego nieszczęścia, czuł, że odgłosy towarzyszące takiemu nieszczęściu potrafi rozpoznać bez pudła. Gdy pośród rozlicznych hałasów rodzących się w autobusie nie dotarł do niego nawet ślad takiego odgłosu, odetchnął. Jednak nie poczuł ulgi. Wciąż był spięty. A także zły. No cóż, wiedział, że wypadek powstał głównie z jego winy i że policjanci, którzy niedługo się tu zjawią, na pewno do tego dojdą. „Pieprzyć to!" – pomyślał.

– Pieprzyć to! – warknął pod nosem. – Niekiepski chlew, w mordę!

W prawej burcie gimbusa ocalały tylko dwie szyby, obie w drzwiach, małe i wąskie. Nie dawały żadnej osłony i wnętrze pojazdu było swobodnie zalewane przez strugi deszczu. Stasiuk z Mirkowską szybko doszli do wniosku, że schronienia powinni szukać na zewnątrz, bo jeśli zostaną tu dłużej, to większość dzieci jak nic podłapie zapalenie płuc. Stasiuk stanął na oparciu fotela, wytknął głowę nad autobus i rozejrzał się. Samotna topola tkwiąca nad nimi też nie dawała żadnej osłony, a dalej aż po horyzont rozciągały się szczere pola. Po drugiej stronie szosy rósł rozłożysty dąb. Było ciemno, jednak Stasiukowi udało się wypatrzyć, że ziemia pod nim ma kolor popiołu, co świadczyło, że jest sucha, że gęste liście drzewa są skuteczną zaporą nawet dla wodnych strug. Gdy Stasiuk przetarł zalewane deszczem oczy, zauważył za dębem szarą ścianę domu. Dom oznaczał nie tylko dach nad głową i ciepło, ale także obecność ludzi, więc konkretną pomoc. Trzeba było wydostać się z gimbusa, przeskoczyć przez szosę i dotrzeć do domu. Stasiuk ocenił, że będzie potrzebna pomoc trzeciego dorosłego, kierowcy Skórskiego.

– Pieprzyć to! – zamruczał Skórski pod nosem. Dobry humor sprzed wypadku nie chciał wrócić. I nie mógł. Skórski czuł, że właściciel gimbusa, gmina w Odolanach, tak czy owak będzie chciał go uwalić. Był ubezpieczony od odpowiedzialności cywilnej, ale już zdarzyło mu się widzieć jak władza – jeśli chciała zaszkodzić człowiekowi – obchodziła nie takie rzeczy.

– Pieprzyć to! – powtórzył, akurat gdy zbliżył się do niego Stasiuk.

Propozycję nauczyciela, by wyszedł na pochyloną burtę pojazdu i przyjmował podawane przez niego bachory, po czym ostrożnie odstawiał je na ziemię, zbył gniewnym parsknięciem. Natomiast drugą propozycję, by to on podawał bachory z autobusu, przyjął po krótkim namyśle.

Kilka minut później wszyscy pasażerowie gimbusa znaleźli się na zewnątrz. Tu Stasiuk znów wykazał inicjatywę. Ponieważ gęsty deszcz ograniczał widoczność, istniała możliwość, że zza zakrętu może nagle wyskoczyć jakiś pojazd, więc przeprowadzanie przez szosę całej gromadki niesfornych dzieciaków mogło się okazać niebezpieczne. Stasiuk podzielił dzieci na dwie pięcioosobowe grupki. Pierwszą chciał poprowadzić osobiście, drugą powierzył Mirkowskiej, a Skórskiemu – pozostającemu na poboczu – polecił, by ten krzykiem ostrzegł ich, gdyby coś im zagrażało.

Jakiś czas temu, zwabiony hukiem powstałym podczas zderzenia autobusu z drzewem, przed knajpkę „Rozeta" wyszedł Edward Pancer, człowiek mniej więcej czterdziestoletni, o twarzy wytrawionej wiekiem, i nie tylko. Nie lubił wilgoci, więc schował się pod plastykową markizą osłaniającą drzwi i patrzył ciekawie.

Nauczyciel Szymon Stasiuk najpierw skłonił do ruszenia z miejsca pięcioro swoich podopiecznych, po czym szybko wyszedł na czoło i objął przewodnictwo na tym małym stadkiem. Gdy grupka dotarła mniej więcej do środka szosy, nagle na zakręcie pojawił się autobus man. Jednocześnie z drugiej strony zapaliły się włączone na moment długie światła lanosa i wyłuskały z mroku całą tę scenę w jednym oślepiającym błysku. Kierowca Skórski krzyknął ostrzegawczo. Dopiero teraz.

(5). Man nie pojawił się na zakręcie nagle, miał włączone nie tylko światła mijania, ale również wszystkie światła gabarytowe, był więc dostatecznie widoczny nawet w ciemnościach i ulewnym deszczu. Skórski i Stasiuk dostrzegli go tak późno chyba z powodu chwilowego zaćmienia umysłów lub przytępienia zmysłów.

Trzeba przyznać, że kierowca lanosa, Leszek Kostecki, też miał przytępione zmyły. Widział, że przed nim na szosie i na poboczu coś się dzieje, ale miał trudności z rozpoznaniem co, więc błysnął długimi światłami, by dokładniej zobaczyć i ocenić sytuację. Trochę zobaczył, niezbyt dużo, wkurzył natomiast kierowcę mana. Nie oślepił go, Piskorski przyzwyczajony był do podobnych numerów i odruchowo zmrużył oczy, a tu na dokładkę światło reflektorów rozszczepione przez tysiące kropel wody straciło wiele ze swej ostrości. Jednak Piskorski zareagował tak, jak to robił od lat w odpowiedzi na podobne zagrywki, też błysnął długimi światłami. Reflektory autobusu trafiły na coś, na co nie miały prawa trafić: na małą lukę w spływającej nieprzerwanie pionowej fali deszczu. Przednia szyba lanosa nagle rozbłysła przed oczami Kosteckiego jak stojące w zenicie słońce. Mózg, odruchowo broniący się przed bolesną falą jasności, zredukował jej odbiór do minimum, do ciemności. Kostecki, oślepiony, bezradny i zdezorientowany, zdany na inne zmysły, a przede wszystkim na odczucia, przez chwilę miał wrażenie, że zaczyna zjeżdżać w prawo, na pobocze. Zareagował przesadnie, jak człowiek atakowany strachem – i mocno szarpnął kierownicą w lewo. O tym, że zaczyna wpadać w poślizg, powiedział mu odzyskiwany wzrok. Więc szarpnął kierownicą w drugą stronę i wcisnął hamulce. Prawie nowe opony lanosa, z głębokim i wyraźnym protektorem, nie miały trudności z przebiciem się przez cienką warstwę wody pokrywającej asfalt i z utrzymaniem przyczepności. Gwałtowne manewry kierownicą trochę zachwiały pojazdem i wybiły go z prostej drogi wzdłuż prawego skraju jezdni, ale nagłe hamowanie sprawiło, że lanos uniknął poślizgu i na tę drogę wrócił. To znaczy – niemal wrócił. Gdy Kostecki zdjął nogę z hamulca i ponownie wcisnął gaz, samochód znów podążał po linii prostej, ale teraz była ona nieznacznie odchylona ku środkowi szosy.

Lanos przyspieszał. Dość ostro, bo wszystkie ruchy Kosteckiego były przesadzone: wcisnął gaz do oporu.

Choć Piskorski jechał raczej wolno i bardzo rozważnie, jednak sytuacja, jaką na zakręcie stworzył Stasiuk do spółki z Kosteckim sprawiła, że jego rozwaga na niewiele się zdała. Prawdziwy refleks w chwilach krytycznych, wymagających szybkiej decyzji, to wrodzona albo wypracowana latami doświadczeń umiejętność niemal jednoczesnego dostrzeżenia wszystkich konsekwencji każdej możliwej decyzji i natychmiastowe wybranie tej najkorzystniejszej, zapewniającej optymalny sukces. W okolicznościach niesprzyjających sukcesem bywa najmniej dotkliwa porażka, jakakolwiek szansa czy też wreszcie rzeczywisty ratunek.

Piskorski miał niewielki wybór. Mógł pojechać prosto, uderzyć w grupę dzieci, która właśnie znalazła się na środku szosy, a także w walące z przeciwka daewoo. Mógł odbić w lewo i spróbować zmieścić się w luce między dziećmi i leżącym na poboczu gimbusem, ale właśnie wjechał w dużą kałużę, znał stan opon mana, więc wiedział, że wpadnie w poślizg, nie zdoła się zmieścić w luce i z pełnym impetem uderzy w gimbusa, a przede wszystkim w stojącą przed nim drugą grupę dzieci. Na koniec – ponieważ już zaczął skręcać w prawo – mógł przedłużyć to skręcanie i – jeśli uniknie poślizgu – wpakować się w dąb.

Kierowca lanosa, Leszek Kostecki, nagle zorientował się, że bezsensownie przyspiesza pchając się z rosnącą prędkością wprost na grupkę dzieci i pod zbliżający się autobus. Zdjął nogę z gazu i wdepnął hamulec.

Najpierw zatrzymały się dzieci. Przerażenie na widok nadlatującej z dwóch stron śmierci odjęło im władzę w nogach. Chwilę później stanął Stasiuk. Miał refleks, ocenił swe szanse i uznał, że nie da rady uciec.

Lanos wytracił pęd dwa metry przed skamieniałą grupą.

Piskorski przedłużył skręcanie w prawo i wpakował się w dąb.

***Zbigniew Wilczyński,***
***Łódź, marzec 2000 r.***



** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Renata Paliga

## Pytania badawcze

czy energia z pierwszego krzyku dziecka przybyłego z zakrzywienia czasoprzestrzeni staje się gwiazdą. satelitą. sonatą. parą wodną opadającą na kafle podłogi łatwej do utrzymania w stanie sterylnej czystości. czy ginie. cud pierwszego krzyku umiera od środków dezynfekcyjnych. zamienia w nicość. w strach o to co będzie później. jutro. za miesiąc za rok. bilet do przyszłości zamyka się w książeczce szczepień jako gwarancji niesprecyzowanej zdrowotności

krew. pot. ból. nienawiść. miłość. układają się w dłoniach. wiążą palce pierścieniami by zatrzymać i zataić ich histeryczny taniec. odcisk. ich czystość i brud. kruchość linii papilarnych nawinięta na opuszki palców w celu autoryzacji. niezbędnej do nauki czułości swojej skóry. lub obcej

jak przez kamień ukazać umiłowanie wolności. rzeźbiąc w nim Niobe lub Nike. lub zwykłe kamienne balustrady. lub kraty ogrodzeń
jak zatrzymać wspomnienie o człowieku inaczej niż w portrecie zdeponowanym w cyklonie czasu

czy żarłoczna czeluść nieskończoności ma jakiekolwiek znaczenie dla zwykłego pojedynczego istnienia. nieskończoność ubrana w kości szkieletów na barokowych obrazach. krągłe ciała wymieszane z resztkami gnijących szczątków. oczy wywrócone do nieba do granicy kiczu i sztuki. czas człowieczy w loterii rozliczeń których bilans nie ulega podsumowaniu

co pochodzi od Boga. gdzie On mieszka. kogo upoważnił do wglądu w dokumentację na jego temat. a może nie istnieje w sensie zwierzęcego istnienia. jest tworem. botem. Pandorą. czymś stworzonym by nadać sens kolejnym dniom. chociażby przez gorycz wyczekiwania na sygnał ze zbioru biblijnych proroctw

odwieczny dialog ze śmiercią. czy możliwe jest nieistnienie tego dialogu



ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

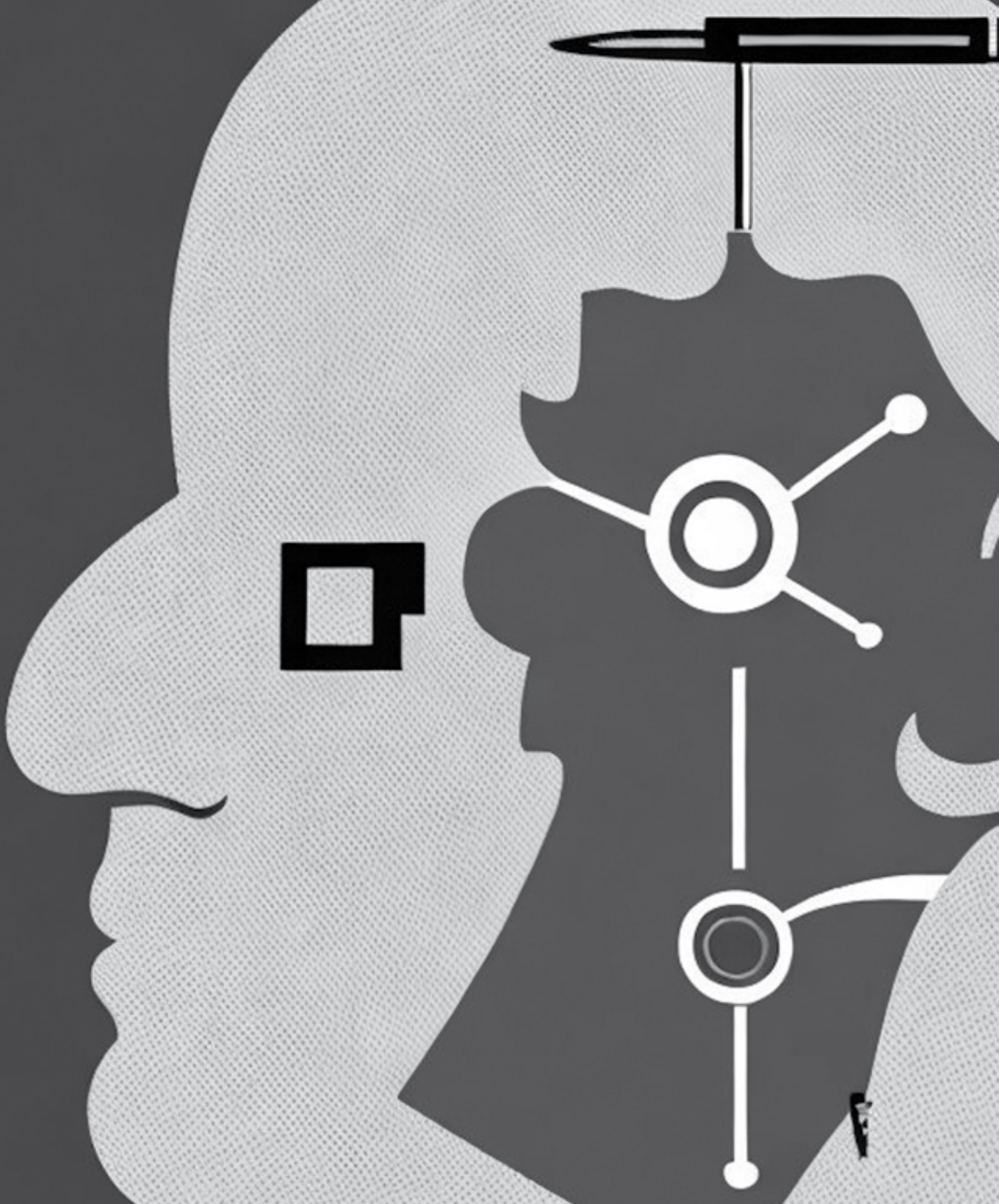

by AI

PROZA

Marek Wawrzkiewicz

# OKRUCHY (7)

Powroty do pradawnych lektur bywają ryzykowne, a nawet niebezpieczne. Bo oto po latach czytamy coś, co nas zachwyciło i okazuje się, że był to zachwyt pomyłkowy. Dzieło, nie czekając na stulecia, zestarzało się w krótkim czasie. Albo my byliśmy zbyt entuzjastycznie młodzi, a zatem zbyt skorzy do potępień lub uwzniośleń.

Na szczęście zdarza się, że jest inaczej: nasz młodzieńczy zachwyt wydoroślał, a mimo to trwa i jest pogłębiony. Bardziej świadomie rozsmakowujemy się w lekturze, znajdujemy w niej to, co dawniej nie było najważniejsze.

* * *

Jeden z pisarzy, których polityka wykreśliła z historii literatury, a może tylko czasowo usunęła na margines: Bohdan Czeszko.

W roku 1962 ukazała się – mała powieść? duże opowiadanie? nowela? – książeczka po tytułem „Tren". Autor był wówczas pisarzem u szczytu popularności, wydawca (Ministerstwo Obrony Narodowej) solidny, a nakład jak na owe czasy mizerny: 10 tys.egz. Dziś można się tylko dziwić, że ta książka w ogóle się ukazała. Nie ma w niej bowiem ani szczypty heroizmu, nie ma batalistyki i sławnego zwycięstwa. Bohaterowie – nie herosi, a chłopcy w wieku kilkunastu czy dwudziestu paru lat – umierają co do jednego, a autor wbrew sztuce pisarskiej zapowiada ich śmierć już w momencie, kiedy się w opowieści pojawiają. Wojna jest nieustannym, otępiającym marszem, jest głodem, brudem, smrodem, błotem i wszawicą. Jest beznadzieją.

* * *

Wojny zmieniają sensy słów, nadają im nowe znaczenia. Nasze niebo, w które codziennie spoglądamy, pogodne lub zachmurzone, staje się groźnym przestworem – spadają z niego bomby i rakiety. Ziemia jest nie tylko urodzajna, jest to coś, w czym ryje się okopy. W piwnicy gromadzi się nie tylko zapasy na zimę i niepotrzebne szpargały, jest miejscem niepewnego schronienia. Drogą nie tylko jedziemy do zamierzonego celu, jest to szlak, którym poruszają się czołgi.

* * *

To zadziwiająco okropne: wojny stają się coraz mniej ludzkie. Nie znaczy to, że jestem za wojnami dawnymi, kiedy wrogowie zabijali się widząc siebie, zabijali mieczem, kulą lub bagnetem. Techniki wojenne oddalają wrogów od siebie, ludzie zabijają się niejako zaocznie, z odległości kilkudziesięciu, kilkuset kilometrów. Stają się podobne do gier komputerowych, choć przecież dzieją się w realu i skutkują wielokrotnie liczniejszymi ofiarami. Czy sumienie jest teraz silniej opancerzone?

Doskonalenie zabijania. Pracują nad nim wynalazcy, uczeni, sztaby ludzi. Być może chociaż w tej dziedzinie dojdziemy do doskonałości. Tyle, że nie będzie nikogo, kto by to podziwiał.

* * *

Codziennie śledzę wiadomości z Ukrainy, widzę obrazy ruin z miejsc, które znam, słucham relacji z walk, komunikatów o bitwach, o warunkach, w jakich żyją ludzie w czasie bezsensu wojny. I mam wyrzuty sumienie: przejmuję się tym wszystkim, ale jakby mniej. Chyba wszyscy powinniśmy mieć wyrzuty sumienia.

Rozmawiam z moim przyjacielem, pisarzem Tolą Krymem, mieszkańcem Kijowa. Pytam, jak żyją. Odpowiada, że normalnie. Ot tam, codziennie parę razy wyłączają prąd, ale w sklepach można coś kupić, ludzie przywykli do chowania się w schronach, w piwnicach i metrze, kiedy zawyją syreny alarmowe. Jest normalnie. Człowiek jest stworzeniem umiejącym się przystosować do najstraszniejszej nienormalności.

* * *

Słucham młodej piosenkarki śpiewającej „Wiersze Baczyńskiego": Jeno wyjmij mi z tych oczu/ szkło bolesne, obraz dni… Śpiewa z sercem, ale mi się nie podoba. To moja wina – zbyt dobrze pamiętam jak to śpiewała Ewa Demarczyk.

* * *

Wielki dyrygent Henryk Czyż, któremu w dawnych czasach zdarzało się komponować muzykę do filmów, powiedział mi kiedyś, po czym poznaje, że film z jego muzyką jest zły: wtedy mianowicie, kiedy uczestnicy kolaudacji przed wszystkim i w pierwszych słowach chwalą muzykę.

Niezapomniany Zygmunt Kałużyński rozpoznawał walory filmu dosadniej:

kiedy czuł w trakcie projekcji, że boli go dupa, to znaczyło, że film jest do tejże.

* * *

Kiedy po pierwszych kęsach jakiejś potrawy czuję, iż jedzenie mnie nudzi, wiem, że kontynuacje mogę sobie darować – choćbym miał być głodny. I często poszczę. Ale z rozmarzeniem przywołuję wtedy smak prawdziwych potraw i smakołyków, a nawet ich nazwy. Moja ciotka Anielka piekła ciasto o zapomnianej nazwie cwibak. Byłem wtedy przekonany, że to nazwa keksu używana w Galicji. Otóż nie: są to ciasta z bakaliami, ale cwibak składa się wyłącznie z bakalii, jaj, mąki i cukru, a do keksu dodaje się masło lub margarynę.

W starych, klasycznych powieściach jedzenie gra rolę wcale nie drugorzędną. W naszych czasach, kiedy potrawy z kurczaka należą do najbardziej pospolitych, nieznane są słowa z tym ptactwem związane: kapłon i pularda.

Kapłon to słowo rodzaju męskiego i w pewnym sensie tak jest: to młody, specjalnie tuczony i wykastrowany kogut, z którego sporządzano wymyślne dania. Pularda zaś to kura (też tuczona, podawana w różnych postaciach) zarżnięta przed osiągnięciem dojrzałości płciowej. Miłośnikom historii wyjaśniam, że kura osiąga tę dojrzałość w wieku dziewięciu tygodni.

Współczesna kuchnia oferuje zupy i kremy. Do wielkich rzadkości należy polewka. Tak, to też zupa, ale niegdyś nazywano tak wyłącznie zupy białe. Teraz występuje niekiedy polewka piwna, najczęściej bez zupy. Świeżo zaślubionym pannom podawano nalewkę winną, a odrzuconym kawalerom czarną polewkę. Słusznie: odmowa ma kolor czarny. Doświadczam tego często: czarną polewką częstują mnie różne instytucje, u których ubiegam się o dotacje na działalność mojej organizacji pisarskiej.

* * *

Przeczytałem to gdzieś, czy usłyszałem? Odmowa ma różne imiona.

Pewien autor nadesłał do redakcji czasopisma literackiego utwór, w którym opisał losy ludzkości, budowę i genezę powstania wszechświata, wskazał narodom drogi ku szczęśliwości i harmonii, zadekretował wszelkie problemy moralne itd. Redakcja odpowiedziała mu mniej więcej tak:

- Czcigodny Autorze, Mistrzu! Jesteśmy wstrząśnięci Pańskim arcydziełem! Redaktorzy wyrywali je sobie, niektórzy zalewali się łzami, inni popadali w przeciągłe omdlenie. Ale proszę nas zrozumieć: gdybyśmy opublikowali Pański utwór, to nigdy już nie moglibyśmy zamieścić żadnego innego.

* * *

Lat temu wiele pewna rosyjska dama w wieku pospiesznie podeszłym powiedziała mi, że Polacy są narodem rycerskim. I wytłumaczyła – a byłem już w imieniu narodu odpowiednio pochlebiony – że kiedyś miała polskiego kochanka, który z nią zerwał. Ale tak, że przez trzy lata była pewna, iż to ona zerwała.

* * *

W latach siedemdziesiątych między mną, a pewną wybitną artystką silnie zaiskrzyło. Pojechałem na jej recital. Siedzieliśmy przy kolacji w hotelowej restauracji. Artystka odezwała się mniej więcej w te słowa:

- Wiem, że chcesz i ty wiesz, że ja chcę. Ale nie pójdę do twojego pokoju, a ty nie przyjdziesz do mojego. Jesteś żonaty, a ja wiem, że po jakimś czasie zażądałabym, żebyś był tylko mój.

Wśród wielu odmów ze względu na urodę ta właśnie plasuje się w ścisłej czołówce.

* * *

Z moim przyjacielem Ryszardem Ulickim odbyłem wiele podróży na trasie Warszawa – Koszalin – Warszawa. W swoim samochodzie miał CB radio, Niekiedy słuchaliśmy rozmów kierowców, wielce pouczających. Okazuje się, że za pomocą zaledwie ośmiu słów, jeśli się je odpowiedno intonacjonuje, można opisać nie tylko zdarzenie, sytuację, pogodę – można też zrelacjonować skomplikowane stany psychologiczne. Słuchaliśmy takiej właśnie rozmowy dwóch tirowców. Rysio nie wytrzymał i przemówił tak:

Panowie, mówi do was ojciec Ignacy z zakonu Franciszkanów. Czy wy musicie posługiwać się takim plugawym językiem? Przecież mogą was słuchać kobiety, a nawet dzieci! Czy to nie lepiej pomodlić się o szczęśliwy powrót do domu, do rodziny! I dalej w tym duchu i tej poetyce.

Z tamtej strony milczenie, a potem zdecydowany głos: - Pierdol się!

Tę odmowę uznałem za mało elegancką.

* * *

Nie wyobrażam sobie dnia, którego Rysio przeżył bez żartu.

Pewnego dnia zadzwonił do niego zawodowy krasomówca i długo namawiał go do skorzystania z pewnej usługi, czy też zakupu niezbędnego do życia towaru. Rysio przerwał mu i nawiązał następujący dialog;



ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Rysio: - Przepraszam, że przerwę. Jak się pan do mnie dodzwonił?

Reklamiarz: - Normalnie, wybrałem numer.

- Ale ja nie mam telefonu.

- Jak to?

- A tak. Dwa lata temu zrezygnowałem z numeru, a rok temu wyrzuciłem aparat.

-To jak ja się do pana dodzwoniłem?

- To ja pana pytam: jak się pan do mnie dodzwonił!

Krasomówca zrezygnował z dalszej rozmowy, ale chyba długo ją analizował.

* * *

Polacy nie gęsi. Inaczej mówiąc: pora umierać.

Słucham w autobusie rozmowy dwóch nastolatków. Domyślam się, że rozmawiają o sprawach związanych z informatyką, z komputerami. Niby mówią po polsku, a ja nic nie rozumiem.

W tramwaju dwie panienki dzielą się przeżyciami z ostatniego weekendu. Ten język znam, posługiwali się nim niegdyś wozacy.

Jest w języku polskim przypadek wołacz, który uległ zapomnieniu. Zwracając się do kogoś po imieniu używamy (poza mną) wyłącznie mianownika: słuchaj, Wojtek, zamiast: słuchaj, Wojtku.

Kolega młodszy o lat czterdzieści zbeształ mnie za zwrot w tekście: imaginuj sobie.

- Co to za język?!

Odpowiedziałem, że polski. Nie uwierzył. Zapłakałem skąpą, męska łzą.

* * *

Jesteśmy świadkami narodzin nowych gatunków literackich. Jednym z nich jest literatura plotkarska, bardzo często obywająca się bez literatury. Drugim literatura krytyczno plotkarska. Obydwa gatunki mają się coraz lepiej. Czytałem ostatnio trzy takie książki. Po lekturze należy długo myć ręce przy użyciu dużej ilości mydła i szczotki ryżowej.

Oto dzieło pierwsze. Autor wzoruje się na klasyczce tego gatunku, JS, mistrzyni pomówień, kłamstw i fałszowania najnowszej historii. Jest subtelniejszy, bardziej dba o pozory obiektywizmu i odziewa białą szatę częściowego rozgrzeszenia udzielanego bohaterom swojej opowieści. Ale bardzo starannie selekcjonuje fakty, tak, aby służyły założonej wstępnie tezie, snuje swoją fabułę nie uwzględniając społecznych i politycznych uwarunkowań, opisując losy twórców gdzie może skupia się nie na ich dziełach, a meandrach życia osobistego itd. Lektura smaczna dla konsumentów o szczególnie specyficznym guście.

Dzieło drugie. Autor, znany z bezskutecznych zalotów do muzy, starannie rzeźbi w wydalinach własny pomnik. Czyni to przy pomocy licznych fotografii swej mocarnej sylwetki, ujawniania korespondencji mailowej między własnymi kolegami, którzy licytują się w wymienianiu ocen na temat grafomanii, eseju o historii najnowszej literatury polskiej zaludnionej twórcami – homoseksualistami, alkoholikami, rozpustnikami itd. Przypomina – cytując tekst – że nasza Noblistka napisała wiersz o Stalinie.

Dzieło trzecie, niemal naukowe. Badaczka literatury polskiej obszernie przypomina, że Noblistka należała do partii, pisała we wczesnej młodości o socjaliźmie, budowie Nowej Huty, o Stalinie i miłości ojczyzny – nie tej, co trzeba.

Pandemia niby minęła, ale warto wyciągnąć plastikowe rękawiczki i założyć szczelną maseczkę.

* * *

Listopad, Polanica, festiwal „Poeci bez granic". Mówię coś o literaturze i czuję się skrępowany – przecież opowiadam o rzeczach oczywistych. Ale, ale... To, co dla mnie jest oczywiste, nie jest oczywiste dla innych. Wydarzenia, których byłem świadkiem i uczestnikiem, dla ludzi młodszych ode mnie raptem o jedno pokolenie, to bajki o żelaznym wilku. A przecież to, czego oni przeżywać nie mogli, stało się glebą, na której wyrosło ich życie. Trzeba więc mówić o oczywistościach po to, żeby uświadomić im, skąd się literacko wzięli.

Moja historia się kończy, ktoś napisze inną, swoją własną. Odmienną. Ale jeśli się zdarzy deja wu? Wtedy mogą się przydać skończone historie.

* * *

Koniec listopada. W domu kultury na warszawskim Służewie, dzielnicy, w której wiele lat mieszkał Zbyszek Jerzyna, rozstrzygnięcie konkursu poetyckiego jego imienia. Konkurs licznie obsadzony, wygrywają poeci, o których nigdy nie słyszałem. Wiem, to moja wina.

Staraniem Marcina, syna poety, przy wsparciu Instytutu Literatury, ukazał się obszerny wybór wierszy Zbyszka. Wydawca, Adam Marszałek, zdążył wydać ten imponujący tom.

Przed licznie zgromadzoną publicznością wspominam Zbyszka, poetę prawdziwego, wspomina jego wiersz: moje życie, moje miłości, moja wiara w słowo. Wczoraj szklanka wypadła mi z rąk…

Było lato, staliśmy z nim przed Klubem Księgarza na Starym Mieście. Powiedziałem, że skoro kilka dni temu skończył 70 lat, to ma prawo do bezpłatnych przejazdów komunikacją miejską. Był zaskoczony. Kiedy twierdząco odpowiedziałem na pytania, czy to dotyczy tramwajów, autobusów i metra, głęboko się zastanowił, równie głęboko zaciągnął i stwierdził: - Warto było żyć.

Niedługo cieszył się tym przywilejem.

* * *

Dwa dni przed Nowym Rokiem niewielka grupa osób pożegnała ją na Powązkach. Spoczęła obok swojego ojca Konstantego Ildefonsa i matki, którą poeta nazywał „srebrną Natalią".

Ostatni raz rozmawiałem z nią telefonicznie z Krakowa. Na Platach usiadłem na ławeczce opatrzoną tabliczką: Konstanty Ildefons Gałczyński. Zadzwoniłem do niej i powiedziałem, że czuję się po prostu zobowiązany do tego telefonu. Podziękowała serdecznie. Jak zwykle.

Chyba nie przywiązywała wielkiej wagi do własnej twórczości, choć przecież wydała kilka wartościowych książek. Nie chwaliła się kilkunastoma latami pracy, kiedy była kustoszem Leśniczówki Pranie. Nie sprzeciwiała się, kiedy jej następca zrezygnował z koncepcji kameralnego charakteru tego muzeum. Była – to zapomniane polskie słowo – dobrotliwa.

Kiedy przed wieloma, wieloma laty wydawaliśmy monograficzny numer POEZJI, przyniosła mi zapiski swego ojca, szkice zaczętych wierszy, karteluszki z rysunkami, liściki, niepublikowane fotografie. Numer miał nakład 30 tys. Kiedy przed kilkunastu laty, na którąś Warszawską Jesień Poezji postanowiliśmy wydać mała antologię „Poeci Gałczyńskiemu", wskazała nam jak dotrzeć do wierszy, które różni poeci napisali o nim – za jego życia i po śmierci.

Któryś z jej jubileuszy odbył się w Klubie Księgarza. Jakiś czas przedtem usłyszałem opinię, która mnie oburzyła: ktoś zarzucił jej, że ubija własny interes przypominając ciągle K.I.Gałczyńskiego. Odczytałem z estradki list gratulacyjny. Powiedziałem, że pisząc książki o ojcu, wydając kolejne wybory jego wierszy, dba nie tylko o jego pamięć – dba w ten sposób o całą polską poezję i literaturę.

Prawdziwa wielkość znaczy tyle, ile skromność. Kira Gałczyńska była skromna.

* * *

Na półkach korytarza Domu Literatury wykładane są książki nikomu niepotrzebne. Może jednak ktoś odkryje w sobie taką potrzebę? Biorę „50 opowiadań" Adolfa Rudnickiego (PIW, 1966, nakład 10 tys). Kto dziś pamięta o pisarzu zmarłym przeszło 30 lat temu, a niegdyś uważanym za jednego z wielkich współczesnej literatury?

Jako pachole czytałem w którymś z tygodników kulturalnych jego „Niebieskie kartki", z których część poświęcona była sportowi – w elitach artystyczno intelektualnych tamtych czasów, uważano to za temat wstydliwy i niegodny. Wydaną w 1937 roku nowelę „Niekochana" adaptował Janusz Nasfeter blisko 40 lat później, a ten film z Elżbietą Czyżewską uchodzi za najlepszy w twórczości reżysera. Dwukrotnie otrzymał pisarz nagrody państwowe, pisał i wydawał dużo. Nie znałem go, ale widywałem na Krakowskim Przedmieściu – tym, któremu poświęcił książkę „Krakowskie Przedmieście pełne deserów" - szedł rosły, ryżawy, młodzieńczy, choć bliski pięćdziesiątki. Sławny.

Jego opowiadania, dziś nieobecne ( ostatni wybór wyszedł 15 lat temu) nie zestarzały się, świecą blaskiem wspaniałej polszczyzny.

Urodzony w małomiasteczkowej żydowskiej rodzinie do prowincjonalnych miasteczek wraca swoimi nowelami. To zadziwiające, są realistyczne, a jednocześnie nierealne, tyle zobaczone, co wyobrażone. Literatura najwyższej klasy. I jak wiele jej przykładów – niemal zupełnie zapomniana.

* * *

Kiedy psuje się rzecz, przedmiot, którego używałem od niepamiętnych czasów, jestem zdziwiony, a nawet obrażony. Wypowiedział mi służbę, choć nie miał do tego prawa. Przymuszony kupuje nowy przedmiot, ale go nie lubię, a wszelkie porównania są korzystne dla starego. Proces akceptacji trwa długo.

Nie lubię też, kiedy psuje się ciało. Ubytki są sprzeczne z naturą, a części zamienne źle się w ciele czują. Uwierają, domagają się specjalnego traktowania, natrętnie przypominają o swojej obecności.

Nie lubię, kiedy serce pustoszeje. Jeśli z tym sobie radzę, to wiem, że coraz wyraźniej przekraczam granicę śmieszności. Stary człowiek ma prawo do rzewnego wspominania bliskich, którzy odeszli, do miłowania potomstwa i wnucząt, do pielęgnowania pradawnych przyjaźni, ale inne uczucia w tym wieku są niestosowne, a nawet nieprzyzwoite. Mógł sobie na nie pozwolić Faust, ale to przecież fikcja artystyczna. Franciszkowi Listowi ze względu na jego wielkość darujemy starcze, miłosne zapały. Są to jednak – i parę innych – wyjątki od reguły. Miłość jest przypisana wiekowi młodzieńczemu i dojrzałemu. Kropka.

Nie radzę sobie z pamięcią. Nie, nie z jej ubytkami. Z nadmiarem. To znaczy z czymś bezużytecznym, czymś, co się ani mnie, ani nikomu innemu na nic nie przyda. Napisałem to przed laty. Jeśli się przy tym wówczas wzruszyłem, to teraz mi wstyd. Jednak może jest to tylko autorska kokieteria. Też wstyd, ale mniejszy.

* * *

To niesprawiedliwe: przecież z utratą sił fizycznych powinna harmonizować z ubytkami pamięci. Szczęśliwi ci, którzy tej harmonii doświadczają.

Pamięć bywa udręką. I: im więcej pamięci, tym mniej życia.

***Marek Wawrzkiewicz***



** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

W przyszłym numerze do przeczytania:

- Krzysztof Szymoniak, wiersze, z tomu Trzy poematy, itd
- Filip Bednarz - wiersze
- Marian Bednarek - małe prozy
- Aleksandra Sołtysik, wiersze
- Jerzy Lengauer, Omówienie dramatów Władysława Zawistowskiego, Dobry adres, IBL 2021
- Krótkie opowiadania Marka Jaglińskiego
- O nowych lekturach Andrzeja Waltera oraz esej o poezji Marka Wawrzkiewicza
- Roman Warszewski, Przede wszystkim szacunek (o pochówkach staroegipskich)



ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

# PLAKAT POETYCKI

## Nauka języka rosyjskiego: litera „z”

zabić zastrzelić zamordować zabić zastrzelić zamordować zabić zastrzelić zamordować zab
zabić zastrzelić zamordować zabić zastrzelić zamordować zabić zastrzelić zamordować z
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować
zabić zastrzelić zamordować zabić zastrzelić zamordować zabić zastrzelić zamordow
zabić zastrzelić zamordować zabić zastrzelić zamordować zabić zastrzelić zamordować

Henryk Liszkiewicz

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania

# PLAKAT ARTYSTYCZNY

## Zbigniew Joachimiak
## Portret Hani, 23

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania